

ODPOWIEDZI NA TRUDNE PYTANIA
DZISIEJSZEGO ŚWIATA
TOM IX

Odpowiedzi na trudne pytania dzisiejszego świata Tom dziewiąty

Konwersatoria
w Szkole Wyższej Przymierza Rodzin w Warszawie
poświęcone przesłaniu Ojca św. Jana Pawła II

Pod redakcją
Elżbiety Mycielskiej-Dowgiałło



Szkoła Wyższa Przymierza Rodzin

Warszawa 2014

Wydawnictwo SWPR
Szkola Wyższa Przymierza Rodzin
ul. M. Grzegorzewskiej 10
02-778 Warszawa
tel. (22) 644 07 97
www.swpr.edu.pl

ZAPISU Z NAGRANIA DOKONAŁ:
Marcin Borzęcki

OKŁADKA:
według projektu Joanny Łokietek
z wykorzystaniem zdjęć
Macieja Syki

SKŁAD, ŁAMANIE, REDAKCJA TECHNICZNA:
Joanna Łokietek

KOREKTA:
Urszula Kossowska-Cezak

FOTOGRAFIE W TEKŚCIE:
Elżbieta Mycielska-Dowgiałło

DRUK FINANSOWANY:
Jacek Waksmundzki

DRUK:
ELPIL Siedlce

Wydanie I

ISBN:
978-83-61140-55-9

SPIS TREŚCI

Przedmowa	7
<i>Czy praca u podstaw ma dziś znaczenie w kształtowaniu tożsamości narodowej?</i>	
Ks. Adam Zelga (prowadzący), Kazimierz Adamaszek, Anna Goćławska, Piotr Goćławski	9
<i>Czy potrafię rozmawiać z trudną młodzieżą, lub młodzieżą w tzw. trudnym wieku?</i>	
Ks. Adam Zelga (prowadzący), S. Jolanta Głapka, ks. Wacław Pokrzywnicki, Alicja Nawrocka, Krystyn Nawrocki	49
<i>Czy jestem zaangażowanym członkiem Kościoła katolickiego i jak to realizuję mimo trudności?</i>	
Ks. Adam Zelga (prowadzący), Waldemar Bieniak, Tatiana Cariuk, Magda Korzekwa, Aleksander Ciepela	89
<i>Czy rozumiem i doceniam wartość Mszy Świętej i jakie widzę możliwości w dokształcaniu się w tym zakresie?</i>	
Ks. Jarosław Piłat (prowadzący), Maria Pieńkowska, Zbigniew Witecki, Alicja Dyrda, Sebastian Tul, Mirosława Misiejuk, Joanna Żywot	137
<i>Jakie widzę możliwości wykorzystania wartości religijnych jako sposobu kształtowania sumień?</i>	
Elżbieta Mycielska-Dowgiałło (prowadząca), Agnieszka Jackowska, Joanna Jackowska, Maciej Srebro, Andrzej Srebro, Anna Słomka, Bogna Słomka, Katarzyna Gromelska.....	167

Czego oczekuję od oświaty w zakresie kształtowania godności człowieka?

Ks. Adam Zelga (prowadzący), Maria Łubowicz,
s. Katarzyna Szulc, Alicja Siemak-Tylikowska,
Ewa Jurewicz, ks. Michał Jabłoński, Dariusz Wasik 203

Czy doceniam wartość męskiej przyjaźni w wychowaniu chłopców i jak ją realizuję?

Elżbieta Mycielska-Dowgiałło (prowadząca),
Maciej Górski, o. Tomasz Rojek, Adrian Anczarski,
Szymon Fulara 241

Czy doświadczyliśmy cudów w naszym życiu?

Elżbieta Mycielska-Dowgiałło (prowadząca),
Maria Preisner, Stanisława Augustyn,
Krzysztof Żuławski, s. M. Loyola Opiela,
s. Jolanta Głapka 273

Spis treści ośmiu tomów

„Odpowiedzi na trudne pytania dzisiejszego świata” 321

Wydawnictwo SWPR – przegląd wydanych pozycji 328

Przedmowa

Tom dziewiąty, który obecnie oddajemy do rąk czytelników, zawiera teksty ośmiu Konwersatoriów, które odbywały się regularnie, w odstępach comiesięcznych, w Szkole Wyższej Przymierza Rodzin w Warszawie (ul. Grzegorzewskiej 10, na Ursynowie) w roku akademickim 2013/2014. Każdy tekst Konwersatorium poprzedzony jest cytatami z wypowiedziami na dany temat.

Wszystkie wydane dotychczas tomy „Odpowiedzi...” są dedykowane Świętemu Janowi Pawłowi II, z tym, że tom dziewiąty został poświęcony przesłaniu patrona naszej Uczelni Błogosławionemu Edmundowi Bojanowskiemu, którego opiece polski Episkopat powierzył rok 2014.

Tom dziewiąty, podobnie jak wszystkie poprzednie tomy, opiera się na osobistych świadectwach osób zapraszanych do panelu, uczestników spotkań, jak i na wypowiedziach przesyłanych drogą korespondencyjną. Wszystkim serdecznie dziękuję w imieniu własnym, jak i stale rosnącego grona odbiorców tekstów Konwersatoriów na całym świecie. Wielu z nich, za co szczególnie jestem im wdzięczna, rozsyła nasze teksty dalej, uznając je za warte tego. Bóg im zapłać.

Na końcu dziewiątego tomu został zamieszczony spis treści wszystkich tomów poprzednich. Uniwersalność tematów oraz żywość i autentyczność wypowiedzianych świadectw powoduje, że nie tracą one na aktualności i stale znajdują nowych czytelników.

Szczególne podziękowanie kieruję do Księdza Adama Zelgi, który, podobnie jak w latach poprzednich, prowadził większość naszych spotkań (którego niekiedy musiałam zastąpić, ze względu na nieprzewidziane jego obowiązki), poprzedzając je często własnym świadectwem. Dziękuję również Księdzu dr. Jarosławowi Piłatowi, który jeden raz zastąpił Księdza Adama.

W bieżącym roku przepisywania tekstów z nagrania podjął się, podobnie jak w roku poprzednim, Marcin Borzęcki, któremu serdecznie dziękuję za sprawne i terminowe wykonywanie tego zadania.

Korektę wszystkich tekstów Konwersatoriów, jak i złożonej już książki, wykonała dr Urszula Kossowska-Cezak. Jej ogromnemu doświadczeniu i skrupulatności zawdzięczamy wysoki poziom edytorski publikowanych, kolejnych tomów „Odpowiedzi...” Serdecznie jej za to dziękuję.

Łamanie i składanie tomu dziewiątego, podobnie jak tomów poprzednich, zawdzięczamy pani Joannie Łokietek, której wysokie kwalifikacje gwarantują piękny, ostateczny efekt naszego wspólnego dzieła. Jej autorstwa jest również okładka tomu.

Chcę wyrazić również swoją wdzięczność i uznanie drukarni ELPIL w Siedlcach, z którą współpracujemy od lat, a szczególnie panu Jarosławowi Baranowi, odpowiedzialnemu bezpośrednio za druk naszych książek, na którym nigdy się nie zawiedliśmy.

Obecny dziewiąty tom „Odpowiedzi...” , podobnie jak i tomy poprzednie, nie mógłby się ukazać bez wsparcia finansowego pana Jacka Waksmundzkiego. Jemu zawdzięczamy, że książki docierają do osób, których nie byłoby stać na ich zakup. Bardzo serdecznie mu za to dziękuję.

Wszystkie informacje dotyczące Konwersatoriów i wydawanych u nas książek można znaleźć na naszej stronie internetowej (www.swpr.edu.pl). Książki można nabywać za pośrednictwem internetu (swpr@swpr.edu.pl), zaliczenia pocztowego lub bezpośrednio w sekretariacie Uczelni (ul. Grzegorzewskiej 10, 02-778 Warszawa, tel. 22 644-07-97).

W trzecią sobotę października 2014 roku (18 października) rozpoczynamy kolejny, dziesiąty rok spotkań – rok jubileuszowy. Serdecznie zapraszam wszystkich zainteresowanych.

Osoby, które chciałyby na bieżąco otrzymywać drogą mailową teksty Konwersatoriów, proszę o przesłanie na adres Uczelni (swpr@swpr.edu.pl) swojego adresu mailowego z adnotacją: „przesyłanie tekstów Konwersatoriów”.

prof. dr hab. Elżbieta Mycielska-Dowgiatto

Warszawa, lipiec 2014 r.

*Czy praca u podstaw ma dziś znaczenie
w kształtowaniu tożsamości narodowej?*

Cytaty

Rok bł. Edmunda w Kościele (2014 r.) to decyzja podjęta podczas 358. zebrania plenarnego Konferencji Episkopatu Polski. Szkoła Wyższa Przymierza Rodzin w Warszawie, której patronem jest błogosławiony Edmund Bojanowski, chce przybliżyć jego postać szerokiemu gronu odbiorców oraz uczcić jego pamięć, poświęcając jego przesłaniu Konwersatoria w roku akademickim 2013/2014.

Życiorys Błogosławionego

Edmund Bojanowski urodził się 14 listopada 1814 roku, a więc tuż po epoce napoleońskiej, w czasie perfidnie przeprowadzonego na kongresie wiedeńskim czwartego rozbioru Polski. Życie jego przypadło zatem na czas, gdy Ojczyzna nasza podzielona między trzy mocarstwa, doprowadzona do ruiny politycznej, społecznej i gospodarczej, żyła w niewoli, a cała prawie Wielkopolska, nazwana w owym czasie Wielkim Księstwem Poznańskim, padła łupem Prus.

Miejscem urodzenia był Grabonóg, mała wioska wielkopolska, odległa o 3 kilometry od leżącego w dolinie Gostynia.

Stary ziemiański ród Bojanowskich był szeroko rozgałęziony na ziemi wielkopolskiej. Niektóre jego gałęzie przyjęły w XVI wieku protestantyzm, ale rodzina Edmunda pozostała wierna Kościołowi katolickiemu. Cechował ją głęboki patriotyzm. Ojciec Edmunda – Walenty – przyplacił swój udział w powstaniu listopadowym konfiskatą ojcowizny. Matka – Teresa z domu Umińska – z pierwszego małżeństwa Wilkońska, była siostrą generała Jana Nepomucena Umińskiego, bohatera wojen napoleońskich, a później powstania listopadowego z 1831 roku.

Edmund, mając zaledwie 16 lat, próbował już swych sił umysłowych w samodzielnej twórczości. Nadszedł listopad 1830 roku, zanim powstanie mające Polsce przynieść wyzwolenie. Wielu ochotników z Księstwa Poznańskiego pośpieszyło z bronią w rękę wesprzeć walczących rodaków. Poszedł i ojciec Edmunda. Edmund pozostał w domu z powodu zbyt młodego wieku i wątkich sił fizycznych, które z góry przekreślały możliwość przetrwania trudów i nędzy wojennej.

Po upadku powstania legalna działalność patriotyczna stała się niemożliwa, Wielkopolanie podjęli zatem pracę organiczną we wszystkich dostępnych im dziedzinach.

Po domu rodzinnym następnym ośrodkiem kształtującym umysł Edmunda Bojanowskiego oraz jego poglądy na świat i ludzi były środowiska uniwersyteckie. Młodzież wielkopolska nie miała możliwości zdobywania wiedzy w ojczystym języku na własnych uniwersytetach, udawała się więc na studia do Wrocławia lub Berlina. W roku 1832 na uniwersytet wrocławski wyjechał również Edmund.

Immatrykulacja na wydział nauk filozoficznych dokonana została 15 stycznia 1835 roku. Świadectwo uniwersyteckie wskazuje, że słuchał wykładów z historii nowożytnej XVIII i XIX wieku, z historii Niemiec, z historii literatury nowożytnej oraz z teorii światła i ciepła... Na wakacje wyjeżdżał najprawdopodobniej do Grabonoga.

30 sierpnia 1834 roku zmarła matka Edmunda – Teresa Bojanowska, została pochowana w podziemiach kościoła świętogórskiego. Edmund przebywał przy umierającej matce aż do jej zgonu.

Do Wrocławia wrócił dopiero z początkiem 1835 roku, uskarżając się uprzednio listownie do kolegów na stan zdrowia i kaszel, który go bardzo męczył. Po pomyślnym zakończeniu dwóch semestrów w uniwersytecie wrocławskim był zmuszony ponownie udać się w rodzinne strony z powodu nieuregulowanych spraw majątkowych, które dłużej zatrzymały go w Księstwie, wskutek czego dopiero z początkiem marca 1836 roku znalazł się znów we Wrocławiu. Dla zaliczenia nowego semestru nie zdołał jednak przedłożyć spisu wysłuchanych wykładów.

Dalsze studia pragnie Bojanowski odbyć w Berlinie. Na wydział filozoficzny uniwersytetu berlińskiego zapisał się 18 maja 1836 roku, kontynuując w ten sposób studia rozpoczęte we Wrocławiu. Pobyt w Berlinie nie trwał jednak długo. Mimo że coraz mocniejsze więzy łączyły go ze światem wiedzy, poważna choroba płuc zdawała się przekreślać wszystkie jego plany życiowe w tej dziedzinie. Orzeczenie lekarskie kładło kres kontynuacji studiów i zmusiło do podjęcia nieodzownej kuracji. Dnia 17 marca 1838 roku formalnie opuścił uniwersytet berliński. Naukowa kariera została przekreślona. Wrócił do Księstwa Poznańskiego i zamieszkał ze swym przyrodnim bratem Teofilem Wilkońskim w Grabonogu. Liczył wtedy niecałe 24 lata.

Zapał do pracy dla dobra Ojczyzny nie opuszczał Edmunda Bojanowskiego nawet wtedy, gdy zdrowie pozostawiało tyle do życzenia. Przystawił się na inne tory, które stały się drogą do sprecyzowania właściwej idei życiowej. Jego zainteresowania poszły w trzech kierunkach: pracy oświatowej wśród ludu wiejskiego, pracy wychowawczej i pracy charytatywnej.

Do arcybiskupa gnieźnieńskiego i poznańskiego L. Przyłuskiego napisał: „Od lat kilku zajmowała mię myśl urządzenia ochronek wiejskich pod dozorem dziewcząt wiejskich. Miałem na względzie: raz – korzyść małych dzieci wystawionych po wsiach przez zaniedbanie lub nieświadomość rodziców na zepsucie przedwczesne, po wtóre – uświęcenie kobiet wiejskich, a przez to wpływ na podniesienie i umoralizowanie ludu wiejskiego”.

Warto zwrócić uwagę na fakt, że zarówno osobiste przekonania, jak i kontakty z księżmi, z którymi konsultował swe projekty, uświadomiły Bojanowskiemu, że wyzwolenie i odrodzenie narodu zależy przede wszystkim od pogłębienia u Polaków ich wiary. Dostrzegął, że w ludziach wsi trwa nadal tradycyjna kultura ludowa przepojona wartościami religijnymi. Stał więc – podobnie jak zmartwychwstańcy – na gruncie pracy organicznej opartej na parafii i zakładanych w niej bractwach łączących ludzi świeckich, zdolnych przeniknąć do wszystkich.

W roku 1999 Ojciec Święty Jan Paweł II ogłosił go błogosławionym Kościoła Katolickiego.

*Grabonóg, 8 grudnia 1855
w święto Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Panny*

List błogosławionego Edmunda Bojanowskiego do abpa Leona Przyłuskiego w Poznaniu

Jaśnie Oświecony Arcypasterzu!

Składam u stóp Jaśnie Oświeconego Pana następujące przełożenie. Od lat kilku zajmowała mnie myśl urządzenia ochronek wiejskich pod dozorem dziewcząt wiejskich. Miałem na względzie raz: korzyść małych dzieci wystawionych po wsiach przez zaniedbanie lub nieświadomość rodziców na zepsucie przedczesne, po wtóre uświęcenie kobiet wiejskich, a przez to wpływ na podniesienie i moralizowanie ludu wiejskiego. W r. 1850 pozwolił mi Pan Bóg zamiar mój urzeczywistnić, a to w ten sposób. Zebrałem trzy dziewczęta i gdy gospodyni Franciszka Przewoźna w Podrzeczu ofiarowała im pomieszczenie (pobożna ta kobieta umyślnie przybudowała do domu swego izbę ochrony), otworzyłem we wsi Podrzeczu ochronkę.

Zbierając w jedno trzy młode dziewczęta, miałem na względzie, aby połączyć pracę ręczną z dobroczynnością już to dlatego, żeby dziewczęta poświęcające się prowadzeniu ochronek utrzymywały się w jędrności moralnej, jaką tylko pracowitość daje, już żeby w pracy ich znaleźć do pewnego stopnia środki utrzymania ochronek.

Powoli znalazło się nieco więcej dziewcząt, które przysposobione przy tamtych, wprawiły się do prowadzenia ochronek. Zaczem założona została w środku lata 1854 r. druga ochronka w Kopaszewie. W miesiącu maju 1855 – trzecia w Turwi, a miesiącu wrześniu tego roku – czwarta w Rombinu.

Obecnie jest więc cztery ochronki i dwanaście dziewcząt. Rozwijając się myśl cała musiała przyjąć kształty wyraźne, a że w

takim razie najpewniejsza jest droga tradycji kościelnej, starałem się nadać jej podobny charakter.

Dziewczeta te zajmują się z kolei dozorem dzieci tak, że jedna zostaje w domu, a dwie inne idą do roboty, jaką im zwierzchność wyznaczy, od żadnej pracy nie wyłączając się. Pobierają zasługi i dostają żywność, tak jak zwyczajne dziewczki dworskie.

Odbywały one kilkakrotnie ćwiczenia duchowne pod przewodnictwem księży: Rogowskiego – misjonarza i Baczyńskiego – jezuitę. Przystępowały także i przystępują często do św. sakramentów.

Dotąd związane są prostą trzyletnią obietnicą, a od czasu jak Jaśnie Oświecony Pan, do którego idąc za przepisem kościelnym, udałem się o tymczasowe upoważnienie, raczyłeś mi takowego udzielić, obserwuję regułę, którą tu przyłączam, a którą wielebni ojcowie Kajsiewicz i Semenenko z odwołaniem się do osób doświadczonych w Rzymie ułożyli. Jak Jaśnie Oświecony Pan łatwo zobaczysz, reguła ta jak najdobitniej nowy Instytut władzy diecezjalnej poddaje.

Cośkolwiek bądź, rzecz cała nie miałaby podstawy ani przyszłości, bez pewnych niezbędnych warunków. Chodzi mianowicie o śluby trzyletnie, które by zabezpieczyły dziewczeta poświęcające się na służbę Bożą w ochronkach od pokus i nagabywań zwyczajnych na wsiach. Śluby te nie mogą być krótsze, boby inaczej myśl dziewcząt była ciągle na zamążpójście zwrócona.

Udaję się zatem z pokorną prośbą do Jaśnie Oświeconego Pana, abyś raczył upoważnić duchownych archidiecezji do przyjmowania od Służebniczek Najświętszej Panny ślubów trzyletnich.

Inną jeszcze prośbę do stóp tronu arcybiskupiego zanoszę o to, ażeby Jaśnie Oświecony Pan przez wzgląd, iż potrzebny jest, jak się to zresztą zawsze praktykuje – przy najwyższej władzy diecezjalnej opiekun i przyczynca w sprawach nowego Instytutu, raczył pozwolić, aby takim opiekunem został jaśnie wielmożny ks. Biskup Stefanowicz.

Co się tyczy przyszłości Instytutu, takie pozwalam sobie Jaśnie Oświeconemu Panu przedłożyć fakta. Za pośrednictwem duchow-

nych zgłasza się do przyjęcia około 50 dziewcząt. Wszelako dla ograniczonych środków tylko siedem nowicjuszek znajduje się obecnie u Sióstr Miłosierdzia w Gostyniu, a pięć jeszcze przyjętych zostanie. Nadto następujące osoby pisały o dziewczęta do ochronek: pani Włodzimierzowa Szoldrska z Żydowa, pan Stanisław Plater z Wroniaw, pan Kajetan Morawski z Jurkowa, pani Wilczyńska z Krzyżanowa, pan Stanisław Chłapowski z Szolder, pan Stanisław Mycielski z Ponieca i pani Nepomucena Kęszycka z Błociszewa, ks. Dziekan Samplawski z Radzyna, pan Działowski z Mgowy, pan Jackowski z Jabłowa, z Prus Zachodnich, którym to żądaniom dopiero za rok będę w stanie odpowiedzieć.

Składając to przełożenie i prośbę moją u stóp Jaśnie Oświeconego Pana, czuję ufność, że Jaśnie Oświecony Pan zechcesz rozciągnąć wysoko swoją opiekę do dzieła mającego jedynie na celu chwałę Bożą i pożytek bliźnich.

KONWERSATORIUM LXV

(19 października 2013)

**Czy praca u podstaw ma dziś znaczenie
w kształtowaniu tożsamości narodowej?**

Prowadzący: ks. Adam Zelga, proboszcz parafii p.w. bł. Edmunda Bojanowskiego; Kazimierz Adamaszek, wychowawca Młodzieżowego Ośrodka Socjoterapii w Warszawie; Anna Goławska, instruktor harcerski, członek zarządu Stowarzyszenia Harcerzy Katolickich „Orzeł”, członek Grupy Rekonstrukcji Historycznych Narodowych Sił Zbrojnych, członek Związku Żołnierzy Narodowych Sił Zbrojnych, nauczyciel religii oraz wychowania do życia w rodzinie w Szkole Podstawowej i w Zespole Szkół Integracyjnych; Piotr Goławski, instruktor harcerski, przewodniczący Stowarzyszenia Harcerzy Katolickich „Orzeł”, członek Grupy Rekonstrukcji Historycznych Narodowych Sił Zbrojnych, członek Związku Żołnierzy Narodowych Sił Zbrojnych, wychowawca w Świetlicy Środowiskowej Zgromadzenia Sióstr Miłosierdzia Św. Wincentego á Paulo.

Ks. Adam Zelga

Bardzo serdecznie witam państwa. W tym roku nasz cykl będzie poświęcony postaci bł. Edmunda Bojanowskiego. Jest on patronem samego Przymierza Rodzin, Szkoły Wyższej Przymierza Rodzin, jak i mojej parafii. Episkopat Polski ogłosił rok 2014 bł. Edmunda Bojanowskiego w dwusetną rocznicę jego urodzin.



Paneliści: od lewej ks. Adam Zelga, Piotr Goławski,
Anna Goławska i Kazimierz Adamaszek

Temat dzisiejszego spotkania brzmi: „Czy praca u podstaw ma dziś znaczenie w kształtowaniu tożsamości narodowej?”. Najpierw sięgnijmy do Bojanowskiego, który w XIX w. w Polsce, podzielonej trzema zaborami, wymyślił prosty sposób na polską niepodległość. Wybrał pracę u podstaw jako sposób przywracania tożsamości narodowej, jako podstawową pracę patriotyczną. Czy dzisiaj to jest aktualne? Wydaje się, że tego rodzaju praca zawsze jest aktualna. Dlatego zaprosiliśmy ludzi, którzy mogą nam na ten temat więcej powiedzieć, dać swoje świadectwo pracy u podstaw, w tym właśnie kontekście pracy dla tożsamości narodowej i patriotycznej.

Kazimierz Adamaszek

Zawodowo jestem związany z pracą w Młodzieżowym Ośrodku Socjoterapii. Powszechnie uważa się, że jest to praca z tak zwaną młodzieżą trudną. Kiedy rozmawiałem ze swoim dyrektorem, podczas rozmowy kwalifikacyjnej usłyszałem właśnie to pytanie „co pan myśli na temat młodzieży trudnej?”. Uświadomiłem sobie wtedy, że tak naprawdę takiej młodzieży nie ma, że to pojęcie zostało wymyślone na określenie trudności, które

bywają w kontaktach z młodzieżą. W rzeczywistości możemy mówić o młodzieży, która spotkała na swojej drodze ludzi, którzy pomogli im w rozwoju, lub o takiej, która spotkała ludzi, którzy zepchnęli ich w dół. W ośrodku, w którym pracuję, pojawia się młodzież, która spotkała tych drugich.



Kazimierz Adamaszek (z mikrofonem)

Kiedy ksiądz Adam zaproponował mi udział w tym Konwersatorium i zapoznałem się z przesłanymi materiałami dotyczącymi bł. Edmunda, którego „spotkałem” przez kontakty z księdzem Adamem, zobaczyłem, że praca u podstaw, którą wykonywał bł. Edmund, jest bardzo ściśle związane z tym, co powinno dziać się w takich miejscach, jak ośrodki wychowawcze, młodzieżowe ośrodki socjoterapii, szkoły, a właściwie w każdym miejscu, gdzie pracujemy z młodzieżą.

Mój kontakt z tą młodzieżą (pracuję z chłopcami od 13 do 18 roku życia) pokazuje, że aby móc mówić, kim są, jeśli chodzi o ich korzenie narodowe, to trzeba im najpierw pokazać, kim są jako ludzie. Zazwyczaj są głęboko przekonani, że sami są bardzo źli i świat wokół nich też jest zły. Słowo Ojczyzna, Polska, Naród kojarzy im się z narzekaniem ich rodziców, jaka ta Polska jest zła i dlaczego tu się tak źle dzieje. Na początek trzeba określić i

spróbować zaspokoić ich podstawowe potrzeby, a dopiero następnie przywracać im to, co jest ważne dla każdego człowieka, a więc szacunek, poczucie godności czy odpowiedzialności za swoje życie. Kolejno można spróbować mówić o ojczyźnie, o patriotyzmie, o korzeniach narodowych i o tym, że być Polakiem, nie znaczy być nieudacznikiem, o czym są przekonywani dlatego, że ich życie się nie udaje. Wiele im się w życiu nie udało i ich widzenie świata dokonuje się przez pryzmat tego, co się nie udaje.

W tym roku doświadczyłem ciekawej sytuacji wychowawczej. Zaproponowałem program, który zatytułowałem: „poznaj historię, poznaj siebie i świadomie buduj swoją tożsamość”. Polega on na wprowadzaniu młodego człowieka w konkretne sytuacje z historii, przez dzieje ludzi, którzy tę historię tworzyli. Próbuję pokazać moim uczniom, że historię narodu tworzą historie konkretnych ludzi. Byliśmy w muzeum pułkownika Kuklińskiego, potem oglądaliśmy filmy związane z różnymi postaciami historycznymi. Ku mojemu miłemu zaskoczeniu moi uczniowie nagle zaczęli odkrywać, że nie są nikim. Jest to więc forma pracy u podstaw mająca na celu przywracanie człowiekowi godności, jego miejsca w społeczeństwie, świadomości tego, że jest ważny, że nie jest nikim i nie musi być w pojęciu ogólnym widziany jako ktoś zły i niepotrzebny. Niestety musimy być świadomi, że wielokrotnie ci chłopcy są tak traktowani i postrzegani, a przez to i nauczeni, żeby siebie widzieć jak śmieci, jak odpadki społeczeństwa, które do niczego się nie nadają. Natomiast kiedy zaczyna budzić się w nich poczucie godności i odpowiedzialności za swoje życie, to oni stają się też otwarci na poczucie patriotyzmu i tożsamości narodowej.

Muszę też jednak powiedzieć o przykrym doświadczeniu z tym związanym. Moją propozycję programu rozesłałem do wszystkich moich współpracowników i odzew był niestety żaden. Nikt się tego nie podjął.

Drugie przykre doświadczenie dotyczy tego, że kwestie patriotyzmu, tożsamości narodowej i związanej z nią relacji do Boga są nieoficjalnie, a niekiedy też oficjalnie wycinane z programów wychowawczych placówek oświatowych, przynajmniej tych publicznych. W tym roku w nowym programie wychowawczym naszego

ośrodka umieściłem tekst wprowadzający do tego programu, w którym były odniesienia do korzeni tożsamości narodowej związanych z chrześcijaństwem. Niestety tekst ten został usunięty z programu wychowawczego. Mówiąc krótko, słowo „chrześcijański” jest niemile widziane w programie wychowawczym.

Moje doświadczenie natomiast wiąże się z tym, że kiedy przywraca się dziecku właściwą perspektywę w relacji do Boga, to zaczyna ono inaczej reagować na to, co się z nim dzieje i inaczej widzieć tych, których postrzega w swoim życiu jako osoby krzywdzące. Inaczej postrzegają swoich rodziców, opiekunów, inaczej postrzegają tych wszystkich bliskich, którzy doprowadzili ich do stanu, w jakim się znaleźli.

Piotr Gołowski

Gdy dostałem maila od księdza proboszcza z tematem Konwersatorium, to pierwsza odpowiedź, jaka mi się nasunęła, była potwierdzająca – tak, praca u podstaw ma znaczenie. Kropka, koniec i w zasadzie tyle mógłbym powiedzieć. Pytanie to jednak zawiera w sobie dwa pytania fundamentalne: czym jest dzisiaj praca u podstaw i co w dzisiejszych czasach możemy rozumieć jako tożsamość narodową, a tym bardziej jej kształtowanie.

Praca u podstaw we współczesnej Polsce ma zupełnie inny charakter niż ten, jaki miała w XIX wieku, w okresie życia Edmunda Bojanowskiego. Dzisiaj analfabetów praktycznie nie mamy. Ludzi chodzących boso też niewielu, a głodujących na pewno proporcjonalnie mniej niż w XIX wieku. Praca u podstaw wśród współczesnej młodzieży, we współczesnej Polsce dotyka, tak jak mówił Kazimierz, właśnie tej tożsamości narodowej, czyli naszych korzeni. Dzisiaj nie muszę skupiać się na tym, żeby tłumaczyć młodym, jak się czyta książki i jakie książki warto czytać, chociaż zdarza się i tak, ale tak naprawdę jest duża potrzeba uświadamiania młodym ludziom, kim i po co są, jaka jest ich rola w życiu i do jakiego celu wspólnie zmierzamy, co jest celem naszego życia.



Piotr Goławski (z mikrofonem)

Gdy przejrzałem życiorys Edmunda Bojanowskiego, odnalazłem w nim idealnego instruktora harcerskiego. Posługiwał się w swoim działaniu metodą harcerską, ponad 60 lat wcześniej, zanim ona powstała. Można powiedzieć, że był pionierem metod, jakimi dziś posługuje się harcerstwo. Przede wszystkim wykorzystywał zasadę wychowywania młodych przez młodych. To jest w dzisiejszych czasach zasada rzadko stosowana, która świetnie realizowała się w okresie międzywojennym i która dzisiaj świetnie się sprawdza w harcerstwie. Edmund Bojanowski zaczął pracę z młodymi dziewczętami, które kształtując siebie, dawały przykład innym, opiekując się dziećmi w ochronkach.

W dzisiejszych czasach chłopcy i dziewczęta w wieku szkolnym, którzy chodzą do szkoły, potem na wiele zajęć pozaszkolnych, kiedy przychodzą na zbiórki, przeżywają szok, że prowadzi je drużynowy, który jest młodą osobą. Nie jest to pani nauczycielka ze szkoły, ani nie są to znajomi rodziców czy też sami rodzice, tylko jest to osoba trochę starsza od nich, która ma podstawy do tego, żeby wychowywać, co znaczy, że wie, na czym polega wychowanie. Są też zaskoczeni, że przez zabawę mogą się tyle nauczyć. To jest druga zasada harcerstwa, też realizowana w ochronkach Edmunda Bojanowskiego. Harcerze przychodzą

chętnie na zbiórki, bo się bawią, a konsekwencją mądrej zabawy, którą zaplanował drużynowy, nie ma być zabicie czasu na pięć minut zbiórki, tylko ma mieć określony cel i swój przebieg.

W trzech grupach wiekowych harcerzy są trzy cele. U Zuchów, czyli tej najmłodszej gałęzi wiekowej, nadrzędnym celem jest pokazanie, że jest ktoś obok. Należy tak działać, aby oduczyc dzieci egoizmu, w którym trwają od niemowlęctwa przez okres przedszkolny („mamo, ja chcę, ja potrzebuję, ja jestem głodny”). W tym zuchowym okresie pokazujemy dzieciom, że jest obok ktoś, komu nie tylko warto się poświęcić i kim warto się zainteresować, ale kto jest ci potrzebny. Na przykład do wspólnej zabawy.

Potem jest okres harcerski. To są dzieci i młodzież w wieku szkolnym i gimnazjalnym. Ten okres służy przede wszystkim poznawaniu siebie. Jakie mam talenty, czym mnie Bóg obdarzył, co mogę ofiarować innym. Jest to okres, kiedy człowiek zaczyna służyć innym. Naturalną konsekwencją poznania siebie, swoich talentów i umiejętności jest świadomość, że ja muszę coś z tym zrobić. Nie otrzymałem tych darów wyłącznie dla siebie. Bóg dał mi je, żebym mógł kochać innych, żebym mógł działać na rzecz innych.

Najstarsza gałąź harcerska to są Wędrowniczki i Wędrownicy. Jest to już okres bezpośredniego przygotowania do dorosłego życia. W wędrowkach wykorzystywana jest „metoda puszczańska”, tak charakterystyczna dla harcerzy. Harcerz stara się żyć w środowisku naturalnym, czyli korzysta z tych najbardziej podstawowych narzędzi, jakim dysponuje środowisko naturalne, czyli to, co dał bezpośrednio człowiekowi Bóg. W tym okresie wędrowniczym, przez wędrowki, przez pokonywanie różnych trudności przygotowujemy się bezpośrednio do życia dorosłego, czyli rozeznajemy swoje powołanie: czy jest to powołanie do małżeństwa, do założenia rodziny czy też do kapłaństwa lub życia zakonnego, czy też powołanie do służby innym. Jednak nie w samotności, bo nie ma powołania do samotności, tylko jest powołanie do samodzielnego życia. I takie jest założenie harcerskie.

Metoda harcerska jest spójna z tym, co robił Edmund Bojanowski, który stawiał na kształtowanie człowieczeństwa. W metodzie harcerskiej nie chodzi tylko o to, żeby była fajna

zabawa, żeby dzieci bawiły się bezpiecznie, rodzice nie martwili się i posyłali dzieci do harcerstwa, bo tam nie narażą się na alkohol, narkotyki, na deprawację, ale przede wszystkim chodzi o to, żeby od najmłodszych lat kształtować człowieczeństwo w młodym człowieku. Dlatego harcerzem jest się przez całe życie do śmierci, bo nasze człowieczeństwo budujemy do końca naszych dni. Harcerzem jest się od złożenia przysięgi harcerskiej do śmierci. W pewnym sensie od narodzenia, bo nasze człowieczeństwo buduje się od momentu urodzenia. Budowanie człowieczeństwa realizuje się przez kręgi przyjaźni, kręgi instruktorskie, ale również przez służbę, bo Bóg nas stworzył z miłości, czyli stworzył nas do relacji z drugim człowiekiem. Zresztą sam Bóg jest w trzech osobach, które są ze sobą w relacji, tak samo Bóg nas stworzył do relacji. Dlatego harcerz musi służyć. Element służby, który jest tak istotny, staramy się zaszczipać naszym wychowankom już od najmłodszych lat jako naturalny element naszego życia.

Moja przygoda z harcerstwem zaczęła się w 1999 roku. Będąc wtedy licealistą, kierowałem się zasadami, które wyniosłem z domu. Moja tożsamość narodowa wypływała z tego, jak byłem wychowywany przez moich rodziców i przez dziadków. Moja przygoda harcerska zaczęła się w okresie licealnym. Pociągała mnie przygoda i relacje z rówieśnikami. Nigdy nie byłem samotnikiem i bardzo lubiłem obracać się w kręgach towarzyskich.

W czasie mojej „przygody harcerskiej” stanąłem przed trudną decyzją. Wychodząc z kręgu wędrowniczego i kończąc egzaminem kurs instruktorski, zastanawiałem się, czy to ma sens. Dostałem się wtedy na studia, na prawo i jak każdy student pierwszego roku bałem się, czy dam sobie radę. Czy jestem w stanie pogodzić pracę na uczelni z prowadzeniem drużyny harcerskiej? Dzięki formacji, którą dało mi harcerstwo, miałem świadomość tego, że powinienem wychodzić naprzeciw oczekiwaniom Pana Boga i że muszę powiedzieć Bogu TAK. Widząc to, co od Niego otrzymałem, znając już swoje talenty, miałem świadomość, że nie mogę Mu powiedzieć NIE. To jest moment przełomowy, jak sądzę, w życiu każdego harcerza. Prowadząc kręgi instruktorskie

z młodymi instruktorami, czyli osobami, które kończą liceum i wchodzą na studia, widzę, że mają te same wątpliwości co ja wtedy: czy dam radę i czy to ma sens. W takich sytuacjach można liczyć na pomoc harcerskiej wspólnoty.

Podobnie Edmund Bojanowski cały czas tworzył wspólnoty. Praca u podstaw nie była pracą z pojedynczymi osobami, lecz z grupami ludzi w różnym wieku. Podobne wspólnoty tworzy harcerstwo.

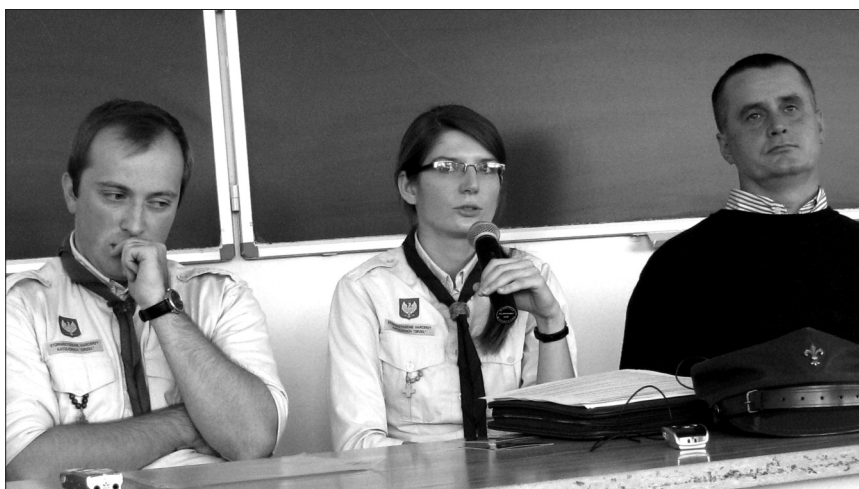
Anna Goławska

Zacznę od swojego świadectwa. Powiem krótko, jak trafiłam do harcerstwa i co ono mi dało. Jak patrzę na to z perspektywy czasu, sądzę, że harcerstwo o wiele więcej mi dało, niż ja sama dałam harcerstwu. Pochodzę z Pragi, z Targówka Fabrycznego. To jest najbiedniejsza dzielnica w Warszawie. Moja rodzina bardzo izolowała się od tego środowiska. Mimo że byłam zawsze blisko Kościoła i moja rodzina też udzielała się w Kościele, mój stosunek do Kościoła był właściwie dość obojętny. Musiałam tam chodzić, bo rodzice mi kazali, ale nie przyjmowałam tego jako coś, co jest dla mnie ważne i istotne w moim życiu. Moment zmiany nastąpił, kiedy miałam kilkanaście lat. Mój proboszcz, za namową mojej babci, poprosił, żebym zaangażowała się w parafii jako, jak określiliby to Edmund Bojanowski, ochroniarka, która opiekowała się młodszymi dziewczynami i młodzieżą w parafii. I tak zaczęło się moje udzielanie się w parafii.

Na jedno ze spotkań przyszedł harcerz, który przedstawił harcerstwo w sposób bardzo atrakcyjny, szczególnie pod względem rozrywki, przygody. Bardzo mi tego brakowało, bo Targówek to silnie izolowane społeczeństwo, które nie chce nigdzie się pokazać na zewnątrz, bo ma kompleksy. Obraz harcerstwa, który wtedy był przedstawiony, był dla mnie atrakcyjny. Było ono czymś, w czym mogłabym się wyżyć, poznać nowych ludzi, nowe środowisko, chodzić na wędrowniki.

Z harcerstwem związałam się, kiedy byłam w liceum. Żałuję do dzisiaj, że nie poznałam harcerstwa wcześniej, nie byłam zuchem ani harcerzem. Znacznie później uświadomiłam sobie, że har-

cerstwo jest czymś znacznie ważniejszym niż tylko zabawą. Na początku były wspólne wyjazdy, które polegały na przygodach, rozrywkach, a dopiero później dostaliśmy różne zadania do wykonania, które uświadomiły mi, że jest głęboki sens w tym, co robimy, który pozwala mi być lepszym człowiekiem i lepszym Polakiem, a też zobaczyć inne osoby wokół. Zaczęła się służba dla innych i świadomość korzyści, jakie z tego płynęły nie tylko dla mnie, ale też dla innych ludzi.



Anna Goławska (z mikrofonem)

Edmund Bojanowski mówił, że najwyższym celem wychowania jest człowiek, który ma być obrazem i podobieństwem Boga na ziemi. I dopiero wtedy, dzięki harcerstwu, poznałam, że właśnie moją drogą jest wychowanie drugiego człowieka, pokazywanie mu życia przez swój przykład. Jest ważne, by nie być tylko moralizatorem. Mam być przede wszystkim przykładem. Edmund Bojanowski jeśli kogoś pouczał, kogoś karmił, to dawał swój przykład, unikając moralizowania. Harcerstwo pozwala pokazać taką drogę człowiekowi, na której wartości nie są tylko czystymi zasadami pozbawionymi sensu, ale że są atrakcyjne i otwierają wspaniałe pole do działania. Wszystko, co powstaje na tej drodze, jest oparte na prawdzie.

Ks. Adam Zelga

Skomentuję to jednym zdaniem: jak państwo widzą, Edmund Bojanowski się rozmnaża w XXI wieku, nie tylko przez rok, parafię Bojanowskiego, szkołę, ale też charyzmatyczne osoby, które robią to samo, co on robił wtedy.

Dyskusja

Elżbieta Mycielska-Dowgiałło

Chciałam powiedzieć o ogromnej roli przekazywania wartości przez swoje świadectwa, swojej postawy we wspólnocie. Ta wspólnota może być różnie tworzona w różnych momentach naszego życia. Powiem o moich doświadczeniach z pracy dydaktycznej na Uniwersytecie Warszawskim. Ponieważ jestem geomorfologiem, czyli zajmuję się nauką o rzeźbie powierzchni ziemi, oczywiście bardzo dużo zajęć odbywałam się w terenie. W tym zakresie jest dużo podobieństw naszej pracy z harcerstwem. Zawsze marzyłam, żeby być w harcerstwie, z którym zetknęłam się w ostatnim roku wojny. Mieszkaliśmy wtedy pod Krakowem i ukrywali się u nas harcerze z Szarych Szeregów, którzy wyszli z Warszawy po upadku Powstania Warszawskiego. Moje dziecińskie marzenie nigdy się nie spełniło, gdyż w PRL już do czerwonego harcerstwa nie chciałam należeć.

Chciałam jeszcze powiedzieć o praktykach, które prowadziliśmy w Murzynowie pod Płockiem. Prowadziliśmy je dość nietypowo z moimi asystentami. Przyjeżdżaliśmy tam ze studentami na tydzień czy dwa i organizowaliśmy tam nasze wspólne życie. Poza zajęciami dydaktycznymi, kameralnymi i terenowymi, przygotowaliśmy wspólnie posiłki, były konkursy, kto zrobi lepsze kanapki. Posiłki gotowaliśmy na zmianę, kto w danym momencie dysponował czasem. Pamiętam, że na zakończenie praktyk zrobiłam paschę, tylko że w domu robiłam ją zawsze z dwóch litrów mleka, a tu musiałam ją zrobić z litrów piętnastu. No, ale udało się. Po kilku latach spotkałam na ulicy jedną

z naszych studentek. Wspominała praktyki w Murzynowie jako najmilsze ze wszystkich na studiach, a tę paschę pamięta do dziś.

Te wspólnie przygotowywane posiłki czy zajęcia, często bez sztywnych ram formalnych, stwarzały atmosferę, że w ciągu tego tygodnia czy dwóch tworzyła się wspólnota oparta na wzajemnej sympatii i zaufaniu, w której można było rozmawiać właściwie o wszystkim. Tematy były najróżniejsze. Nie było sztywnej formy. Jest to coś ogromnie ważnego w pracy wychowawczej, ogólnie w pracy z ludźmi, niezależnie, czy są to dzieci małe czy starsze, młodzież gimnazjalna, licealna czy studenci. Musimy mieć świadomość, że przez nasze świadectwo wpływamy na to, jak ludzie (niezależnie od ich wieku), z którymi dane jest nam pracować, później będą sobie radzić w życiu. Musimy o tym wiedzieć, że nasza postawa świadczy i dzięki temu możemy zrobić wiele dobrego.

Jan Zmyślony

Gdy przygotowałem, do tego spotkania, myślałem o okresie, w którym żył Edmund Bojanowski. Był to okres zaborów, więc bardzo ciężki dla nas czas. Polska nie istniała, przynajmniej na mapach świata. Zastanawiałem się też nad tym, czym jest tożsamość narodowa. Nie wiem, czy państwo zdajecie sobie sprawę, co to znaczy. Tożsamość narodowa to jest poczucie odrębności wobec innych narodów, kształtowane przez czynniki narodowo twórcze: symbole narodowe, język, barwy narodowe, świadomość pochodzenia, historia narodu, więzy krwi, szacunek do dziedzictwa narodowego, kultura, terytorium, charakter narodowy.

Pojawiło się takie stwierdzenie, że tożsamość ujawnia się szczególnie w sytuacjach kryzysowych, kiedy potrzebne jest wspólne działanie na rzecz ogólnie przyjętego dobra narodu. Nasunęła mi się analogia czasu, w którym my żyjemy, do tamtych czasów. Nasuwa się pytanie, które czasy były lepsze, w których lepiej się działało i tworzyło coś dobrego.

Na zawiadomienie pani profesor o Konwersatoriach odpisałem: „dziękuje Pani za pamięć. Chętnie będę uczestniczył w Konwersatoriach. Te spotkania pozwalają na złapanie oddechu



Jan Zmysłony (z mikrofonem)

w otaczającym nas świecie. Tworzymy na tych spotkaniach wspólnotę, o której tu mówili prelegenci, która pobudza do myślenia, do czynienia dobra. Jestem przytłoczony rzeczywistością, tym, co jest lansowane w mediach, atakami na Kościół, propagowaniem życia bez zasad, a nawet świadomą demoralizacją w majestacie prawa. Przejdźmy od słów do czynów, dając świadectwo w codziennej szarej rzeczywistości, bądźmy odważni”.

Andrzej Skoczek

Pomimo wykształcenia biologicznego żywo interesuję się historią, a szczególnie losami mojej rodziny, które są ściśle związane z powstaniem, szlakiem bojowym i działaniami 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty Armii Krajowej. Gdy analizuje się dokumenty historyczne z tamtego okresu, uderza fakt, że żołnierze AK na Ziemi Wołyńskiej, pozostawieni sami sobie, w końcowej fazie wojny wykazali niezwykle wprost bohaterstwo. Zagrożeni z jednej strony milionową armią sowiecką wkraczającą już w granice Rzeczypospolitej, a z drugiej strony nękani walką z okupantem niemieckim i Ukraińską Powstańczą Armią, ci młodzi chłopcy, słabo wyszkoleni i źle uzbrojeni, walczyli w niezwykłą odwagę i bohaterstwem. Było wśród nich bardzo niewielu dezertersów,

pomimo miażdżącej przewagi wrogów. W tej nierównej walce nie zostali pokonani przez sześć miesięcy! Zostali podstępnie rozbrojeni przez Armię Czerwoną dopiero w lipcu 1944 roku w Skrobowie na Ziemi Lubelskiej. Przez cały czas walczyli i byli wierni hasłu wyhaftowanemu na sztandarach: „Bóg, Honor, Ojczyzna”.



Andrzej Skoczek (z mikrofonem). Obok siedzą Elżbieta Skoczek i Jan Zmysłony

Zapoznając się z historią walk tej dywizji, zacząłem zastanawiać się, skąd ci młodzi ludzie czerpali siłę i energię i skąd wśród nich było tylu odważnych żołnierzy, wręcz bohaterów. Sięgnąłem do historii Ziemi Wołyńskiej. Okazuje się, że już od 1920 roku na tych zacofanych ekonomicznie ziemiach zaczęto organizować harcerstwo. Hufiec Ziemi Wołyńskiej powstał w 1922 roku i skupiał głównie młodzież szkolną. Celem tej organizacji była pomoc rodzinom w wychowaniu patriotycznym młodzieży poprzez pracę od podstaw, zbiórki, instruktaże, szkolenia, zabawy, obozy, zloty itp.

Pamiętam z opowiadań rodziców, jak bardzo przeżywali swoją przysięgę harcerską. Przysięga była składana o świcie, przy ognisku, w lesie, w określonej scenerii i w podniosłym nastroju. Przedstawiciele społeczeństwa wręczali harcerzom sztandary, nadawali nazwy drużynom, podziwiali ich tężyznę fizyczną i

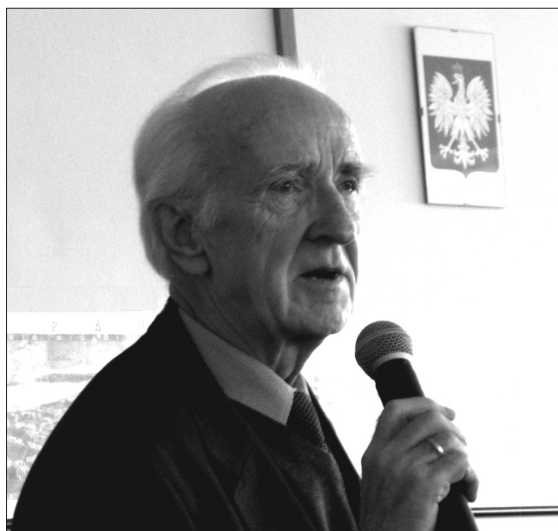
sprawność podczas publicznych pokazów. Było to od podstaw wychowywanie świadomych obywateli II Rzeczypospolitej. To właśnie spośród harcerzy rekrutowali się późniejsi żołnierze 27 WDP AK. Tak więc wychowawczy wysiłek kadry instruktorskiej i pedagogicznej okresu międzywojennego nie poszedł na marne, wychowano bowiem pokolenie ludzi aktywnych, moralnie zdrowych, w pełni ideowych i gotowych do poświęcenia nawet własnego życia w obronie Ojczyzny. Warto więc obecnie te wzorce wychowawcze kultywować, ponieważ w tamtych warunkach sprawdziły się w całości.

Adam Pietrzak

W latach 80., w czasie stanu wojennego, kiedy Klub Inteligencji Katolickiej został zawieszony, powstało Przymierze Rodzin, które realizowało pracę organiczną w parafiach warszawskich. Dzięki tej pracy jesteśmy w tej Uczelni. Dlatego chciałbym, żebyście państwo spojrzeli także na tę szkołę jako na twór powstały dzięki zrozumieniu, czym jest praca u podstaw.

Korzystając z charyzmatu bł. Edmunda, który jest naszym patronem, stworzyliśmy grupy młodzieżowe prowadzone metodami paraharcerskimi. Podobnie jak w harcerstwie wychowawcami byli ludzie niewiele starsi od swych wychowanków. Wychodziliśmy z założenia, że ci młodzi wychowawcy żyją w tym samym świecie, w którym żyją ich wychowankowie. Jeśli się wychowuje, nie wchodząc w świat wychowanka, to uzyskuje się odpowiedź „teraz jest XXI wiek, teraz żyje się inaczej”. Trzeba wejść w ten świat, żeby pokazać, że w tym świecie Dekalog i wszystkie zasady moralne obowiązują w ten sam sposób i że można je realizować.

Co ciągle robimy w Przymierzu Rodzin? Przede wszystkim prowadzimy szkoły. Jest ich już obecnie dziewięć. One są wszystkie dużej rangi. Ludzie bardzo zabiegają, aby ich dzieci mogły się do nich dostać. Zgodnie z charyzmatem bł. Edmunda prowadzimy też świetlice środowiskowe dla młodzieży, dla dzieci zaniedbanych. Błogosławiony Edmund po zarazie cholery, która przeszła przez Wielkopolskę, zobaczył, że jest bardzo dużo sierot i wdów, którym trzeba pomóc. My to też dziś zauważamy. Jest



Adam Pietrzak

bardzo dużo dzieci i młodzieży zaniedbanych, z rodzin dysfunkcyjnych, niezdolnych do wychowania. Powstały nasze świetlice w Kutnie, w środowisku postkomunistycznym, gdzie gdy dawaliśmy dzieciom ubranie, to oni ich nie prali, ale przychodzili po następne, a poprzednie szły do śmietnika. Są takie środowiska, w których dzieci czternastoletnie są nieochrzczone. Nie dlatego, że rodzice są niewierzący, tylko dlatego, że uważali, że nie było potrzeby. Teraz ci młodzi ludzie przychodzą prosić o chrzest i żeby ich do niego przygotować. Jest taka świetlica w Rawie Mazowieckiej, do której jeżdżę, żeby rodzicom uświadamiać, co to jest wychowanie. Jak sobie uświadamiają, co zostało zepsute, to płaczą. Nie tylko po to tam jeżdżę, żeby pokazywać, co zostało zepsute, ale jak to naprawić. To jest ta praca organiczna, ten trud, który się opłaci. Jest też świetlica w Warszawie, w Ursusie, do której chodzą dzieci nie biednych ludzi, tylko pracoholików, którzy nie potrafią dać miłości. Człowiek rozwija się wyłącznie w środowisku miłości. Ponieważ w tym środowisku często zdarzają się ojcowie, którzy z powodu braku czasu nie powiedzieli nigdy dziecku „kocham cię, tęsknię za Tobą, jestem z Ciebie dumny”, to

my musimy ten brak uzupełniać. Musimy patrzeć na te dzieci i zajmować się nimi z miłością, tworząc wspólnotę.

Musimy pamiętać, że wspólnota to nie jest każde zgromadzenie. Wspólnota to jest grupa osób złączonych miłością. Jeśli tej miłości nie ma, to nie ma wspólnoty, tylko zgromadzenie, które nie musi być wspólnotą. Rodzina ma być wspólnotą, ale jak nie ma w niej miłości, to tą wspólnotą nie jest.

Joanna Jaroszevska

Chciałabym zaapelować do tych z państwa, którzy pracują z młodzieżą starszą, żeby te wspólnoty nie były zamknięte. Młodzież widzi, co się dzieje w Polsce. Wszyscy ze wszystkimi walczą. Trzeba żeby ta starsza młodzież uświadomiła sobie, że dla dobra wspólnego należy współpracować z ludźmi, którzy mają inne poglądy religijne czy polityczne. Każdy powinien pilnować swoich zasad, ale równocześnie żeby miał otwarte serce i otwartą głowę dla innych.

Piotr Gołowski

Chciałbym nawiązać do mojego doświadczenia z dziećmi tak zwanymi trudnymi, bo pracuję również jako wychowawca w świetlicy środowiskowej.

Są dwie grupy młodzieży. Pierwsza grupa to młodzież, której nikt dotychczas nie powiedział, że są dobrzy, że są wartościowymi ludźmi, że nie robią nic złego, a z założenia są zaszufładowani jako ci gorsi. Są to często ludzie, którzy bardzo chcą coś zrobić, którzy mają potrzebę rozpoznania swojej roli, swojej tożsamości, tego, co mogą zrobić dla innych, tylko nie widzą możliwości, płaszczyzny i odpowiednich narzędzi. Oni są trochę jak w zamkniętym kole. Brakuje im wiary w siebie i to powoduje, że ich postawa jest na NIE. To są młodzi ludzie, którzy są bardzo pozytywni, którzy są w stanie wiele poświęcić, ale potrzebują wsparcia i platformy działania.



Piotr i Anna Goławsy

Jest też druga grupa młodzieży, której bardzo ciężko wyrwać się z modnego współcześnie egoizmu, który jest nazwany „inwestowaniem w siebie”. Dzisiaj świat pojęć jest bardzo rozmywany. Pojęcia nie mają tej definicji, którą mieć powinny i poprzez pracę nad sobą promuje się pewnego rodzaju egoizm. Często doświadczam tego, że oferując młodemu człowiekowi coś, co jest dla niego nie tylko dobre, ale i przyjemne, w przypadku jednak kiedy wymaga to ofiary, konieczności dania czegoś z siebie, waha się, czy chce to robić. Bo może znajdzie coś przyjemniejszego, co nie będzie wymagało od niego poświęceń.

Kazimierz Adamaszek

Chciałem powiedzieć o dwóch rzeczach. Najpierw chciałbym odnieść się do tego, co mówił Piotr, że nie mamy w Polsce analfabetów. Niestety, mamy ich i to jest przykre. Spotykam się wielokrotnie z młodzieżą, która nie umie czytać, i to nie jest kwestia tego, że nie umie czytać ze zrozumieniem, ale w ogóle nie umie czytać, nie zna tabliczki mnożenia. Byłem zaskoczony, kiedy pewien młody chłopak nie był w stanie odczytać godziny na zegarze tarczowym, ze wskazówkami.



Kazimierz Adamaszek i Anna Goławska

A druga rzecz, o której chciałem powiedzieć, to jest kwestia, która mnie jakoś bardzo mocno dotyka. Dotyczy ludzi starających się o pracę na stanowisku pedagoga, nauczyciela czy wychowawcy. Niestety, współcześnie obserwuję wyraźnie negatywny dobór do pracy w tym zawodzie. Przychodzi coraz więcej osób, które nie wiedzą nawet, co mają robić, po co tu się znaleźli. Traktują pracę wyłącznie jako sposób na zarabianie pieniędzy. Przychodzą młodzi ludzie po studiach, gdzie na wielu uczelniach im mówiono, że szkoła i wychowanie muszą być neutralne światopoglądowo. Kiedy zaczynamy o tym rozmawiać i mówię im, że powiedziano im jedną z największych bzdur, jaką można było powiedzieć, i wtłoczono im to do głowy, czują się oszukani. Nie ma wychowania neutralnego światopoglądowo. Co to znaczy? Zawsze wychowujemy do jakichś wartości bądź do tego, co nazywamy antywartościami, a co za tym idzie – nie wychowujemy, tylko demoralizujemy. To jest ważne, że nie istnieje wychowanie neutralne światopoglądowo, bo musi istnieć jakaś wartość, do której prowadzimy wychowanka. Jak ważne to jest w kształceniu pedagogów, mogę posłużyć się cytatem Matki Darowskiej, która

mówiła, że wychowawca zawsze prowadzi swojego wychowanka ku temu, czym sam żyje. Po prostu nie może być innego wychowania. Jeżeli ja jestem wewnętrznie rozbity i nie wiem, jak nazywać i określać rzeczy, jeżeli ja żyję w jakiejś zapaści, to ku temu będę wychowywał swoich wychowanków. Nie będę wychowywał ich do prawdy, tylko do tego, co jest mi wygodne w danym momencie. Niestety, z wielu uczelni młodzi ludzie trafiają do pracy i zderzając się z rzeczywistością, nie sprawdzają się w niej. To jest obszar, który musimy zagospodarować w pracy organicznej. Także na poziomie uniwersyteckim czy akademickim ta praca u podstaw musi się odbywać.

Adam Pietrzak

Katecheci, którzy przygotowują młodzież do sakramentu bierzmowania, zauważyli, że 30% czternasto-, piętnastolatków nie potrafi z pamięci powiedzieć Ojcze Nasz. To jest przerażające, gdyż są to ludzie, którzy zapewne niedawno zdawali egzamin z pacierza, przygotowując się do sakramentu Pierwszej Komunii Świętej. Bierze się to z tego, że się nie modlą w rodzinach.

A potem mamy kłopoty z młodzieżą. W Modlitwie Pańskiej jest powiedziane „nie dopuść, byśmy ulegli pokusie”. Pokusy są wszechobecne, dotyczą młodzieży i dorosłych, ale strzeże nas od tego Pan Bóg, do którego zanosimy prośbę „I ustrzeż nas, byśmy nie ulegli pokusie”.

Charyzmat bł. Edmunda Bojanowskiego nie może być rozpatrywany w oderwaniu od jego religijności. Źródłem jego pozytywnego działania była wiara. Urodził się w Grabonogu, a chodził do Gostynia, do kościoła na Świętej Górze, trzy kilometry pod górę. Człowiek, który był chory na gruźlicę. Codziennie chodził do kościoła, a jak nie mógł, bo była jakaś poważna przeszkoda, to w dziennikach pisał „dzień mi zszedł na darmo”. To jest źródło, z którego czerpią ludzie, którzy wierzą i żyją wartościami. Źródło i natchnienie do pracy pozytywnej.

Ks. Adam Zelga

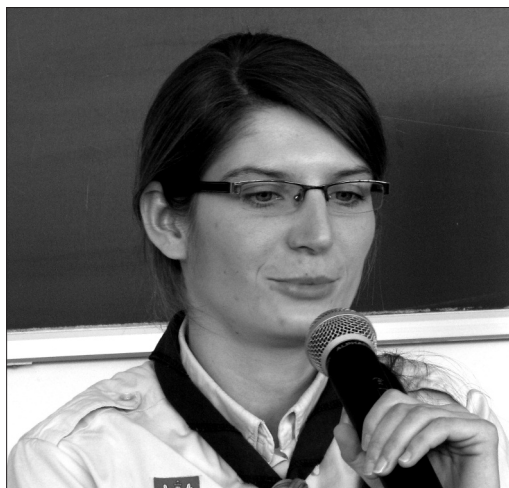
Kiedyś poprosiłem wybitnego historyka, żeby coś powiedział o Bojanowskim, przygotował referat na podstawie jego dzienników. Po miesiącu oddzwonił i powiedział: „co ja mogę powiedzieć. To strasznie nudne: wstałem, była pogoda, wstałem nie było pogody, byłem na Mszy, nie byłem na Mszy i tyle”. A ja na to: „ty, jako wybitny historyk, naucz się czytać między wierszami. Właśnie tam jest wszystko zanotowane”.

Pierwsze zdania „Dziennika” Bojanowskiego wyznaczają jego program wychowawczy. Zmiany w przyrodzie i Eucharystia. Bez Eucharystii nie można zrozumieć Edmunda Bojanowskiego. Ten gruźlik, który, po ludzku biorąc, przegrał życie, umierał u przyjaciela na poddaszu jak żebrak, nic nie mając. Nie miał gdzie wrócić, bo nie miał domu. Brat zbankrutował w czasie, kiedy on był w seminarium duchownym, które chciał skończyć. Nic nie miał, a jednocześnie miał wszystko, bo miał Eucharystię. A Eucharystia jest niczym i jest wszystkim. Bojanowski to rozumiał. Mówię to wam wszystkim, również młodym. Sam, mając 60 lat, do tego powoli dochodzę. Dotykam tej tajemnicy, tego misterium.

Anna Goławska

Zapraszając młodzież i dzieci do uczestnictwa w harcerstwie, do podejmowania różnych działań w społeczeństwie, zawsze spotykamy znaczny opór, zawsze jakieś usprawiedliwienia, że oni nie mają czasu, że mają inne zadania. To jeden egzamin, a to drugi, to sesja, ciągle coś. Trzeba budować swoje CV, żeby gdzieś się pokazać w tym świecie, a harcerstwo jest często dla nich już nieatrakcyjne, a nawet jest „obciachem”. To, że grupa osób wędruje gdzieś na wycieczkę w obciachowych mundurach, śpiewa piosenki i modli się, nie przemawia do tych ludzi. Żeby być harcerzem, trzeba być odważnym. Nie mówię tego o sobie. Przyszłam z innego środowiska i nie miałam tak naprawdę alternatywy. Ale ci ludzie, którzy teraz za naszą namową chcą być harcerzami, muszą wykazać się odwagą, żeby podjąć to działanie,

bo to w oczach większości młodych jest strasznym „obciachem”. Dzisiaj można mieć mnóstwo możliwości: są komputery, jest Facebook i wiele innych. Jeżeli jednak znajdują się odważni i ruszą na wędrowkę, to dążymy do tego, żeby był z nami jakiś duszpasterz i żeby był jakiś ważny temat do przegadania. Bierzymy plecaki, namioty i przy ognisku robimy obiad.



Anna Goławska

Kiedyś miałyśmy wędrowkę z samymi dziewczynami, które podjęły wyzwanie, mimo że bardzo się bały i nawet na początku nie bardzo wiedziały, o co w tym chodzi. Kiedy jednak zobaczyły, jaki to ma sens i jakie to jest wspaniałe podejmować działanie i realizować zadania, jakie miałyśmy podczas tej wędrowki, same doświadczyły, ile im to daje. Jak mogą wyrwać się z życia, które jest wyścigiem szczurów. Zobaczyły sens służby harcerskiej, że nie są tylko dla siebie, ale są też dla innych. Młodzież potrzebuje różnych działań, potrzebuje wyjść z bierności, potrzebuje aktywności i dzięki temu może się rozwijać. I wtedy akceptuje siebie.

Sofija Okolko

Jestem studentką kierunku pedagogika i jestem bardzo dumna ze swojej grupy. Gdy rozmawiam z moimi koleżankami, studentkami trzeciego roku, to widzę, że one studiują zgodnie ze swoim

powołaniem i widzę, jak to jest ważne. Pochodzę z Ukrainy. Na uniwersytecie w Tarnopolu ukończyłam studia magisterskie z zarządzania. Gdy przeprowadzono tam ankietę wśród studentów, to 70% odpowiedziało, że nie są zadowoleni z wyboru studiów, że wybrali te studia, bo rodzice tak chcieli, albo że są na studiach, bo nie mają co robić, bo potrzebne są im pieniądze. Nie widzą sensu w studiowaniu. To było dla mnie szokujące.



Sofija Okolko

Dlatego jestem bardzo wdzięczna Szkole Wyższej Przymierza Rodzin za to, że wychowuje, kształtuje, daje wsparcie i motywację do studiów na wybranym kierunku. Naprawdę dużo wsparcia. Bardzo dziękuję pani Rektor, gdyż była pierwszą osobą, która mi otworzyła drzwi, żebym dalej mogła iść w wybranym przez siebie kierunku. Dziękuję studentom, którzy podobnie jak ja wybrali kierunek pedagogiki. Będziemy służyć ludziom. Takie życie ma sens.

Stanisław Prygoń

Nie należę do młodzieży. Ósmy krzyżyk na karku. Będzie przemawiało przeze mnie doświadczenie. Było wiele ciekawych stwierdzeń, które dotyczyły formy pracy. Należałoby, moim zdaniem, więcej uwagi zwrócić na treść. Co jest tą treścią? Co jest

wyzwaniem współczesności? To, co czeka młodzież. A młodzież często czeka przysłowiowy „trzepak”. Kiedy się zbliża lipiec, sierpień, oni nie mają co ze sobą zrobić. Jest jakaś alternatywa w postaci przystanku Woodstock, kiedy rodzice dadzą pieniądze, młodzież wyjeżdża i rodzice mają spokój, ale to jest spokój na dwa, trzy dni. Tę młodzież należałoby zagospodarować, dając jej to, czego ona oczekuje, a co niesie potencjał wartości. W czasach PRL nie było tym harcerstwo. Pamiętam, jak dyrektor szkoły, do której uczęszczałem tutaj na Ursynowie, wezwał mnie i zapytał, czy chcę jechać na obóz harcerski. Pojechałem i nie miałem pojęcia, że to będzie czerwone harcerstwo i że moim druhem będzie Jacek Kuroń. Dzisiaj mam świadomość, że byłem wówczas indoktrynowany. Nie ma czegoś takiego jak neutralność światopoglądowa.



Stanisław Prygoń (stoi w ostatnim rzędzie)

Młodzież trzeba zagospodarować. Słyszymy na to: „ale na to trzeba pieniędzy, których nie ma”. Może nie trzeba pieniędzy, ale pomysłu. Zaproponować młodzieży zwyczajne proste namioty, prycze, sienniki, zorganizować im czas, żeby mogli wyżyć się sportowo, a równocześnie dać im możliwość rozwoju intelektualnego. W duchu chrześcijańskim dać im podstawy społecznych zachowań, które będą miały wartość w ich późniejszym życiu. Jeśli nie zagospodarujemy tej młodzieży, będzie to grzechem nas, którzy za tę młodzież odpowiadamy.

Maria Polakowska

Nie całe harcerstwo w PRL było „czerwone”. W czasie stanu wojennego wędrowałam przez Pieniny. Tuż przed Mszą Świętą niedzielną w Krościenku czy w Szczawnicy słyszę z tyłu równy miarowy krok wielu nóg. Ciarki po plecach przeszły – milicja czy wojsko? Odwracam się i widzę zastęp harcerzy. Całą Mszę stali na baczność z czapkami w rękę. Nie bali się. Wprawdzie nie wiem, czy spotkały ich za to jakieś nieprzyjemności, lecz trzeba pamiętać, że odwaga cywilna łączy się zawsze z ryzykiem, ale nie zawsze trafia na „zaciekłego wroga” w przeciwniku. Nie można dać się wepchnąć w nienawiść, bo wtedy stajemy na pozycji przegranego.



Maria Polakowska (z mikrofonem). Obok siedzi Joanna Jaroszevska

Elżbieta Mycielska-Dowgiałło

W czasach PRL harcerstwo nie było jednolicie złe. Nasze córki i córki brata mojego męża jeździły przez parę kolejnych 70. lat na obozy harcerskie pod Poznań, gdzie harcerstwo prowadzili nasi przyjaciele harcerze zgodnie z najlepszymi tradycjami Baden-Powella. Oczywiście były naloty Sanepidu (oficjalnie), ale jakoś strzegli Aniołowie Stróżowie i obozy nie były rozwiązywane. Przez wiele lat to harcerstwo służyło ogromnej grupie młodzieży poznańskiej, ale nie tylko, bo – jak mówiłam – przyjeżdżała też młodzież z innych rejonów Polski. Tak więc na szczęście takie oazy

były w Polsce i cieszymy się, że w tej chwili nie potrzebujemy doświadczać tego typu przeżyć.

Piotr Goławski

Chciałbym ustosunkować się do wcześniejszych wypowiedzi. Harcerstwo porównałbym do czekolady, a pewne twory harcersko-podobne do produktu czekoladopodobnego.

Jestem zwolennikiem pewnego radykalizmu, jeśli chodzi o kwestie harcerskie. Harcerstwo, jak każda inna działalność wychowawcza, podlegało wpływom nie tylko politycznym, ale przede wszystkim ideologicznym i te wpływy wywierały w różnych okresach większe bądź mniejsze piętno na metodzie wychowawczej, jaką jest harcerstwo. Podstawową kwestią sporu jest tożsamość narodowa. Moja krótka interpretacja, dlaczego tak jest, jest następująca: spieramy się o tożsamość dlatego, że walczymy z polskością. Dlaczego walczymy z polskością? Bo walczymy z tożsamością chrześcijańską, a jeśli walczymy z tożsamością chrześcijańską, to tak naprawdę walczymy z Bogiem. Tutaj zderzają się dwa światy. Cywilizacja życia i cywilizacja śmierci. To ma bezpośrednie przełożenie na harcerstwo. Harcerstwo z założenia, jako jedyna metoda wychowawcza, obejmuje swoją pracą całą osobę ludzką, we wszystkich jego sferach. Jeśli ta metoda traci chociaż jeden człon, na przykład wychowanie religijne, formację religijną, przestaje być metodą harcerską i o tym powinniśmy pamiętać. Jeśli mieliśmy czerwone „harcerstwo”, to zadaję pytanie, na które państwo możecie sobie odpowiedzieć sami, czy to rzeczywiście było jeszcze harcerstwo, jeżeli wyłączyliśmy z niego jeden element.

Anna Banach

Zgadzam się, że młodzież dzisiejsza jest mało zagospodarowana – może dlatego, że nie jest zainteresowana czymś konkretnym, może nie ma wzorców, może nie ma odpowiednich wychowawców w szkole, w organizacjach młodzieżowych czy we własnej rodzinie.



Anna Banach

Chcę też powiedzieć parę słów o harcerstwie w PRL. Ja byłam w tym tzw. czerwonym harcerstwie. Harcerstwo nauczyło mnie odpowiedzialności, aktywności, pomysłowości życia w grupie. Dzięki temu jestem taka, jaka jestem. Później byłam instruktorem i drużynową w harcerstwie w Domu Dziecka. Dobrze wspominał te czasy. Natomiast to, że jestem osobą o poglądach prawicowych, to jest wynik mojego wychowania w domu, w rodzinie. Nie zapominajmy, że organizacje młodzieżowe, szkoła to nie wszystko, mamy jeszcze rodziców i rodzeństwo. Oni przede wszystkim wpływają na nasze poglądy i postawy. Nie krytykujmy wszystkiego, co wiąże się z tym starym „czerwonym harcerstwem”, bo ono mimo wszystko dało dużo młodzieży. Znam ludzi, którzy będąc instruktorami w tym harcerstwie, są dziś odpowiedzialnymi nauczycielami i wychowawcami.

Adam Pietrzak

Nikt pani nie odbierze tego, co pani otrzymała i co jest dla pani bardzo cenne. Nie jest jednak dobrze, jeżeli zachodzi sprzeczność między tym, co mówią rodzice w domu, a tym, co przekazuje organizacja młodzieżowa, a w tym wypadku tak było.

Anna Banach

Człowiek ma też swoje poglądy i w pewnym momencie sam wybiera drogę. Nie można go indoktrynować od początku do końca.



Słuchacze Konwersatorium

Ks. Adam Zelga

Pani rektor mówi, że czas dobiega końca. Podsumowując, wypada stwierdzić, że praca u podstaw, którą praktykował Bojanowski, jest dziś równie konieczna albo nawet bardziej. Nasze spotkanie zakończę wierszem. Proszę zamknąć oczy i wędrować za wyobraźnią autora (Tomas Tranströmer, szwedzki laureat Nagrody Nobla z 2011 r.):

Łuki Romańskie

We wnętrzu ogromnego kościoła romańskiego cisnęli się turyści.

Rozpościerało się sklepienie za sklepieniem bez prześwitu.

Drgało kilka płomyków świec.

Objął mnie anioł bez twarzy

i zaszeptał przez całe ciało:

„Nie wstydź się tego, że jesteś człowiekiem, bądź dumny!

W twoim wnętrzu otwiera się sklepienie za sklepieniem bez końca.

Nigdy nie będziesz gotowy i tak jest słusznie”.
 Byłem ślepy od łez
 i wyprowadzono mnie na buzującą od słońca piagę
 wraz z Mr i Mrs Jones, Panem Tanaką i Signorą Sabatini
 a we wnętrzu ich wszystkich otwierało się sklepienie za
 sklepieniem bez końca.

Z nagrania spisał Marcin Borzęcki

C.d. dyskusji uzyskany drogą korespondencyjną

Marianna Łacek (Australia)

Praca u podstaw

Nawet do podstaw niełatwo czasem wrócić, gdy trzeba pokonać wyrwę. Czy i kiedy da się ją zasypać? Jakie mosty trzeba przetrzucić, aby były trwale?

Pierwsza połowa lat 80. ubiegłego wieku. Do Australii przybywa niezwykle liczna grupa Polaków z „emigracji solidarnościowej”.

Prawie każdego dnia nasze dzieci opowiadały o nowych koleżankach i kolegach, których nauczyciele przekazywali im, jako mówiącym po polsku, pod opiekę. Polskie szkoły sobotnie pękały w szwach. Po raz pierwszy w naszych Ośrodkach Duszpasterskich Księża Chrystusowcy zaczęli organizować przygotowanie do Pierwszej Komunii Świętej w języku polskim.

Na katechezę chodziły zarówno dzieci tutaj urodzone, jak i te niedawno przybyłe z Polski. Te z Polski były zwykle nieco starsze, nawet kilkunastoletnie. Szczególnie jeden przypadek utkwił mi w pamięci. Dwie siostry – jedenastoletnia i druga o rok starsza. Tę młodszą rodzice zapisali na katechezę. Kiedy zbliżał się termin Pierwszej Komunii, podekscytowane dzieci dzieliły się nawzajem wiadomościami, kto przyjedzie, kogo rodzice zaprosili na tę uroczystość itp.

Wspomniana dziewczynka nie brała udziału w rozmowach. Nasza ośmioletnia córka wiedziała, że rodzice tamtej dziewczynki dopiero od niedawna mieszkają tutaj. Zapytała, czy nie moglibyśmy ich zaprosić na wspólne celebrowanie tej uroczystości. Oczywiście, przystaliśmy z ochotą. Kiedy poznaliśmy tych ludzi bliżej, okazało się, że ich starsza córka była u Pierwszej Komunii, ale na wsi u babci. Ojciec w tej uroczystości nie brał udziału („lepiej się było nie narażać”). Parę dni przed Pierwszą Komunią, podczas próby generalnej, my, rodzice, powtarzaliśmy za księdzem słowa błogosławieństwa, jakim mieliśmy obdarzyć nasze dzieci w ten uroczysty dla nich dzień. Byliśmy świadkami ogromnego wzruszenia ojca tych dziewczynek. Mówił, że dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego, co stracił. Chciałby jakoś to wszystko nadrobić, ale jak? Czy nie mogłaby ich starsza córka także wziąć udziału w tej uroczystości? On by ją także chciał pobłogosławić. Ksiądz oczywiście nie widział żadnych przeszkód, aby obydwie dziewczynki przystąpiły razem do Stołu Pańskiego (jedna do Pierwszej, druga do Drugiej Komunii Świętej). Szybko zorganizowaliśmy sukienkę i potrzebne dodatki.

Po przepięknej, wzruszającej uroczystości poszliśmy do nas. Wszystkie trzy dziewczynki – nasza 8-letnia córka i jej dwie nieco starsze koleżanki – zajęły poczesne miejsca wokół ustawionego u nas w ogródku stołu. Nie chcieliśmy winić tego ojca. Próbowaliśmy go nawet zrozumieć. Mówił nam, że jako mały chłopiec służył do Mszy Świętej. Do tej pory pamiętał całe fragmenty ministrantury po łacinie. Niestety, nie znał żadnych odpowiedzi po polsku. To znaczy, że soborowe zmiany już go nie dosięgły. Znał słowa starych pieśni („Serdeczna Matko” czy „U drzwi Twoich”), natomiast ani on, ani jego żona nie znali żadnych pieśni późniejszych. Nie znali nawet Apelu Jasnogórskiego. Wielu takich Polaków osiedliło się w Australii w tym czasie. Księża stanęli przed nie lada wyzwaniem.

W mojej sobotniej klasie maturalnej języka polskiego jednej z uczennic towarzyszył nieco starszy chłopiec. On maturę miał już poza sobą. Przychodził, ponieważ po lekcjach obydwójce uczęszczali na prywatną katechezę do polskiego księdza. Zamierzali się

pobrać, ale niestety żadne z nich nie było ochrzczone, a przecież uważali siebie za katolików. Poznałam ich rodziców. Katolicy! Oczywiście, w każdej prawie rozmowie winili system. „To *Oni* byli odpowiedzialni za to, że nie braliśmy ślubu kościelnego (dopiero tutaj), że nie chrzciliśmy dzieci, że nie przystępowały one do sakramentów świętych...” Mijałoby się z celem wytykanie tym ludziom, że przecież i my jesteśmy produktami tamtego systemu. Rozsądniej chyba było „nie kłuć w oczy”, ale akceptować, pomagając w przerzucaniu mostów ponad tą duchową wyrwą, która stworzyła się w życiorysach tysięcy ludzi.



*Czy potrafię rozmawiać z trudną młodzieżą,
lub młodzieżą w tzw. trudnym wieku?*

Cytaty

140 lat temu bł. Edmund Bojanowski pisał:

List Edmunda Bojanowskiego do Katarzyny Adamskiej w Podrzeczu

1 września 1854

Kiedyś była ostatni raz u mnie, nie mogłem się z Tobą o wszystkim rozmówić, bo miałem, jak wiesz, gości, więc mi brakło czasu. Wspomniałaś mi wtenczas, że z Józefką nie chciałyś razem być w ochronce, co Ci wytłumaczyłem, że tę przeszkodę da się może jakoś złagodzić i Ty przystając już na moje przedstawienie, obiecałaś przyjechać z rzeczami nazad do Podrzecza na odpust Narodzenia Najśw. Panny. Dopiero po Twoim odejściu powiadał mi ksiądz Hubner, żeś przy pożegnaniu do niego mówiła, iż może w inną pójdziesz służbę. Potem także przykro mi było, kiedym się dowiedział, żeś w nieporozumieniu z Przewoźną, bez pożegnania z nią odeszła. Z tych dwóch rzeczy zdawało mi się, że nie masz szczerzej chęci do powrotu, zwłaszcza żeś już sama do mnie mówiła, iż dla Józefki wolałyś nie być w Podrzeczu. Piszę Ci to, moja Katarzyno, dlatego, żebyś nie myślała, że przeciwko Twojej chęci chcę Cię koniecznie namawiać do podrzeckiej ochronki.

W Strzelczu nie mogę Ci teraz zaraz miejsca obiecywać, chociażbym pragnął z całego serca, żebyś tam mogła się dostać. Więc moja rada jest taka, przybądź na odpust Matki Boskiej Narodzenia, ale bez rzeczy. Rozmówimy się na dobre i Ty mi wszystko szczerze powiesz, jak sobie sama życzysz, a wtenczas jeśliś miała być w Podrzeczu albo jeśliś później wzięła miejsce w Strzelczu, to każdego czasu możemy posłać furmankę po Twoje rzeczy. Bądź zapewniona, że jestem dla Ciebie zawsze tak przychylnym jak

byłem i pragnąlbym dać Ci miejsce, ale nie chciałbym zmuszać Cię przeciwko Twojej woli i dlatego chcę się jeszcze z Tobą rozmówić, bo i tak będziesz na odpuszcie, a rzeczy jeszcze zostaw u matki, aż się ułożymy. Czekam Cię więc i Boskiej opiece Cię oddaję.

Notatka w Dzienniku

W Instytucie zastałem rodziców Barbary i Stasi Nowackich z Oporowa. Oboje przyjechali po córki i odbierają je do domu. Ponieważ dziewczęta odstręzione, sposobić się do Ochronek nie chcą. Badałem przyczynę. Dziewczęta niby się tłumaczą, że myślały, iż Siostrami Miłosierdzia będą (!!); niezgrabnie uchwyciona przyczyna. Przy tym siostra Józefa wyraźnie mi powiada, że więcej podobnych przyjmować nie chce i rada by, ażeby i resztę w ten sposób odeszło, bo stąd ma od różnych osób nieprzyjemności (??). (...) W sposób najcierpliwszy uspokoilem Siostrę i przyrzekła mi, że zgadza się na dokompletowanie liczby 12^{tu}, prosząc jednak, aby się starać na później o jakie osobne dla takowych kandydatek umieszczenia. Wszystko więc Bóg zrzędza tak, iżby jak najprędey o samoistnym Nowicjacie pomyśleć. Ale skąd te intrygi zawiści, przeciwności? Tęgo pojąć nie można.

(Dziennik, 24.01.1856, t. II, s. 16-17)

Do nowicjuszek Filomeny Gruszki

Moja Filomeno!

Miła mi bardzo Twoja otwartość i szczerłość, z jaką wyznajesz niepokój i tęsknotę, co Twoją duszę opanowały. Ale niech Cię to nie trwoży. Rozważ tylko, jaki to w sercu usłyszałaś głos, który Cię powołał do służby Najświętszej Panny. Musiała być w tym głosie wielka moc i świętość, kiedy zaraz bez zwłoki pobiegłaś za nim i świat porzuciłaś bez żalu. Sama piszesz, że czułaś się tak szczęśliwą, iż wołałabyś umrzeć niż nazad do świata powrócić.

Otóż Pan Bóg zwykł takim sposobem dla pociągnięcia dusz ku sobie obdarzać je na początku słodkościami natchnień i uścielać im drogę jakoby kwiatami. Potem zdaje się jakby te dusze opusz-

czał i wszelka słodycz w gorycz tęsknoty zamieniał – a czyni to Bóg dlatego, aby doświadczyć ich stateczności w żywocie duchowym. Każe im więc walczyć i biedzić się, dopóki mężnie nie zwyciężą pokus i przeciwności nie pokonają.

Wtedy dopiero pierwszych słodyczy duchowych i pociech niebieskich drugie tyle im przydaje i wtedy nie czuć już ani krzyża, ani boleści, ani tęsknoty, ani goryczy, tylko samą szczęśliwość życia oddanego Bogu.

Wytrwaj tę walkę, zwycięż za łaską Bożą nacierające na Ciebie pokusy, a po wewnętrznej burzy ujrzysz w duszy i sercu stateczną pogodę, która przyświecać Ci będzie już na tej ziemi jako zwiastunka przyszłej, niebieskiej jasności i wesela wiekiustego.

Z pociechą serca dowiaduję się, że Ci Najświętsza Panna swoją przyczyną dopomogła już uciszyć w sercu pierwsze niepokoje. Niech Cię i nadal ze swej opieki nie wypuszcza i wszelkie łaski potrzebne uprasza, czego Ci z całego serca gorąco życzę i mile Cię pozdrawiam, a o modły proszę.

29.08.1867

Do Jadwigi Głowacz w Konarach

Były tu u mnie z Golejewka Apolonia z matką i powiadały mi, że pragniesz wiadomości ode mnie, kiedy i Ty będziesz mogła do Służebniczek Najświętszej Panny się dostać – bo Ci podobno się dłuży i wielce tęsknisz za tem. Donoszę Ci dziecko moje, że będę się starał, aby jak najprędzej przygotować miejsce dla Ciebie. Może to rychlej nastąpi niż się spodziewasz. Proś tylko Boga i Najświętszej Pannie się polecaj, a Twoje szczerze pragnienia wysłucha i ziści, za czym tak mocno tęsknisz. Zresztą nie troszcz się zbyt mocno i zdaj to rozporządzeniu Bożemu. Módl się i pracuj spokojnie, wypełniaj wszystkie Twoje chociażby najmniejsze obowiązki domowe pilnie i ochotnie, a Bóg dać raczy, że niedługo będziesz mogła więcej czynić i całkowicie się oddać służbie Jego świętej w powołaniu, do którego serce Twoje najmiłosierniej natchnął.

Składaj Bogu gorące dzięki za łaskę twego natchnienia, niech ten święty ogień miłości Bożej coraz goręcej i jaśniej w sercu Twoim

plonie, aby żadne trudności, ani czekanie, ani nic na świecie nie ostudzało Twego serca w tym przedsięwzięciu pobożnym. – (...)

I obecnie Alicja i Krystyn Nawroczy piszą:

Dziesięć lat Rodzinnego Domu Dziecka w Białogardzie

Zaczął się od spontanicznej pomocy rodzinie i dzieciom. Było to w 1998 roku. Na łamach Głosu Koszalińskiego ukazał się artykuł o rodzinie, w której zaginęła matka pozostawiając samotnego ojca z siódemką małych dzieci. Państwo Alicja i Krystyn Nawroczy prowadzili wtedy mały sklep spożywczy. Postanowili pomóc tej rodzinie i zawieźli im trochę żywności. Nie skończyło się tylko na pomocy materialnej – Państwo Nawroczy zaopiekowali się jedną z dziewczynek. Aby mogła ona u nich zostać musiały być spełnione pewne procedury prawne. Po roku dziewczynka wróciła jednak do swojej rodziny gdyż odnalazła się zaginiona matka. W tym samym czasie w PCPR tworzone Pogotowia Rodzinne. Państwo Nawroczy pracą, którą dotychczas wykonali czyli opieką nad dzieckiem i pomocą aby ono wróciło do rodziny, spełnili wymogi aby stać się takim Pogotowiem. Po odpowiednich szkoleniach i badaniach mogli poprowadzić taką instytucję. W trakcie 3-letniego funkcjonowania Pogotowia, trafiały do ich domu dzieci na okres do 15 miesięcy a było ich 11. Aby nie narażać ich na kolejny stres związany ze zmianą miejsca zamieszkania Państwo Nawroczy zaczęli starać się o utworzenie Rodzinnego Domu Dziecka. Mogłoby to być najlepszym rozwiązaniem. Nie było łatwo, ale się udało. 1 września 2003 roku zostali Rodzinnym Domem Dziecka. Wtedy piątka rodzeństwa z Pogotowia Rodzinnego pozostała u nich i jest do dnia dzisiejszego. Troje z nich już się usamodzielniało, dwoje jeszcze jest pod ich opieką. Podczas tych 10 lat prowadzenia Rodzinnego Domu Dziecka zaopiekowali się trzynastorgiem dzieci.

Rodziny Dom Dziecka, który prowadzimy został zbudowany na mocnych fundamentach wartości i zasad, które wpoili nam nasi

rodzice. Opierały się one na szacunku, zaufaniu, wierze w mądrość i godność człowieka – mówi Krystyn Nawrocki – Razem z żoną jesteśmy wychowani w rodzinach katolickich przez co doświadczyliśmy bezwarunkowej, wyjątkowej i mądrej miłości, umiłowania prawdy i silnej wiary. Zadanie wychowania naszych dzieci w domu rodzinnym nie jest misją ale służbą dla ludzi, którzy potrzebują pomocy. W naszym domu dzieci bezpiecznie mogą dokonywać dobrych lub złych wyborów, gdzie dyscyplina praktyczna i konsekwencja górują nad karą i pozwalamy rządzić rzeczywistości. Tu w domu dzieci mogą błędzić – a ból i porażki łagodzimy im mądrą miłością i wsparciem. Tu też mogą „studiować” życiowy program podejmowania decyzji – bezustannie nas sprawdzać, buntować się, próbować na ile mogą sobie pozwolić, a jednocześnie cały czas zadawać pytanie: Czy wy mnie kochacie? Czy kochacie mnie wystarczająco aby mnie zdyscyplinować i skorygować moje zachowanie a jednocześnie nadal mnie lubić? W naszym Domu Rodzinnym dzieci dowiadują się, że konsekwencje w życiu są realne a życie nie zawsze daje drugą szansę. Poszukiwanie prawd i zasad w naszym domu stosujemy w sposób subtelny i kreatywny, ze świadomością, że każde dziecko jest indywidualnością, kimś wyjątkowym. Zatem musimy znaleźć czas i sposób aby dotrzeć do ich wewnętrznego świata. Zachęcamy dzieci do okazywania empatii, optymizmu, altruizmu, zaufania do samego siebie i wiary we własne możliwości. W ten sposób przygotowujemy je do stawiania czoła światu. Nasz Dom to też ciągłe poszukiwania sposobów, które dadzą naszym dzieciom człowieczeństwo i wewnętrzną siłę by pokierowali swoim życiem stanowczo i z godnością. Wszystkie dzieci są nasze, są darem dla przyszłości. Mamy nadzieję, że to czego doświadczą w naszym Domu Rodzinnym da im siłę do przekazania światu wyniesionych wartości, które afirmują godność i człowieczeństwo wszystkich ludzi. Damy im wewnętrzną siłę aby byli sobą, a także odwagę w radzenie sobie z uprzedzeniami świata zewnętrznego i natchniemy ich wiarą w sens życia.

KONWERSATORIUM LXVI

(16 listopada 2013)

**Czy potrafię rozmawiać z trudną młodzieżą,
lub młodzieżą w tzw. trudnym wieku?**

Prowadzący: ks. Adam Zelga, proboszcz parafii p.w. bł. Edmunda Bojanowskiego; s. Jolanta Głapka, Zgromadzenie Najświętszego Serca Jezusa (Sacré-Coeur), założycielka Fundacji „Pasja Życia” oraz Młodzieżowego Centrum Rozwoju Artystycznego i Duchowego w Legionowie, ks. Wacław Pokrzywnicki, Zgromadzenie Księży Marianów, Krystyn Nawrocki, mgr. inż. elektryk i Alicja Nawrocka, technik z zakresu technologii rolno-spożywczej, rodzice czwórki dzieci, obecnie prowadzą Rodzinny Dom Dziecka w Białogardzie.

Ks. Adam Zelga

Bardzo serdecznie witam. Rok 2014 został przez Episkopat Polski ogłoszony rokiem Edmunda Bojanowskiego. Postać jest niebanalna. Dzisiejsze Konwersatorium prezentuje go jako człowieka, który potrafił rozmawiać, czy to z dziećmi czy z młodzieżą, również z tą, która jest trudna, do której trudno dotrzeć. On znajdował sposoby dotarcia do niej.

Gdyby Bojanowski działał dziś i zaczął gromadzić sieroty, dzieci, przytulać je i głaskać po główkach, byłoby mu bardzo trudno. Gdyby ten prawie czterdziestoletni stary kawaler zaczął włóczyć się po polach i namawiać młode dziewczyny, by się z nim spotykały u niego w domu, albo pisałby do nich listy, gdyby prowadził je do dzieci, oj, zasłużyłby na niejedną łatkę. Gdyby



Paneliści i słuchacze w auli Szkoły Wyższej Przymierza Rodzin.
Od lewej ks. Adam Zelga, Alicja Nawrocka, Krystyn Nawrocki,
S. Jolanta Głapka, ks. Wacław Pokrzywnicki

pojawił się dziś świecki człowiek, który chciałby zakładać żeński zakon, to moje środowisko chyba nie byłoby zbyt szczęśliwe. Tak więc czasy, z jednej strony, niewiele się zmieniły, z drugiej zaś zmieniły się bardzo, bo jednak Bojanowski znalazł ogromny społeczny klimat dla swojej działalności. Czy dzisiaj znalazłby ten klimat?

Krystyn Nawrocki

Bardzo pragnę podziękować pani Rektor za zaproszenie do Szkoły Wyższej Przymierza Rodzin. Przyjechałem wraz z żoną z Białogardu, gdzie prowadzimy rodzinny dom dziecka.

Zanim przejdę do tematu dzisiejszego Konwersatorium, na wstępie pragnę przedstawić krótko świadectwo życia mojej rodziny. Lata dzieciństwa i wczesnej młodości spędziłem w małej wiosce w województwie małopolskim. Wspólnie z rodzicami i rodzeństwem (miałem trzech braci) prowadziliśmy gospodarstwo rolne, które było naszym głównym źródłem utrzymania. Pochodzę z rodziny katolickiej, głęboko wierzącej. Ojciec z zawodu był mechanizatorem rolnictwa. Mama – dusza artysty, występowała w zespole ludowym, śpiewała w chórze kościelnym, udzielała się charytatywnie w różnych organizacjach. W dzieciństwie ojciec często nam powtarzał: „synowie, możecie narzekać na wszystko,

ale jeżeli nie będziecie pracować swoimi rękami, głową i sercem, nigdy nie zostanieie mężczyznami. Ponadto musicie nauczyć się postępować honorowo, a dzięki pracy staniecie się użytecznymi, odpowiedzialnymi, obowiązkowymi, wrażliwymi, z siłą charakteru i samodyscypliną ludźmi. Warunkiem sukcesu w życiu są: odwaga, umiejętności i wiara”.



Krystyn i Alicja Nawroczy

Integralność duchowa w moim domu rodzinnym była kształtowana od zawsze. Rodzice na wieczornych spotkaniach, czytając Pismo Święte, wpajali nam ważne przesłanie wiary: „pamiętajcie, synowie, wiara to nie tylko funkcja duszy, inspiracja do zmian, ale przede wszystkim to światło waszego życia, światło duszy, która nie potrzebuje oczu, by widzieć, musi jedynie czuć potrzebę widzenia. Ona w waszym życiu rodzi potrzebę kochania, nie tą samolubną i egoistyczną miłością – ale całym sercem, bez zahamowań, bez lęku przed rozczarowaniem. Wiara wskazywać wam będzie motywy dla nieustannych wysiłków w celu przewycięzania własnych słabości i ograniczeń. Da wam Mistrza, Przyjaciela, Opiekuna i Przewodnika. Idąc za nim, nigdy nie zbłądzicie”.

Mama budowała nasz „mały świat” wyjątkową i mądrą miłością przepełnioną atmosferą ciepła i życzliwości, z jasnymi sygnałami bezpieczeństwa. Jej pełne spokoju i ciepła słowa o wiarygodności i

umiłowaniu prawdy wywarły ogromny wpływ na całe moje życie. Swoim świadectwem dała mnie i moim braciom jednoznaczne przesłanie, że umiłowanie prawdy to jedna z najważniejszych cnót w życiu rodziny. Często powtarzała: „umiłowany ten, kto z prawdy czyni swój dom, a świat istnieje, by przyjąć prawdę. Ci, co nie docierają do prawdy, nie rozumieją sensu życia”. Mądrość rodzicielskiej miłości moich rodziców dawała nam wolną rękę w podejmowaniu słusznych decyzji, ale i w błędzeniu. A jeśli pojawiały się niepowodzenia, był wtedy czas na przytulenie, pieśczętę i uśmiech. Często wystarczyło pogodne spojrzenie, miły gest. Ich rodzicielstwo przepełnione było miłością i wyobraźnią miłosierdzia. Dzisiaj z perspektywy czasu mogę powiedzieć, że ich miłość do nas nigdy nie nosiła znamion inwestycji. Była relacją wzajemności i wdzięczności, gdyż to my byliśmy ich radością robienia czegoś dla kogoś. Pozwalaliśmy im być potrzebnymi, dając perspektywę dni, miesięcy i lat wypełnionych marzeniem, właściwym dla twórców i artystów. Ich życiu nadawaliśmy sens i gorące uczucie. Rodzice swoim życiem pomagali nam zbudować mocny fundament rodziny i domu rodzinnego, opierający się na szacunku, zaufaniu, wierze w mądrość i godność człowieka. Na postrzeganiu człowieka często wymagającego wsparcia, pomocy, wrażliwego ukierunkowania.

Dla pełnej chronologii pragnę powiedzieć, że po ukończeniu studiów na AGH w Krakowie podjąłem pracę w kopalni Śląsk-Wujek w Rudzie Śląskiej. Pracowałem w dozorze wyższego pionu energo-maszynowego na dole kopalni. Po czternastu latach pracy, z przyczyn zdrowotnych własnych oraz dzieci, wyprowadziliśmy się z ukochanego Śląska do Białogardu. Z moją, tu obecną żoną Alicją w 2014 roku będziemy obchodzić trzydziestą piątą rocznicę ślubu. Otrzymaliśmy w darze od Boga czwórkę biologicznych dzieci oraz ponad dwadzieścioro w ramach rodzicielstwa zastępczego (w ciągu ostatnich piętnastu lat – prowadząc pogotowie rodzinne oraz rodzinny dom dziecka).

Alicja Nawrocka

Podobnie moja rodzina zawsze pomagała innym i była wrażliwa na potrzeby drugiego człowieka. Innej atmosfery z domu nie

pamiętam, nie zdarzyło się, żeby być obojętnym, żeby nie udzielić pomocy sąsiadom czy innym potrzebującym bez względu na czas i miejsce.

Odkąd sięgam pamięcią, moja rodzina, począwszy od pradziadków i dziadków do rodziców, była i jest bardzo wierząca i praktykująca, wrażliwa na potrzeby innych. Wszystkie swoje dzieci wychowali w głębokiej wierze katolickiej. W dzieciństwie każde wakacje spędzałam u dziadków, gdzie na co dzień przebywałam w atmosferze dobra, miłości i wiary, również w innych ludzi, poszanowaniu godności i umiłowaniu prawdy. Swoją postawą życiową oni również, poza rodzicami, mieli wpływ na kształtowanie mojej osobowości, co cenię do dzisiaj i mile wspominam.



Alicja Nawrocka

W przeciwieństwie do męża pochodzę z rodziny robotniczej z małego miasteczka z Opolszczyzny. Rodzice pracowali w fabryce przemysłu dziewiarskiego „Unia”. Życie w miasteczku w czasach PRL nie było takie łatwe ani barwne, jakby się na pozór wydawało. Mimo to rodzice robili, co mogli, żeby wychować mnie na prawego, uczciwego, porządnego, zaradnego i wiarygodnego człowieka. Pomimo wielu przeszkód i trudności życiowych, przez jakie przechodzili moi rodzice, swoją determinacją i postawą

radzenia sobie w kryzysowych sytuacjach starali się przekazać nam wiele wartości potrzebnych w życiu. Niektóre, jak na przykład wzajemna pomoc sąsiedzka, wynikała z miejsca zamieszkania. Mieszkaliśmy w bloku, w którym mieszkało sześć rodzin i w jakiś niewidoczny sposób tworzyliśmy jedną dużą rodzinę, każdy od każdego czegoś się uczył i w razie potrzeby jedni pomagali drugim. Ponieważ mieszkaliśmy na obrzeżach miasta, można było hodować drobne zwierzęta (kury, kaczki, króliki) i uprawiać małe działki przydomowe. Dzięki tej możliwości można było przetrwać trudne chwile, gdyż zarobki w fabryce były skromne. Nasze zaangażowanie w pomoc rodzicom niewątpliwie kształtowało moją i mojego brata osobowość, co obecnie przekłada się na nasze życie.

Nasza ukochana mama była osobą głęboko wierzącą w Boga i Jego miłosierdzie. Uczyla nas swoją postawą miłości do bliźniego przez zawsze czynną pomoc, umiłowania prawdy, uczciwości, pracowitości, umiejętności wybaczenia i tolerancji wobec innych i solidności w wykonywaniu powierzonych zadań. Uczyla nas też stawiania czoła trudnościom i problemom przez poszukiwanie rozwiązań, a nie przez narzekanie i ucieczkę przed nimi, a także radzenia sobie w życiu w różnych sytuacjach.

Ojciec, który ma dzisiaj 80 lat, mimo problemów z poruszaniem się, jest praktykującym katolikiem. Uczyl nas solidności i punktualności, wewnętrznej dyscypliny, poszanowania innych i godności osobistej. Staral się o zabezpieczenie materialne rodziny. Po za tym był sędzią piłki nożnej i grał na perkusji w zespole muzycznym utworzonym z kolegami.

Oboje moi rodzice zaszczepili mi wartości, które obecnie staram się przekazywać naszym dzieciom i tym, które wychowujemy w naszym rodzinnym domu dziecka. Swoją postawą życiową i postępowaniem dajemy żywe świadectwo – najważniejsze w wychowaniu. Budujemy fundament, bez którego młody człowiek będzie błądził w swoim życiu. Pokazujemy naszym dzieciom, że w nich wierzymy i są dla nas ważni.

Skąd się wzięła nasza inicjatywa stworzenia rodzinnego domu dziecka? Był to odruch serca, całkowicie spontaniczny. Dowiedzieliśmy się z prasy o konieczności pomocy rodzinie, od której

odeszła czy zaginęła matka siedmiorga dzieci. Stwierdziliśmy, że pojedziemy i zobaczymy na miejscu, jak można tej rodzinie pomóc. Ojciec dzieci poprosił nas o opiekę nad jedną z córek, najmłodszą i najsłabszą. Mieszkali przy leśniczówce i dziewczynka ta musiałaby od nowego roku szkolnego chodzić cztery kilometry przez las do zerówki. Wzięliśmy ją do siebie i była u nas przez rok. W tymczasie pomagaliśmy rodzinie. Braliśmy po dwójce dzieci na weekendy i staraliśmy się wraz z ich ojcem poszukiwać matki. Gdy się odnalazła i mogła już zająć się dziećmi, dziewczynka przebywająca u nas spytała, czy może już wrócić do swojej rodziny, za którą bardzo tęskniła. Nie liczyło się dla niej, że mieszkają w biedzie, w trudnych warunkach, ale ważne było, żeby być razem ze swoją rodziną. Wtedy poczyniliśmy kroki prawne, aby dziewczynka mogła wrócić do rodziców, gdyż byliśmy dla niej rodziną zastępczą.

Zaproponowano nam wtedy pracę w pogotowiu rodzinnym. Pogotowie rodzinne to miejsce, gdzie przez piętnaście miesięcy może przebywać dziecko, w czasie których wyjaśnia się jego sytuacja prawna. Po tym czasie dziecko może wrócić do własnej rodziny lub też poszukuje się dla niego rodziny zastępczej albo adopcyjnej.

Przez trzy lata prowadziliśmy pogotowie rodzinne, mając pod opieką różne dzieci przez wyznaczony okres. W tym czasie przyjęliśmy pięcioro rodzeństwo, które nie miało szans powrotu do rodziny ani nikt nie chciał ich wziąć. Nie wiedzieliśmy, co dalej robić, żeby te dzieci uratować, żeby zostały z nami i żeby dać im szansę na przyszłość. Wtedy postanowiliśmy założyć rodzinny dom dziecka, który powstał 1 września 2003 roku. Trójka z piątki dzieci już się usamodzielniała.

Przez ten czas przychodziły następne dzieci. Chcąc im pomóc, a każde z nich miało za sobą ciężkie przeżycia i doświadczenia życiowe, trzeba było je poznać, ich historię od urodzenia i wejść z nimi w głębszą relację. Często takie dziecko jest zagubione, zbuntowane i czasem nietolerowane w swoim środowisku. Wówczas można mu pomóc.

Staramy się wychowywać nasze dzieci w prawdzie, w miłości, w szacunku do drugiego człowieka i uwrażliwiać na to, co dzieje się z innymi. Każde dziecko ma prawo do szczęścia, miłości i do szansy od życia. W wielu przypadkach udaje się te dzieci uratować i dostają szansę na nowe życie, ale jak to wykorzystają, nie jesteśmy w stanie przewidzieć.

Krystyn Nawrocki

W naszym domu rodzinnym staram się nie używać określenia „trudna młodzież”. Z doświadczenia mogę powiedzieć, iż w owej grupie może mieścić się młodzież, która z różnych przyczyn w ważnych latach swojego życia, kiedy kształtowały się zręby osobowości dorosłego człowieka, nie spędzała ich w kochającej rodzinie. W wyniku owej sytuacji nie wykształciły się formy współżycia społecznego. Trudny wiek, zwany „powtórными narodzinami”, jest okresem dorastania młodego człowieka. Współczesne nastolatki urodziły się i wychowywały w kulturze gloryfikującej przemoc i agresję, nasyconą materializmem i seksem, w której dominuje afirmacja zła, przyśpieszenie cywilizacyjne, dominacja rządzących nad rządzonymi, nauczających nad nauczonymi, w której żyją tu i teraz. Myślę, że ta grupa młodzieży stanowi najbardziej zaniedbaną część społeczeństwa. Zapomnieliśmy jak postępować z młodymi artystami w ciele wojowników, wypełnionych hormonami, w których mieszka wrażliwy umysł projektanta czy budowniczego...

Chociaż obecnie uważa się, że dorastanie jest najistotniejszym okresem w życiu człowieka, to jednak my, rodzice czy opiekunowie, poświęcamy mu stosunkowo mało czasu, uwagi i starań. Do końca nie rozumiemy dojrzewania, nie umiemy też dać dorastającej młodzieży takiej miłości, jakiej potrzebują, aby stać się w pełni odpowiedzialnymi, mądrymi dorosłymi. Poczucie własnej wartości co chwila zostaje u nich wystawiane na próbę, a wszystko to sprzyja uzewnętrznianiu gniewu. W poszukiwaniu nowej tożsamości nastolatek daje nam jasne przesłanie: „Nie mówcie, co mam robić, gdyż sam poszukuję i znajdę swoją drogę”. Często jest to krzyk rozpaczy: „Jestem sobą, zwróćcie na mnie uwagę i zo-

bacicie we mnie człowieka, jako niezależną osobę, rzeźbiącą swój niepowtarzalny moralny wizerunek, niezależnie od odziedziczonej tradycji, godny miłości i wiedzący, jak kochać”. Z perspektywy naszego domu rodzinnego aż nadto jest widoczne, że odkrywanie własnego „ja” nigdy nie przebiega bez głębokiego bólu i zmartwień, które są również naszym udziałem. Myślę, że pytanie dzisiejszego Konwersatorium mogłoby brzmieć: „Jak bezpiecznie przeprowadzić młodego człowieka przez okres cierpienia wieku dorastania?”.

W tym okresie nastolatek przechodzi fazy silnych wstrząsów, zawirowań, wzlotów i upadków, sprzeciwu władzy, której nie chce się podporządkować, i różnych atrakcji, które kuszą i wabią. Jest często szalony, niekompetentny, posuwający się do obelg, wywołujący w nas oburzenie i złość. Musimy jednak pamiętać, że jak nigdy dotąd potrzebuje on z naszej strony wyjątkowej, mądrej miłości, nawet w chwilach, gdy wydaje się nam, że zapasy tych dóbr są już na wyczerpaniu. Moim zadaniem, jako odpowiedzialnego rodzica, jest przyjęcie na siebie owego ciężaru. W przeciwnym razie rodzi się pytanie, co ze zobowiązaniem podjętym w chwili zawarcia małżeństwa, kiedy odpowiedziałem „Tak” na pytanie: „Czy jesteście gotowi przyjąć i z miłością wychować dzieci, którymi Bóg zechce was obdarzyć?”. Czy byłbym wtedy człowiekiem wiarygodnym?

Obecnie w naszym domu rodzinnym przebywają dzieci z pięciu różnych rodzin biologicznych. Każde dziecko to inne potrzeby, myśli, marzenia, pragnienia. Każde stanowi inną kompozycję trudności, którą musimy odkryć i uwzględnić w procesie wychowania i integracji. Proces integracji naszych dzieci (zwłaszcza w ich trudnym okresie życia) w intymności życia rodzinnego to wąska i kamiennista droga, która wymaga wiele taktu i czułości ze strony nas – rodziców zastępczych. Z jednej strony musimy unikać sytuacji, w której poczułyby się odrzucone lub wykluczone, z drugiej zaś nie możemy wywoływać wrażenia, że są więzione, krępowane przez wszechobecne związki rodzinne. W domu rodzinnym staramy się integrować dzieci, nie ograniczając ich wolności ani niezależności, lecz dostrzegając ich wkład wyrażający się w ich obecności, inicjatywach

i współpracy. Najgorsza jest sytuacja, gdy nasze zbuntowane nastolatki osiągnęły swój wiek, nie żyjąc „w rodzinie”. Wówczas pozyskiwanie ich jest bardzo trudne, żeby nie powiedzieć – niemożliwe. Widzimy trudności i znikome rezultaty, nie powstrzymuje to jednak naszej dobrej woli, naszego ogromnego pragnienia, by spełnić zadanie. Może będą o nas mówili: „jacyż byli naiwni, jak ja ich oszukiwałem/am, ale jak dobrzy i cierpliwi byli zawsze dla mnie” – będę szczęśliwy, jeżeli nasze dzieci zachowają o nas takie wspomnienie. Pewność kroków dorosłego człowieka często ma swe korzenie w obrazie domu rodzinnego, jaki utrwalił się w jego pamięci. Postawa ograniczonej kontroli na bazie szacunku i zaufania jest dobrą drogą, która sprawdza się w naszym rodzinnym domu dziecka. Mając świadomość, że często od naszego słowa, gestu, postawy zależy przyszłość dziecka, staram się prezentować postawy wychowawcze uwzględniające dziecięce potrzeby, charakteryzujące się wyrozumiałością oraz empatią, chociaż również wyznaczające granice według reguł partnerskich. Jeśli kompromisy są możliwe, staram się, by zostały zawarte. Staram się przy tym nie reagować rozdrażnieniem ani rozgniewaniem, lecz preferuję spokojny ton rozmowy, który pozwala rozpoznać emocjonalne ciepło, zainteresowanie i uczucia. Uświadamiam też dzieci, że ciesząc się przywilejami i prawami, muszą również wypełniać obowiązki. Młody człowiek, czując się akceptowany, będzie przygotowany do przejmowania odpowiedzialności. Mam świadomość, że w wychowaniu nastolatka nie ma dróg na skróty.

Staram się, by prowadzone rozmowy zmierzały do powiązania faktów z przeżywanymi przez dziecko uczuciami, bez ryzyka nasilenia lęków czy też obrony przed poczuciem winy. Mam świadomość, że mówiąc do młodego człowieka głosem wyrażającym złość i dezaprobatę, osłabiam u niego szacunek do samego siebie, a także miłość do mnie. Dając mu do zrozumienia, iż wiem, że nie postąpiłby niewłaściwie, gdyby wiedział, że to źle – wzmacniam jego szacunek do samego siebie, a także miłość do nas. Pragnienie, by być kochanym, skłania dziecko, aby się dobrze sprawować. Później, w wieku dojrzałym, jego szacunek do samego siebie

będzie go skłaniał do życia według zasad moralnych. Każdy młody człowiek czuje się szczęśliwy i ważny, gdy odczuwa, że jest źródłem radości i satysfakcji rodziców czy opiekunów.

Najcenniejszą rzeczą, jaką mogę ofiarować młodemu człowiekowi w rozmowie, jest prawdziwy, pozytywny obraz jego samego. Pokazanie mu, że jest dobrym, godnym szacunku człowiekiem, którego uczucia i myśli mają wartość. W ten sposób daję mu dobre samopoczucie i siłę.

Zdaję sobie sprawę, że choćbym na pamięć wykuł wszystkie podręczniki psychologii i poradniki dla rodziców, nigdy nie będę idealnym rodzicem, bo bardzo szybko się okaże się, że nasze dzieci zachowują się „niezgodnie z przepisami”. Dlatego przeprowadzenie młodego człowieka przez trudny okres cierpienia wieku dorastania wymaga ciągłego poszukiwania sposobów dopasowanych do konkretnej osoby.

Kończąc, pragnę powiedzieć, że w naszym rodzinnym domu dziecka wszystkie dzieci są nasze. Są darem od Boga dla przyszłości. Mamy nadzieję, że to, czego doświadczają dziś i doświadczą jutro w naszym domu rodzinnym, da im siłę do przekazania światu wyniesionych wartości, które będą afirmować godność i człowieczeństwo wszystkich ludzi. Damy im siłę i wiarę, aby byli sobą, a także odwagę w radzeniu sobie z uprzedzeniami świata zewnętrznego. Myślę, że stawiając młodemu człowiekowi jasne reguły, obdarzając go prawem do tego, żeby był wolną osobą, a także darząc miłością i szacunkiem, dajemy mu szansę na stworzenie bezpiecznego emocjonalnego systemu nawigacyjnego, dzięki któremu nie będzie poddawał się prądom współczesności, lecz je umiejętnie wykorzystywał w żegludze życiowej.

Alicja Nawrocka

Każde z dzieci jest inne, jest inną osobowością. Nie ma ogólnych recept, reguł i przepisów na wychowanie. Każde z nich wymaga indywidualnego podejścia, diagnozy, osobnego naszego spojrzenia w ich wnętrze i na ich problemy, aby zauważyć potrzeby, jakie mają, o których wielokrotnie nie potrafią lub nie chcą rozmawiać. My, chcąc im pomóc, jesteśmy niejednokrotnie

obserwatorami ich codziennego funkcjonowania i zmagania się z codziennym życiem. Zależy nam, żeby odczuły, że są dla nas ważne. Trzeba im pokazać, że my w nich wierzymy, że potrafią wiele. Buntują się, przeciwstawiają, chcą robić to, co im się podoba. Niejednokrotnie trzeba to przetrzymać, pozwolić wykrzyzczyć się emocjom, a jak one opadną, wtedy porozmawiać, o co im chodzi lub co je dręczy. Dzieci potrzebują rozmów, chcą być wysłuchane i zauważone. Każde z nich jest traktowane i kochane jak nasze dzieci biologiczne, gdyż mamy czwórkę biologicznych dorosłych dzieci – trzech synów i jedną córkę, których wychowaliśmy na uczciwych, zaradnych, uczuciowych i wrażliwych ludzi.



Paneliści: ks. Adam Zelga, Alicja i Krystyn Nawrocky

Krystyn Nawrocki

Doświadczenia, zasady i wartości, które wynieśliśmy z naszych domów rodzinnych, mają istotny wpływ na obecne postawy wychowawcze. Łatwiej nam w domu rodzinnym poszukiwać i budować „coś”, co by nasze dzieci w przyszłości chroniło i podtrzymywało na duchu. Obdarzeni bezwarunkową mądrą miłością, w poczuciu pełnej akceptacji i wsparcia, mają prawo czuć się dla nas wyjątkowymi darami od Boga. Moim zdaniem stanowi to mocny fundament pozytywnych zmian ich osobowości, a nam daje

dotatkowe siły w poszukiwaniu i budowaniu. Moim zdaniem jest to właściwa droga, gdyż wytycza ją nasz przewodnik Bóg Ojciec.

Alicja Nawrocka

Cieszymy się z najmniejszych sukcesów naszych dzieci, które są dla nas motorem do dalszych działań. Gdy tylko jest to możliwe, pomagamy im, aby rozwijali swoje talenty. Starsze dziewczyny, które już się usamodzielnily, dobrze sobie radzą. Jednocześnie nie wyobrażają sobie życia czy świąt bez nas. Jesteśmy z nich dumni.

Krystyn Nawrocki

Czują w nas oparcie. Zawsze mają dokąd wracać.

S. Jolanta Głapka

Jestem ze Zgromadzenia Najświętszego Serca Jezusa, ale zanim wstąpiłam do Zgromadzenia, pracowałam osiem lat w zawodzie. Jestem psychologiem i zajmowałam się młodzieżą trudną w poradni wychowawczo-zawodowej. Po wstąpieniu do Zgromadzenia pracowałam dwadzieścia lat z młodzieżą uzależnioną od alkoholu i narkotyków w Ośrodku w Anielinie koło Otwocka. Jest to ośrodek Ministerstwa Zdrowia.

Może na początek o tym, czym jest narkomania. Jest to choroba nieuleczalna, z nawrotami. O młodzieży, która traci kontrolę nad używaniem narkotyków, mówimy, że jest uzależniona w stopniu choroby. Proces leczenia polega na rocznym pobycie w Ośrodku i realizacji rocznego programu. Oczywiście dotyczy to wyłącznie młodzieży dorosłej, po osiemnastym roku życia. Ważna jest oczywiście rozmowa. Mówimy o stronach negatywnych i pozytywnych używania narkotyków. Dlaczego młodzież używa narkotyków? Są to ludzie głęboko poranieni, którzy często mają za sobą ciężkie przeżycia, mają poczucie, że są niepotrzebni i życie nie ma sensu. Nigdy nie doświadczyli miłości bezwarunkowej. Narkotyki oczywiście są czymś złym, ale one dają coś dobrego tej młodzieży tak długo, aż się uzależni od nich. Mają działanie uspokajające, dają ucieczkę od tej rzeczywistości, która często jest zbyt okrutna, trudna dla nich. Niestety, później często tracą kontrolę, uzależniają

się od narkotyków i nie nadają się już do życia społecznego. Taka młodzież znajduje się w naszych ośrodkach.



S. Jolanta Glapka

Może jeszcze dwa zdania o sobie. Urodziłam się w Zakopanem. Moją pasją zawsze były góry, przez 13 lat byłam członkiem Akademickiego Klubu Wysokogórskiego we Wrocławiu, a po studiach Sudeckiego Klubu Wysokogórskiego w Jeleniej Górze. Dlatego też te pasje są istotne w naszym programie. W początkach istnienia Klubu jeden z członków, po wyprawie w Himalaje, uzależnił się od narkotyków, nie leczył się i nie wrócił już do społeczeństwa. Ośrodków jeszcze wtedy nie było. To były początki narkomanii w Polsce. To był mój pierwszy kontakt z chłopcem uzależnionym.

Do września tego roku pracowałam w Ośrodku Readaptacyjnym Ministerstwa Zdrowia w Anielinie. Jest to ośrodek założony przez ks. Arkadiusza Nowaka również dla zarażonych wirusem HIV. Do niedawna było to jedyne miejsce w Polsce, gdzie można przyjść „z ulicy” do ośrodka. Jest hospicjum, opieka lekarska wszystkich specjalności, bardzo dobrze wyposażony dom, w ładnym otoczeniu. Jednak ze względu na prowadzenie fundacji i budowę centrum w Legionowie musiałam zrezygnować z tej pracy, aby móc w pełni poświęcić się zdobywaniu środków na

budowę i kierowaniu Fundacją „Pasja Życia” im. s. Józefy Menendez.

Gdy pracowałam w Ośrodku w Anielinie, bardzo bolał mnie fakt, że ludzie tak szybko wracają do nałogu. Poznałam Pawła, który wielokrotnie wracał do nałogu, był też w więzieniu. Odnalazł się we wspólnocie Cenacolo, gdzie leczenie polega tylko na modlitwie i pracy. Jak ktoś nie chce pracować, to się modli, jak ktoś nie chce się modlić, to pracuje i innego wyjścia nie ma. Spotkałam go kiedyś w Rzymie i wtedy Paweł mówił, że rąbie drzewo, ale gdyby nie wstawał w nocy na adorację Najświętszego Sakramentu, to nic by z jego pracy nie było. On, według diagnozy psychiatrów i psychologów, zupełnie nie rokował poprawy. Był alkoholikiem od dwunastego roku życia i zawodowym złodziejem. Teraz jest prawą ręką siostry Elwiry we wspólnocie Cenacolo i zajmuje się dziećmi na ulicach Argentyny, jest misjonarzem świeckim. To jest siła terapii duchowej. W oczach Pana Boga każdy ma szansę i nie ma przypadków beznadziejnych.

Obserwując nasz program, który jest programem świeckim, starałam się na początku wykorzystywać jakieś metody znane mi z psychologii, aby poznać tych ludzi, ale widziałam, że to nie bardzo ma sens, nie daje zamierzonego efektu. Jak mogłam, starałam się doprowadzać tych ludzi do Chrystusa, do wiary. Okazało się, że to jest rzeczywista siła dla nich. Ci, którzy uwierzyli, którzy przystąpili do sakramentów, którzy nawiązali osobistą więź z Chrystusem, stali się bardziej stabilni i lepiej radzili sobie z trudnościami dnia codziennego. Moją rolą w tym Ośrodku było, między innymi zajęciami, organizowanie wraz z księdzem kapelanem rekolekcji dwa razy do roku. Starałam się sprowadzać ludzi, którzy zrobią to najciekawiej, jak to jest tylko możliwe w Polsce, ludzi charyzmatycznych, ludzi ze świadectwami, na przykład znanych muzyków. To ich poruszało.

Sama jestem związana z ruchem charyzmatycznym Przymierze Miłosierdzia. Jest to wspólnota założona przez ojców Enrique i Antonello z Brazylii, którzy pracują wśród ubogich w fawelach. Mamy też taką wspólnotę w Warszawie, na Marymoncie. Są też rekolekcje Talitha Kum, w których bierze udział również nasza

ośrodkowa młodzież. Jeździliśmy na Lednicę, chodzimy pieszo na pielgrzymki dla niepełnosprawnych do Częstochowy.

Do nas przyjeżdżali też tacy księża charyzmatycy, jak O. John Bashobora. Było też wśród nas cudowne uzdrowienie. Młodzież widziała, że Pan Bóg jest, że żyje, że Chrystus uzdrawia, że to jest realna rzeczywistość.

Na tych pielgrzymkach poczuli, że są potrzebni, zobaczyli sens życia i że ono ma wartość. Rola wiary jest nie do przecenienia. Prowadzimy w Ośrodku zajęcia z duchowości. I to zostało przez nich zaakceptowane. Jednak nie wszyscy terapeuci są ludźmi wierzącymi. I na to już nie miałam wpływu, bo to jest Ośrodek państwowy. To zaś w terapii jest ważne, żeby młodzież mogła modelować swoje zachowania, opierając się na konkretnych wzorcach zachowania.

Doświadczenia z Ośrodka spowodowały, że zapragnęłam pracować w zespole, który jest wierzący, gdzie wszyscy wyznają te same zasady i wartości. W Ośrodku w zespole terapeutycznym mamy i buddystów, i agnostyków, i ludzi poszukujących, równocześnie świetnych terapeutów, znawców z dziedziny narkomanii. Wiedzą z doświadczenia, czym jest problem narkomanii. Rola zespołu, który jednakowo myśli, wyznaje te same wartości, jest zasadnicza. I dlatego powstała fundacja „Pasja Życia” im. s. Józefy Menendez. Dostaliśmy ziemię w Legionowie i zaczęliśmy budować Młodzieżowe Centrum Rozwoju Artystycznego i Duchowego. Jesteśmy na etapie parteru i mamy pieniądze na stan surowy. Ufam Opatrzności Bożej, że przyjdą pieniądze na wykończenie tego domu. Jak już mówiłam wcześniej, w Ośrodku formalnie nie pracuję, bo mam za dużo obowiązków w fundacji, ale w ten najbliższy weekend będę pomagać ekipie prowadzącej rekolekcje dla naszych pacjentów, a więc mam z nimi częsty kontakt.

Czym ma być budowane Centrum? W trakcie mojej długoletniej pracy z ludźmi uzależnionymi zauważyłam, że oni są bardzo wrażliwi i często uzdolnieni artystycznie. Wrażliwość ta powoduje, że nie mogą się odnaleźć w obecnym świecie, są wrażliwi na stres, na zranienia, mają problemy emocjonalne, a stykając się z rzeczywistością, gubią się bardzo szybko i potrzebują wsparcia. Założone

Centrum nie jest ośrodkiem dla narkomanów, tylko ośrodkiem profilaktyki. Rozwijając pasje i talenty, zabezpieczamy młodzież przed uzależnieniami. Stwarzamy płaszczyznę dla ich rozwoju duchowego. Dajemy możliwość skorzystania z rekolekcji, poznania Boga żywego, przeżycia czegoś więcej. Łaska Boża ich pociąga. Doznają jej we wspólnotach charyzmatycznych. Pociągnięci tym doświadczeniem wchodzą w formację. Pomagając w rozwoju młodym ludziom, zabezpieczamy ich przed narkomanią, ale też przed pornografią, bo często z narkomanii, której tak się boją, wchodzą szybko w inne uzależnienia, takie jak pornografia, hazard, komputer czy bezustanne siedzenie w internecie. Rozwijając ich talenty i pasje, zabezpieczamy ich przed destrukcją. Taka jest idea fundacji „Pasja Życia”, która zrodziła się z mojej i moich przyjaciół długoletniej pracy w Ośrodku i doświadczeń tam zdobytych w pracy z uzależnionymi.

Ks. Waclaw Pokrzywnicki

Widzę, że nie jestem tutaj przypadkowo. Państwa historie składają się na obraz, do którego też mogę dodać swoje świadectwa. Jestem marianinem, kapłanem Zgromadzenia Maryi bez grzechu, czyli Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny. Mam ponad 25 lat życia zakonnego. Obecnie pracuję na Pradze, prowadząc katechezę. Nauczam w świetlicy Towarzystwa Przyjaciół Dzieci Ulicy im. K. Lisieckiego „Dziadka” i w hospicjum domowym, gdzie wspomagam mojego współbrata księdza Andrzeja. Pomagam też siostronom Misjonarkom Miłości, odprawiam Msze Święte na ulicy Potrzebnej u siostry Małgorzaty Chmielewskiej i spotykam się z jej bezdomnymi, chodzę także na ulicę Marywilską do Centrum Pomocy Bliźniemu Marka Kotańskiego. Takimi różnymi ścieżkami Bóg nas prowadzi, na których mamy być Jego obliczem i Jego narzędziem. Mamy uobecniać Chrystusa pośród najuboższych i tych, którzy cierpią.

Moja praca zaczęła się od tego, że po pierwszych dwóch latach katechezy byłem tak przybity nieustanną polemiką, wytykaniem, że nie mogłem tego przetrwać i poprosiłem o roczną przerwę. Wyjechałem do Włoch. Pracowałem w zakładach drzewnych.



Ks. Wacław Pokrzywnicki

Spotkałem tam ludzi z międzynarodowej wspólnoty Ruchu Focolari. Żyliśmy razem jak zakonnicy i utrzymywaliśmy się z pracy własnych rąk. Praca trudna, ale zawsze próbowałem odnajdować sens, dlatego Bóg mnie tam postawił, i brałem wyrzeźbiony przez siebie krzyż i patrzyłem przez niego na braci ze wspólnoty. Przyglądałem się idei Chiary Lubich, założycielki Ruchu Focolari w 1943 roku, i księdzu Don Bosco (święty Jan Bosko), który mówił: gdzie są pełne boiska i świetlice, tam diabeł nie ma nic do roboty.

Kiedy po tym doświadczeniu wróciłem do Polski, trafiłem najpierw do Góry Kalwarii, gdzie pracowałem w budowlance i miałem do czynienia z młodzieżą, która wchodziła we współpracę z mafią, byli jej żołnierzami, dilerami. Pracowałem tam też w komisji przeciwdziałania przeciwalkoholowego przy gminie, ale mafia tych chłopaków wrywała, zabierała. Miałem spotkanie z samym szefem mafii. Groził mi. Budziło to we mnie lęk. Patrzyłem na świętych, na Bojanowskiego, na Jana Pawła II, którzy żyli bez lęku.

Na następną pracę pojechałem do Grudziądza. Pracowałem tam przy domu dziecka, ale więcej w więzieniu. Pomagałem jako kapłan w największym więzieniu dla kobiet. Kobiety miały nawet porodówkę. Gdy urodziły dziecko, miały trochę ulgi, bo mogły

być przez jakiś czas przy dziecku. Te dzieci później trafiały do domu dziecka. Obraz Jana Pawła II, który mam dzisiaj ze sobą, jest zrobiony przez więźniarkę. Zarówno Jan Paweł II, jak i bł. Edmund są dla nas wzorem rozmowy z drugim człowiekiem. Kiedy ta więźniarka wyszła na zwolnienie warunkowe, dowiedziała się, że jest chora na raka. Wypowiadała się przed śmiercią.



Ks. Wacław Pokrzywnicki, w tle obraz Jana Pawła II
zrobiony przez więźniarkę

W Grudziądzu organizowaliśmy dla młodzieży wyjazd grupowe. Jeździliśmy do Anglii, do naszego domu w Londynie. Wyjeżdżaliśmy nad Morze Śródziemne. Młodzi zdobywali patenty, uprawnienia żeglarskie na „Pogorii”. Dotarliśmy na Monte Casinò. Zabieraliśmy dzieci z domu dziecka, których matki są w więzieniu w Grudziądzu. Byliśmy w Medjugorje i w Cenacolo. Robimy wielkie festiwale „Aniołków nad Wisłą”. Te wyjazdy bardzo nas integrowały. Te dzieci utożsamiają się z nami.

Gdy pojechałem pierwszy raz do Sióstr Misjonek Matki Teresy z Kalkuty, to spotkałem tam człowieka, który chciał przyjąć Komunię świętą, ale był pijany. Wypowiadał się, więc udzieliłem mu Komunii świętej warunkowo. Poszedł na Dworzec Wschodni, a później dowiedziałem się, że w następnym tygodniu już nie żył.

Nosił mały obrazek Matki Bożej Miłosierdzia i modlił do niej, np. o jedzenie.

Kiedy poszedłem na ul. Potrzebną do siostry Małgorzaty Chmielewskiej, zobaczyłem ludzi podopiecznych domu. Nieraz młodzi ludzie, amputowane nogi, widać, że alkohol i narkotyki zrobiły swoje. Jeszcze do tego czasem choroba nowotworowa. Tam był taki Bartek i ja widziałem, że nie potrafię do niego dotrzeć. Pewnego razu przywiozłem moich przyjaciół, a wśród nich była ładna kobieta, która urzekła Bartka. W efekcie się wypowiedział.

Czy umiemy rozmawiać z trudną młodzieżą? My jesteśmy też dla nich trudni. Trzeba brać przykład z Jana Pawła II. On słuchał drugiego człowieka. Prawda jest niezmienna. Chrystus przeszedł przez krzyż i patrząc przez krzyż, staram się zrozumieć drugiego człowieka i mu pomóc. Jan Paweł II zawsze żył siedmioma darami Ducha Świętego. Na Siedem Grzechów Głównych najlepszą odpowiedzią i strategią są dary Ducha Świętego.

W Cenacolo jest taki obraz, że Chrystus jak ratuje człowieka, to nie chwyta go za rękę, bo człowiek może się wtedy wyrwać, tylko za nadgarstek. Ja muszę Chrystusowi oddać swoje życie, uzależnienia. Ja mam być Jego narzędziem. Nie wiem jak, ale On to robi.

Kacper – pół życia spędził w hospicjum. Pojechałem do niego. Trzy siostry i mama, brakowało ojca. Brak ojca bardzo wpływa na życie rodziny. Kacper mówi mi, że chciałby przyjąć chrzest przed śmiercią, ale mama jest świadkiem Jehowy. Wybrałem się na pielgrzymkę do Santiago de Compostela i obiecałem mu modlitwę w jego intencji. Gdy wróciłem do Polski, to Pan już go wezwał do siebie. Wierzę, że dostał Chrztu pragnienia.

Jak za mocno ściśniemy piasek, to on nam się wymknie. Młodzi ludzie są jak ten piasek. Mamy pomagać im, żeby odkryli w sobie siłę, żeby zaufali. Budować ich poczucie wartości. Trzeba w to włożyć dużo pracy.

Jest dwanaście stopni pychy i pokory według św. Bernarda. Pierwszy stopień pychy to ciekawość, a pokory – poznanie samego siebie. To jest ten klucz, według którego rozmawiam z młodymi. Z Bożą łaską można zmienić wszystko.

S. Jolanta Glapka

Chciałam tutaj dodać, że ja też nie lubię sformułowania „młodzież trudna”, bo to my mamy trudność w zrozumieniu ich. Oni są poranieni, mają zupełnie inną rzeczywistość, do której my często nie mamy dostępu i stąd rodzi się ta nasza trudność. Prawda jest taka, że to są ludzie, którzy potrzebują miłości, zrozumienia, naszej otwartości. I wtedy nie będą trudni.

Krystyn Nawrocki

Wspominając moją rodzinę, obecnie często lubię powtarzać naszym dzieciom słowa mojej mamy z lat dziecięcych: „Jesteście dla mnie wszystkim, zawsze i na zawsze. Moją gwiazdą poranną, tęczą i symfonią. Jesteście ukojeniem, uwielbieniem i spełnieniem moich marzeń”. Słowa te są dodatkową cegielką w budowaniu wiary w sens życia. Stanowią też istotny element w budowaniu mocnego fundamentu poczucia wartości, więzi emocjonalnych, wrażliwości uczuciowej, zdolności do trwałego kochania, wiary w siebie i własne możliwości. Są ważnym czynnikiem w budowie odporności psychicznej. Brak owej odporności może w młodym człowieku (szczególnie w trudnym okresie dorastania) wywołać postawy agresji i negacji zachowań.

Ks. Adam Zelga

Pan Jezus kazał budować na skale, a nie na piasku. Proszę państwa, mam ogromną satysfakcję z tego spotkania, dlatego że widzę, że Edmund Bojanowski wciąż jest wśród nas, w żywych osobach, które idą, w jakiś Bogu znany sposób, podobną drogą.

Dyskusja

Jan Zmysłony

Chciałem opowiedzieć państwu doświadczenie z „mojego podwórka”. Mieszkam tutaj w okolicy, gdzie pojawiły problemy z młodzieżą. Spędzają czas na klatce schodowej, na ulicy. Był tam alkohol, papierosy, narkotyki. Szukałem różnych dróg, żeby ich czymś zająć, zainteresować. Trafiłem nawet do pani Rektor. Udostępniliśmy im boiska sportowe, sale, jakieś wsparcie, trenerów. Młodzież nie skorzystała z oferty. Wydawało mi się, że nic z tego nie wyszło. Dowiedziałem się jednak, że ta młodzież trafiła na boiska. Jest to bardzo pozytywne. To co dzisiaj usłyszałem, jest dla mnie bardzo budujące.



Jan Zmysłony

S. Jolanta Głapka

To jest droga pod górę, ale dobrze, że pan próbuje. Nie wolno się zniechęcać. Może trzeba podesłać tam innych i dalej z nimi dialogować. Zachęcać ich, dawać świadectwa. Nawiązać z nimi relacje. Bo oni mają swoją historię. Oni chcą być wysłuchani.

Krystyn Nawrocki

W nawiązaniu do tego, co pan powiedział, dodam, że istotne jest, aby relacje z nastolatkiem opierały się na szacunku, zaufaniu, a ograniczenia, które stanowią granice odkrywania tożsamości, odczytywali jako wyraz naszej troski. Własnym przykładem i przy każdej okazji staram się dawać im świadectwo, że są dla nas ważnymi, wyjątkowymi darami.

Alicja Nawrocka

To nie jest łatwe. Za każdym razem napotykamy na inną trudność. Czasem przychodzą tak trudne chwile, że nam się wydaje, że nie damy rady. Ale nie poddajemy się. Ciągłe poszukujemy i znajdujemy nowe rozwiązania. Są tego efekty. Jedna z naszych dziewczynek była bardzo trudna, niektórzy by już zrezygnowali i się poddali. Lecz my stale w nią wierzyliśmy, mówiliśmy jej, że da radę, że ma w sobie dużo dobra i możliwości. Dzisiaj sama przyznaje, że robiła błędy. Dzieci nasze muszą wiedzieć, że my w nie wierzymy. Trzeba mówić im cały czas dobre rzeczy o nich samych, aby je motywować i pobudzić wiarę we własne możliwości.

Elżbieta Mycielska-Dowgiałło

Parę słów z naszego własnego doświadczenia. Powiem o błędach, które ludzie robią, a które wpływają na życie innych ludzi przez wiele lat.

Wiele lat temu wybrał nas, wówczas dziewięcioletni, chłopiec z domu dziecka, który chciał do nas przychodzić na niedzielę. Zaczął do nas zaraz mówić mamó i tato, co nas wtedy trochę krępowało. Pierwszy rok, który z nim przeżyliśmy, był bardzo ciężki. Okazało się, że był już dwukrotnie wcześniej brany z domu dziecka, odrzucany i oddawany. Kiedy zaczął przychodzić do nas, nie wierzył, że my możemy być inni. Mówiliśmy mu wielokrotnie, że jeśli postanowiliśmy, że będziemy się nim opiekować, to będziemy z nim przez całe życie. Raz na zawsze, niezależnie od tego, co będzie się z nim działo, co będzie robił, nawet jeśli wyląduje w więzieniu. On tego nie przyjmował, nie wierzył. Przez

pierwszy rok doświadczał nas wszystkimi możliwymi sposobami. Tak jakby podświadomie chciał, żebyśmy nie wytrzymali i go odrzucili. Dopiero po roku uwierzył, że nasze słowa są prawdziwe. Do dzisiaj mamy z nim stały kontakt, mimo że minęło od tego czasu prawie 40 lat.

Krystyn Nawrocki

Każdy młody człowiek pragnie, aby w jego życiu panowała harmonia i porządek. Dlatego często przy pobłażliwym wychowywaniu czuje złość i wściekłość za brak wskazówek i ustaleń, co mu wolno, a czego nie. Podejście autorytarne najczęściej prowadzi do buntu. Stosując dobroć i stanowczość, zachęcamy młodego człowieka do kształtowania poczucia własnej godności, poprawnego zachowania. Jeżeli nie zapewnimy młodemu człowiekowi poczucia przynależności, znaczenia, sukcesu – nie możemy krytykować jego nieodpowiedzialności. Tak jak już wspomniałem, głębokie wczucie się w sytuację nastolatka jest kluczem do pozytywnych zmian. Wrzeszczenie, upominanie, groźby są bezskuteczne, a często są źródłem frustracji.

Musimy też pamiętać, że żaden człowiek nie przychodzi na świat z czystą kartą. Składa się na nią wiele czynników: dziedziczenie genetyczne, konstrukcja fizyczna, płeć, psychiczna zdolność organizowania doświadczeń, szczęśliwe trafy, ciosy losu. Jednakże najważniejsza jest nić przewodnika, która poprowadzi go od pierwszego płaczu do wyborów życia dorosłego. Chcąc zrozumieć młodego człowieka, trzeba sięgać do głębi osobowości, nigdy powierzchownie.

Studentka

Mam pytanie do państwa Nawrockich. Jak wygląda codzienny tryb życia w państwa domu?

Alicja Nawrocka

Czy chodzi o to, czy mamy podzielony ściśle dzień i czynności z nim związane, czy wywieszony jest określony ścisły plan lub harmonogram... itp.? Oczywiście jest regulamin jako placówki, z



Weronika Wojak (z mikrofonem)

którym dzieci są zapoznane. Tego wymagają przepisy. W życiu codziennym nie stosujemy jednak sztywnych ram i funkcjonowanie naszego domu niewiele odbiega od codziennego życia wielu innych rodzin. Wyjątkiem jest, że nasza odpowiedzialność za dzieci wychowywane w rodzinnym domu dziecka jest znacznie większa niż za swoje własne, biologiczne.

W naszym domu przebywa zazwyczaj ósemka, a obecnie siódemka dzieci. Był okres, kiedy było ich dwanaścioro. Zdarzyło się, że przy rutynowej kontroli i spisywaniu dokumentu dotyczącego placówki rodzinnej jeden z urzędników zapytał: „jakie piętro przeznaczylismy dla dzieci?” Odpowiedzieliśmy: „nie było i nie ma osobnego piętra dla nich. One „wtopiły” się w strukturę mieszkającej już naszej rodziny”.

Pokoje dopasowywane są według potrzeb, wieku i praktyczności, jak w rodzinie. Każde z dzieci ma swój osobny pokój, a w przypadku młodszego rodzeństwa wspólny. Przez nasze biologiczne dzieci zostały zaakceptowane. Gdy przyjmowaliśmy jako pierwsze piątkę rodzeństwa, które było wcześniej w dużej placówce już kilka lat, to pierwszym pytaniem jednej z dziewczynek było „a co dzisiaj jest na obiad w jadłospisie?” – jednocześnie rozglądała się po kuchni. „Nie ma u nas jadłospisu” – odpo-

wiedziałam. „To my decydujemy, co zrobimy na obiad i o której”. To jest tak jak w normalnym domu. Wszystko jest organizowane elastycznie. Dostosowane jest pod potrzeby dzieci, zarówno życie, jak i obowiązki. Jeżeli jest konieczność zaplanowania następnego dnia, wówczas zbieramy się wszyscy wieczorem i ustalamy plan dnia i rozdzielamy ewentualne zadania na poszczególnych domowników.

Jan Zmyślony

Mam prozaiczne pytanie. Jak sobie radzicie z finansami?

Alicja Nawrocka

Finanse, jak wszyscy wiemy, stanowią odwieczny problem w opiece społecznej. Środki ryczałtowe, jakie otrzymujemy na częściowe pokrycie kosztów utrzymania dzieci, wielokrotnie są niewystarczające. Z uwagi na duże potrzeby związane z ich rozwojem społecznym, intelektualnym, rozwojem zainteresowań czy też zdolności mamy w tym zakresie duże ograniczenia, dlatego też staramy się w jakiś sposób pozyskać dla dzieci wsparcie z zewnątrz. Tutaj serdeczne podziękowania należą się obecnym na sali panu Jackowi i pani Iwonce Waksmundzkim, dzięki którym nasze dzieci otrzymały szansę, aby się rozwijać w różnych kierunkach.

Przy dużym zaangażowaniu i współpracy obu stron doświadczamy ogromnej pomocy i wsparciu od Fundacji Rodziny Waksmundzkich PROJAN. Dzięki niej nasze dzieci mogą uczestniczyć w różnych zajęciach dodatkowych – pływaniu, nauce języków obcych, wyjazdach na obozy, kolonie. Bardzo jesteśmy za to wdzięczni. Nasze dzieci, tak jak mówił ksiądz Wacław, wyjeżdżając, rozwijają się i integrują. Wiele widząc, obcując z innymi środowiskami, uczą się i zdobywają życiowe doświadczenie. Normalnie nie miałyby na to szans, żeby się rozwijać, nawet społecznie. Przez pierwsze pięć lat funkcjonowania rodzinnego domu dziecka ograniczaliśmy się tylko do finansów budżetowych, zatwierdzanych przez starostwo, co jest regulowane ustawą o opiece społecznej. Są to stawki na przetrwanie, ale nic ponadto.

Bywa, że i tego nie otrzymujemy. Brakuje pieniędzy na remonty, naprawy sprzętu i urządzeń, odpłatne zajęcia pozalekcyjne itp.

S. Jolanta Głapka

Czy macie jakieś wspólne spotkanie wieczorem, kiedy wszystkie dzieci się z wami spotykają?

Alicja Nawrocka

Oczywiście, jeżeli jest taka konieczność, to się spotykamy wieczorem i omawiamy problemy, potrzeby i pytania, jakie ich nurtują. W naszym domu w ten sposób dzieci uczą się wspólnego życia w rodzinie. Pomagają sobie wzajemnie. Integrują się.

Zważywszy na to, że niektóre ze starszych dziewcząt przebywają czasowo poza domem, w internacie, a jedna dojeżdża do Koszalina (uczy się na fryzjerkę), takie spotkania są ważne dla wszystkich, aby w pełni uczestniczyć w życiu rodziny. Jedna z dziewcząt ukończyła liceum plastyczne w Gdyni o kierunku „Malarstwo” i kontynuuje naukę na tym samym kierunku, studiując w Poznaniu, druga ukończyła liceum ogólnokształcące w Poznaniu o profilu teatralno-filmowym. Staramy się, żeby dzieci rozwijały i wykorzystywały swoje uzdolnienia i talenty.

Krystyn Nawrocki

Bardzo ważne są wspólne częste spotkania, wyjazdy. Łatwiej wówczas nam, rodzicom wsłuchać się w głos naszych dzieci, popatrzeć ich oczami i zobaczyć rzeczywistość, jaką one postrzegają. Reagując na ich uczucia, łatwo nam zakomunikować im, jak bardzo ich szanujemy, kochamy i cenimy. A młodzi ludzie, czując się doceniani przez nas, łatwiej cenią samych siebie, dokonują odpowiedzialnych wyborów, unikają zachowań, które mogłyby spowodować ich na złą drogę.

Ks. Wacław Pokrzywnicki

Tego lata zadzwoniła do mnie dziewczyna z Włoch. Wraz z mężem adoptowali trzy dziewczynki z Polski. Kiedy te dzieci szły do adopcji, uczyły się w szkołach specjalnych. A teraz przyjeżdżają

z rodzicami panny, które ja pamiętam sprzed dziesięciu lat. Trudno było je poznać, tak upodobniły się do przybranych rodziców.

Najlepiej jest pójść i zobaczyć, jak to jest w domu dziecka. Jeżeli będziesz przychodził do konkretnego dziecka, to będziesz dla niego całym światem. Ty ubogacisz jego życie, ale i ono ubogaci także ciebie tym bogactwem, jakie Bóg w niego złożył.

Alicja Nawrocka

Przez wszystkie lata, gdy wychowujemy nasze dzieci, one cały czas się buntują i próbują, na ile im się uda przekroczyć dozwoloną granicę. Ale gdy przychodzi czas, kiedy się usamodzielniają, wtedy zaczynają doceniać nasz trud i starania. Nam zależy na tym, aby były w życiu szczęśliwe, zaradne. Gdy im się udaje, jest to dla nas wielka satysfakcja i to nas buduje. Sprawia nam ogromną radość, że zrozumieli sens stawianych im granic i trud, jaki musieliśmy włożyć w ich wychowanie.

Krystyn Nawrocki

W naszym rodzinnym domu dziecka staramy się uzmysłwić naszym dzieciom, że bardzo istotnym kluczem do sukcesu i szczęścia w życiu jest równowaga między poszukiwaniem sensu życia, samorealizacją zawodową i intelektualną a budowaniem rodziny i życiem w społeczeństwie. Brak któregokolwiek z tych elementów może prowadzić do zachwiania równowagi całej struktury emocjonalnej i rzucić cień na całe życie młodego człowieka. Mam nadzieję, że moja postawa wychowawcza (własny przykład i istotne argumenty w dyskusji) wskażą wychowywanym przez nas młodym osobom drogę, którą będą podążali z głową uniesioną do góry.

Ks. Adam Zelga

Podsumowując spotkanie, wrócę do bohatera tegorocznych spotkań Edmunda Bojanowskiego. Kiedy umierał, przyjechała do niego matka przełożona wszystkich Służebniczek i prosiła o testament. Powiedział wtedy dwa zdania. Pierwsze: „prostotę



Słuchacze Konwersatorium

zalecam”. I drugie: „gdybym miał powiedzieć to, co jest najistotniejsze, powiedziałbym tak, jak to święty Jan powiedział swoim uczniom: moi ukochani, miłujcie się i jeszcze raz miłujcie się”. Myślę, że Bojanowski kochał tych, którym służył. I państwo też kochacie tych, którym służycie. To widać. Za te świadectwa serdecznie dziękuję.

Spisał z nagrania Marcin Borzęcki

Cd. dyskusji uzyskany drogą korespondencyjną:

Marianna Łacek (Australia)

Zrozumieć młodzież

Pracujesz z nastolatkami? I w dodatku uczysz w szkole chłopców? Przecież oni potrafią być niegrzeczni, arogancy, lekceważący, a nawet niebezpieczni. Jak sobie radzisz? Pytali mnie dawniej znajomi. Teraz rzadziej pytają. Przyzwyczajali się. Tak, bo już od blisko 35 lat pracuję w szkolnictwie średnim w Sydney. Uczę klasy 7 – 12, czyli chłopców w wieku od 13 do nawet 20 lat.

Jest ich w szkole ponad 1300. Jestem kobietą, niewysoką i już nie pierwszej młodości. Pomimo wielu lat uczenia angielskiego, w dalszym ciągu mówię z polskim akcentem. Respektują mnie i podobno lubią. Staram się mieć z nimi dobry kontakt. Właśnie dzisiaj, analizując w 9 klasie różnicę pokoleń, czytaliśmy wiersz napisany przez nastolatka. Pozwolę sobie przytoczyć oryginał oraz mój przekład tego wiersza:

It's hard

It's hard being a teenager
 Being thought of as troublemakers,
 Thought of as a "bad influence" to others.
 Don't they realise?
 Don't they see?
 We're going through a change,
 A great change,
 A change like a caterpillar to butterfly,
 From child to adult.
 It's hard,
 We don't know what we are
 And while we're down
 They kick us with their insensitivity.
 They were teenagers once,
 Can't they remember?
 It might have been a long time
 But that sort of thing you don't forget!
 We might be hard to understand and handle
 But
 It's hard
 To change from something you've known all your life
 To change to what you've never been or understood.
 It's hard.

Stewart Wymer (16 years)

Tak bardzo trudno

Tak bardzo trudno być jednym z nastolatków
 Postrzeganych jako rozrabiacze
 Co to mają „zły wpływ” na innych.
 Czy oni nie rozumieją?
 Czy oni tego nie widzą?
 Przechodzimy okres zmiany
 Ogromnej zmiany.
 Jak gąsiennice, które stają się motylami,
 Z dziecka wchodzimy w dorosłość.
 To nie jest łatwe,
 Sami nie wiemy kim jesteśmy.
 A jeśli zdarza nam się potknąć
 Dobija nas ich nieczułość.
 Przecież i oni byli nastolatkami.
 Nie pamiętają?
 Być może to było dawno
 Tych przeżyć się jednak nie zapomina!
 Niełatwo nas zrozumieć i niełatwo prowadzić.
 Ale
 Nam też jest trudno
 Wyjść z tego, co dotąd stanowiło życie
 I zmienić się w coś, czym się nigdy nie było, czego się nie
 rozumie.
 Tak bardzo trudno.

Stewart Wymer (16 lat)

Zawsze byłam zwolenniczką mocnej dyscypliny. Tak było w Polsce, kiedy tuż po studiach pracowałam w nowohuckiej „Budowlance” oraz w krakowskim „Nowodworku”. Tak miało być również i tutaj, kiedy los kazał mi stanąć twarzą w twarz z nastolatkami różnych narodowości. Oprócz Australijczyków (Anglosasów) w klasach są także Europejczycy, Azjaci oraz aborygeni. Wydawało mi się, że rozumiem młodzież i staram się traktować uczniów z wyrozumiałością.

Proces wychowania nie jest czymś stałym. Musi podlegać ciągłym zmianom i udoskonaleniom. My, dorośli, nie tylko wychowujemy uczniów. Wychowujemy także siebie. Jednym z takich „wychowawczych” momentów, który wpłynął na moją relację z tutejszymi uczniami był drobny szkolny incydent.

Pamiętam, była to ostatnia lekcja w 10 klasie (blisko trzydziestu 16-latków). Napisałam na tablicy zadanie domowe z poleceniem, aby uczniowie przepisali je do zeszytów i wykonali na następny dzień. Zbliżał się koniec lekcji. Chłopcy pośpiesznie pisali. Tylko jeden stał już ze spakowanym plecakiem, gotowy do wyjścia. Na moje polecenie, żeby pokazał mi zeszyt z zanotowanym zadaniem, powiedział, że on nie musi pisać, bo ma dobrą pamięć. Wywiązała się nieprzyjemna dyskusja. Ja podniosłam głos, chłopiec uparcie ignorował moje polecenie. W momencie, kiedy odezwał się dzwonek, wybiegł z klasy, trzaskając przy tym drzwiami.

Pierwszą moją reakcją było napisanie oficjalnego raportu do koordynatora przedmiotu, a więc wpisanie uwagi temu uczniowi do akt. Rozsądek podpowiadał mi jednak poszukania innego rozwiązania. Dlaczego ten chłopiec tak się zachował? Co ja właściwie o nim wiem? A może to ja zareagowałam nieprawidłowo?

Kiedy na drugi dzień weszłam do tej klasy, mój wczorajszy „konflikt” siedział na swoim miejscu. Uczniowie wiedzieli, że ja tego nie przepuszczę, czekali na dalszy ciąg.

– Wczorajszej lekcji nie zakończyliśmy pozytywnie, zwróciłam się do tego chłopca. Zgadzasz się? Mruknął coś pod nosem w odpowiedzi.

– Słuchaj, wydaje mi się, że oboje popełniliśmy wczoraj błąd w swoim zachowaniu. Podniósł nieznacznie głowę.

Klasa słuchała w napięciu.

– Ty jesteś młody i dopiero się uczysz, więc twoje zachowanie może być do pewnego stopnia wytłumaczalne. Natomiast ja, jako doświadczona nauczycielka nie powinnam była podnosić na ciebie głosu. Ale wiesz, to była ostatnia lekcja. Pewnie byłam już zmęczona. Mimo wszystko, to ty ode mnie powinieneś się uczyć

prawidłowej reakcji. Słuchaj, mam propozycję. Wróćmy do tamtej rozmowy, do momentu, który spowodował konflikt i powtórzmy naszą rozmowę jeszcze raz, ale inaczej.

Chłopcy słuchali z zaciekawieniem.

– Więc jak to było? Ja powiedziałam: Chłopcy, zapiszcie, proszę, zadanie domowe do zeszytów. Nie zapomnijcie daty – powtórzyłam polecenie z poprzedniego dnia. (Tablica nie była jeszcze zmazana).

Wczorajszy opozycjonista zaczął powoli wyjmować zeszyt z zamkniętego plecaka.

– Czy mógłbyś się pospieszyć, zapytałam spokojnie, zadzwoni dzwonek i nie zdążysz zapisać.

– Ja to zapamiętam, proszę pani.

– Nie obciążaj niepotrzebnie swojej pamięci. Masz wiele innych rzeczy do zapamiętania.

– Dobrze, już piszę, odpowiedział uczeń.

Klasa była zdumiona.

– Otwórzcie zeszyty, sprawdzam wasze zadania domowe. Za chwilę rozpoczniemy nową lekcję, zwróciłam się do uczniów. Ty zrobisz to zadanie na jutro. Niestety, będziesz miał podwójną pracę do wykonania. To, co było na dzisiaj i to na następną lekcję.

– Dobrze, zrobię to, odpowiedział chłopiec. I proszę Pani, ja przepraszam za moje wczorajsze zachowanie. To była moja wina. To ja zignorowałam Pani polecenie.

Podeszłam do jego stolika z wyciągniętą ręką. Uścisnęliśmy mocno dłonie. W porządku. Akceptuję twoje słowa.

– Chłopcy – zwróciłam się do klasy. – Ja nie mam nic przeciwko temu, żeby każdemu z was dać drugą szansę. Ale pamiętajcie. W życiu możecie nigdy nie dostać drugiej szansy. Dlatego proszę, reagujcie zawsze z rozważą. Jedno źle wypowiedziane zdanie może zaważyć na waszej przyszłości.

To właśnie ci uczniowie wyszli z inicjatywą, aby zgłosić moją kandydaturę do ministerialnej nagrody „Excellence in Teaching”.

*Czy jestem zaangażowanym członkiem Kościoła
Katolickiego i jak to realizuję mimo trudności?*



Cytaty

Błogosławiony Edmund Bojanowski swoim życiem świadczył, że był zaangażowanym członkiem Kościoła Katolickiego. Człowiek chory na gruźlicę codziennie pieszo wędrował 3 km do kościoła na Mszę Świętą (i 3 km z powrotem) i jak pisze w swoich pamiętnikach, dzień bez Mszy Świętej uważał za stracony.

Dekret o apostołstwie świeckich – Sobór Watykański II (fragmenty)

Niezliczone okazje nadarzają się świeckim do uprawiania apostołstwa w zakresie szerzenia Ewangelii i uświęcania. Sam przykład chrześcijańskiego życia i dobre uczynki spełniane w duchu nadprzyrodzonym mają już siłę pociągania ludzi do wiary i do Boga; Pan bowiem mówi: „Tak niech świeci światłość wasza przed ludźmi, aby widzieli dobre wasze uczynki i chwalili Ojca waszego, który jest w niebie” (Mt 5, 16).

Tego rodzaju apostołstwo nie polega jednak na samym tylko świadectwie życia. Prawdziwy apostoł szuka okazji głoszenia Chrystusa również słowem, bądź to niewierzącym, by ich doprowadzić do wiary, bądź wierzącym, by ich pouczyć, umocnić i pobudzić do gorliwszego życia, „albowiem miłość Chrystusowa przynagła nas” (2 Kor 5, 14), a w sercach wszystkich powinny znaleźć oddźwięk owe słowa Apostoła: „Biada mi, gdybym nie głosił Ewangelii” (1 Kor 9, 16).

Ponieważ zaś w naszych czasach powstają nowe zagadnienia i panoszą się nagminnie bardzo niebezpieczne błędy, które usiłują zniszczyć zupełnie religię, porządek moralny i samo społeczeństwo ludzkie, obecny Sobór święty zachęca gorąco świeckich, by każdy w miarę swoich uzdolnień i wykształcenia, zgodnie z myślą Kościoła wypełniał z większą pilnością swoje zadanie w zakresie wyjaśniania, obrony i odpowiedniego dostosowania zasad chrześcijańskich do problemów obecnej doby.

Świeccy prowadzą różnorodną działalność apostołską tak w Kościele, jak i w świecie. W obydwu tych dziedzinach otwierają się różne pola pracy apostołskiej, spośród których pragniemy tu wymienić główne. Są to: wspólnoty kościelne, rodzina, młodzież, środowisko społeczne, sprawy narodowe i międzynarodowe. Ponieważ zaś w naszych czasach kobiety biorą coraz żywszy udział w całym życiu społeczeństwa, dlatego jest sprawą wielkiej wagi większe ich uczestnictwo także w różnych dziedzinach działalności apostołskiej Kościoła.

Jako uczestnicy funkcji Chrystusa – Kapłana, Proroka i Króla, mają świeccy swój czynny udział w życiu i działalności Kościoła. We wspólnotach kościelnych działalność ich jest do tego stopnia konieczna, że bez niej apostołstwo samych pasterzy nie może zwykle być w pełni skuteczne. Świeccy bowiem, ożywieni duchem prawdziwie apostołskim, uzupełniają to, czego nie dostaje im braciom, i pokrzepiają ducha zarówno pasterzy, jak i reszty wiernego ludu (por. 1 Kor 16, 17-18), na wzór owych mężów i niewiast, którzy wspomagali Pawła w głoszeniu Ewangelii (por. Dz 18, 18-26; Rz 16, 3). Oni bowiem, czerpiąc siły z czynnego udziału w życiu liturgicznym swojej wspólnoty, gorliwie uczestniczą w jej pracach apostołskich; pociągają do Kościoła ludzi, trzymających się może z dala od niego; współpracują usilnie w głoszeniu słowa Bożego zwłaszcza przez katechizację; oddając na usługi Kościoła swoją wiedzę fachową, usprawniają pracę duszpasterską, a także zarządzanie dobrami kościelnymi.

Parafia dostarcza naocznego przykładu apostołstwa wspólnotowego, gromadząc w jedno wszelkie występujące w jej obrębie różnorakie właściwości ludzkie i wszczepiając je w powszechność Kościoła. Niech świeccy przyzwyczajają się działać w parafii w ścisłej jedności ze swoimi kapłanami, przedstawiać wspólnocie Kościoła problemy własne i świata oraz sprawy dotyczące zbawienia celem wspólnego ich omówienia i rozwiązania; współpracować w miarę sił we wszystkich poczynaniach apostołskich i misyjnych swojej kościelnej rodziny.

Niech będą zawsze uwrażliwieni na sprawy diecezji, której parafia jest jakby komórką, gotowi zawsze na wezwanie swego

pasterza zaangażować własne siły w przedsięwzięcia diecezjalne. Co więcej, by zadośćuczynić potrzebom miast i okręgów wiejskich, niech nie zacieśniają swej współpracy do granic parafii czy diecezji, ale niech usiłują rozszerzyć ją na tereny międzyparafialne, międzydiecezjalne, narodowe i międzynarodowe, tym bardziej że nasilający się ustawicznie ruch ludnościowy, wzrastająca współzależność ludzi i łatwość komunikacji nie pozwalają już, aby jakakolwiek część społeczności pozostawała w izolacji. W ten sposób niech troszczą się o potrzeby ludu Bożego rozsianego po całym świecie; przede wszystkim niech za własną sprawę uważają dzieła misyjne, służąc im pomocą materialną lub nawet własną osobą. Jest to bowiem obowiązkiem i zaszczytem dla chrześcijan oddawać Bogu część dóbr, które od Niego otrzymują.

Adhortacja Apostolska „Evangelii Gaudium” Ojca Świętego Franciszka (fragmenty)

Wielkim ryzykiem w dzisiejszym świecie, z jego wieloraką i przygniatającą ofertą konsumpcji, jest smutek rodzący się w przyzwyczajonym do wygody i chciwym sercu, towarzyszący poszukiwaniu powierzchownych przyjemności oraz izolującemu się sumieniu. Kiedy życie wewnętrzne zamyka się we własnych interesach, nie ma już miejsca dla innych, nie liczą się ubodzy, nie słucha się już więcej głosu Bożego, nie doświadcza się słodkiej radości z Jego miłości, zanika entuzjazm związany z czynieniem dobra. Również wierzący wystawieni są na to ryzyko, nieuchronne i stałe. Wielu temu ulega i stają się osobami urażonymi, zniechęconymi, bez chęci do życia. Nie jest to wybór godnego i pełnego życia; nie jest to pragnienie, jakie Bóg żywi względem nas; nie jest to życie w Duchu rodzące się z serca zmartwychwstałego Chrystusa. Zapraszam każdego chrześcijanina, niezależnie od miejsca i sytuacji, w jakiej się znajduje, by odnowił dzisiaj swoje osobiste spotkanie z Jezusem Chrystusem, albo przynajmniej podjął decyzję gotowości spotkania się z Nim, szukania Go nieustannie każdego dnia.

Pokusa pojawia się w formie usprawiedliwień i skarg, tak jakby musiało się spełnić wiele warunków, aby mogła zaistnieć radość. Dzieje się tak, ponieważ „społeczeństwo technologiczne zdołało pomnożyć okazje do przyjemności, lecz nie przychodzi mu łatwo doprowadzić do radości” . Mogę powiedzieć, że w swoim życiu widziałem najpiękniejszą i spontaniczną radość u osób bardzo ubogich, które na niewiele mogą liczyć. Wspominam również autentyczną radość tych, którzy pośród wielu obowiązków zawodowych potrafili zachować serce wierzące, hojne i proste.

KONWERSATORIUM LXVII

(14 grudnia 2013)

**Czy jestem zaangażowanym członkiem Kościoła
Katolickiego i jak to realizuję mimo trudności?**

Prowadzący: ks. Adam Zelga, proboszcz parafii p.w. bł. Edmunda Bojanowskiego; Waldemar Bieniak, muzyk, autor warsztatów muzycznych pt. „Od muzyki plemiennej do hip-hopu”, wieloletni pracownik katolickiego wydawnictwa „Frona”, we Wspólnocie Neokatechumenalnej, żonaty; Tatiana Cariuk, urodzona w Nowogródku (Białoruś), absolwentka Akademii Druku we Lwowie (Ukraina), do 1983 r. pracownik drukarni wydawnictwa „Grodzieńska Prawda”, za odmowę wstąpienia do partii komunistycznej zmuszona do opuszczenia pracy. Działacz społeczny i opozycyjny na Białorusi. Kierownik Towarzystwa Filomatów i dyrektor Centrum NGO „Kamienica” w Nowogródku. Współpraca z wydawnictwem Fundacji Matki Boskiej Fatimskiej (gazeta „Ave Maria” i czasopismo „Nasza Wiara”, Mińsk), wydawnictwami Medisont (Mińsk) i Rymsha (Gdynia). Od 2006 mieszka w Polsce. Fotograf, podróżniczka, przewodnik po Kresach; Magdalena Korzekwa, autorka kilkunastu książek i ponad dwustu artykułów na temat miłości, przyjaźni, radości. Przez pięć lat prowadziła program „Ziarno” w TVP1 i TV Polonia. Absolwentka prawa na Uniwersytecie Warszawskim, a obecnie studentka ostatniego roku psychologii (MISH) tegoż Uniwersytetu. Menedżer Międzynarodowej Organizacji CitizenGO; Aleksander Ciepiela, student studiów magisterskich Uniwersytetu w Hong Kongu, ekonomista.

Ks. Adam Zelga

Gdybyśmy spojrzeli na Europę z lotu ptaka, poznalibyśmy, że jesteśmy w kręgu cywilizacji chrześcijańskiej. Nad każdą wioską góruje wieża kościelna z krzyżem. Ten obraz nas ciągle spotyka, fascynuje i prowokuje. Edmund Bojanowski, bohater naszych tegorocznych spotkań, codziennie rano chodził trzy kilometry do kościoła – na Mszę Świętą, którą bardzo kochał. Tak wędrując, miał w oczach obraz przepięknej bazyliki w Gostyniu, fascynujący swoją architekturą. Niewątpliwie obraz ten, pięknej świątyni wkomponowanej w przyrodę, oddziaływał na jego duchowość.



Ks. Adam Zelga

Temat dzisiejszego spotkania brzmi: „Czy jestem zaangażowanym członkiem Kościoła Katolickiego i jak to realizuję mimo trudności”. Obraz Kościoła znacie z różnych źródeł i z własnych, osobistych przeżyć. Jesteście albo bliżej, albo dalej. Bardzo wyrazisty jest obraz malowany we współczesnych mediach. Chcielibyśmy prosić, żebyście państwo podzielili się z nami



...i paneliści: od lewej Waldemar Bieniak, Tatiana Cariuk,
Magda Korzekwa i Aleksander Ciepiela



...i słuchacze Konwersatorium

refleksjami o waszym zaangażowaniu w życie Kościoła, jak je realizujecie. Zaprosiliśmy na to spotkanie niezwykłych gości. Bardzo serdecznie ich witam.

Waldemar Bieniak

Pochodzę z rodziny katolickiej. Mam dwóch starszych braci, nasi rodzice żyją. Od małego dziecka byłem wychowywany w duchu katolickim. Byłem ochrzczony, u pierwszej Komunii Świętej, bierzmowany, matura z religii, natomiast nigdy nie czułem

Boga namacalnie, tak jak bym chciał Go poczuć. Myślę, że ten problem ma każdy z nas, że w pewnym momencie swojego życia pyta „Boże, gdzie jesteś?”. Pyta wtedy, gdy traci sens życia, przez różne okoliczności i zawirowania życiowe. Kiedy byłem nastolatkiem, nie umiałem sobie odpowiedzieć na pytanie o sens życia. Było to w okresie, kiedy miałem pierwsze doświadczenia w sferze seksualnej, pierwsze próby z narkotykami, z alkoholem, z wszelkimi używkami, później czteroletni kontakt z dziewczyną, z którą miałem się żenić, a która zostawiła mnie po tych czterech latach. Nie winię jej, gdyż widziała, co się ze mną dzieje, że nie rozwijam się, że jest we mnie jakiś regres i cofam się.

Zostawiłem wymarzoną szkołę muzyczną, do której chodziłem przez dwa lata. Na lekcje przychodziłem pod wpływem marihuany i nie byłem w stanie skoncentrować się nawet na nauce. Okazało się, że jestem bezradny w obliczu mojego nałogu, który bardzo szybko postępował – w ciągu czterech, pięciu lat, to było jak mgnienie oka. Straciłem szkołę, straciłem ukochaną kobietę i straciłem sens życia. Również zagubiłem wiarę, choć dziś stawiam sobie pytanie, jaka była ta moja wiara, jeżeli nie wystarczała, aby podjąć zmaganie w życiu codziennym, by walczyć. Wtedy zobaczyłem, że wobec moich nałogów jestem naprawdę bezsilny.

Pan Bóg w pewnym momencie postawił przy mnie kolegę, który mówił mi: „Słuchaj, może byś poszedł do jakiejś parafii, w której będą katechezy? Może to ci pomoże?” No i tak się stało. Pewnego dnia, włócząc się po Starym Mieście, usłyszałem głos: „szukajcie, a znajdziecie, pukajcie, a otworzą wam”. Wiedziałem, że to są słowa z Ewangelii, ale nie wiedziałem jeszcze, co one dla mnie znaczą. Wydało mi się to wtedy niemożliwe, że Pan Bóg może do mnie przemawiać. Był to czas, gdy sobą pogardzałem, kiedy siebie nie kochałem, kiedy czułem, że moje życie nie ma sensu, i uważałem, że takiego człowieka jak ja nikt nie może kochać, a tym bardziej Bóg. Wiedziałem, że jestem manipulatorem, że potrafię oszukiwać rodziców, znajomych i innych, Mydlić im oczy, wyłudzać pieniądze. Mimo że znałem słowa „szukajcie, a znajdziecie, pukajcie, a otworzą wam”, tego dnia usłyszałem je tak, jakbym je po raz pierwszy usłyszał. Dotarło do mnie wtedy, że

Jezus Chrystus został posłany przez Boga Ojca na ten świat do tych, którzy się źle mają. Bo lekarza potrzebują ci, którzy są chorzy. A kim jest ten chory? To ten, który ma jakikolwiek problem z tym, że nie potrafi kochać drugiego człowieka, nie potrafi kochać siebie, nie potrafi kochać najbliższych, a co dopiero wrogów. To jest człowiek, który stracił sens życia, który jest uwikłany w różne nałogi, w pornografię, w seks, w alkohol, w narkotyki. To jest człowiek, który nie umie panować nad sobą, nad swoim ciałem. To jest niewolnik swojego ciała. To jest człowiek, który nie potrafi być panem siebie.



Waldemar Bieniak

Dzięki świeckim zaangażowanym w Kościele trafiłem na katechezy głoszone w parafii. Usłyszane tam słowa precyzyjnie trafiały do moich uszu i serca ze swoim przesłaniem na temat Biblii, historii Kościoła i powołania człowieka, a przede wszystkim o miłości do każdego grzesznika. Te katechezy trwały przez kilka tygodni. Po raz pierwszy usłyszałem na nich, że mogę być kochany, że Jezus nie odrzuca takich ludzi jak ja, że ich szuka tak, jak owcy zagubionej. Tego dnia poczułem totalną miłość, pokój i nadzieję, że moje życie może mieć jeszcze sens. Powiedziałem sobie: „Panie Boże, jeśli ja mam wracać do tego mojego bagna, do mojego obecnego życia, w którym tkwię, to ja nie chcę już żyć”. Tego

wieczora wyszedłem z katechezy i nigdy już nie wróciłem do narkotyków. Pan Bóg zabrał moje nałogi. Wtedy powiedziałem jak święty Piotr: „Panie, pójdę za Tobą wszędzie. Jaki masz plan wobec mnie? Znasz moją historię najlepiej. Nikt jej tak nie zna jak Ty. Bądź moim reżyserem, bądź scenarzystą mojego życia. Co chcesz, żebym robił? Chcesz, żebym był księdzem, zakonnikiem? Proszę bardzo. Chcesz, żebym się ożenił? Proszę bardzo. Ile mam mieć dzieci?”

W parafii, do której chodziłem na katechezy, zawiązała się Wspólnota Neokatechumenalna. Jestem w niej od 24 lat. Wspólnie prowadzimy ewangelizację, katechezy, zakładamy nowe wspólnoty. Na początku mojej drogi we Wspólnocie prosiłem Pana Boga: „Jeśli małżeństwo jest moim powołaniem, to daj mi, proszę, żonę ze Wspólnoty, żebyśmy nadawali na tych samych falach”. I dalej prosiłem: „Żeby była ładna i żeby była nauczycielką”. Miałem kompleks czarnej owcy w szkole, kiepsko się uczyłem, byłem niedopilnowany przez rodziców i zawsze słyszałem tylko „Bieniak, siadaj, dwa”. Z różnych przedmiotów miałem same oceny niedostateczne i cierpiałem z tego powodu jak pies. Pan Bóg wysłuchał mojej prośby: żonę dostałem ze Wspólnoty, ładną, która bardzo mi się spodobała, i jest nauczycielką. Teraz z moją żoną jesteśmy w jednej ekipie, w której wraz z innymi małżeństwami głosimy katechezy.

Od 1988 roku, odkąd jestem we Wspólnocie Neokatechumenalnej, prowadzimy katechezy i ewangelizację nie tylko w naszej parafii, ale również tam, gdzie pracujemy. Przez trzy lata pracowałem na budowie, jeździłem taczkami jako robotnik niewykwalifikowany i trafiłem w bardzo trudne środowisko, w którym bez wódki nie wchodziło się na zakład pracy. Wielu mężczyzn tam pracujących było już alkoholikami, ale nie chcieli się do tego przyznać. Poznałem jednego z nich, który nazywał się podobnie jak ja Waldemar, tylko że nie Bieniak, ale Bieniek. Pracowaliśmy razem. Często mnie pytał: „Co ty jesteś taki wesoly?”. Zastanawiało go to, że zawsze byłem uśmiechnięty, a on stale skwaszony. Mówiłem mu swoje świadectwo i to, że teraz jestem człowiekiem wolnym, bez uzależnień. W niedługim czasie ten kolega również

trafił do Wspólnoty i Jezus uwolnił go od nałogu pijaństwa i na nowo scementował jego małżeństwo. Dziś jest zupełnie innym, radosnym człowiekiem. Jezus pokazał ponownie, że jest jedynym, który może nas uwolnić od przekleństwa grzechu.

Później trafiłem do wydawnictwa „Fronda”, które było wydawnictwem katolickim. Zaczęło swoją działalność w 1994 roku. Było to znane wydawnictwo, publikujące kwartalnik „Fronda”, książki i krótkometrażowe filmy dokumentalne i publicystyczne. W programach publicystycznych po godzinie 21 w TVP1 zajmowały one jedno z pierwszych miejsc w oglądalności. Były podejmowane przeróżne tematy społeczne i historyczne. Zapraszane były osoby z różnych opcji politycznych, które się danymi tematami zajmowały. Pracowałem tam jako dźwiękowiec i jeździliśmy z kamerą po całej Polsce, robiąc filmy dokumentalne. Później załamała się ta działka telewizyjna i została tylko sama działalność wydawnicza. Do tej pory wychodzi kwartalnik „Fronda”, wychodzą książki. Z dwoma kolegami pracującymi na etacie we „Frondzie” dostaliśmy propozycję, że możemy przejąć księgarnię, jedyną wówczas w Polsce księgarnię patronacką „Frondy” i być na swoim utrzymaniu. I tak przeszedłem do księgarni, którą prowadziłem przez wiele lat. Może wydawałoby się to takim normalnym zrządzeniem losu, ale nie dla mnie, ponieważ było to nowe i niezwykle doświadczenie. Ja, który nigdy nie przeczytałem w szkole żadnej lektury, no, może poza jedną najcięższą „Janko Muzykant”, prowadziłem teraz księgarnię i nadrabiałem zaległości, czytając książki. Niestety, w dobie ogólnego kryzysu, kiedy ludzie mają coraz mniej pieniędzy i czytają coraz mniej książek, a także wchodzi e-booki, internet i nowe technologie, musiałem zakończyć księgarską działalność. W chwili obecnej poświęciłem się mojej największej pasji życiowej – muzyce, tworząc kilka projektów muzycznych, które – mam nadzieję – rozwiną się i zapewnią mi nie tylko satysfakcję, ale również konkretne utrzymanie mojej rodziny.

W czasie kiedy pracowałem w księgarni, miałem wiele okazji do poruszania tematu Kościoła, Boga, religii..., byłem czasem zmuszony mówić o Bogu. Było wiele takich sytuacji, kiedy do

księgarni przychodzili ludzie w różnym wieku, przeglądali jakieś książki, rozmawiali i czasem zadawali mi pytania, na przykład, co sądzę o Kościele, o księżach pedofilach, o gorszących sprawach w Kościele. Wtedy mówiłem moje świadectwo, jak Bóg zadziałał w moim życiu, i zawsze broniłem Kościoła, który wyciągnął do mnie rękę.

Zakończę anegdotą: jaka jest różnica między przeciętnym katolikiem a świętym? Do przeciętnego katolika podchodzi na ulicy jakiś drab i go tarmosi. Jaka jest jego reakcja? Jest oburzony, jakim prawem facet ma czelność go zaczepiać i szarpać. Jeżeli ma przewagę fizyczną i intelektualną nad zaczepiającym, to może się obronić, uderzyć go czy spoliczkować. Ale teraz ten sam drab podchodzi do świętego, no i również go wyzywa od najgorszych, poniewiera, szarpie. Co robi święty? Stoi, nie broni się, tylko patrzy prosto w oczy draba i mówi „bracie, widzę, że masz dobre oko, ale jestem jeszcze gorszy, niż myślisz”.

Anegdota ta zawiera głębokie przesłanie. Święty to ten, który widzi siebie w prawdzie i często czuje się niegodny. W Ewangelii Jezus mówi „poznacie prawdę, a prawda was wyzwoli”. Jaka prawda? Prawda o nas samych. Tak mówi Pismo Święte.

Warto pamiętać, że my świeccy mamy dużą rolę do odegrania w społeczeństwie. Możemy dzielić się tym, co Bóg zrobił w naszym życiu, tam gdzie jesteśmy, w zakładach pracy, w firmach, w różnych przedsiębiorstwach, na uczelni. Trzeba modlić się do Ducha Świętego, by nas oświecił, dał mądrość, abyśmy przez to, co mówimy, potrafili dotrzeć do drugiego człowieka. Jest to często bardzo trudne, czasem ponad ludzkie możliwości, ale z Bogiem zawsze możliwe.

Tatiana Cariuk

Teraz jeszcze do końca nie wiem, co państwu powiem. Kiedy zgodziłam się wziąć udział w Konwersatorium, natychmiast pogрузyłam się we wspomnieniach i – załamalam się. Już nie mówiąc, że 10 minut to zbyt mało czasu, by opowiedzieć wszystko to, co by się chciało. Z drugiej strony, zaczęłam wątpić, czy nadaję się, aby podzielić się z państwem swoim świadectwem. Nie jestem

święta, miałam różnego rodzaju przejścia w swoim życiu i myślę, że nie jestem jakimś wyjątkowym człowiekiem. Ale chyba tutaj też przychodzą zwykli ludzie. Dzisiaj wstałam o piątej rano, jeszcze robiłam jakieś notatki, ale nawet nie wiem, czy potrafię z nich skorzystać. Już słuchając wypowiedzi innych osób, chciałam włączyć się do dyskusji, bo od razu ogarnęły mnie refleksje.

Żeby powiedzieć państwu coś istotnego, chyba muszę zacząć od początku, bo moja historia jest inna niż tych, którzy urodzili się w Polsce. Chyba po akcencie – tym „kresowym”, którego, podobno, już nigdy, może na szczęście, nie pozbędę się, poznaliście, że nie jestem z Polski. Jestem z Białorusi, a dokładnie – z Nowogródka. Tego samego, w którym urodził się i był ochrzczony nasz poeta Adam Mickiewicz. Mój chrzest odbył się w tym samym kościele, tylko przedtem, przez prawie 35 lat, byłam innym człowiekiem.



Tatiana Cariuk, obok siedzą Waldemar Bieniak i Magda Korzekwa

Co to znaczyło – żyć tam? Urodziłam się w rodzinie, w której nic nie mówiono o Bogu. Mieliśmy babcię i dziadka ze strony ojca, którzy mieszkali na wsi nad Niemnem. Bywaliśmy u nich, szczególnie latem, na wakacjach. Wieczorami od czasu do czasu słyszałam, jak moja babcia coś cicho szeptała, leżąc już w łóżku. Modliła się i miała nawet różaniec, który gdzieś chowała. Nie

wiedziałam wtedy, po co jest różaniec i co się na nim robi. Kiedy dziadek przyłapywał ją na modlitwie, to zaczynał na nią strasznie krzyczeć, by przestała. A ona wtedy płakała. Babcia była bardzo dobrym człowiekiem i mnie było jej ogromnie żal. Kiedy miałam 13 lat, zapytałam ją, że widziałam w innych domach ikony, a u nas jej nie ma. Dlaczego? A ona odpowiedziała, że mi pokaże, gdzie jest u nas ikona. I pokazała schowek w komorze z ikoną zawiniętą w płótno. Rozwinęła ją, ucałowała i schowała z powrotem. Minęło wiele lat. Moja babcia już nie żyła i ten dom już do nas nie należał, stał opuszczony, zamknięty na ciężką kłódką. Na wsi bywaliśmy tylko na cmentarzu, na grobach. Raptem zadzwonili sąsiedzi, że dom okradziono i trzeba przyjechać. Pojechałam, weszłam do środka przez rozbite okno, pochodziłam w smutku po tym już martwym domu, który za życia dziadków tyle dla mnie znaczył. Z pamięci nagle wynurzyła się zupełnie zapomniana historia z ikoną. Sięgnęłam do schowka – był nienaruszony! Wydobyłam ikonę i zabrałam ją ze sobą. Był to obraz Matki Boskiej Ostrobramskiej, który babcia przyniosła z pieszej pielgrzymki do Wilna jeszcze przed wojną.

Babcia, pochodząca z drobnej szlachty, przez całe życie, także przed 1939 rokiem, była nauczycielką. Dziadek też był nauczycielem. Moi rodzice również byli nauczycielami w Nowogródku. Moja mama jest Rosjanką. Jej matka – moja babcia – mieszkała daleko, w Moskwie. Bywaliśmy u „moskiewskiej” babci tylko w czasie ferii zimowych. Mieszkała ze swoim ojcem, czyli z moim pradziadkiem. Był on kiedyś prawosławnym popem i dostał za to dziesięć lat obozów stalinowskich. Uwięzili go, kiedy miał 78 lat. Wrócił zupełnie chory i wkrótce zmarł. Ale ja go jeszcze pamiętam – z dużą siwą brodą, kiedy siedział w skórzanym fotelu z pledem na kolanach. O tym, kim był i jaki go spotkał los – nam nie opowiadano. Babcia nigdy i nic nie opowiadała o przeszłości.

Dowiedziałam się o wszystkim dużo później, już po jej śmierci, kiedy zaczęła opowiadać o niej moja mama. Mówiła, że jak tylko dowiedziano się, że babcia jest córką popa, do tego jeszcze represjonowanego – natychmiast zwolniono ją z pracy. Musiała pakować walizki i z piątką dzieci jechać w świat. Tak rodzina

włączyła się po całym Związku Radzieckim. Ukrywali się. Mama powiedziała, że babcia głośno głosiła ateizm, bo po prostu bała się. Dlatego też nam, dzieciom, nic nie opowiadano o przeszłości – tak próbowano ochronić nas.

Mój ojciec urodził się w 1925 roku w województwie nowogródzkim, w II Rzeczypospolitej – to było zupełnie inne życie niż życie mojej mamy. Gospodarka nad Niemnem, dom w Białymstoku, gimnazjum. Ale w 1939 roku życie to skończyło się w jedną noc. Z siedmiu braci i siostr mojego dziadka piątka rodzeństwa wraz z rodzinami została wywieziona na Syberię. Część miała szczęście – uratowała się z armią Andersa, jednak los większości pozostał dotąd nieznanym. Potomkowie żołnierzy polskiej armii osiedlili się po wojnie w Anglii, gdzie mieszkają do dziś. To krążyło wśród nas prawie jak jakaś legenda rodzinna. Już po upadku Związku Radzieckiego udało się ich jednak odnaleźć i teraz podtrzymujemy z nimi bardzo ciepłe kontakty. Również poznaliśmy się z krewnymi, którzy mieszkali w Polsce. Od nich dowiedziałam się o losie rodziny i skojarzyłam z tym, co kiedyś mówił dziadek – bo nikt niczego nie mówił wprost. Nie można było. Dziadkowie chronili nas. Bali się. To było społeczeństwo, które na zewnątrz pokazywało radość, śpiewało, kręciło piękne filmy o tym, jakim wspaniałym krajem szczęśliwych ludzi jest Związek Radziecki, a tak naprawdę w ludziach głęboko zakorzeniony był strach i cierpienie.

My urodziliśmy się w czasach, kiedy już nie przyjeżdżano po nocach i nie zabierano ludzi bez sądów i kiedy wszyscy inni przymykali na to oczy i cieszyli się, że to nie o nich tym razem chodziło. Za mojego życia już tego nie było i ludzie mojego pokolenia nie mogli uwierzyć, że coś takiego było możliwe – że człowieka można było zabrać za nic, postawić pod ścianę i zabić. Takich, którzy przeszli przez ten koszmar, były miliony, a tych, którzy nie przeżyli tego koszmaru – których zamordowano lub doprowadzono do śmierci, były też miliony. Lecz ci, którzy przeżyli, o tym milczeli. Najgorsze w tym stalinowskim systemie było to, że on głęboko poranił ludzi, wypalił w nich coś na dużo pokoleń do przodu. Nawet Mojżesz prowadził swój naród po

pustyni przez czterdzieści lat dlatego, żeby zostały zapomniane lata niewoli. A ile pokoleń postradzieckich ludzi będzie musiało chodzić po swoich pustyniach, żeby pozbyć się strachu, który zakorzenił się prawie na poziomie genetycznym.

W mojej rodzinie, jak już wspomniałam, nie mówiono o Bogu. Nic złego, ale i nic dobrego – po prostu ten temat nie istniał. O tym, że są jakieś święta chrześcijańskie, dowadywałam się stopniowo w szkole, bo, na przykład, któreś z dzieci przyniosło jajeczko w kolorze czerwono-brązowym. Kiedyś matka mojej przyjaciółki przygotowała cały talerz takich kolorowych jajek i moja przyjaciółka przyniosła ich pełne kieszenie do szkoły i porozdawała. Doszło to do dyrektora, który wezwał jej matkę na rozmowę. Matka była prostą sprzątaczką. Próbował wytłumaczyć jej, że tego robić nie wolno. Ale ona uparcie twierdziła: „Tak robiła moja babcia i moja matka, i ja tak robiłam i będę tak robić!” Wróciła do domu bardzo z siebie dumna. Ale takiego rodzaju proste wydarzenia, o których przypominałam sobie później, były wtedy jakby na marginesie, niczego istotnego nie zmieniały w moim życiu.

W moim domu lubiano i czytano książki. System radziecki nie dał rady zabrać nam dostępu do klasyków rosyjskiej literatury. Czytaliśmy dzieła Dostojewskiego, Tolstoja. Te książki niepokoiły, zmuszały do myślenia, sięgały do głębi. Wyczuwałam, że opowiadają one coś istotnego o życiu i człowieku i kryją pytania dla mnie ważne: po co istnieje człowiek i jaki sens ma jego życie. Z „Braci Karamazow” zapadła mi w serce jedna myśl, nie od razu zrozumiana, ale zapamiętana: „Zabierz człowiekowi nieśmiertelność duszy – a wszystko będzie wolno”. To było przesycone głębokim sensem, aż ciarki przechodziły po plecach i ja to wyczuwałam, wtedy jednak nie mogłam tego zrozumieć, bo nie miałam klucza do tych „drzwi”. Urodziłam się w tym systemie i był on dla mnie jeszcze wówczas jedyną rzeczywistością. Nie czułam się szczęśliwa od tych myśli... Szczęśliwa czułam się tylko w rodzinie, wśród swoich. Bo rodzinę mieliśmy świetną – dużą i hałaśliwą. Mieszkaliśmy w dużym, pięknym domku z kolumnami i lipami wokół. Na zewnątrz jednak coś mnie cały czas męczyło, nie zgadzało się.

Kiedy miałam 16 lat, trafiła do mnie książka, która przekreśliła cały Związek Radziecki, z całym jego kłamliwym systemem ideologicznym. To był „Archipelag Gułag” Sołżenicyna. Książka została dopiero co wydrukowana na Zachodzie i do nas trafiła przez przyjaciela mojej siostry, który pracował w Moskwie na uniwersytecie. Przywiózł ją do Nowogródka, żeby mogli ją przeczytać również jego przyjaciele, którym ufał. Chodziłam często do rodziny siostry w odwiedzinach i dostrzegłam, jak oni płakali nad tą książką. Zmusiłam ich, bym mogła też ją przeczytać. Nie dałam jednak rady jej skończyć z powodu wstrząsającej prawdy, którą przez nią odkryłam. Już nie można było żyć tak jak wcześniej. Powiedział Pan, że „prawda nas wyzwoli” – ale prawda bez Boga, tylko na poziomie informacyjnym, może doprowadzić do rozpacz, bo nie daje wsparcia, daje tylko niezmierne cierpienie.

Po zakończeniu szkoły w Nowogródku wyjechałam do Lwowa na studia. Szybko znalazłam nowych przyjaciół. Obchodziliśmy wszystkie święta katolickie i prawosławne – bo wszystkie były tam świętowane! Ukraińscy studenci podczas świąt po prostu nie przychodzili na wykłady.

U nas w Nowogródku był czynny tylko jeden kościół i jedna cerkiew. W czasie chrześcijańskich świąt przed świątyniami dyżurowali nauczyciele, którzy byli zobowiązani zapisywać przychodzących rodziców swoich uczniów. A broń, Boże, gdyby przyprowadzili swoje dzieci! Mogli za to zostać pozbawieni praw rodzicielskich. Moi rodzice, nauczyciele, o tym mówili między sobą, ale jednocześnie to bezpośrednio nas nie dotyczyło. Jak już mówiłam, w naszej rodzinie nie mówiono o Stwórcy, ale zachęcano do czytania i myślenia. Może dla mnie to był początek mojej drogi do wiary?

Po studiach wróciłam na Białoruś, do Grodna, gdzie pracowałam w drukarni jako inżynier technolog. Po jakimś czasie wyrzucono mnie z pracy. Formalnie było to odejście za porozumieniem stron, faktycznie – kara za odmowę wstąpienia do partii. To był 1983 rok – ostatni rok rządów Breżniewa, ale jeszcze nic nie wskazywało na przyszłe zmiany. Wylądowałam w ekspedycji geologicznej w Azji Środkowej, w górach Tienszan. W Kirgizji spotkałam różnych ludzi, dzięki którym dalej odkrywałam świat.

Tam była mieszanka Kirgizów i dziesiątek narodów – z reguły potomków zesłanych w różnych okresach Polaków i Ukraińców, Niemców i Białorusinów, Turków i Tatarów, Koreańczyków i jeszcze wielu innych... Na przykład, poznałam dziewczynę – bardzo piękną, której dziadek został rozstrzelany jako japoński szpieg. Babcia była Polką – córką zesłańców jeszcze z powstania styczniowego. A żeby było ciekawiej, to ojciec jej był Rosjaninem. Ale to już inna historia. W każdym razie po pół roku azjatyckich przygód powróciłam do Nowogródka.

W tym czasie zrobiłam pierwszy krok do wyzwolenia – zaczęłam uwalniać się od materializmu, a dokładniej – przestałam uznawać go za swoją „prawdę”. Nie wierzyłam już, że człowiek istnieje tylko po to, żeby się urodzić i w końcu umrzeć, i na tym koniec! Ten problem bardzo długo mnie męczył... Jak zwykle, szukałam odpowiedzi w książkach. Tym razem poważnych – filozoficznych, takich, jakie mogłam znaleźć – od Platona do Kanta, od zbioru Upaniszad (teksty religijno-filozoficzne z VIII-III wieku p.n.e. wedyjskiego objawienia) do Rudolfa Steinera, czytałam i myślałam, bo porozmawiać na takie tematy po prostu nie miałam z kim. Nagle dotarła do mnie myśl, że próbuję zbadać coś, czego nie jestem w stanie zrozumieć, bo nie jest to rzeczą materialną, a ja korzystam z metod i założeń materialistycznych! Podświadomie byłam dotąd pewna, że świat jest całkowicie poznawalny – bo tak nas uczono! W jakimś momencie zrozumiałam, że istnieją rzeczy, których człowiek nie jest w stanie ogarnąć swoim rozumem, bo to przerasta jego możliwości. W tym samym momencie jakby zniknęły dla mnie ograniczenia świata materialnego i odkryłam świat duchowy.

U nas w Nowogródku był ksiądz, którego poznałam przypadkiem. Po powrocie z ekspedycji musiałam znaleźć sposób zarabiania na życie. Z pomocą przyszło mi moje zamiłowanie do historii. Zaczęłam pracować jako przewodnik. Poszłam do cerkwi i do kościoła, żeby porozmawiać o możliwości ich zwiedzania. Wtedy na Białorusi jeszcze nie było praktyką przewodników zwiedzanie świątyń. Tak poznałam księdza Antoniego Dziemiankę, który teraz jest już biskupem. Byłam zafascynowana tym

człowiekiem. Miał odwagę mówić i żyć, tak jak myślał. Był inny, bo był człowiekiem wolnym! Pozwolono mu tylko jeden raz w tygodniu odprawiać Mszę Świętą! W nim było to coś, czego szukałam – wiara! To Chrystus dawał mu wolność, nadawał sens życiu i pokazywał drogę. Nagle jakbym nowymi oczami zobaczyła świat: rzeczy, które były dotychczas dla mnie ważne, stały się nieważne, a to co było nieważne, raptem nabrało wymiaru głębi i prawdy. Znalazłam to, czego szukałam – klucz do sensu życia – odnalazłam Boga. W wielkiej radości zaczęłam dzielić się z bliskimi tym, co otrzymałam. Ale część przyjaciół odeszła ode mnie, a nawet mnie znienawidziła. Nie mogłam tego zrozumieć – przecież stałam się lepsza! Ale dla nich po prostu – inna, obca.

Ukoronowaniem procesu mojej przemiany wewnętrznej była prośba do księdza Antoniego o chrzest. Ksiądz jednak wątpił, czy jestem już odpowiednio przygotowana i uważał, że muszę jeszcze dużo rzeczy związanych z wiarą poznać, bo nie miałam zachowanej tradycji w rodzinie. Tak to zawisło w powietrzu. Czas płynął, a ja tymczasem prowadziłam nadal wycieczki... Kiedyś zepsuł się autobus wiozący grupę dziewcząt i sióstr z warszawskiego liceum sióstr nazaretanek. Na naprawę autobusu czekaliśmy parę godzin i cały ten czas rozmawiałam z jedną z sióstr. Wkrótce potem, na jej zaproszenie, przez kilka dni byłam u niej w Polsce. To był mój pierwszy pobyt w Warszawie. Nie zapomnę, jak siostra Ruth zaprowadziła mnie do Łazienek na koncert szopenowski – było cudownie! Gościłam od tego czasu często u sióstr nazaretanek, a siostra Ruth, z którą zaprzyjaźniliśmy się serdecznie, pożyczała mi wiele książek – często też tych z „drugiego obiegu”, drukowanych w Paryżu. Całymi dniami i nawet nocami czytałam. Pierwszą, którą dostałam od niej w prezencie, była wydana w języku rosyjskim książka ojca Aleksandra Mienia „Syn człowieczy”. Na jej końcu podany był adres wydawnictwa. Niewiele myśląc, napisałam do Brukseli z prośbą o przesłanie książek. Ku mojemu zdumieniu, choć był to już okres „pierestrojki”, paczka z książkami nie tylko że doszła do Nowogródka, ale ważyła całe 15 kilogramów! To było szczęście! Większości z tych książek już u mnie nie ma – rozeszły się po ludziach. Pozostała chyba tylko ta pierwsza, moja ukochana – „Syn człowieczy”.

W 1991 roku, na dwa miesiące przed upadkiem Związku Radzieckiego, doczekałam się wreszcie swojego chrztu. Dostałam na drugie imię Justyna – po mojej babci. A siostra Ruth – moja bliska przyjaciółka – została moją matką chrzestną. Wiem, że są przyjaciele, którzy nigdy nie zdradzą i nie opuszczą – ona taka jest! Jeszcze w tym samym roku dostałam od siostry Ruth propozycję wzięcia udziału w pielgrzymce do Częstochowy, na spotkanie z papieżem Janem Pawłem II. Wśród przyjaciół i znajomych udało mi się zorganizować grupę chętnych, żeby pójść razem z siostrami. Siostra Ruth pomogła z zaproszeniem, ale nie było możliwości dostania pozwolenia na wyjazd z Białorusi. I wtedy poszłam z ofertą do... komsomołu! Powiedziałam, że mam zaproszenie dla grupy na wyjazd do Polski, między innymi dla tych, którzy chcą jechać na spotkanie z papieżem. Zaproponowałam, że mogą dołączyć do nas swoich chętnych, którzy chcą pojechać na handel – pod warunkiem, że pomogą załatwić wize wyjazdowe. I – udało się! Tym sposobem grupa z Nowogródka poszła na piechotę z Warszawy do Częstochowy, żeby spotkać się z papieżem.

Nie wiedziałam wtedy, co to jest „pielgrzymka”. My na Białorusi jeszcze wtedy nie wiedzieliśmy wielu rzeczy. Podobni byliśmy do marnotrawnego syna, który opuścił rodzinę. On przynajmniej wiedział, że gdzieś tam ten dom istnieje, miał dokąd wrócić. A my byliśmy takimi sierotami, które nie spodziewały się, że ktoś na nas czeka.

Stała się rzecz zadziwiająca. Część z nauczycieli – komsomolców, którzy pojechali jedynie z myślą o handlu, też poszła z nami na pielgrzymkę. Nie będę opowiadać o niesamowitych doświadczeniach i wrażeniach, bo to potrwałoby do wieczora. Powiem tylko, że było to dla nas jedno wielkie święto – bez względu na zbolełe nogi. Przedtem znaleźmy tylko pochody pierwszomajowe i październikowe, a to było zupełnie coś innego! Nie było pijanych od alkoholu. Byli ludzie napelnieni radością i światłem. Pamiętam taki obrazek: czekaliśmy na przylot Ojca Świętego pod ścianami klasztoru, a blisko nas siedzi zakonnica w białych szatach z Argentyny i stoją chłopaki z Litwy – tacy wysocy, krzepcy. Kiedy wszyscy podnieśli się i głośno witali

papieża, to ci chłopcy wzięli siostrę na plecy, żeby lepiej mogła go zobaczyć! Niestety, nie było wtedy z nami części moich przyjaciół, którzy nie wytrzymali trudów forsownego marszu, ale za to jedna z komsomołek w Częstochowie poprosiła o chrzest!

Doświadczylałam wtedy jednej bardzo ważnej rzeczy. My na Białorusi nie wiedzieliśmy, co to jest wspólnota, nie mieliśmy u siebie możliwości wspólnego przeżywania wydarzeń religijnych, dzielenia się swoimi przemyśleniami. Jak już ktoś był wierzący – to raczej ukrywał to. A tutaj wyczułam, że należę do czegoś wielkiego. Odczułam, że należę do wspólnoty – nie fizycznie czy społecznie, ale inaczej! Jakoś bardzo jednoznacznie wyczułam, że my wszyscy jesteśmy mistycznym ciałem Chrystusa! I ja też jestem jego częścią! Nigdy więcej od tego dnia nie czułam się samotna. Okazało się, że kiedy należysz do tej mistycznej wspólnoty, to wystarczy tylko zaufać i prosić modlitwą o wsparcie – i tak się składa, że je dostajesz... Dla mnie najważniejsza była ta wolność i wielka radość, której już nikt nie był w stanie mi zabrać, bo ona była w środku mnie. Jestem przekonana, że Jan Paweł II jest największym człowiekiem XX wieku, a w moim osobistym życiu jego słowa „Nie lękajcie się...” zabrzmiały jak jedenaste przykazanie. To przesłanie zmieniło świat. Polska wyzwoliła się jako pierwsza. Pragnę z całego serca, żeby to „nie lękajcie się...” dało siły i doprowadziło do wolności naród Ukrainy, który teraz walczy, i naród Białorusi, który jak dotąd nie może uwolnić się od swojej niewolniczej przeszłości.

Po powrocie z pielgrzymki zajmowałam się nielegalnym wydawaniem literatury chrześcijańskiej, której nadal brakowało u nas na Białorusi. W 1994 roku zaproponowano mi wyjazd na letni kurs na uniwersytecie papieskim w Rzymie. Spotkałam na nim ludzi z Białorusi, którzy też zajmowali się podobnymi sprawami. I tam zrodziła się idea założenia katolickiego wydawnictwa w Mińsku. Mieliliśmy również audiencję u papieża. Na spotkanie z Janem Pawłem II czekaliśmy około godziny. Napięcie było szalone. Przez cały czas wydawało mi się, że nie zasłużyłam na to, żeby tu być. Tam, na Białorusi, pozostawali ludzie, którzy tyle cierpieli, którzy całe życie ratowali Kościół swoją wiarą i mo-

dlitwami, a ich tu nie ma, tylko ja. Łzy leciały mi z oczu jak groch. Jestem na zdjęciu z Janem Pawłem II z czerwonym spuchniętym nosem. Nikomu go nie pokazuję.



Sluchacze

Wydawnictwo udało się nam założyć. Trudności, wiadomo, że były. Ale jakoś udawało się je wszystkie pokonać. Zaczęliśmy na początku wydawać gazetę „Ave Maria”, marzyliśmy też o czasopiśmie dla inteligencji. Pojechałam więc do Niepokalanowa nie tyle po pieniądze, ile po wsparcie i radę. Ponad godzinę czekałam na spotkanie z redaktorem wydawnictwa ojcem Ryszardem Żubrem. Powiedziano mi, że będzie miał dla mnie tylko 15 minut... Rozmawialiśmy ze dwie godziny, miał łzy w oczach i dał dwa tysiące dolarów na wydanie pierwszego numeru naszego czasopisma oraz ręczny skaner! Później w Niepokalanowie pomagano nam drukować czasopismo „Nasza Wiara”. Dla nas jakoś nie było wtedy rzeczy niemożliwych, czuliśmy się, jak byśmy mieli skrzydła.

Polska na początku lat 90. po królewsku dzieliła się ze wszystkimi naokoło swoim „kwiatem wolności”, zdobytym tak ciężko. To był szczególny czas dla wszystkich! Kto choć jeden raz przyjął ten „kwiat” i poczuł jego woń – pozostał wolny na zawsze.

Po jakimś czasie postanowiłam założyć w Nowogródku swoje własne centrum i tam działać. Zarejestrowaliśmy Towarzystwo Filomatów „Promień” – na wzór mickiewiczowskiego. Zaczęliśmy wydawać swoje czasopismo „Ziemia Nowogródzka”, prowadziliśmy coś w rodzaju klubu, świetlicy dla utalentowanych dzieci, jeździliśmy też z nimi na obozy rekolekcyjne do Polski. Ale w 2001 roku za udział w wyborach po stronie opozycyjnej nasze Towarzystwo Filomatów rozwiązano. Zaczął się ucisk nie do wytrzymania. Straszono naszych przyjaciół i bliskich, dzwoniono po nocach, zdemolowano mi samochód pod domem, zastrzelono mojego charta. Nie dawano ani żyć normalnie, ani pracować. Pierwsza po maturze wyjechała do Polski moja córka. Przez rok, jako wolny słuchacz, uczyła się języka polskiego i innych przedmiotów w liceum sióstr nazaretanek, pod troskliwą opieką mojej przyjaciółki siostry Ruth. To dało mojej kochanej dziewczynce możliwość studiowania na uniwersytecie w Polsce. Sama wyjechałam do Polski w marcu 2006 roku – prosto z Majdanu w Mińsku, na którym protestowano przeciwko sfałszowaniu wyborów prezydenckich. Uniknęłam więzienia tylko dlatego, że tego dnia, gdy nastąpiły masowe aresztowania, otwierałam w Polsce wystawę swoich fotografii. Zdecydowałam się nie wracać...

Patrząc na swoje dotychczasowe życie, na to, co przez te lata się wydarzyło, dostrzegam w nim głęboki sens. Widzę je przede wszystkim jako swoją drogę do wiary. I myślę, że w życiu warto kierować się powtarzanymi przez Jana Pawła II słowami „Nie lękajcie się ...”

Magdalena Korzekwa

Moją obecność w Kościele i to, że staram się być aktywnym członkiem Kościoła, w dużym stopniu zawdzięczam moim rodzicom. Oni dają mi wspaniały przykład miłości małżeńskiej i troski o rodzinę. Już od ponad czterdziestu lat są małżeństwem. Nauczylili mnie czegoś bardzo ważnego, mianowicie wyboru właściwych priorytetów. Na pierwszym miejscu powinna być zawsze troska o więź z Bogiem, miłość do najbliższych, własny

rozwój – duchowy, moralny, osobowościowy. Wszelka aktywność społeczna czy też religijna – w Kościele – powinna stać zawsze na drugim miejscu. W przypadku moich rodziców na pierwszym miejscu są relacje między nimi w małżeństwie oraz relacje z dziećmi, a dopiero później zaangażowanie w życiu wspólnoty parafialnej, kontakty ze znajomymi czy działalność społeczna. Rodzice nauczyli mnie dobrych wyborów. Bardzo łatwo jest wpaść w aktywizm – religijny czy społeczny – i zaniedbać to, co jest najważniejsze.



Magda Korzekwa

Umiejętność wybierania mądrych priorytetów zawdzięczam też Ani, mojej starszej o dziesięć lat siostrze, która w tej chwili ma już swoją rodzinę. Siostra to dla mnie, obok rodziców, bardzo ważna osoba, która mnie wielu rzeczy nauczyła i ciągle wspiera. Od niej i od moich rodziców nauczyłam się, jak można być człowiekiem głębokiej wiary, człowiekiem aktywnym społecznie i religijnie, a równocześnie umieć wybierać to, co w danej chwili jest najważniejsze. Jest to szczególnie ważne dla mnie dzisiaj, kiedy jestem przy końcu studiów. Skończyłam w tym roku mój pierwszy kierunek – prawo na Uniwersytecie Warszawskim i kontynuuję studia na ostatnim roku psychologii na tej samej uczelni. Wybrałam te kierunki studiów, bo chcę robić coś dobrego w życiu,

coś, co pozwoli mi wykorzystać moje talenty dla dobra innych ludzi. Wiem, że tym lepszy będzie mój wkład w życie parafii czy w troskę o cały Kościół, im dojralsza będzie moja postawa w życiu osobistym i rodzinnym, a także w pracy zawodowej.

Wracając wspomnieniami kilka lat wstecz, mam przed oczyma bardzo ważne dla mnie doświadczenie, związane z pracą w telewizji. Przez pięć lat prowadziłam program dla dzieci i rodziców „Ziarno”. To było marzenie mojego dzieciństwa, które spełniło się, gdy skończyłam jedenaście lat. Wtedy to wzięłam udział w castingu, który pozwolił mi prowadzić program przez kilka lat. Ten okres był dla mnie wspaniałą szkołą pracy w mediach, a także świetnym źródłem wiedzy na temat świata i Kościoła. Ukierunkował on moją aktywność na dalsze lata. I z tego bardzo się cieszę. To była moja pierwsza praca społeczna na rzecz ludzi wierzących, na rzecz katolickich rodzin i katolickiego wychowania dzieci.

Gdy zaczynałam studia, było dla mnie oczywiste, że chcę nie tylko studiować, ale być też aktywna na różnych forach religijnych i katolickich. Wtedy związałam się z Akademickim Stowarzyszeniem Katolickim *Soli Deo*. Jest to organizacja działająca na ośmiu uczelniach w Warszawie, która ma w swoim założeniu rozwijanie młodzieży zarówno intelektualnie, jak i religijnie. Organizowaliśmy wiele wykładów i dyskusji na uczelniach na tematy związane z etyką, wiarą, Kościołem, przygotowaniem do małżeństwa... W *ASK Soli Deo* spotkałam wiele osób myślących podobnie jak ja i otrzymałam wiele wsparcia od osób, dla których podejmowaliśmy naszą pracę społeczną. Słyszałam też podziękowania od osób, dla których organizowane spotkania były często pierwszym kontaktem z wiarą i Kościołem. Często te świadectwa były bardzo mocne i poruszające.

Teraz chciałabym powiedzieć o tym, czym obecnie się zajmuję. Kilka miesięcy temu rozpoczęłam pracę w CitizenGO. To hiszpańska fundacja, działająca w siedmiu wersjach językowych i docierająca do pięćdziesięciu krajów. CitizenGO ma na celu ochronę takich wartości, jak życie człowieka, rodzina i wolność. W organizacji tej działamy przede wszystkim poprzez internetowe narzędzia, którymi możemy kontaktować się z ludźmi podej-

mującymi ważne decyzje (na przykład z politykami, kierującymi ważnymi instytucjami, przedsiębiorcami, mediami, środowiskami opiniotwórczymi) i zachęcać ich do podejmowania dobrych decyzji, zgodnych z nauczaniem Jezusa i wartościami Ewangelii. Jako menedżer kampanii CitizenGO w języku polskim analizuję obowiązujące prawo, patrzę na ręce politykom i zachęcam Polaków do zaangażowania w sprawy społeczne, czego pierwszym krokiem jest podpisanie internetowej petycji w aktualnych społecznie sprawach czy w obliczu określonych zagrożeń.

Jedną z ważniejszych akcji była sprawa niedawnego głosowania w Parlamencie Europejskim w sprawie rezolucji, która propagowała aborcję oraz wymuszała na państwach członkowskich permissywną „edukację” seksualną. Rezolucja ta postulowała, aby Unia Europejska finansowała aborcję nie tylko w swoich krajach, ale także w krajach biedniejszych, w ramach tak zwanej polityki zewnętrznej. Rezolucja wymagała także tego, aby monitorować każdy przypadek skorzystania z klauzuli sumienia przez lekarza, który odmówił wykonania aborcji, odbierała prawo rodzicom do tego, aby wiedzieli, co dzieje się z ich dziećmi i postulowała promowanie wyuzdania pod pretekstem edukacji seksualnej. Rezolucja ta propagowała także aborcję i antykoncepcję, krytykowała prawo Polski, Malty i Irlandii do autonomii prawnej w sprawach obyczajowych i edukacyjnych, mimo że autonomia ta jest zagwarantowana w traktatach europejskich. Społeczność CitizenGO wzięła udział w internetowej akcji przekonywania posłów Parlamentu Europejskiego, aby nie przyjęli proponowanej rezolucji. Dzięki dziesiątkom tysięcy osób, które wzięły udział w akcji, Parlament Europejski odrzucił groźną inicjatywę ateistycznej lewicy. Okazało się, że możemy być aktywnymi obywatelami, którzy bezpośrednio naciskają na polityków i żądają działania oraz głosowania zgodnego z wyznawanymi przez nas normami moralnymi i wartościami. Ten przykład pokazał, że musimy być aktywni, że ma sens działanie na rzecz dobra wspólnego. Nie jesteśmy małą grupką. Takich osób, które myślą mądrze i odpowiedzialnie, jest wiele, ale często ich głosu nie słyhać. Praca, której podjęłam się kilka miesięcy temu, ma być sposobem na usłyszenie właśnie tych

ludzi, których często nie słyhać. Poprzez taką działalność mogę mieć realny wpływ na rzeczywistość. Mogę mówić o tym, co istotne i wpływać na to, że osoby odpowiedzialne za władzę i kierujące różnymi instytucjami rzeczywiście dają się przekonać i respektują głos katolików.

W ostatnim czasie zajmowałam się też inną ważną sprawą. W Centrum Nauki Kopernik wystawiono eksponat, który miał wydźwięk pornograficzny. Nie tylko to było bulwersujące, że był takim eksponatem, ale szczególnie to, że miały do niego dostęp dzieci. Wiele osób się w tej sprawie zwracało do mnie i do organizacji CitizenGO. Zrobiliśmy szeroką akcję nacisku, aby jak najszybciej ten eksponat wycofać. Już po pierwszym dniu naszej akcji wspomniana instytucja ten eksponat ukryła. Posłuchano ludzi, którzy się tego domagali. Nawet jeśli ktoś myśli inaczej czy ma wręcz złą wolę, zmienia swoje zachowania, gdy czuje odpowiednio silny głos sprzeciwu.



Magda Korzekwa. Obok siedzą Tatiana Cariuk
i Aleksander Ciepiela

Zawsze było moim marzeniem, żeby nie tylko być prawnikiem, nie tylko być psychologiem, ale aby moja praca była związana bezpośrednio z wyznawanymi przeze mnie wartościami. Bardzo się cieszę, że mogę realizować te właśnie moje pragnienia. Cieszę się też, że wiele osób aktywnie włącza się w publiczne działania na

rzecz dobra wspólnego i promowanie społecznej nauki Kościoła. W tej chwili Polaków, którzy biorą udział w tego rodzaju akcjach i podpisują wysyłane petycje, jest już prawie dziewięćdziesiąt tysięcy.

Osobą, której wiele zawdzięczam w zakresie mojej aktywności, jest ksiądz doktor Marek Dziewięcki, którego poznałam przy okazji prowadzenia telewizyjnego programu „Ziarno”. Ksiądz Marek jest doktorem psychologii i moim osobistym autorytetem, od którego uczę się rozumienia świata i sposobów ukazywania piękna człowieka, który naśladuje Jezusa. Miałam możliwość napisania z ks. Markiem kilku książek, co traktuję jako duże wyróżnienie i wyzwanie na przyszłość. Jest to kolejny ważny element naszego rozwoju i naszej owocnej aktywności społecznej – potrzebujemy osób, które nas wspierają i które nas uczą dojrzałej, zgodnej z Ewangelią sztuki życia. Nie jesteśmy ani samotną wyspą, ani samowystarczalni i żeby się rozwijać, potrzebujemy wsparcia innych osób. Wtedy można pięknie, mądrze żyć, doświadczać radości i mądrze kochać tych, których Bóg stawia na naszej drodze.

Elżbieta Mycielska-Dowgiałło

Zanim oddam głos Olkowi Ciepeli, chcę powiedzieć o Magdzie Korzekwie. Wiele osób z uczestników lub czytelników naszych Konwersatoriów zna ją, gdyż już brała udział w jednym z naszych spotkań w 2010 roku. Od czasu pracy pani Magdy w CitizenGO piszą do mnie ludzie, pytając się o nią. Ostatnio dostałam z Włoch zapytanie, czy to, co przesyła Magda, można podpisywać w ciemno. Oczywiście potwierdziłam.

Jeszcze powiem o tym, jak ważna jest świadomość tego, że każdy z nas może coś zrobić, że nie musi być bierny. Gdy widzimy, że się źle dzieje, to często machamy ręką, myśląc, że i tak nic się nie uda w tej sprawie zrobić. Pani Magda, bardzo młoda osoba, pokazała nam, że to nieprawda i że jeśli będziemy działać wspólnie, to nawet przysłowiowe góry uda się nam przenieść.

Aleksander Ciepela

Prawie już od roku mieszkam w Chinach i nienajlepiej się dzisiaj czuję po tym chińskim wikcie. Wykończyło mnie ono fizycznie. Schudłem prawie 10 kg. Nie byłem w stanie nic jeść. Okazało się, że część jedzenia jest tam wyrabiana z resztek, olej spożywczy ze ścieków itp. Mieszkalem tam przez pół roku. Kiedy pojechałem do Hongkongu i poszedłem do lekarza, bo cały czas źle się czułem, lekarz powiedział mi, że to są pozostałości z Chin.

Przez pierwsze pół roku mieszkalem w zachodnich Chinach (w Kunming), a teraz od paru miesięcy mieszkam w Hongkongu. Podzielię się z państwem obserwacjami na temat wierzeń i stosunku do religii i Kościoła w Chinach zachodnich i w Hongkongu. W Chinach teoretycznie nie ma religii, gdyż została ona zabita przez komunistów. Gdy mieszkalem w Kunming, gdzie na uniwersytecie kończyłem kurs języka chińskiego, byłem też przez parę miesięcy nauczycielem języka angielskiego. Miałem kilkudziesięciu uczniów. Na pytanie kto wierzy w Boga, jedna osoba podniosła rękę, a kto wierzy w Zombie i wampiry – 10. Z drugiej jednak strony, niby nie ma religii, ale są różne punkty w mieście, gdzie powstają kościoły i zbierają się ludzie, aby się modlić. Obecnie Kościół w Chinach nie jest zabroniony, ale jest kontrolowany przez rząd. Ja chodziłem do kościoła katolickiego razem z Chińczykami z Indonezji i było nas na Mszy Świętej w sumie nie więcej niż 10 osób. Kościół mieścił się w garażu, gdzie był obraz i fortepian. Uczestnicy Mszy Świętej pięknie śpiewali, niestety nic nie rozumiałem.

A druga rzecz, którą chciałbym powiedzieć o Chińczykach, to taka, że oni niby w nic nie wierzą, ale równocześnie są strasznie przesądni. Słowo śmierć i cyfrę 4 wymawia się bardzo podobnie i dlatego wszystkie mieszkania na czwartym piętrze są bardzo tanie, żaden Chińczyk nie chce tam zamieszkać. Kiedy pytałem moich uczniów, czy zamieszkaliby na czwartym piętrze, wszyscy odpowiadali, że nie. A gdy ich pytałem, czy gdyby zmienić numer na drzwiach i zamiast 4 postawić 5 albo 3, odpowiadali, że tak, bo wtedy cyfra traci swoją moc. W Hongkongu w centrach handlowych nie ma nigdzie czwartego piętra. Oni są bardzo przesądni.

Będąc w Chinach, pojechałem na ślub koleżanki. Jechaliśmy samochodem i cały czas mijaly nas limuzyny ślubne. Dziwiłem się, skąd tyle tych limuzyn. Powiedziano mi: „dzisiaj jest szczęśliwy dzień na ślub, trzeba więc dzisiaj go brać”. Oni w to wierzą. Więc niby nie ma religii zorganizowanej, ale są różne wierzenia, które jakoś tam przenikają.

Po pół roku mieszkania w Chinach przeniosłem się do Hongkongu. Jestem tam na studiach magisterskich. Hongkong to jest przyszłość Chin. Wszyscy gonią za pieniędzmi. Ja też się zorientowałem, że zaczynam spać po cztery godziny na dobę, bo zaczynam gonić, a tak naprawdę zupełnie nie wiem, dokąd i po co. Gdy zatrzymuję się i zastanawiam się, dochodzę do wniosku, że wcale nie jest to mi potrzebne.

Chińczycy w Hongkongu wierzą, że pieniądze dają szczęście. Mam takiego przyjaciela ze studiów, który wychował się w Europie, pracuje w bankowości i zarabia ogromne pieniądze. Dwa lata temu, gdy dostał pracę, rozmawiałem z nim i pytałem go, jak sądzi, jak będzie w Hongkongu. On mi wtedy mówił, że chce być kilka lat, bo chce się dorobić. Spotkałem się z nim po dwóch latach. Nie dość, że nie może się uwolnić od pracy, bo jego potrzeby wzrosły, to jeszcze mówi, że jego największym marzeniem jest spać. On rano wraca do domu, bierze prysznic i z powrotem idzie do pracy. Jego kumple śpią na biurkach, a ludzie w pracy nie mówią już sobie nawet dzień dobry, bo nie mają siły. Oni nie mają rodzin, bo nie mają czasu, żeby założyć rodziny. Nie mają nic i tak naprawdę mają tylko pieniądze, które miały ich uczynić szczęśliwymi, a czynią ich nieszczęśliwymi.

Ludzie w Hongkongu gonią cały czas za czymś i trzeba bardzo uważać, by razem z nimi nie biec. Bo każdy zaczyna biec. Mam kolegę z Mauritiusa. Mauritius jest chyba najbardziej wyluzowanym miejscem na Ziemi. Spotkałem się z nim ostatnio, był w głębokiej depresji. Też przestał spać i zaczął biec. Radziłem mu, by wyluzował, przestał patrzeć na Chińczyków, bo po jakimś czasie zatraci wszystko, tylko zacznie biec za pieniędzmi.

Znalazłem jednak w Hongkongu odskocznnię od tej ciągłej gonitwy. Są to Filipińczycy, czyli mieszkańcy Hongkongu drugiej



Aleksander Ciepiela

kategorii. Oni przyjeżdżają do Hongkongu jako pomoce domowe, sprzątacze uliczni itp. Nie mają prawa do niczego. Mają prawo jedynie do jednego wolnego dnia w tygodniu, czyli niedzieli, więc wtedy wszyscy wychodzą na ulice. Pomoce domowe w ciągu tygodnia mają obowiązek mieszkać z rodziną, u której pracują, tam spać i nie mieć własnego życia. To jest taka współczesna forma niewolnictwa. Za swoją ciężką pracę zarabiają grosze, a jeszcze te pieniądze wysyłają do rodziny, do domu. Oni nie mają nic zupełnie, a mimo to są najbardziej szczęśliwymi ludźmi jakich widziałem do tej pory. Są zawsze uśmiechnięci. Chodzę do filipińskiego katolickiego kościoła. Msze Święte tam odprawiane są bardzo pięknie. Filipińczycy cudownie śpiewają. Kościół jest miejscem, w którym wolno Filipińczykom raz w tygodniu się pojawić i oderwać się od ciągłej gonitwy Chińczyków, u których pracują. Wydaje mi się, że Filipińczycy w swojej biedzie doskonale rozumieją, co jest naprawdę ważne. Muszę koniecznie pojechać na Filipiny.

Wracam do Hongkongu na początku stycznia i znów otoczą mnie ludzie biegnący za swoim marzeniem – pieniądzem.

Dyskusja

Elżbieta Mycielska-Dowgiałło

Zaczynając dyskusję, nawiążę do przykładu z mojego życia. Dzisiaj często obserwuję, że ludzie usprawiedliwiają swoją nieobecność na niedzielnej Mszy Świętej błahymi przyczynami: jestem zaziębiony, źle się czuję, głowa mnie boli czy za daleko do kościoła. Na tym tle przypominają mi się pobyty w zimie na Pięciu Stawach Polskich z moim starszym bratem, z którym w niedzielę wędrowaliśmy na Mszę świętą do Zakopanego. Kto bywa w Tatrach w zimie, ten wie, że zejście i wejście do schroniska na Pięciu Stawach Polskich zajmuje cały dzień. Myśmy wędrowali do Zakopanego, by być na Mszy Świętej, i gdy wracaliśmy wieczorem umęczeni do schroniska, czuliśmy pełną satysfakcję.

Zbigniew Witecki

Chciałem się podzielić swoim świadectwem zaangażowania w Kościele. Kiedy już byłem żonaty i miałem dzieci (ich liczba wzrosła do pięciu), i byłem jedynym żywicielem rodziny, bardzo zapadły mi w serce słowa Jezusa, które są w dwóch Ewangeliach: „...Nie martwcie się, co będziecie jeść, co będziecie pić, w co będziecie się ubierać,... szukajcie wpierw Królestwa Bożego, a to wszystko będzie wam dodane”. Słowa te stały się wyznacznikiem mojego życia. Powiedziałem: „Jezu, ja chcę w ten sposób żyć. Ja chcę oddać Tobie cały swój czas, całe swoje zaangażowanie, wszystko to, co będę robił, a Ty daj mi to, czego moja rodzina potrzebuje: moje dzieci, żona, mieszkanie – Ty sam wiesz lepiej”. Zawarłem z Panem Jezusem pakt i zacząłem go realizować. Nigdy nie zostałem przez Niego zawiedziony. Przez 22 lata byłem promotorem, czyli odpowiedzialnym za krajową część międzynarodowego Ruchu dla Lepszego Świata, potem zostałem przeniesiony do Szkoły Nowej Ewangelizacji i często przez 3-4 miesiące (w sumie) w roku prawie mnie w domu nie było. W

związku z tym nie było mowy o żadnej stałej pracy. Pracowałem tylko wtedy, gdy byłem w domu i miałem jakieś zlecenia. Ale moje dzieci nigdy nie były głodne, nigdy nie miały jakichś problemów, strachu, co będzie jutro. Nieraz byłem sprawdzany przez Boga w różny sposób. Na przykład, kończyła się żywność, kończyły się pieniądze na mieszkanie, wtedy modliliśmy się. Mówiłem „Panie Jezu, ja swoje wypełniłem, teraz proszę, żebyś Ty wypełnił swoją część umowy”. Zawsze, nieraz w sposób bardzo spektakularny, często przez osoby całkiem nam obce, potrzeby nasze zostawały zaspokojone. Jest to doświadczenie, które towarzyszyło mi przez życie, że jeżeli my wierzymy w pełni w to, co mówi Jezus, i tak postępujemy, to On zawsze swojej umowy dotrzymuje.



Zbigniew Witecki

S. Jolanta Głapka

Mam pytanie do pana Aleksandra: skąd powstała u pana myśl, by wylądować w Chinach?



S. Jolanta Głapka

Aleksander Ciepela

Chciałem nauczyć się chińskiego. Pół roku spędziłem na Uniwersytecie w Kunming na kursie językowym. Po paru miesiącach miałem momenty wątplenia. Nie dawałem rady. Język chiński jest bardzo trudny. Ale w pewnym momencie coś się przełamało i zacząłem uczyć się bardzo szybko. Dwa tygodnie temu zdałem certyfikat z języka. Teraz mieszkam w Hongkongu. Znam grupę Chińczyków, z którymi rozmawiam po chińsku.

Aby nauczyć się po chińsku w stosunkowo krótkim czasie, trzeba zamieszkać w tym kraju, aby być stale „otoczonym” tym językiem. Jest to język bez struktur gramatycznych, w którym „melodia” wypowiedzianych słów ma podstawowe znaczenie.

S. Jolanta Głapka

Jakie są pana dalsze plany, jak planuje pan wykorzystać znajomość języka chińskiego? Zostać w Chinach czy wracać?

Aleksander Ciepiela

Teraz jestem w Hongkongu, gdzie na uniwersytecie robię studia magisterskie. Kończę je we wrześniu i chcę otworzyć własną firmę w Kunming. Razem z moim wspólnikiem z Ameryki będziemy organizować kursy języka chińskiego dla Europejczyków i Amerykanów w Chinach. To jest mój plan na najbliższą przyszłość. Mam nadzieję, że się powiedzie.

S. Jolanta Głapka

Jeszcze ostatnie pytanie: skąd wybór języka chińskiego?

Aleksander Ciepiela

Najpierw w szkole, a potem na studiach poznałem parę języków europejskich. Chciałem nauczyć się następnego, ale takiego, który nie będzie mi się mylił z poprzednimi. Wybrałem chiński. Zacząłem go się uczyć w czasie trzeciego roku studiów na SGH, ale postępy robiłem znikome. Wtedy zrozumiałem, że bez wyjazdu do Chin nie nauczę się tego języka.

Monika Ciepiela

Byłam dwa tygodnie u mojego syna w Kunming. Przygotował dla mnie tak intensywny program, że przez te dwa tygodnie



Monika Ciepiela

zobaczyłam więcej niż niejeden siedzący tam rok. Ale nie o tym chciałam powiedzieć. W samolocie LOT-u miałam miejsce czternaste, zaraz za dwunastym, trzynastego miejsca w samolocie nie było. Obarczamy Chińczyków wiarą w numerki, a sami mimo zaplecza naszej chrześcijańskiej wiary, mamy ogromne obciążenie przesadami, jakby one miały nas ratować. W związku z tym życzę na nadchodzący nowy rok, żeby państwo nie wierzyli w żadne czarne koty i trzynastki.

Elżbieta Mycielska-Dowgiałło

Wypowiedzią mojej córki Moniki poczułam się „wywołana do tablicy”. Chcę powiedzieć o moich „szczęśliwych cyferkach”.

W 1999 roku została zorganizowana ogólnopolska geograficzna wyprawa badawcza na Wyspy Zielonego Przylądka. Naszym środkiem transportu był jacht „Polarka”, którym przemieszczaliśmy się z wyspy na wyspę. 13 września, w piątek, o 12 w nocy wpadliśmy na podwodne skały. Uderzenie było tak silne, że śpiący zostali zrzućeni z posłań i przez następne dwie godziny żyliśmy w obawie, że jacht mógł zostać przedziurawiony. Pamiętam żarliwość mojej modlitwy, żeby Bóg miał nas wszystkich w swojej opiece, i świadomość, że na pewno nic nam się nie stanie.

Potem się okazało, że w czasie uderzenia urwało nam część balastu, wgniotło silnie stalową powłokę jachtu, ponadto radiostacja nie działała i nie mogliśmy wysłać sygnału SOS, a szalupa ratunkowa dawno nie była sprawdzana i była obawa, że mogłaby się nie otworzyć. Ale nic złego nam się nie stało. „Wiara góry przenosi”.

Na zakończenie pragnę serdecznie podziękować wszystkim naszym prelegentom, słuchaczom i czytelnikom przysyłającym, często z odległych stron świata, swoje świadectwa, składając wszystkim życzenia w swoim i Księdza Adama imieniu na nadchodzące święta Bożego Narodzenia i Nowy Rok. Spotkamy się 18 stycznia 2014 roku.

Z nagrania spisał Marcin Borzęcki

C.d. otrzymany drogą korespondencyjną

Bogdan Puławski (Dania)

Czy jestem zaangażowanym...

By dodać odrobiny tła memu świadectwu, przedstawię się. Bogdan Puławski, magister geologii Uniwersytetu Warszawskiego (1960 r.). Od 1964 roku zamieszkały w Danii. Na 5,5 miliona mieszkańców tego kraju jest nas, zarejestrowanych katolików, około 40 000. Piszę „zarejestrowanych”, bo tych aktywnych, czyli mniej więcej regularnie biorących udział w życiu kościoła, jest około 10 000. To jest mniej więcej tyle, ile liczy jedna większa parafia Warszawy. Całe te 50 lat mieszkamy z moją żoną w tej samej parafii. Liczy ona około 1200 osób, rozrzuconych na terenie wielkości polskiego powiatu. Jest on zamieszkały przez około 100 000 Duńczyków, w 85% protestantów. Z tych 1200 „zarejestrowanych” u nas osób we Mszach Świętych niedzielnych doliczyć się można 50-70 osób, w najlepszym wypadku (Pasterka i Rezurekcja) do 100 osób. To są cztery rzędy ławek w znanym mi kościele na Ursynowie. Imponujące, co? A my, zbici jeden koło drugiego, w sympatycznej i estetycznej sali naszego kościółka, wszyscy znający wszystkich, po Mszy wymieniający pozdrowienia, życzenia, wyrazy współczucia i uściski – jesteśmy szczęśliwi!

A teraz pytanie; czy jestem zaangażowany w życie mojego kościoła... mimo trudności?

Nieco trudno mi na to pytanie odpowiedzieć i... nie znaleźć się w sytuacji Łukaszowego faryzeusza, gdy, być może, prawdopodobniejsza jest dla mnie postać celnika. Ale jednak tak. Uważam, że jestem katolikiem zaangażowanym w służbę mojego kościoła. Tak jak to umiem i mogę robić. Uważam, że zaangażowanie na rzecz tego fizycznego kościoła, czyli naszej wspólnoty parafialnej, jest nie tylko ważne, ale i konieczne, szczególnie gdy trzeba, tak jak my, żyć i praktykować swoją wiarę w warunkach diaspory (z greckiego: *rozproszenia*). Aby móc brać udział we Mszy Świętej, trzeba

samemu zadbać o budynek kościelny, o to, by był ksiądz, by był katecheta przygotowujący dzieci do Pierwszej Komunii czy młodzież do bierzmowania. Trzeba samemu zadbać o organizację spotkań, dyskusji czy wyborów do rady parafialnej itp. Nikt nas nie finansuje, sami musimy zebrać fundusze na to wszystko. Służą temu prywatne wsparcia, składki na tacę i wykonywanie różnych czynności czy prac bezpłatnie. Nie otrzymujemy żadnych dotacji, wsparcia czy choćby zachęty od strony państwa (które konstytucyjnie jest luterzańskie). Jesteśmy tolerowani, ale czy mile widziani...? Obecnie powiedziałbym, popularniejsze jest tu być muslimem (muzułmaninem).

Od pierwszych lat pobytu w Danii zaangażowałem się w praktyczną stronę funkcjonowania, wtedy jeszcze mniejszej niż obecnie, parafii. Miałem jako tako dobre ucho do duńskiego, więc większych problemów językowych nie miałem. Tym bardziej że 50% parafian to była mieszanina niemiecko-polsko-hiszpańskoholendersko-irlandzka, z kilkoma wiekowymi już Polakami, którzy 50 lat wcześniej (w 1914 roku) przyjechali do Danii na letnio-jesienny sezon buraka cukrowego, ale którym pierwsza wojna światowa na zawsze, jak się okazało, „opóźniła” powrót do kraju. Ale to inna, długa, ale za to niezwykle ciekawa historia.

Byłem więc członkiem rady parafialnej, co w głównej mierze oznaczało zadbanie o „kościół”, którym była mała willa z lat 1890. z mieszkankiem dla księdza na dole i „salką” kościelną u góry, a więc na mojej głowie były mniejsze remonty, tapetowanie, malowanie, mycie okien i tak dalej. Widocznie dobrze to organizowałem (i robiłem), gdyż zostałem wybrany do rady biskupiej (katolickiej oczywiście). Na spotkaniach, czy tu czy tam, irytowałem wścibskimi pytaniami (szczególnie proboszcza) typu: ile to? a dlaczego tak? a co by było, gdyby? i tym podobnymi.

Z moją żoną (Szwedką) wprowadziliśmy tradycję „Choinki dla dzieci” (po szwedzku), ze śpiewami, zabawami, tańcami wokół drzewka, oczywiście podarunkami rozdawanymi przez świętego Mikołaja; znaczy się przez... No, proszę zgadnąć, kto tym świętym Mikołajem bywał. Dla starszych była loteria i aukcja poważniejszych przedmiotów, często naprawdę wysokiej jakości ręcz-

nych wyrobów pań lub podarowanych przez parafian. Kawa, ciasta i inne przysmaki, wszystko było przygotowywane i przynieszone przez panie. „Choinka” była radością dla dzieci i silnie konsolidowała parafię i parafian. Dochody z loterii i aukcji zasilają często pustawą kasę parafii.

Z początkiem lat 1980. (stan wojenny w Polsce) parafia wprowadziła tradycję jarmarków gwiazdkowych otwartych dla publiczności. Zgodnie z moją „silnie” argumentowaną propozycją, cały dochód tego jarmarku był przekazywany mojej rodzimej wiejskiej parafii w Polsce (Ślesin koło Nakła) i na remont zabytkowego drewnianego kościółka, w którym, *nota bene*, byłem chrzczony. A więc angażuję się też w życie kościelne i za granicami Danii.

Uważam też prawie za obowiązek po Mszy Świętej podejść, przywitać czy zagadać do często nieco zagubionego, wśród grona nas starych wyg, nowego przybysza do wspólnoty. Jest to różnie, czarny Afrykańczyk, brązowa Filipinka czy biały polski budowlaniec. Jest to niemożliwe w Polsce, gdzie po Mszy przed kościół wysypują się setki, jeśli nie tysiące, ludzi i najwyżej pozdrowiwszy znajomego czy znajomą, spieszą do samochodu. Nam sprawia ogromną radość widzieć w uśmiechu rozkwitającą twarz nowego bliźniego.

Niedawno otrzymałem szczodłą zapłatę za tę moją jakby „wścibskość” w sprawy nieznajomych. Jednej niedzieli podszedł do mnie starszy pan, rodowity Duńczyk, którego wcześniej raz czy dwa razy tak właśnie zagadałem. Zapytał mnie, czy zgodzę się być jego świadkiem przy ceremonii jego wstąpienia do Kościoła Katolickiego, do naszej wspólnoty. Wcześniej był, jak się okazało, protestantem. Typowo dla Skandynawa nie „pochwalił” mi się wcześniej takim prywatnym szczegółem. Gdy go spytałem, dlaczego właśnie do mnie zwrócił się z prośbą o tę honorową przysługę, powiedział, że okazałem zainteresowanie jego osobą i tym czuł się zaproszony do naszej wspólnoty.

Ale chyba skończę; wydaje mi się, że z ekranu komputera z wyrozumieniem uśmiecha się do mnie i przyjaźnie zaprasza do swojego kącika... celnik.

Marianna Łacek (Australia)

Mój Kościół

Dumą i radością napawa mnie fakt, że tak mogę nazywać największe zgromadzenie ludności świata. Mój Kościół – bo czuję się w nim dobrze i pewnie. W miarę upływu lat coraz częściej zdaję sobie jednak sprawę, że to nie wystarczy. Moim obowiązkiem jest również dbać o ten Kościół. Dbać o jego dobre imię i to codziennie, na każdym kroku.

– Piątek, w połowie marca. W szkole (wielokulturowej, wieloreligijnej) przyjęcie dla nauczycieli zorganizowane z okazji wizyty pani gubernator. Podchodzimy do stołów zastawionych różnorakimi daniami. Mięsne czy wegetariańskie? – pyta obsługujący nas uczeń. Wegetariańskie, proszę. „Nie wiedziałem, że jesteś wegetarianką” – komentuje stojący za mną kolega. „Nie jestem, ale jestem katoliczką, a dzisiaj jest piątek i w dodatku Wielki Post”. „Wiesz, ja też jestem katolikiem. Myślę, że i ja poproszę o dania bezmięsne”.

– Należymy z całą rodziną do polskiego Ośrodka Duszpasterskiego. Wiele osób znamy. Wiemy, jak ważny jest dobry przykład. Ludzie, którzy wyróżniają się aktywnością w społeczeństwie, muszą szczególnie dbać o to, by swoim zachowaniem nie siał zgorszenia. Pani, znana z działalności w organizacjach polonijnych, idzie przez cały kościół, aby przyjąć Komunię Świętą. Ma za sobą nieudane małżeństwo, teraz partnerski związek z innym mężczyzną. Długo biłam się z myślami, co zrobić. Z pomocą przyszły mi zapamiętane z katechezy uczynki miłosierne: grzesznych napominać, nieumiejętnych pouczać. Zadzwoiłam. Zapytałam, czy jest przekonana, że godnie przyjmuje Pana Jezusa. Najpierw się oburzyła, że to jej prywatna sprawa i nikomu nic do tego. Wytłumaczyłam jej, że nie, bo wiele osób ją zna i ona bierze na swoje sumienie odpowiedzialność za tych, którym służy złym przykładem. Poskutkowało.

– Zadzwoił Polak, którego znaleźmy z widzenia, z kościoła. Wytłumaczył, że chciał się pożalić na niegodziwość naszego księ-

dza, z którym byli wraz z żoną tak zaprzyjaźnieni. Zarzuty, poparte przykładami i łamiący się głos rozmówcy mogły rzeczywiście być prawdziwe, chociaż trudne do uwierzenia. „Niech pan mówi, na pewno zrobi się panu lżej, że pan to wszystko z siebie wyrzuci – zapewniłam go szczerze. Proszę się nie obawiać, ja nikomu tego nie powtórzę. Może mi pan ufać”. „Co? Nikomu o tym pani nie powie? Ja mówię to do pani, bo wiem, że pani zna wiele osób. Chodzi mi o to, żeby pani wszystkim o tym opowiadała. Niech ludzie wiedzą, jaki on jest”. Tego było już za wiele. „Proszę pana – odpowiedziałam – cała nasza rozmowa się nagrywa (to nie była prawda). Tam są poważne oskarżenia. Jeśli się okaże, że są to oszczerstwa, to pan może odpowiadać przed sądem za zniesławienie osoby publicznej, a taką osobą jest nasz ksiądz”. Poskutkowało.

– Wiesz, co się wyprawia w naszym polskim ośrodku? Tam, gdzie stoi Dom Alberta, będą mieszkały samotne matki, uciekinierki z Somalii i innych krajów afrykańskich. Taką decyzję podjął arcybiskup. Dziw, że nasze siostry nazaretanki się na to zgodziły. Wprawdzie ten dom stoi pusty, nawet była propozycja, żeby go rozebrać, po tym, jak wybudowano ten nowy ośrodek dla emerytów, spełniający nowe wymagania. Ale po co te Somalijki? One tam będą się panoszyć. Może to nawet nie są katoliczki, tylko jakieś ciemnoskóre muzułmanki? Co się to w tym Kościele teraz wyprawia? Moje argumenty nie bardzo przemawiały do rozsądku rozmówczyni. Obawiałam się, że swoim jadem może zatruć jeszcze inne osoby. W końcu zapytałam ją, czy Chrystus umarł na krzyżu tylko za jedną grupę ludzi czy też za wszystkich i także za te samotne matki z Somalii. Czy my, nazywający się prawdziwym Kościołem Chrystusowym, mamy prawo występować przeciwko decyzji władz Kościoła? Poskutkowało.

Teraz szczególnie odnoszę wrażenie, że całe piekło sprzysięgło się przeciwko naszemu Kościołowi. Wierzmy, że „bramy piekielne go nie zwyciężą”, ale to na każdym z nas leży odpowiedzialność za obronę Kościoła. Nie wolno przechodzić obojętnie wobec żadnego, nawet najmniejszego ataku. A ataki często są skierowane przeciwko kapłanom.

Każdy z nas musi wspierać Kościół, w miarę swoich możliwości. Przez wiele lat całą rodziną nie tylko uczęszczaliśmy na wszystkie nabożeństwa, ale braliśmy i w dalszym ciągu bierzemy czynny udział w liturgii (ministranci, lektorzy, kantorzy, kolektorzy, kolporterzy). Teraz, kiedy dorosłe już dzieci mieszkają z dala od domu, włączają się w działalność swoich parafii. My pozostaliśmy. Od lat polscy kapłani mają w naszym domu przyjazną przystań. Służymy im wsparciem i pomocą, nie czekając, aż nas o to poproszą. Wspieramy nasz Kościół także finansowo. Wiele razy w roku zamawiamy intencje Mszy Świętej nie tylko w rocznice śmierci Rodziców, ale jako prezent urodzinowy dla każdego z dzieci, i wnuków, a także intencje dziękczynne z okazji rocznic, których tak wiele się obchodzi. Dzieci wiedzą i są nam za to wdzięczne.

Staram się pisać sprawozdania i reportaże do polonijnych mediów o uroczystościach i ważnych zdarzeniach, które odbywają się tutaj, w którymś z naszych polonijnych Ośrodków Duszpasterskich. Każdy ma możliwość włączenia się w sprawy maleńkiej cząstki Kościoła, jakim jest parafia czy tak jak u nas Ośrodek Duszpasterski.

Marcin Borzęcki (Warszawa)

Jaki jest mój udział w życiu Kościoła? Pochodzę z rodziny rozbitej. Mój ojciec, odkąd pamiętam, nie mieszkał razem z nami. Wpadał czasem w odwiedziny, ale nie miałem z nim bliskich relacji, chociaż zawsze mi go brakowało i zazdrościłem kolegom, którzy mieli normalne rodziny i rodzeństwo.

Załączek wiary przekazała mi babcia. To ona nauczyła mnie pierwszych modlitw, zaprowadzała do kościoła i pilnowała, bym do niego chodził. Bóg jednak był dla mnie kimś obcym. W wieku 14 lat zostałem za namową kolegi ministrantem w mojej parafii, NMP Matki Kościoła przy ulicy Domaniewskiej (jestem nim do dziś). Pomału zaczynałem odkrywać głębię liturgii. Zarówno w szkole podstawowej, jak i w liceum byłem nieakceptowany przez rówieśników. Czułem się bardzo samotny.

W pewnym momencie Bóg postawił na mojej drodze księdza Michała Muszyńskiego (być może znanego niektórym ze swojej działalności w Radiu Józef), który zaprosił mnie najpierw na pielgrzymkę do Krakowa w związku z ostatnią pielgrzymką Jana Pawła II do Ojczyzny. W czasie tej pielgrzymki doświadczyłem piękna wspólnoty żywego Kościoła. Bardzo mi się podobał nasz przemarsz ulicami Krakowa na Błonia przy dźwiękach głośniejszych śpiewów. Parę miesięcy później zostałem zaproszony przez księdza Michała na podobne katechezy, o których była mowa na Konwersatorium. Następnie wstąpiłem do Wspólnoty Neokatechumenalnej w mojej parafii. Poznałem wspaniałych ludzi, którzy mnie zaakceptowali, ale przede wszystkim zacząłem odkrywać miłość Boga do mnie grzesznika. Usłyszałem Dobrą Nowinę, że On kocha mnie takiego, jaki jestem, że przyszedł do prostaczków, do tych, którzy są utrudzeni, by ich pokrzepić i dać nadzieję. Dzięki tej dobrej nowinie i byciu we Wspólnocie nie czułem się już samotny, gdyż wiedziałem, że mam oparcie w Bogu i w braciach i siostrach ze Wspólnoty. Poznałem też wspaniałe rodziny, w których jest dużo dzieci, którym jest przekazywana wiara. Mogłem również zacząć uważać Boga za swojego ojca, którego mi zawsze brakowało, a który ponad trzy lata temu zmarł.

Moje uczestnictwo w życiu Wspólnoty i w życiu Kościoła zaczęło być coraz bardziej aktywne, dzięki czemu mogłem po skończeniu szkoły średniej pójść na studia teologiczne, które udało mi się dobrze ukończyć. Następnym etapem mojego aktywnego uczestnictwa w życiu Kościoła i mojej parafii była posługa przy tworzeniu i wydawaniu parafialnej gazetki, dzięki czemu mogłem dzielić się moją wiedzą zdobytą w czasie studiów, dotyczącą nauczania Kościoła na aktualne tematy. Gazetka po dwóch latach swej działalności, niestety, musiała zakończyć swą działalność, ponieważ ksiądz, który sprawował opiekę nad jej redakcją, został sekretarzem kardynała Kazimierza Nycza, jak również z powodów finansowych (była utrzymywana jedynie z ofiar parafian).

Półtora roku temu zacząłem chodzić, najpierw z ciekawości, potem z coraz większym zaangażowaniem na Msze Świąte z

modlitwą o uzdrowienie oraz na wieczory uwielbienia. Dzięki nim doświadczyłem obecności Ducha Świętego w moim życiu. Pozwoliło mi to na szalony, w moim mniemaniu, krok zostania wolontariuszem podczas rekolekcji, jakie odbyły się w zeszłym roku na Stadionie Narodowym z udziałem ojca Johna Bashobory z Ugandy. Było to dla mnie niezwykle doświadczenie bliskości Jezusa Eucharystycznego i Ducha Świętego. W czasie tych rekolekcji Bóg pokazywał mi również, że On ma władzę nad demonem i wszelkimi zniewoleniami.

Obecnie nadal jestem ministrantem, aktywnie biorę udział w życiu Wspólnoty Neokatechumenalnej oraz uczęszczam na wspomniane Msze Święte. Biorę też czynny udział w Konwersatoriach, przepisując nagrane wypowiedzi. Aktywny udział w życiu Kościoła oraz mój sposób przeżywania wiary pomaga mi akceptować moje krzyże, z którymi się zmagam na co dzień, mój brak pracy czy moją samotność, ze względu na trudności we wchodzeniu w relacje damsko-męskie. Nie wiem, jaki Bóg ma plan na moje dalsze życie, jakie będzie moje powołanie, ale chcę je wypełnić zgodnie z wolą Bożą.

Chcę również odnieść się krótko do problemu przesądów. Mieszkam w trzypiętrowym bloku z dwiema klatkami schodowymi. W ciągłej numeracji mieszkań brakuje numeru 13. Często też słyszy się, że piątek trzynastego to nie jest dobry dzień. W mojej rodzinie jest też obecny przesąd, który mówi, że nie wolno stawiać zniczy w czasie pogrzebu, gdyż oznacza to, że ta osoba, która postawi znicz, umrze jako następna.

Mam dobrych przyjaciół, którzy w zeszłym roku, wbrew przesądom, właśnie w piątek, trzynastego września, wzięli ślub i dla nich to był najszczęśliwszy dzień w życiu. Podobnie jak oni nie wierzę w te przesady.

Katarzyna Kościerska (Warszawa)

Czy jestem zaangażowanym członkiem Kościoła Katolickiego?...myślę, że tak, choć droga do tego była długa. Moje życie w wierze zaczęło się od nawrócenia, które nastąpiło 10 lat temu. Moja przyjaciółka, osoba wierząca i praktykująca, zaproponowała

mi uczestnictwo w katechezach neokatechumenalnych, które odmieniły moje życie. Wcześniej mój kontakt z Panem Bogiem urwał się po pierwszej Komunii Świętej. Do Kościoła wróciłam za sprawą wcześniej wspomnianej przyjaciółki. Pan Bóg jak zawsze wybrał dobry moment. Jako dwudziestoletnia dziewczyna w wieku dojrzewania, formowania się charakteru, byłam trochę zagubiona. Trafiłam na ludzi, którzy po raz pierwszy powiedzieli mi o Kerygmacie, pokazali, czym jest piękno Eucharystii. To było moje nawrócenie. Wstąpiłam na drogę neokatechumenalną, na której byłam prawie sześć lat. Był to czas, w którym na nowo odkryłam miłość Boga i życzliwość braci i siostr ze Wspólnoty. Od czterech miesięcy jestem mężatką, mój mąż jest kościelnym, który ukończył niższe seminarium duchowne i był pół roku w zakonie, Pan Bóg dał mu jednak światło, że jego powołaniem jest małżeństwo. Jako małżeństwo podjęliśmy decyzję, że chcemy wspólnie rozwijać się duchowo i rozważamy wstąpienie do Domowego Kościoła.

W naszym codziennym życiu dbamy o wspólną modlitwę, czytanie prasy i książek katolickich. Staramy się w swoich środowiskach dawać świadectwo tego, że można wytrwać w czystości do ślubu, nie mieszkając ze sobą przed zawarciem związku małżeńskiego. W zeszłym roku byliśmy jeszcze jako narzeczeni na rekolekcjach na Stadionie Narodowym, które bardzo wzbogaciły nas duchowo. Zakupiliśmy wspólną małżeńską Biblię i mamy postanowienie, aby ją wspólnie codziennie czytać. Jest to trudne wyzwanie, zwłaszcza w dzisiejszym pędzącym świecie, ale wiemy, że tylko tam znajdziemy odpowiedź na pytania, które dzisiaj nurtują wielu ludzi. Pytanie o sens życia.



*Czy rozumiem i doceniam wartość Mszy Świętej
i jakie widzę możliwości w doksztalceniu się
w tym zakresie?*



Cytaty

Pobożność Edmunda Bojanowskiego (1814-1871) była głęboko eucharystyczna. Dzień kończył rozmową z Jezusem (modlitwą) i rachunkiem sumienia. Nie zważając na ówczesną praktykę, stosowaną przez ogół katolików, rzadkiego korzystania z sakramentów pokuty i Eucharystii, Edmund jak najczęściej spowiadał się i przyjmował Komunię Świętą. Otaczał wielką czcią Najświętszy Sakrament, spędzał wiele godzin w kościele. Z Eucharystii czerpał siłę i męstwo w znoszeniu doświadczeń życiowych. Po pewnym dotkliwym przeżyciu wyznał: „Jakże Bóg miłosierny, że mię cios ten spotkał w czasie właśnie uroczystości Bożego Ciała, kiedy przez cały tydzień oktawy mogę się modlić i nawiedzać dwa razy na dzień wystawiony Przenajświętszy Sakrament i czerpać zasilenie w smutku, z podnioślejszym duchem wobec ciągle widomej tajemnicy ołtarza”.

To jego podpowiedź dla nas, na nasze dziś.

W temacie dzisiejszego Konwersatorium jest pytanie o nasze rozumienie Mszy Świętej. W tym celu powstała **Ankieta**, która ma służyć każdemu z nas do poznania, w jakim stopniu świadomie uczestniczymy we Mszy świętej. Wypełnijmy ją dzisiaj i drugi raz za jakiś czas. Porównajmy nasze odpowiedzi. Jeżeli **Ankieta** nam pomogła, możemy ją przesłać innym.

ANKIETA

dotycząca mojego osobistego udziału we Mszy Świętej

Obrzędy wprowadzenia

1. Czym dla mnie jest zgromadzenie ludzi na niedzielnej Mszy Świętej?

Wybierz z podanych możliwości najbliższą Ci odpowiedź i zaznacz ją kółkiem:

- Tłumem obcych ludzi TAK / NIE
- Wyłącznie zgromadzeniem osób, które miło jest spotkać w niedzielę i poplotkować TAK / NIE
- Świątecznym spotkaniem wspólnoty parafialnej TAK / NIE

Wejście ze śpiewem

Pozdrowienie Kapłana

2. Czy w czasie aktu pokuty jestem świadomy, że gdy ksiądz mówi „uznajmy, że jesteśmy grzeszni”, jeżeli szczerze żałuję, to są mi odpuszczone grzechy powszednie,

TAK / NIE *(zaznacz kółkiem właściwą odpowiedź)*

3. Czy w chwili ciszy, która następuje po wezwaniu do modlitwy przez księdza: Módlmy się... *(wybierz najbliższą Ci odpowiedź i zaznacz ją kółkiem)*

- Rozbieganymi myślami krążę wokół bieżących, codziennych spraw TAK / NIE
- Polecam Bożej opiece sprawy, które mnie boją i smućą, a dziękuję za te, które mnie cieszą TAK / NIE

„Chwała na wysokości Bogu...” (Gloria)

Liturgia Słowa

4. Jaki jest mój stosunek do czytań i kazania we Mszy Świętej?

Wybierz najbliższe Ci odpowiedzi i zaznacz je kółkiem.

- Czy staram się słuchać czytań i kazania ze zrozumieniem? TAK / NIE
- Czy pamiętam, o czym były czytania i kazanie po wyjściu z kościoła? TAK / NIE
- Czy odnoszę treść czytań i kazania do siebie? TAK / NIE

5. Co dla mnie znaczy wyznanie wiary?

Najbliższą Ci odpowiedź zaznacz kółkiem.

- Czy mówię wyznanie wiary w pełni świadomie i odpowiedzialnie? TAK / NIE

6. Jaka jest moja modlitwa powszechna, czyli modlitwa wiernych?

Najbliższe Ci odpowiedzi zaznacz kółkiem.

- Czy w pełni uczestniczę w tej modlitwie w intencjach dotyczących całego Kościoła? TAK / NIE
- Czy włączam w tę modlitwę intencje własne? TAK / NIE

Liturgia eucharystyczna

7. Czy i jak uczestniczę w ofiarowaniu chleba i wina?

Wybierz właściwe odpowiedzi i zaznacz je kółkiem.

- Czy uświadamiam sobie wartość dołączenia osobistego daru/ofiary do obrzędu składania darów TAK / NIE
- Materialnie, przez podzielenie się tym co mam (choćby ofiarą „wdowiego grosza”) złożonym na tackę TAK / NIE
- Duchowo, przez przyniesienie w ofierze swoich dobrych uczynków, cierpienia, przebaczenia, miłości... TAK / NIE

Modlitwa nad darami

Modlitwa eucharystyczna

Przemienienie

8. Czym dla mnie jest moment Przemienienia?

Wybierz właściwą odpowiedź i zaznacz ją kółkiem.

- Tylko pamiętką Ostatniej Wieczerzy TAK / NIE
- Rzeczywistą przemianą chleba i wina w ciało i krew Jezusa Chrystusa TAK / NIE

9. Czy biorę odpowiedzialność za odmawiane słowa w modlitwie „Ojcze Nasz”? Czy mówiąc „Odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom”, postanawiam wybaczyć i pogodzić się z mężem, żoną, kolegą w pracy, w szkole, sąsiadem itp. TAK / NIE (*zaznacz kółkiem właściwą odpowiedź*),

10. Obrzęd znaku pokoju. Czy zwracając się z wyciągniętą ręką do sąsiada na Mszy Świętej okazuję mu uśmiechem radość ze wspólnego uczestniczenia w Eucharystii?

TAK / NIE (*zaznacz kółkiem właściwą odpowiedź*)

Łamanie chleba i śpiew Baranku Boży

11. Czy przygotowując się do przyjęcia Komunii Świętej staram się nawiązać osobistą relację z Jezusem Chrystusem? TAK / NIE
(zaznacz kółkiem właściwą odpowiedź)

Komunia eucharystyczna księdza i zgromadzonych

12. Czy wykorzystuję czas po Komunii Świętej na osobistą modlitwę? TAK / NIE (zaznacz kółkiem właściwą odpowiedź)

Obrzędy zakończeniowe

(zaznacz kółkiem właściwe odpowiedzi)

13. Czy uważnie słucham ogłoszeń? TAK / NIE

14. Czy ważne jest dla mnie błogosławieństwo? TAK / NIE

15. Czy po zakończeniu Mszy Świętej, potrafię uśmiechem, gestem przekazać pożegnanie sąsiadowi z ławki czy stojącemu obok?
TAK / NIE

KONWERSATORIUM LXVIII

(18 stycznia 2014)

**Czy rozumiem i doceniam wartość Mszy Świętej
i jakie widzę możliwości w dokształceniu się
w tym kierunku?**

Prowadzący: ks. Jarosław Piłat, rezydent w parafii p.w. bł. Edmunda Bojanowskiego; Maria Pieńkowska, członek Wspólnoty „Emmanuel”, katechetka Zespołu Szkół „Bednarska”; Zbigniew Witecki, członek Wspólnoty ewangelizacyjnej „Syjon” oraz Wspólnot „Ruch dla lepszego świata” i „Szkoła nowej ewangelizacji”; Alicja Dyrda, członek Wspólnoty ewangelizacyjnej „Syjon”, menadżer zasobów ludzkich, matka dwojga nastolatków; Sebastian Tul, członek Wspólnoty „Przymierze Miłosierdzia”, ewangelizator uliczny, członek grupy muzycznej „Przymierze Miłosierdzia”; Mirosława Misiejuk, emerytowana nauczycielka języka polskiego, zelatorka Róży Różańcowej im. bł. Jana Pawła II przy parafii p.w. bł. Edmunda Bojanowskiego; Joanna Żywot, członek Wspólnoty Świętego Dobrego Łotra, analityk finansowy.

Ks. Jarosław Piłat

Bardzo serdecznie witam. Jest to dla mnie debiut. Ksiądz Adam miał być razem ze mną, niestety wypadła mu wizyta duszpasterska – „kolęda”. Temat, który dzisiaj poruszamy, jest niezwykle ważny i można powiedzieć, że stanowi centrum naszego życia chrześcijańskiego. Osoby zaproszone pomogą nam go zgłębić. Podzielą się z nami własnym doświadczeniem i rozumieniem

Eucharystii. Ich wypowiedzi mogą być źródłem dla naszej własnej drogi eucharystycznej.



Paneliści: od lewej Alicja Dyrda, Zbigniew Witecki, Sebastian Tul,
Maria Pieńkowska (z mikrofonem), Joanna Żywot
i Mirosława Misiejuk



Ks. dr Jarosław Piłat, obok Joanna Żywot

Eucharystia jest bez wątpienia w Kościele fundamentem całego naszego życia. Kościół po soborze ukazuje Eucharystię jako źródło życia wszystkich stanów, źródło świętości, tak więc jej rozumienie i doświadczenie powoduje rozwój naszego życia duchowego.

Alicja Dyrda

Jestem mężatką od osiemnastu lat i matką dwojga nastolatków. Chciałam podzielić się moim doświadczeniem, jak spotkałam Jezusa.

Nawróciłam się dwa lata temu. Wcześniej nie chodziłam do kościoła, ponieważ nie widziałam takiej potrzeby. Żyłam jak niewierny Tomasz, o którym jest mowa w Biblii. Kiedy Jezus ukazał się Apostołom po swoim zmartwychwstaniu, Tomasz powiedział, że jeżeli nie dotknie ran Jezusa, nie włoży ręki w Jego bok, to nie uwierzy. Należałam do takiej właśnie grupy osób. Pewnego razu koleżanka zaprosiła mnie na Mszę Świętą i bardzo długo namawiała mnie, bym w niej uczestniczyła, ponieważ tam mogę spotkać Jezusa. Kiedy przyszłam na tę Mszę Świętą, niestety niczego nie czułam, nie widziałam, ale tak jak wszyscy uczestnicy modliłam się. W pewnym momencie chciałam poczuć, czy Jezus rzeczywiście tutaj jest i poprosiłam Go w myślach, że jeżeli tutaj jest, to żeby mnie dotknął. Bardzo wyraźnie poczułam wtedy, że ktoś dotykał mojej stopy, a na nogach miałam buty. Mimo to czułam bardzo ciepłą dłoń. Pomyślałam sobie, że może mi się wydawało. Następnym razem pomyślałam, że potrzebuję jakiegoś mocniejszego dowodu, bo znowu nie jestem przekonana, że Jezus tutaj jest. I wtedy poczułam się tak, jakby ktoś wkładał pochodnię w moje ucho. To było niesamowite gorąco. Nie miałam już żadnych wątpliwości i chciałam, żeby już przestał, bo naprawdę wierzę, że On tutaj jest i że słucha moich prośb. I w tym momencie naprawdę uwierzyłam, że Bóg istnieje i wysłuchuje, i robi wszystko, byśmy się nawrócili i zeszli ze złych dróg i szli Jego drogami.

Później doświadczyłam cudu uzdrowienia, uczestnicząc we Mszy Świętej o uzdrowienie. Moja koleżanka była ciężko chora. Choroba zaatakowała płuca, a potem rozprzestrzeniła się na całe ciało, była chorobą całego organizmu. Rentgen płuc wykazywał



Alicja Dyrda

znaczne zmiany. Ksiądz prosił, żebyśmy modlili się za osoby chore. Nie czułam się godna, bym mogła się modlić o czyjeś uzdrowienie, ale byłam jedyną osobą, która przyszła w tej intencji. Nie pozostało mi nic innego, jak tylko się modlić. W pewnym momencie usłyszałam wyraźnie, jak Jezus mi mówi: „ona będzie zdrowa”. Przekazałam jej tę informację. Po półtora roku od tego momentu moja koleżanka była na badaniach. Okazało się, że nie ma żadnych zmian w płucach. Bóg ją uzdrowił. Byłam wdzięczna Bogu za to, że nie odwracał się, gdy potrzebowałam od Niego znaków fizycznych, że wysłuchiwał mnie.

Dzisiaj wiem, że należy budować relację z Nim. Tak jak budowanie relacji z koleżankami polega na widzeniu ich i rozmawianiu z nimi codziennie, a nie raz na miesiąc czy raz w roku, tak samo Bóg oczekuje od nas relacji codziennej. Wymaga ode mnie kontaktu codziennego. Jeżeli rozmawiam z Nim codziennie, to Bóg uczestniczy w moim życiu. Wie, co się dzisiaj wydarzyło, bo opowiadam Mu o tym, jakie mam problemy, za co Mu dziękuję, bo wierzę, że nic by się nie wydarzyło bez Jego wsparcia. On do mnie mówi, On mnie wysłuchuje i poprzez różne znaki pokazuje mi wszystko to, co chciałby, żebyśmy czyniła dla siebie i innych osób.

Dla mojego rozwoju duchowego potrzebuję pokarmu w Komunii Świętej i uczestnictwa we Mszy Świętej, gdzie jest obecny żywy Bóg, chociaż czasami nam się wydaje, że Go nie doświadczamy. Ja wiem, że On tam jest, widzi nas i wysłuchuje. Również bez czytania Pisma Świętego nie byłabym tą osobą, którą jestem dzisiaj. Dlatego uważam, że decyzja o tym, by żyć zgodnie z wolą Boga, była słuszna i zmieniła mnie całkowicie.

Musimy pamiętać, jak jest napisane w Piśmie Świętym (Mt 24, 36), że Bóg przyjdzie jak złodziej w nocy, wtedy, kiedy my się Go nie spodziewamy. Musimy czuwać – jak nam radzi Chrystus.

Zbigniew Witecki

Wywodzę się z rodziny katolickiej i praktykującej i w związku z tym uczestnictwo w Eucharystii w niedziele i w święta było sprawą normalną. Kiedy byłem starszym nastolatkiem, Pan ustrzegł mnie od jakiegoś gwałtownego zawirowania młodzieńczego – okresu buntu. Spotkałem wtedy fantastycznego młodego kapłana ks. Mieczysława Nowaka, który potrafił wejść w relacje ze mną, stał się moim przyjacielem, ojcem duchowym, spowiednikiem, mentorem, a później współpracownikiem w „Ruchu dla lepszego świata”. Prowadziłem z nim różne kursy i szkoły, na przykład kursy rekolekcyjne, kursy „Szkoły nowej ewangelizacji” i tak dalej. Polecam książkę napisaną przez księdza Mieczysława „Życ Mszą Świętą”.

Chciałbym się podzielić trzema zdarzeniami z mojego życia. Pierwsze dotyczy lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku. Były to czasy Soboru Watykańskiego II, który przeprowadził gruntowną rewolucję, jeżeli chodzi o Eucharystię. Kapłan stanął twarzą do ludu, ołtarz został odsunięty od ściany kościoła, przybliżony do wszystkich ludzi, Msze Święte zaczęto odprawiać w języku narodowym, czyli u nas w polskim. Teraz jest to dla nas oczywiste, ale wtedy była to prawdziwa rewolucja. Powstała jeszcze jedna możliwość – na Eucharystię odprawianą dla zamkniętych grup poza świątynią. Dawniej Eucharystia mogła być tylko i wyłącznie w świątyni. Pamiętam, że byliśmy wtedy z księdzem Mieczysławem na

wycieczce z grupą osób w okolicach Otwocka. Tam są wysokie wydmy. Na jednej z nich rozłożyliśmy koc, na kocu biały obrus, uklękliśmy wokół i uczestniczyliśmy w Eucharystii, najprostszej z możliwych, w języku polskim, bez wstawania i siadania – wszyscy klęczeliśmy w maksymalnym skupieniu. Potem na tym samym kocu, po uprzątnięciu paramentów liturgicznych, wyłożyliśmy wszystko, co przynieśliśmy do jedzenia, chleb i picie, i dzieliliśmy się tym. To była druga agapa. Najpierw Chrystus dzielił się z nami swoim ciałem, a potem my dzieliliśmy się nawzajem, tak jak w pierwszych wspólnotach. Ta Eucharystia o maksymalnej prostocie, o maksimum esencji, czyli istoty Eucharystii, jest dla mnie do dziś niezapomnianym doświadczeniem wspólnoty – takiej, jakie były opisywane w Dziejach Apostolskich, kiedy się spotykali i dzielili się wszystkim, co mieli, nikt nie chodził głodny. Potem oczywiście były inne tego typu Eucharystie, na spływach kajakowych i w górach, w różnych miejscach, także w pięknych kościołach, katedrach, koncelebrowane przez parunastu czy kilkudziesięciu kapłanów, z biskupami, ale ta Eucharystia na wydmie koło Otwocka jest i pozostanie dla mnie najważniejszym wspomnieniem.



Zbigniew Witecki

Drugą sprawą, którą chciałem poruszyć, to podjęcie działań, aby lepiej rozumieć czytania w czasie Liturgii Słowa we Mszy Świętej.

Mam pięcioro dzieci i kiedy były jeszcze małe, zauważyłem, że kiedy nadchodzi czas czytań i homilii, to moje dzieci dostają małego rozumu, nudząc się ogromnie. Jakoś trzeba było na to zaradzić. Wpadłem na pomysł, aby wprowadzić w piątek do codziennej modlitwy pierwsze i drugie czytanie, a w sobotę Ewangelię. Przygotowywałem do nich komentarz – taki, żeby dzieci były w stanie go zrozumieć, a po moim komentarzu każde dziecko i my rodzice na koniec mówiliśmy modlitwę spontaniczną. Ta sytuacja pomogła przede wszystkim mnie. Musiałem porządnie przeczytać wszystkie teksty przed niedzielą, dobrze je przemyśleć, opracować dobry komentarz, a potem ten komentarz dostosować do mentalności dzieci, które były w różnym wieku, żeby one też mogły coś z tego zrozumieć. Tę funkcję pełnię nadal. Oczywiście dzieci już w większości wyszły z domu, ale my dalej robimy to z żoną i pomaga nam to wchodzić lepiej w niedzielną liturgię słowa.

Jest jeszcze trzecia sprawa, o której chciałem wspomnieć. Spędziłem w życiu dużo czasu, współprowadząc rekolekcje i kursy w różnych domach rekolekcyjnych. W jednym z takich domów spotkałem niesamowity obraz. Przedstawiał on kapłana podczas liturgii. Za nim był namalowany potężny Chrystus w tak niezwykle sposób, iż odnosiło się wrażenie, że otacza kapłana z każdej strony. Można w przenośni powiedzieć, że kapłan stał w Chrystusie i wszystkie gesty, które wykonywał, robił sam Chrystus. Uświadomiło mi to wtedy, że tak naprawdę to Chrystus rękami kapłana składa na ołtarzu dary chleba i wina, a kiedy kapłan się pochyla nad nimi i mówi „to jest moje ciało, to jest moja krew”, w rzeczywistości Chrystus to mówi ustami kapłana. Wtedy dotarło do mnie, że nie jest istotne, czy ksiądz z większym czy mniejszym namaszczeniem odprawia Eucharystię, bo niezależnie od tego stoi za nim zawsze Chrystus. I istotą Eucharystii jest moment przemiany chleba i wina.

Jeszcze dodam na koniec, że to widzenie związku między kapłanem a Chrystusem pomaga mi w spowiedzi. Od tej pory konfesjonał przestał być dla mnie miejscem jakimś trudnym, ciężkim, do którego się idzie z niechęcią, bo trzeba, bo wypada. Kiedy sobie uświadomiłem, że ja nie mówię księdzu swoich

grzechów, ale przychodzę z nimi do Chrystusa i Jemu wyznaję swoje grzechy, które On i tak zna, za które umarł i które już przebaczył, czeka tylko na to, bym ja sobie je uświadomił, żebym wyraził zgodę. Od tamtej pory konfesjonał jest dla mnie miejscem radości, pokoju, entuzjastycznie idę do spowiedzi. Jak ostatnio byłem u spowiedzi, to największym moim grzechem było to, że trzy miesiące nie byłem u spowiedzi.

Sebastian Tul

Pochodzę z rodziny katolickiej i jak sięgnę pamięcią, nie było mowy, żeby w niedzielę nie pójść do kościoła, podobnie jak czynili to dziadkowie zarówno od strony mamy, jak i taty. Również nie było wątpliwości, że jest Pan Bóg.

W pewnym momencie w moim życiu pojawił się bunt. Towarzystwo, w którym tkwiłem od podstawówki przez szkołę średnią, byli to ludzie skrajnie różni. Bardzo przesiąkłem tym towarzystwem. Panowały w nim narkotyki, alkohol, przestępstwa i rozboje. Kiedyś po narkotykach mało brakowało, żebym wyskoczył z pędzącego pociągu. Takich historii było wiele. Poszedłem zupełnie inną drogą niż moi rodzice, którzy są organistami i zawsze byli blisko Kościoła. Równocześnie dzisiaj, kiedy patrzę wstecz, cały czas widzę, jak Bóg trzymał mnie za rękę i pomagał mi z tego wszystkiego wyjść. Często myślę, że Pan Bóg dopuścił, abym przeżył te doświadczenia, gdyż dziś stawia na mojej drodze ludzi w podobnej sytuacji, w jakiej ja byłem wtedy. Mogę dzielić się z nimi tym, co sam przeżyłem i jak z tego wyszedłem.

Ale zanim do tego doszedłem, było parę etapów w moim życiu. Gdy już wyszedłem z narkotyków, alkoholu, życia w nieczystości, poznałem kobietę, która mówiła, że jest wróżką i wszystko to, co ona mówiła, to się działo. Bardzo głęboko wszedłem w okultyzm. Doprowadziło mnie to do tego, że, dręczony przez złe duchy, dotarłem do egzorcysty. Wtedy dopiero zrozumiałem, że życie bez Pana Boga nie ma sensu.

Potem trafiłem na rekolekcje charyzmatyczne, na których doświadczyłem bardzo mocno dotknięcia Pana Boga i spoczynku w Duchu Świętym. Wtedy zrozumiałem, że wszystko to, co wyda-

wało się, że daje mi szczęście, było niczym w porównaniu do tego, jakim szczęściem jest być blisko Pana Boga.



Sebastian Tul (z mikrofonem)

To było sześć lat temu. Od tego czasu moje życie bardzo się zmieniło. Poznałem ludzi, którzy są moimi prawdziwymi przyjaciółmi, na których zawsze mogę liczyć, nie jak to towarzystwo, w którym byłem kiedyś. Nie wyobrażam też sobie dnia bez Eucharystii. Od sześciu lat staram się codziennie być na Mszy Świętej. Mimo pracy i często wielu zadań, Bóg tak układa, że ten czas zawsze się jakoś znajduje. Mogę codziennie Go spożywać i słuchać Słowa Bożego. Kolega kiedyś spytał mnie, czy to nie jest kolejne moje uzależnienie. Jeżeli jest, to wynika z potrzeby serca i dziękuję Bogu za to.

Joanna Żywot

Mam 26 lat, pracuję w dużej korporacji doradczej. Chcę zaświadczyć o prawdziwej, żywej obecności Jezusa w moim życiu. Wychowałam się w rodzinie katolickiej, zawsze uczęszczałam do kościoła, ale była to pobożność dość tradycyjna, polegająca głównie na kultywowaniu obrzędów. Kilkakrotnie jednak w swoim życiu doświadczyłam żywej obecności Jezusa w Eucharystii.

Pierwszy bardzo istotny dla mnie okres to kilka lat, kiedy nie przystępowałam do sakramentów. Było to dla mnie bardzo trudne doświadczenie, a w moim życiu miało wtedy miejsce wiele przykrych i złych zdarzeń. Z perspektywy czasu wiem doskonale (czego żywo doświadczyłam na późniejszych Rekolekcjach Ewangelizacyjnych Odnowy w Duchu Świętym), że pomimo mojego oddalenia od Pana Boga, Bóg właśnie szczególnie wtedy był bardzo blisko mnie.

Później wielokrotnie głęboko doświadczałam obecności Pana Boga w czasie modlitw o uzdrowienie organizowanych u Ojców Dominikanów na warszawskim Służewie. Byłam świadkiem różnego rodzaju cudów: uzdrowień fizycznych, psychicznych i duchowych. Na początku bardzo mnie te cudowne zdarzenia zachwycaly i skupiały moją uwagę, ale od pewnego czasu wiem, że wszystko to dzieje się jedynie Bożą Mocą, której pełni doświadczamy w Eucharystii. Tam zawsze możemy spotkać Jezusa.

Chcę jeszcze wspomnieć o dwóch istotnych dla mnie momentach. Jakiś czas po moim nawróceniu rozmawiałam z koleżanką, która nie chodzi do kościoła. Namawiałam ją, żeby przychodziła razem ze mną, ale zawsze stanowczo odmawiała, twierdząc, że będzie się czuła jak w teatrze na przedstawieniu. Bardzo mnie to dotknęło i skłoniło do zastanowienia nad moją własną postawą. Czy pomimo aktywnego uczestnictwa w Eucharystii na pewno mam świadomość żywej obecności Jezusa? Na nowo odkryłam, jak bardzo byłabym głupia, gdybym adorowała zwykłą rzecz (chleb czy wino). Prawdziwie wierzę jednak, że w hostii ukryta jest żywa Osoba.

W zrozumieniu tego pomogło mi bardzo przeczytanie świadectwa współczesnej mistyczki Cataliny Rivas, która głęboko doświadcza mistycznych spotkań z Jezusem¹. W jednym ze świadectw mistyczka opisuje, jak Matka Boża pokazuje jej, co tak naprawdę dzieje się podczas Eucharystii. Świadectwo to poruszyło mnie głęboko. Nie jest to jedynie siadanie i klękanie w odpowiednich momentach, ale rzeczywiste spotkanie z Jezusem².

¹ „Tajemnica Mszy Świętej” i „Tajemnica spowiedzi świętej” dostępne w Internecie (red.) oraz w publikacjach Wydawnictwa AA, Kraków, 2013 (red.).



Joanna Żywot

Zdałam sobie wtedy sprawę, że wcześniej część Mszy Świętej przesypiałam, na niektóre części wcale nie zwracałam uwagi, odklepywałam formułki, a rozmyślałam o czymś innym.

Dopiero to świadectwo uświadomiło mi, że nie ma w ciągu Mszy Świętej zbędnego elementu, nawet moment, w którym kapłan całuje ołtarz na samym początku, nie jest gestem niepotrzebnym, tu wszystko ma żywe znaczenie. Myślę, że od tamtej pory mam większą świadomość, w czym tak naprawdę uczestniczę. Msza Święta to dla mnie prawdziwe spotkanie z Jezusem.

Moja wspólnota modlitewna działa przy klasztorze i kościele ojców Dominikanów, gdzie znaczną uwagę zwraca się na liturgię. Oprawa muzyczna jest tu niezwykle piękna i wszystko jest bardzo dobrze zorganizowane. Na początku było to dla mnie szczególnie ważne. Gdy wyjeżdżałam na święta do mojego domu rodzinnego, to zawsze żałowałam, że nie będę mogła uczestniczyć w tak pięknej Eucharystii, tylko w moim parafialnym kościółku, gdzie wszystko

² To, z czym przychodzimy na Eucharystię, w wizji Cataliny Rivas obrazuje procesja naszych Aniołów Stróżów z naszymi darami lub bez nich do Chrystusa (red.).

wygląda na tym tle bardzo ubogo. Potem zrozumiałam, że nie ma to większego znaczenia, tak samo jak nie ma znaczenia osoba kapłana, czy mówi piękne kazania czy nie. Od pewnego momentu nie ma takiego kazania, z którego bym nie mogła wyciągnąć chociaż jednej rzeczy dla siebie. Wcześniej odrzucałam kazania mówione bez talentu i nic z nich dla siebie nie wynosiłam. Teraz wiem, że po prostu ich nie słuchałam.

Od pewnego czasu staram się jak najczęściej (nie tylko w niedzielę) uczestniczyć w Eucharystii. Jeżeli nie pójdę któregoś dnia, czuję żywą tęsknotę za Panem Jezusem i prawdziwy brak.

Maria Pieńkowska

Pracuję jako katecheta z młodzieżą gimnazjalną i licealną. Słyszac wypowiedzi moich poprzedników, mówiących o tym, że pochodzą z rodzin katolickich, pomyślałam sobie, że często nie zdajemy sobie sprawy z tego, że następne pokolenia nie będą mogły już tak mówić, nie będą miały takiego doświadczenia. Ja miałam rodziców, którzy przeżyli pięćdziesiąt lat w małżeństwie. Moje koleżanki i koledzy z liceum i ze studiów przychodzili do mnie do domu, żeby popatrzeć, że tak można, że można się kochać miłością żywą, zwyczajną, która daje szczęście. Miałam szczęście mieć takich rodziców. Rodzice prawdziwie żyli wiarą, bez dewocji, ale było to nie do pomyślenia, żeby rano przed śniadaniem czy wieczorem po kolacji nie uklękli razem we dwoje i nie modlili się. Całe życie było tak ustawione, żeby Msza Święta była centralnym punktem niedzieli, a nie była to dla nich formalność, tylko relacja z Kimś, kto jest pierwszy w ich życiu. Drugim był tatuś dla mamy i mama dla tatusia. My, dzieci, byliśmy dopiero dalej. Dla ojca bardzo ważna była architektura, kochał swój zawód, ale niewątpliwie Bóg był pierwszy, mama druga, a potem wszystko inne. To było moje wspomnienie z dzieciennych lat, ich wzajemna miłość dawała nam poczucie bezpieczeństwa. Potem przyszedł okres, kiedy trzeba było postawić sobie pytanie, czy wiara jest czymś moim, czy tylko czymś rodzinnym i czy ta moja relacja z Bogiem jest dla mnie ważna czy drugorzędna.



Maria Pieńkowska

W pewnym momencie, a byłam wtedy na studiach na Akademii Sztuk Pięknych, zetknęłam się bliżej z Anną Grocholską, której prace, a właściwie zdjęcia prac, są tutaj na korytarzu. Odkryłam wówczas, że ona, mimo różnych ważnych zajęć, codziennie chodzi na Mszę Świętą. Zaczyna dzień od Eucharystii. To było pierwsze świadectwo wiary spoza mojej rodziny.

Minął czas, czytałam różne rzeczy, poznawałam wielu ludzi i w pewnym momencie, będąc związana z Odnową w Duchu Świętym, pojechałam do Francji i tam zetknęłam się ze wspólnotą „Emmanuel”. Jest to jedna z tak zwanych „nowych wspólnot”, obecnie międzynarodowych. Najbardziej zaskoczyło mnie to, że poznałam tam małżeństwa, które są w tej wspólnocie razem, bo tam nie może być tak, że żona bez męża albo mąż bez żony – albo razem, albo wcale. I że ci ludzie, którzy mają pracę, stanowiska w świecie, mają jednocześnie piękne rodziny i głośno mówią, że ich pragnieniem jest być świętymi. Dla mnie to był szok, że można coś takiego powiedzieć. Potem zobaczyłam, że jedną z zasad we wspólnocie „Emmanuel” jest to, że jej członkowie starają się być codziennie na Mszy Świętej i codziennie na adoracji Eucharystycznej minimum pół godziny. Zastanawiałam się, jak to w ogóle jest możliwe, na przykład

dla człowieka, który ma czwórkę czy piątkę dzieci, pracuje jako dyrektor banku, do którego ma jeszcze daleki dojazd. Jak on to wszystko zmieści w swoim rozkładzie dnia? No i okazało się, że jak człowiek chce, to różne rzeczy może w życiu zmieścić. Ważne, żeby stopniowo odsuwać te, które są mniej istotne. Poruszyła mnie też pełnia życia tych ludzi, że to nie są osoby żyjące poza światem, poza tym wszystkim, co się dzieje w życiu społecznym i zawodowym, tylko że żyją pełnią ludzkiego życia, jednocześnie czerpiąc siły i sens z relacji z Panem Jezusem.

Pamiętam, że potem takim ważnym punktem mojej drogi z Panem Bogiem było przeczytanie w takiej malutkiej książeczce „Czas dla Boga” zdania, które mnie zaskoczyło. Autor pisał tam, że „Bóg pragnie nas nieskończenie więcej niż my Jego”. A ja zawsze myślałam, że to dla Pana Boga się coś robi, bo to my Go potrzebujemy, bo my Go pragniemy, żeby nam załatwił to czy tamto, żeby nam pobłogosławił, żeby dał zdrowie. „Bóg pragnie nas nieskończenie więcej niż my Jego”. To było wiele lat temu. Wtedy pomyślałam sobie, co to dla mnie znaczy. Wówczas zrozumiałam, że jeśli idę na Mszę Świętą czy adorację, to On tam na mnie czeka. Mam możliwość zrobić coś dla Jezusa, bo On na mnie czeka, czyli troszeczkę Mu na mnie zależy. Wtedy stało się to dla mnie ważne, żeby pójść nawet wtedy, kiedy mi się nie chce, bo oczywiście czasem mi się nie chce. Przypominam sobie wtedy, że On czeka i że nie mogę Go zawieść. Tak jakbym się umówiła z kimś, na kim mi zależy, kogo kocham i mimo że może głowa mnie boli i nie chce mi się, idę, bo ten ktoś czeka.

Powiem jeszcze o pewnym ważnym dla mnie doświadczeniu. Byłam na wakacjach u znajomych na Suwalszczyźnie. W tej miejscowości nie było kościoła. Było do niego dziewięć kilometrów szosą lub sześć kilometrów skrótem przez las. Wieczorem znajomi powiedzieli mi, „że tutaj to chyba nie pójde rano na Mszę Świętą.” Msza była o wpół do ósmej rano, trzeba było wstać o wiele wcześniej, pożyczyć rower i pojechać. Pomyślałam, że wstanę rano, ale wtedy przyszły wątpliwości: jestem zmęczona, a może będzie zimno i deszcz czy mgła, poza tym jeszcze do końca nie wiem, jakim skrótem trzeba jechać. Kładłam

się spać z poczuciem, że ja muszę jechać, bo Pan Jezus tam na mnie czeka, i położyłam się z „heroiczną” decyzją, że przecież mogę to łaskawie dla Niego zrobić i pojechać. Nastawiłam sobie budzik, budzik zadzwonił, patrzę przez okno – nie leje. Myślę sobie – no to jadę. Mgła, ale wyprowadziłam rower i jako wielki bohater wyruszyłam. Dojechałam. Weszłam do tego malutkiego kościółka, w którym siedziały jakieś babcie. Czułam się jak bohater, przecież wstałam i przejechałam przez mgłę. I nagle patrzę, a przed ołtarzem biega malutka myszka. Pan Jezus czekał i posłał mi myszkę. Dla mnie to było bardzo ważne. Później zaczęła się Msza Święta. Zwyczajna. Trzy babki coś śpiewały, nie było pięknych wzruszeń, ale nagle ogarnęła mnie świadomość, że na Eucharystii jest centrum wszechświata. Tutaj, teraz, Chrystus umiera za nas wszystkich, umiera za mnie, umiera za tych, którzy mają do kościoła daleko i nie mogą być na Eucharystii albo w ogóle nie wiedzą o tym. To było coś niezwykłego, tego nie da się przekazać słowami, ale ja byłam wstrząśnięta. Nagle zrozumiałam, że to nie tak, że ja coś zrobiłam dla Pana Jezusa, tylko że to ja jestem niesłuchanie uhonorowana, że mogę uczestniczyć w tajemnicy zbawienia świata, że jestem tutaj i jestem świadkiem tego, że Chrystus umiera i zmartwychwstaje, żeby zbawić mnie i wszystkich ludzi, chociaż oni może o tym nie wiedzą, bo nie mieli takiej możliwości. Wyjeżdżałam z tej Mszy Świętej z niezwykłą radością. Nigdy wcześniej mi się to nie zdarzyło. Jechałam szosą na tym pożyczonym rowerku, była znowu lekka mgła, z pięknymi prześwitami słońca. W pewnym momencie zobaczyłam, że coś się przede mną porusza. Nie miałam dobrych okularów do patrzenia w dal. Po chwili zobaczyłam jednak, że coś wychodzi na szosę. Było to stado jeleni, które wyszły z lasu. Przyhamowałam, ale za mną jechał jakiś samochód, który one usłyszały, i uciekły. Pomyślałam sobie wtedy, że Pan Bóg wie, jak bardzo lubię zwierzęta i mi je w prezencie przysłał.

Mirosława Misiejuk

Jestem nestorką w tym gronie. Mam 73 lata. Młodość pewnie myśli, jak można tak długo żyć. Ja Bogu codziennie dziękuję, że

jeszcze żyję i trzymam się w miarę dobrze. Pomaga mi w tym niewątpliwie poczucie humoru, przyjazne nastawienie do ludzi, zachwyty przyrodą, miłość do rodziny i oczywiście wiara w Boga. Pochodzę z rodziny głęboko wierzącej, katolickiej. Urodziłam się na wsi podlaskiej koło Białegostoku. Miałam czworo rodzeństwa. Rodzina wielopokoleniowa. Babcia. Mieszkał również z nami niesłyszący od dziecka, po przebytej chorobie, stryj. I oczywiście rodzice. Strycja bardzo kochaliśmy. Był tolerancyjny, był dla nas osobą od rozpieszczania. Nestorką rodu była babcia Zofia, która rygorystycznie pielęgnowała tradycje, obyczaje i wpajała w nas



Mirosława Misiejuk

wartości chrześcijańskie. Post to był post. We wtorek zapustny przed Popielcem było szorowanie popiołem patelni i garnków jako symbol, że nadchodzi post i trzeba będzie się wyrzec smakołyków. W Popielec i Wielki Piątek był jeden posiłek dziennie, chleb i herbata. Wieczera wigilijna była pierwszym posiłkiem tego dnia. Taka była tradycja w moim domu. Nie odczuwaliśmy z tego powodu jakichś przykrości. Wszyscy bowiem tak zostaliśmy wychowani i było nam z tym dobrze. A święta były naprawdę rodzinne. Śpiewaliśmy. Moja rodzina jest bardzo muzykalna.

Rodzeństwo śpiewało w chórze, a więc śpiewaliśmy w czterogłosowym chórze kolędy czy pieśni na Wielkanoc. Kościół był dosyć daleko, więc w okresie Wielkiego Postu śpiewaliśmy Gorzkie Żale i też odmawialiśmy Drogę Krzyżową w domu.

Ja odeszłam z domu dosyć wcześnie, bo w wieku czternastu lat poszłam do liceum pedagogicznego. Nauka trwała pięć lat. W domu bywałam rzadko. Były to czasy najostrzejszej komuny, ale silne podstawy, jakie wyniosłam z domu, sprawiły, że nigdy nie miałam problemów z chodzeniem na religię czy do kościoła. Chociaż muszę przyznać, że zupełnie inaczej pojmowałam wiarę w Boga. Wydawało mi się, że odmawianie rano i wieczorem modlitwy, uczęszczanie na niedzielną Mszę Świętą, zachowanie postu w dniu nakazanym uprawniają mnie w pełni do uznania, że jestem osobą wierzącą i praktykującą.

Jednakże życie doświadczyło mnie bardzo gorzko. Przeżyłam niezmyślane, ale prawdziwe nieszczęścia. Pan Bóg doświadczył mnie krzyżem. Przeżyłam bardzo głęboko śmierć pięciorga moich nienarodzonych jeszcze dzieci. Jaki to dramat, chyba nie muszę w tym gronie tłumaczyć. Wydawało mi się, że zawiniłam czymś Panu Bogu. Przychodziłam do kościoła, ale modliłam się z żalem i wyrzutem. Mówiłam „Panie Boże, dlaczego ja? Dlaczego tak mnie doświadczasz? Czy ja muszę być do śmierci nieszczęśliwa?”. Ale na to pytanie Pan Bóg mi odpowiedział. Po ośmiomiesięcznym leżeniu urodziłam śliczną, zdrową córeczkę. Miałam już 42 lata. W tamtych czasach, w moim wieku, w sytuacji kiedy nie było lekarstw, bo to był początek stanu wojennego, lekarze uważali to za zdarzenie niezwykle. Byłam obiektem badań, a nawet tematem prac naukowych.

Kiedy córka miała sześć miesięcy, doznałam urazu kręgosłupa. Dyskopatia, walczyłam z bólem, w końcu przestałam chodzić. Przez rok poruszałam się na wózku inwalidzkim, a córka miała dopiero dwa latka. Prosiłam Pana Boga, błagałam Go, żeby pozwolił mi cieszyć się moją córką, wychować ją. Mimo bólu, mimo wszystko byłam szczęśliwa, bo córka rosła bardzo ładnie, rozwijała się prawidłowo. Była cudownym, słodkim dzieckiem. Nie sprawiała żadnych problemów wychowawczych.

Kiedy córka miała czternaście lat, przeżyliśmy pożar domu. Wyszliśmy, Bogu dzięki, z życiem, choć tylko w piżamach. Potem kolejny dramat, kolejna trauma. Mąż zachorował. Opinia lekarska – rak z przerzutami. Lekarze nie dawali najmniejszej nadziei, że mąż z tego wyjdzie, chociaż zrobiliśmy wszystko. Operacja, radioterapia, chemioterapia. Bez skutku. Wtedy byłem bliska załamania. Po prostu byłem przerażona. Poszłam do kościoła, do kaplicy Matki Boskiej Ostrobramskiej. Uklękałam przed Chrystusem ukrzyżowanym. Obok obraz Matki Miłosierdzia. Przez łzy nie widziałam ani obrazu, ani krzyża. Nie potrafiłam się nawet modlić, tylko milczałam i płakałam. Kiedy otarłam łzy, powiedziałam „Jezu, ufam Tobie,” modląc się słowami koronki do Miłosierdzia Bożego. Wróciłam do domu z zaufaniem, że skoro Pan Bóg już tyle razy nie pozwolił mi popaść w rozpacz, to i tym razem mnie nie opuści. Silna wiara pozwoliła mi przetrwać.

Wtedy właśnie rozpoczęła się moja miłość do Eucharystii. Podczas choroby męża nie zawsze mogłam pójść codziennie na Mszę Świętą, ale nigdy jej nie opuściłam w niedzielę. Natomiast kiedy po śmierci męża zostałam sama i kiedy moja przyszłość była dla mnie czarną dziurą, postanowiłam, że z Eucharystii będę czerpać to, co jest mi najpotrzebniejsze – wiarę, nadzieję i tę moc, która mi zawsze pomagała. Musiałam przecież wychować i wykształcić córkę, a byłam już na wcześniejszej emeryturze z powodu choroby kręgosłupa. Bałam się, że nie poradzę sobie finansowo. Ale Pan Bóg wszystko może. Trudno tu w szczegółach opowiadać, w jaki sposób sobie radziłam. Między innymi udzielałam korepetycji uczniom. Córka ukończyła filologię angielską i prawo. W Białymstoku trudno było jej znaleźć pracę, zdecydowała więc przyjechać do Warszawy. Uważam za prawdziwy cud, że udało mi się kupić jej mieszkanie w Warszawie. Teraz mieszkam z nią razem w parafii błogosławionego Edmunda Bojanowskiego na Ursynowie.

Stare przysłowie mówi, że „starych drzew się nie przesadza”. Bałam się, że będzie mi trudno odnaleźć się w Warszawie. Szukałam mieszkania, żeby było jak najbliżej kościoła. I mieszkam blisko kościoła. Od piętnastu lat codziennie uczestniczę w poran-

nej Mszy Świętej, rozpoczynającej się jutrznią, bo taką najbardziej lubię. Z psalmów wyciągam wiele wskazówek, wiele nauki. Jest to dla mnie wspaniała modlitwa. A Msza Święta jest czymś dla mnie niezbędnym. Nie umiem inaczej rozpocząć dnia. Jest to dla mnie pewnego rodzaju rehabilitacja duchowa i fizyczna. Duchowa, bo właśnie w kościele poznałam masę ludzi, zawarłam przyjaźnie. Mam serdeczne przyjaciółki. Mam mnóstwo znajomych. Już nie jestem anonimowa. Kiedy wychodzę na ulicę, witam się z wieloma osobami. Znam już prawie wszystkich uczestników niedzielnej Mszy Świętej o ósmej rano.

Opowiem o pewnym zdarzeniu. Niedługo przed świętami Bożego Narodzenia spotyka mnie na ulicy pewna starsza pani i mówi: „tu w Tesco jest promocja masła, a ja panią znam z kościoła. Po złoty pięćdziesiąt za kostkę. Jak pójdzie pani teraz, to zdaży pani kupić”. Rozbawiło mnie to trochę, bo ja tak dużo masła nie zużywam, a po drugie, nie jest to taki wielki wydatek, ale było mi ogromnie miło, że ludzie znają mnie z kościoła. Świadczy to, że tworzymy tam wspólnotę. Parafia jest wspólnotą. Żyjemy tym, co dzieje się w parafii. Staramy się angażować we wszystkie sprawy. Ja też lubię się angażować. Pomimo wieku zawsze lubię być czynna. Udzielałam charytatywnie korepetycji. Przygotowywałam uczniów do matury, uczniów z trudnych z rodzin. Angażuję się również w działalność parafialną. Jestem zelatorką różańca. Prowadzę sprawy organizacyjne całego różańca. Podczas Mszy Świętych bywam lektorką, a nawet śpiewam psalmy. Kościół to mój dom, a Eucharystia to moje życie.

Ks. Jarosław Piłat

Można powiedzieć, że cała historia zbawienia to są przemiany człowieka. Jakby sumą tej przemiany jest Eucharystia. Każdy z nas poszukuje przemiany. To jest chyba jeden z głównych tematów. Myślę, że pokazały to też prezentowane tu wypowiedzi. Ta przemiana następuje. Jest dogłębna. Obejmuje całego człowieka. W Eucharystii mamy do czynienia ze spotkaniem, którego szukamy. Każdy z nas szuka dialogu, spotkania, miłości. W Eucharystii znajdujemy Kogoś, kto jest całkowicie dla nas, w takim zakresie,

jakiego sobie nawet często nie wyobrażamy, dotykającego jakby najdrobniejszego fragmentu naszej osobowości. Dzieje się to przez te przybliżenia, a tych przybliżeń można znaleźć w Eucharystii dziesiątki czy setki. Jest to tajemnica ostatecznie niewypowiedziana. Ale one pokazują, że Eucharystia jest spełnieniem naszego życia. Dlatego jest taka waga niedzielnej Eucharystii, ale także codziennej Eucharystii, która została w niektórych tutaj wypowiedziach bardzo mocno podkreślona. Ona jest spełnieniem tego, czego szukam codziennie, w każdej chwili i co jest mi potrzebne. Zapewnienia, że jestem najważniejszy, kochany i tego, że zmiana jest całkowicie możliwa. Struktura Mszy Świętej jest tak ułożona, że możemy zobaczyć tę zmianę.

Dyskusja

Marcin Borzęcki

Mam 30 lat i jestem tutaj odpowiedzialny za spisywanie z nagrań tekstów Konwersatoriów. Chcę odpowiedzieć na pytanie, czym dla mnie jest Eucharystia. Jest dla mnie spotkaniem z kochającym Ojcem. Ojcem, który dał mi życie, który mnie stworzył, który mnie prowadzi. Jestem od szesnastu lat ministrantem, a od prawie jedenastu lat we wspólnocie neokatechumenalnej. Uważam, że obecność w tych dwóch grupach, a także od niedawna uczestnictwo we Mszach Świętych z modlitwą o uzdrowienie, bardzo mi pomaga rozumieć Eucharystię.

W neokatechumenacie przygotowujemy wstępy do czytań liturgicznych. Możemy w ten sposób lepiej zrozumieć słowa zawarte w czytaniach i słuchać homilii skierowanych konkretnie do nas, podkreślających to, co jest dla nas najważniejsze w naszej historii zbawienia. Pomaga mi to zrozumieć, co Bóg do mnie mówi, i w Słowie Bożym spotykać się z Nim w trakcie Eucharystii. W neokatechumenacie Eucharystie są w małych grupach, co pozwala nam bardziej się poznawać i zaprzyjaźnić. Nie jesteśmy grupą przypadkowych obcych sobie osób, które uczestniczą w tej



Marcin Borzęcki

samej Mszy Świętej, ale grupą bliskich sobie ludzi. Dzięki temu bardziej dzisiaj rozumiem Eucharystię, niż to było wtedy, kiedy byłem małym chłopcem, kiedy babcia prowadziła mnie do kościoła, gdzie czułem się obco. Myślę też, że bardzo mi pomógł film „Ja jestem” oraz już tutaj wspomniane świadectwo Cataliny Rivas, które ukazują żywą obecność Jezusa w Eucharystii.

Spisał z nagrania Marcin Borzęcki

C.d. wypowiedzi otrzymanych drogą korespondencyjną

Marianna Łacek (Australia)

Moja Msza Święta

Analizując mój stosunek do Mszy Świętej, muszę wrócić wspomnieniami do dzieciństwa. Mogłam mieć pięć lub najwyżej sześć lat. Uprosiłam ojca, żeby mnie wziął ze sobą na Roraty. To nie

było w naszym kościele parafialnym, do którego trzeba było iść przez pola co najmniej 6 kilometrów. Tym razem ojciec szedł do oddalonego o 8 kilometrów Olkusza, gdzie pracował. Autobusy tak wcześnie rano jeszcze nie kursowały, a więc szliśmy pieszo. Pamiętam chłodne, rześkie powietrze, rozgwieżdżone niebo i ciepłą mocną dłoń ojca, w której kryła się cała moja piąstka. Rozmawialiśmy.

A czy ty wiesz, co to są Roraty? – zapytał. Niestety, nie wiedziałam. Ojciec opowiadał, wyjaśniał prostym językiem, który trafiał do mojej dziecięcej wyobraźni. Zapamiętaj sobie – mówił – w Roratach najważniejsza jest Msza Święta. A wiesz co to jest Msza Święta? Msza Święta jest to bezkrwawa ofiara, w której się sam Pan Jezus za nas ofiaruje. Nie rozumiałam głębi tych słów, chociaż znaczenie każdego z wyrazów nie było mi obce. Teraz sobie zapamiętaj, mówił ojciec. Jak będziesz większa, to zrozumiesz.

Powtarzał podobnie, kiedy czytaliśmy z którejs z tych dużych, w skórę oprawnych ksiąg, stojących na półce „pod obrazami”. Były tam „Żywoty Wszystkich Świętych”, „Żywoty Świętych Polskich”, „Pismo Święte”, a także jedna, której łacińskiego tytułu nie pamiętam, ale ze swojsko brzmiącym podtytułem „Dla tych, którzy nie mogą uczestniczyć w niedzielnej Mszy Świętej.” Właśnie z tej książki czytaliśmy prawie w każdą niedzielę zimą. Mama zwykle szła „na sumę” do naszego kościoła. Czyli wychodziła rano, a wracała późnym popołudniem, kiedy już zmierzchało. Ojciec kończył pracę o 6.00 rano i szedł na pierwszą poranną Mszę Świętą do olkuskiego kościoła. My, dzieci (było nas wówczas sześcioro), albo nie mieliśmy ciepłych butów i ubrania, albo któreś z nas było chore – niedziele więc spędzaliśmy w domu.

Czysto wysprzątany pokój, ogień buzujący wesoło w piecu i my zgromadzeni wokół stołu. Najpierw – pamiętam – czytał ojciec, później moi starsi bracia. Z zazdrością patrzyłam, że im już wolno było czytać. W końcu przyszła kolej i na mnie. Ojciec otwierał książkę na odpowiedniej stronie i wskazywał miejsca, gdzie ja mogłam czytać. Niektóre dłuższe ustępy czytał sam. Jak zwykle wyjaśniał nam przypisane na daną niedzielę urywki z Pisma Świętego.

Moje własne dzieci przyszło mi wychowywać w kraju, gdzie nie ma zimy, a nie kościół znajduje się w odległości 7 minut pieszej drogi.

Taki luksus miałam tylko w Krakowie, podczas studiów. Dlatego uczestniczenie w niedzielnej Mszy Świętej było od początku czymś tak bardzo oczywistym, jak nastanie dnia po nocy.

Dla dzieci mieliśmy takie samo ważne przesłanie, jakie dali nam rodzice – najpierw nawyk i wyrobienie odpowiedzialności, a zrozumienie przyjdzie w odpowiednim czasie. Bardzo zależało nam na tym, żeby dzieci polubiły uczestnictwo we Mszy Świętej. Małe dostawały po pieniążku i czekały na ten moment, kiedy będą mogły go położyć na tacę. Szybko nauczyły się „Ojczy nasz”, żeby mogły recytować „Modlitwę Pańską” ze wszystkimi, potem „Wierzę w Boga Ojca” oraz inne odpowiedzi wiernych. Nie stosowaliśmy wielkiego rygoru, ale wiadomo było, że w kościele należy się dobrze zachowywać.

Przez wiele lat uczestniczyliśmy wspólnie w wieczorowej Mszy Świętej odprawianej po polsku w naszym lokalnym kościele. Wszyscy czuliśmy się odpowiedzialni za naszą wspólnotę. Chłopcy od najmłodszych lat byli ministrantami. Pamiętam, jak raz, wracając z wizyty od znajomych, utknęliśmy w korku. Zbliżała się godzina naszej Mszy Świętej. Bocznymi ulicami dotarliśmy do kościoła w ostatniej chwili. Było nam bardzo nieprzyjemnie, ale na to, żeby wstąpić do domu po dzieci nie było już czasu. Jakież było nasze zdziwienie, kiedy przy stopniach ołtarza dostrzegliśmy naszych dwu ministrantów i córkę stojącą z najmłodszym braciszkiem w ławce na zwykłym naszym miejscu. Pomogłam im się ubrać, tłumaczyła. Ona miała lat 12, najmłodszy tylko 5.

Pamiętam, że kiedyś zgasło światło i cały kościół pograżył się w ciemności. Ksiądz kontynuował Liturgię przy blasku płonących na ołtarzu świec. Niestety, wyznaczeni na tę niedzielę lektorzy nie podjęli się czytania w takich warunkach. Nasza 14-letnia wówczas córka bez wahania podeszła do pulpitu i mocnym, donośnym głosem, przy chybotliwym płomyku przeczytała pierwsze czytanie, zaśpiewała psalm, przeczytała drugie czytanie, a potem po kazaniu modlitwę wiernych. To było dla niej coś tak oczywistego, że czuła się zażenowana, kiedy ksiądz po zakończeniu Mszy Świętej publicznie jej podziękował.

Na Triduum Paschalne, zaczynając od Wielkiego Czwartku, jeździliśmy do polskiego kościoła, odległego o kilkadziesiąt kilometrów. Podczas godzinnej jazdy nadarzała się okazja, aby porozmawiać z dziećmi o zbliżających się uroczystościach upamiętniających Ostatnią Wieczerzę i Golgotę, aż do Zmartwychwstania.

Teraz, jako dorośli już ludzie, wszyscy potrafili wyrobić sobie swój własny kontakt z Panem Bogiem poprzez uczestniczenie we Mszy Świętej wszędzie tam, gdzie dane im jest mieszkać i pracować.

Dla mnie Msza Święta jest radosnym zgromadzeniem wiernych, którzy wspólnie uczestniczą w wielkim misterium spotkania z Chrystusem. Przygotowuję się do tego spotkania, żałując za wszystkie potknięcia, zaniedbania i niedociągnięcia. Słucham Słowa Bożego i za każdym razem odkrywam coś nowego. Rozmawiamy i dyskutujemy później na ten temat z mężem. Przynoszę przed Boży Ołtarz moje własne prośby i dziękczynienia. Patrząc na podniesioną przez kapłana Hostię, szepczę cichutko – Chryste, wierzę. Kiedy podajemy sobie z mężem ręce, mówiąc „Pokój z Tobą” – nikną wszystkie dąsy, urazy i pretensje. Nawet słowo „przepraszam” staje się zbędne. Wspólnie przystępujemy do Stołu Pańskiego, każde na swój sposób przeżywając swoje spotkanie z Chrystusem. Msza Święta to czas refleksji, wytchnienia, oderwania się od codziennego pośpiechu i zagonienia. Wychodzimy z Bożym, uczynionym ręką kapłana Błogosławieństwem. Msza Święta to haust wiary, który ma wystarczyć na nadchodzące dni.

*Jakie widzę możliwości wykorzystania
wartości religijnych
jako sposobu kształtowania sumień?*

Cytaty

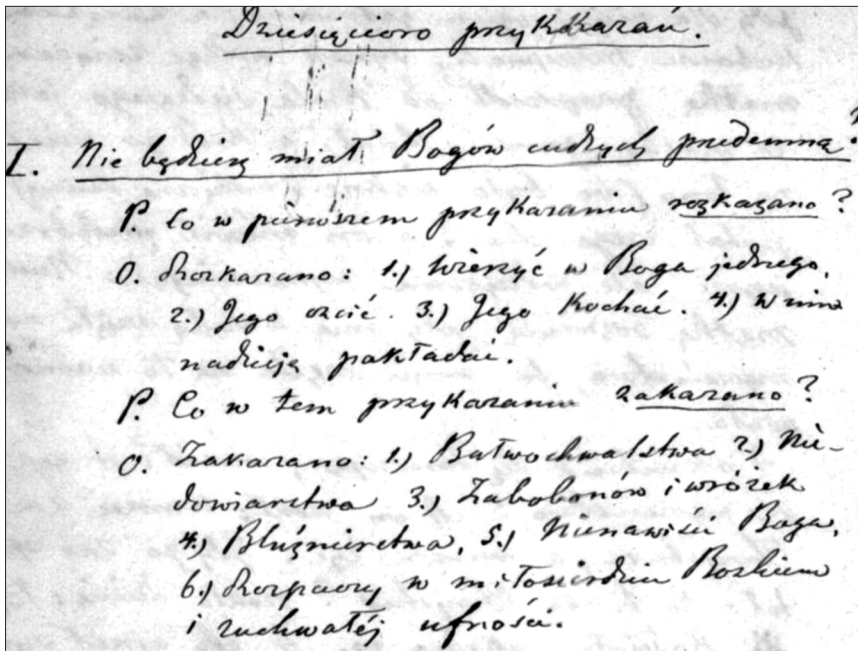
Edmund Bojanowski,

Dziennik, 20.10.1857, t. II, s. 307 (fragment)

...cotygodniowa spowiedź i przystępowanie Służebniczek do Komunii św. pociąga za sobą parafian tak, że co niedzielę ksiądz nie może wszystkich nawet wysłuchać, a oprócz tego i w dnie powszednie przychodzą. Tego zbawiennego wpływu i skutku spodziewał się z Ochronek już o. Semenenko. Czyliż świadectwo to nie jest dostateczną odpowiedzią na zarzuty czynione tu i ówdzie naszym Ochronkom, że zanadto nabożeństwami się zajmują? Dalej ks. Roszak wychwala ich pieczołowitość o chorych, opuszczonych w tamtejszym szpitalu. W końcu powiada, że „pewno z winy Sióstr Ochronki się nie rozchwieją, chyba że się dworom sprzykrzą!” Dlatego ja to od samego początku pragnąłem, aby bez zależności od dworu, własnej tylko pracy i zarobkowości były zostawione, przez co energia pracy bardziej by natężyć się musiała, bez spuszczenia się na cudzą, a często niepewną opiekę.

Z notatek bł. Edmunda Bojanowskiego
„Dziesięcioro przykazań” (fragment)

Matki same nas wprawiały do religijnych obowiązków; wrażały nam istność Boga nieograniczonej dobroci, razem gniew Jego srogi i kary, za niewykonanie tego, co nam przepisał dla dobra istotnego rodu ludzkiego. Uczyły same zwykle pacierza, klęcząc z nami wspólnie ze złożonymi rękami, oczyma wzniesionymi do góry, lub spuszczone ku ziemi, na znak upokorzenia się przed najwyższą istnością. A gdyśmy tę odbywali powinność, otaczali nas żyjący dziadowie, babki i ojcowie, kiedy byli wolni od zatrudnień koniecznych, i wszyscy prawie domowi i dworscy. – Wierzono bowiem, że modlitwa niewinności dziecięcej miała moc i wpływała na pomyślność wszystkich współ – żyjących i zmarłych. O! jak to



Pamiętnik Wacława Borejki w Pamiętnikach Domowych,
1854, (fragment)

podnosiło umysł dziecięcy! Czulo się już być sprawcą przez swoją modlitwę szczęścia dla swej rodziny domowej; a po odbytych pacierzu wszyscy nam przytomni dziękowali, że o nich pamiętamy. I tak od dzieciństwa wprawiano nas do miłości bliźniego. Modlitwa w początkach na jednym Ojciec nasz i Zdrowaś Marja kończyła się, bo wyznanie wiary odkładano, do czasu pojęcia lepszego.

Edmund Bojanowski, Dziennik, 18. 02. 1856, t. II, s. 27
(fragment)

....Bóg miłosierny dał mi tyle cierpliwości i spokojności, żem łagodnie rzecz wyjaśniał (...). Więcej o tym pisać nie mogę, bo zanadto całe to zajście mnie drażni złą wola, jaka się coraz bardziej wzmacnia w zawiśnikach mojego szczerego przedsięwzięcia. Może to właśnie rzecz całą podniesie.

Edmund Bojanowski, Dziennik, 6. 05. 1855, t. I, s. 634

Odprawiłem ją więc bez dalszego słuchania. Dziewczyny tej, jakkolwiek niby pobożnej, nie można pewnie będzie wcale użyć do ochronkowej służby z powodu jej szkaradnego nałogu upatrywania zawsze czegoś nagannego do drugich...

Edmund Bojanowski, Dziennik, 9. 08.1857, t. II, s. 269

...z powodu owych gadań, których się dopuszczały dwie oddalone z Ochrony dziewczyny, nie może dozwolić o. Baczyńskiemu i innym nawiedzać Ochronki, a nawet dawać rekolekcje

Edmund Bojanowski, Doświadczenia i sposoby gospodarcze

Cieszkowski w piśmie „O ochronach wiejskich” uznawał ważność zatrudnień rolniczych i ogrodniczych dla dzieci, przy których mogłyby nabierać potrzebnych w tym względzie wyobrażeń i uczyć się środków praktycznych, a przez to wykorzeniać rutyniczne pomiędzy ludem przesady.

Zaiste ważnym jest to już co do dzieci, a tym potrzebniejsze, aby Służebnice Ochron, czyniąc nowe w domowym gospodarstwie doświadczenia i próbując rolniczych sposobów, szerzyły między ludem ich używanie, oraz wytępiały przesady gospodarcze – lub też sprawdzały te, które są godne zachowania i wyjaśnienia, a uchodzą za zabobony, np. – obwiązywanie drzew słomą, rzucanie żelaza do mleka, aby się śmietana ustawała.

Jak pierwotni pustelnicy i zakonnicy szerzyli znajomość ogrodnictwa i uprawy roli przy nawracaniu i pracy około chwały Bożej, tak Służebnice Ochronek szerzyć mają sposoby ulepszania gospodarstwa domowego, obok zachęcania do czytania przez wieczornice, czytania na polu itp. i obok służb miłosiernych, a mianowicie nawiedzania chorych.

Ulepszenia te gospodarskie i przemysłowe przyczyniać się nie mniej mogą do tem pewniejszego utrzymania się tychże służebnic z pracy rąk własnych.

KONWERSATORIUM LXIX

(15 lutego 2014)

Jakie widzę możliwości wykorzystania wartości religijnych jako sposobu kształtowania sumień?

Prowadzący: Elżbieta Mycielska-Dowgiałło, rektor SWPR (w zastępstwie ks. Adama Zelgi); Agnieszka Jackowska, etyk, pedagog, nauczyciel, doradca rodzinny i Joanna Jackowska, studentka Uniwersytetu Warszawskiego, kierunków historia i europeistyka; Maciej Srebro, prawnik, menadżer i Andrzej Srebro, licealista; Anna Słomka, historyk sztuki, nauczyciel i Bogna Słomka, studentka Akademii Pedagogiki Specjalnej, na kierunku Edukacja Artystyczna; Katarzyna Gromelska, pedagog, nauczyciel akademicki, kurator sądowy.

Agnieszka Jackowska

Bardzo jestem szczęśliwa i jeszcze raz dziękuję pani Profesor za to miejsce, za tę Uczelnię, za miejsce debaty, za to, że od wielu lat możemy się tutaj zastanawiać nad bardzo ważnymi kwestiami dla naszego życia, dla nas samych.

Dzisiejszy temat jest jednym z takich ważnych zagadnień. Mówię to z perspektywy własnej, jako osoby już dojrzałej, jako mamy licznej rodziny i jako osoby pracującej z ludźmi. Pracuję w pięciu różnych szkołach, prowadzę poradnię rodzinną, spotykam się z narzeczonymi i z osobami, które przychodzą prosić o pomoc w rozwiązaniu problemów.

Przygotowując się do spotkania, zastanawiałam się, czym Dekalog jest dziś. Czy we współczesnym świecie możliwe jest życie według przykazań. Gdy mówimy o dziesięciu przykazaniach, często słyszymy: „my już dziękujemy za te wymagania, będziemy żyli tak, jak uważamy”.

Mamy do czynienia ze zjawiskiem indywidualizmu w przestrzeni kulturowej, co oznacza, że sami chcemy ustanawiać prawa i decydować o tym, jak będziemy żyć. Zagroza nam relatywizm. Nie ma odniesienia do podstawowej prawdy, tylko chcemy sami tworzyć punkty odniesienia, tworzyć prawdę. Ma być tak jak ja chcę, jak jest mi dobrze.

Przypomina mi się ksiądz Tadeusz Fedorowicz, wspaniała postać, który stworzył wokół siebie „środowisko wędrowników”. Chodziliśmy z nim przez wiele lat w czasie wakacji i zawsze mówił nam, wspominając swoje przeżycia, o wielu ważnych kwestiach. Kiedyś spytał nas: „czy wiecie, kochani, czym jest prawdziwa miłość?” I rozróżnił w sposób bardzo prosty tę Miłość. Powiedział: „jest ogromna różnica między kochaniem kogoś a kochaniem się w kimś”. Bardzo mi zapadło to stwierdzenie w pamięci i życie to wszystko potwierdziło. Można tworzyć różne relacje, można bardzo dużo ludzi spotykać, można się wiązać z różnymi osobami, a człowiek ciągle może kochać tylko siebie w tych osobach. I ma problem z odnalezieniem tej prawdziwej Miłości, która jest darem siebie dla drugiego człowieka.

To, co mnie uderza w pracy czy w poradni rodzinnej, to zjawisko, że wielu młodych ludzi ma problem z tym, jak dobrze przygotować się do małżeństwa, jak znaleźć prawdziwą miłość. Ktoś powiedział, że to miłość powinna nas znaleźć. Z miłością jest tak jak z bardzo delikatnym naczyniem z drogocennej porcelany. Filiżanka z prawdziwej porcelany jest przepiękna, filigranowa, ale równocześnie bardzo krucha. I właśnie tak jest z miłością.

Jaki jest problem z odnalezieniem miłości, z tym, żeby miłość nas odnalazła?

Czyli zastanówmy się nad pierwszym przykazaniem „będziesz miłował Pana Boga swego z całego serca, z całej duszy, ze wszyst-



Paneliści



Agnieszka Jackowska w panelu. Obok siedzą Joanna Jackowska,
Bogna Słomka i Agnieszka Słomka

kich sił swoich, a bliźniego swego jak siebie samego” i nad szóstym „nie cudzołóż”.. Mamy ogromny problem ze zjawiskiem, które dawniej także występowało w Polsce, ale nie w takim natężeniu; statystyki wskazują na rozmiar zjawiska. W ciągu pięciu lat pracy w poradni zauważyłam, że 85% par, które szykują się do ślubu, to w zasadzie skonsumowane małżeństwa. Są to ludzie, którzy pragną dobrze żyć, są sobie wierni, prowadzą takie życie jak w małżeństwie. Na pytanie, dlaczego podjęli taką decyzję, odpowiadają, że z przyczyn organizacyjnych, ponieważ tak jest łatwiej. Pan Bóg jednak puka i kołacze do nich, przychodzą więc i proszą, że chcą zawrzeć sakramentalny związek . I co w takim wypadku należy robić? Przecież „nie cudzołóż” nie dotyczy tylko przykazania dla nas, osób żyjących już w małżeństwie, lecz także narzeczonych, młodych osób. Co zrobić, żeby znaleźć prawdziwą miłość i dobrze przeżyć czas przed ślubem?

Przykazanie się nie zmieniło. Chcę wskazać na bardzo optymistyczny kierunek, że kiedy wytłumaczy się młodym, dlaczego czystość, budująca miłość, jest ogromną wartością, i że w każdej chwili można zawrócić z błędnej drogi, którą opisałam wcześniej, której towarzyszy szamotanie się, i odnaleźć spokój serca, poczuć tęsknotę za zjednoczeniem i dobrze przygotować się na udzielenie sobie sakramentu małżeństwa, młodzi nie wahają się, żeby tak zrobić. Model zachowań prezentowany we współczesnej kulturze to spotkanie, łóżko i najczęściej koniec miłości. Czy my do tego jesteśmy powołani jako chrześcijanie? Człowiek jako osoba psychofizyczno-duchowa, podejmując akty seksualne, łączy się z drugą osobą całkowicie, a w akcie małżeńskim łączy się wyjątkowo całkowicie. Dlatego to, co jest znakiem jedności, ma być znakiem jedności. A przed ślubem nawet na minutę tej jedności nie ma. I jak to wszystko wytłumaczy się z cierpliwością, z miłością, to zostaje przyjęte. Nie spotkałam jeszcze pary, która by powiedziała „tej pani dziękujemy, bo pani ma takie wymagania i do widzenia”. Zawsze przychodzą i dziękują. Dziesięć lat mieszkali razem, rozsunęli łóżka, bo nie zawsze można zmienić mieszkanie. Przyszli po ślubie i powiedzieli: „Proszę pani, te dwa miesiące do ślubu, po spotkaniu

w poradni, to były najpiękniejsze nasze miesiące. Poczuliśmy się rzeczywiście jak narzeczeni i tęskniliśmy za sobą i zaczęliśmy nowe życie”. I wydaje mi się, że to doświadczenie mówi mi tak: wymagania Pana Jezusa są stale aktualne, są możliwe do spełnienia i musimy bardziej konkretnie i z większą miłością przekazywać je młodym, bo może nie mieli nigdy okazji o tym usłyszeć.

Joanna Jackowska

Jestem córką Agnieszki, studentką dwóch kierunków studiów – historii i europeistyki. Chciałam opowiedzieć o moim doświadczeniu bycia wychowawcą w Klubie Inteligencji Katolickiej. Rolę tę pełnię od pięciu lat. Obecnie „dzieci” mają już po siedemnaście, osiemnaście lat i same wchodzą w rolę wychowawców. Sprawa, którą chciałam poruszyć podczas dzisiejszego konwersatorium, dotyczy sakramentów. Jakiś czas temu, wraz z moimi współkoleżkami, zauważyliśmy, że bardzo mało osób z grupy przystępuje do Komunii Świętej. Rozmawialiśmy z dziećmi, pytając o przyczynę. Chyba najczęściej wskazywanym przez nich powodem był żal i rozczarowanie do instytucji, jaką jest Kościół. Trudno zmienić przez jedną rozmowę wyrobione przez długi czas zdanie na dany temat. Jedyne, co można zrobić, to przekonywać własną postawą i zachęcać do pogłębiania wiedzy, opartej nie tylko na medialnych newsach. Innym przykładem „walki o sakramenty” były nasze wyjazdy zagraniczne, z dala od kościołów katolickich. Zawsze staraliśmy się uczestniczyć we Mszy Świętej niedzielnej, nawet jeśli wymagało to większych poświęceń. Myślę, że same próby poszukiwania były świadectwem i pokazywały żywe zaangażowanie w wyznawanie naszej wiary. Chcieliśmy przekazać dzieciom, że niezależnie od tego, czy jesteśmy w kraju czy za granicą, jesteśmy zobowiązani do tego, aby pójść na Mszę Świętą. Kiedyś byliśmy w Czechach, gdzie uczestniczyliśmy we Mszy Świętej. Dzieci skarżyły się później, pytając o sens bycia na Mszy, z której wielu słów się nie rozumie. Na takim przykładzie fantastycznie mogliśmy odczuć powszechną misję Kościoła. Tłumaczyliśmy, że Mszę traktujemy jako łaskę i dar nam dany i powinniśmy się autentycznie zaangażować w jej przebieg. Właśnie – aktywnie uczestniczyć we Mszy, a nie tylko być przez dłuższą chwilę w kościele.



Joanna Jackowska (z mikrofonem), obok siedzi Bogna Słomka

Myślę, że wraz z wiekiem ciągle się czegoś nowego uczę i jeszcze do wielu rzeczy muszę dojść. Wydaje mi się jednak, że w dzisiejszych czasach bardzo ciężko jest znaleźć prawdziwe autorytety. Brak ludzi, którzy udzielą nam wskazówek i pokażą, co i jak mamy robić. Zatem Dekalog stanowi dla mnie przestrzeń, która nie ogranicza, ale taką, która jest dla mnie wskazówką, jak mam żyć i do czego dążyć.

Anna Słomka

Jestem nauczycielem w szkole podstawowej i gimnazjum, a także członkiem zespołu działającego przy Uniwersytecie Warszawskim, który zajmuje się adaptacją materiałów dydaktycznych na potrzeby uczniów niewidomych. Jako historyk sztuki jestem proszona o pomoc przy redagowaniu podręczników, w których znajdują się reprodukcje dzieł sztuki. Te dwie prace to jest część mojego życia, pozostała część to moja rodzina, mąż i pięcioro dzieci. Tutaj koło mnie siedzi moja średnia córka Bogna. Podobnie jak mojej przedmówczyni, rok temu wybiła nasza srebrna rocznica ślubu. Jestem bardzo szczęśliwa, zaszczycona tym zaproszeniem, ponieważ uczestniczę często w Konwersatoriach, a nie zdarzyło mi

się jeszcze, żebym nie była zbudowana wszystkim, co tutaj slysze. Często też jestem zawstydzona, ponieważ poprzeczka jest podniesiona tak wysoko, że wydaje mi się, iż jej nie dosięgnę.

Dzisiejszy temat nie jest łatwy, ponieważ zmusza nas do rachunku sumienia. Niestety nie ma czasu, aby chociaż dotknąć każdego z przykazań. Skupię się na trzech i to bardzo pobieżnie. Temat jest dla mnie ważny. Często zastanawiam się, jak przykazania Boże mają się do naszej współczesności.

Jeśli chodzi o pierwsze przykazanie „Nie będziesz miał bogów cudzych przede mną”, to łatwo zauważyć, że tych bogów cudzych jest pełno dookoła i jeszcze pojawiają się nowi. Żeby sobie pomóc, sięgnęłam do rachunku sumienia, który znajduje się na internetowej stronie parafii pod wezwaniem NMP Matki Kościoła przy ul. Domaniewskiej w Warszawie. Jest tam dość szczegółowy rachunek sumienia odnoszący się do każdego kolejnego przykazania. Na temat pierwszego czytamy: „grzechem jest, kiedy nie staram się o pogłębienie swojej wiedzy religijnej przez czytanie Pisma Świętego, książek religijnych, słuchanie kazań i tym podobne. Grzechem jest, gdy narażam się na utratę wiary przez złe widowiska, złe filmy, książki, programy telewizyjne, także złe towarzystwo”.



Anna Słomka (z mikrofonem)

No właśnie, są na przykład książki bardzo dobrze napisane, autorzy poczytni, znani, reklamowani, można by rzec bez zarzutu, ale te książki są niemoralne z punktu widzenia chrześcijanina i po przeczytaniu ich można doznać jakiejś szkody. Nawet człowiek, który od lat stara się, zabiega o swoją wiarę, również tej szkody może doznać. A teraz przyjrę się temu z punktu widzenia matki. Mamy w domu kilka tysięcy książek, ale podsuwamy naszym dzieciom te, które budują, które są wartościowe. Oczywiście dzieci z czasem rosną, dojrzewając, sięgną też po inne książki, to jest oczywiste. Niemniej na początku staram się zawsze pilnować tych wyborów. To nie jest wszystko jedno, po jaką książkę dziecko sięga, czego słucha i w czym uczestniczy. Z filmami również jest tak, że bardzo często film jest znakomity, aktorzy pierwsza klasa, a film jest szkodliwy. Staram się, bo częściej jestem w domu, cenzurować oglądane filmy. Jeśli nie jestem pewna jakiegoś filmu, to oglądam go sama i jeśli uważam, że jest korzystny dla dzieci, nagrywam go, a potem one go oglądają. Oglądamy je często razem z nimi. Oczywiście ten system można stosować tylko do pewnego wieku. Nastolatek próbuje już sam wybierać książki czy filmy, niemniej jednak sądzę, że nasze dzieci widzą naszą wstrzemięźliwość, nasze wybory i to jest dla nich ważne. Nie oglądamy programów tak jak leci. Telewizor jest u nas przedmiotem mało używanym.

Z pierwszym przykazaniem wiąże się też sprawa bardzo niepopularna dzisiaj – pewnej wstrzemięźliwości i umiaru. Wydaje mi się, że dzisiejszy świat jest coraz bardziej światem chaosu, jest światem rzeczy, które wydają się szalenie ważne, a są niepotrzebne. Ktoś kiedyś powiedział, że „dzisiejsze gazety wyścielają jutrzejsze kosze na śmieci”. W tej gonitwie łatwo można się zagubić. Wiele osób tego doświadcza. Jeśli jest jakaś czynność, choćby sama z siebie dobra, np. surfowanie po internecie, która staje się moją obsesją, nadmiarem i ja zaczynam być od niej zależna, to powinno się u mnie zapalić światełko ostrzegawcze. Oddaję pokłon obcemu bogu, marnując swój czas, który mogłabym poświęcić dzieciom. Podjęłam decyzję, całkowicie świadomie, że nie chcę mieć facebooka. Nie mam czasu, żeby

poświęcać go na rzeczy dla mnie niepotrzebne. Moja rodzina, moje dwie prace, także moja obecność we wspólnocie sprawiają, że moje dni są wypełnione po brzegi. Nie mam więc facebooka i nie chcę go mieć, chociaż on sam w sobie nie jest czymś złym i jestem daleka od tego, żeby moim córkom korzystającym z facebooka mówić, że jest to coś złego. Podobnie jest z czytaniem różnych kolorowych czasopism. Wyrzekam się tego świadomie, ponieważ nie jest to dla mnie dobre. Na naszym ślubie, 26 lat temu, nasz kochany ksiądz Bogdan, który był naszym przyjacielem i spowiednikiem i doprowadził nas do małżeństwa, powiedział nam w homilii, że w życiu trzeba robić tylko rzeczy najważniejsze, bo na niepotrzebne szkoda czasu. Powstaje pytanie, co jest tą rzeczą najważniejszą, a co drugorzędną. Są wybory, które nie budzą wątpliwości, ale są i takie, które nie są tak jednoznaczne. Cały czas próbuję znaleźć odpowiedź na to pytanie.

Teraz spróbuję odnieść się do czwartego przykazania: „czcij ojca swego i matkę swoją”. We wspomnianym wcześniej rachunku sumienia (www.domaniewska.pl) jest odniesienie do mojego sumienia również jako rodzica, nie tylko córki moich rodziców, ale też matki moich dzieci. Jest tutaj mowa o grzechu, który wynika z niedawania dzieciom dobrego przykładu. „Grzechem jest, gdy nie dbałem o moralne i religijne wychowanie dzieci. Grzechem jest, gdy nie dawałem dzieciom dobrego przykładu w wypełnianiu obowiązków religijnych i w pracy zawodowej. Rozpieszczałem swoje dzieci przez spełnianie wszystkich ich zachcianek, na przykład w oglądaniu telewizji. Nie starałem się o wspólną modlitwę, znaki wiary, krzyż na ścianie, obrazy religijne”. To jest spójne z krótkim cytatem, który pozwolę sobie przeczytać, jednego z moich mistrzów duchowych, księdza Blachnickiego, który był założycielem Ruchu Światło – Życie. Ksiądz Franciszek Blachnicki został aresztowany i spędził kilka miesięcy w więzieniu za to, że próbował propagować idee przeciwalkoholowe w Polsce, zorganizował krucjatę wstrzemięźliwości. To był rok 1961. Będąc w celi więziennej, napisał słowa: „w dzisiejszym świecie nie ostoje się katolicyzm połowiczny, paktujący ze światem. To wszystko utonie w morzu nowoczesnego bogactwa. Ostoje się tylko katolicyzm

pełny, autentyczny i nadprzyrodzony. Po prostu trzeba się zdecydować być świętym”. To jest ogromne wyzwanie, ale coś w tym jest. Wielu naszych przyjaciół i znajomych, którzy zakładali rodziny w tym samym czasie co my, lecz nie pogłębiali swojej wiary, w tej chwili mają dzieci niewierzące. To jest ogromny dramat tych ludzi. Nie wystarczy raz w tygodniu w niedzielę pójść do kościoła. To w tej chwili jest już za mało. Oczywiście uważam, że to nie tylko od rodziców zależy, czy ich dzieci są w Kościele, bo też ważna jest własna praca dzieci w tym zakresie, ale rodzice mają jednak coś do zrobienia w tej sprawie. Gdy myślę o czwartym przykazaniu, to zastanawiam się, jaką jestem matką. Właśnie w tym zakresie.

I jeszcze ósme przykazanie: „Nie mów fałszywego świadectwa przeciw bliźniemu swemu”. Powracamy znów do internetu, ponieważ to jest rzecz najbardziej współczesna. Moi rodzice nie mieli tego problemu, ja go mam, a moje dzieci mogą go mieć w jeszcze większym stopniu. Moim doświadczeniem jest, że bardzo niedobłą rzeczą jest wchodzić w ostre dyskusje poprzez internet. Wszystkie takie dyskusje kończą się wzajemnym oskarżaniem, osądzaniem i człowiek nie jest w stanie zrozumieć do końca swojego rozmówcy w ten sposób. Najpoważniejsze rozmowy powinny toczyć się na żywo, twarzą w twarz. Może państwo mają inne doświadczenie i oby tak było, oby nie każda wymiana poglądów drogą mailową kończyła się źle, bo moje doświadczenie jest takie, że dyskusje takie często łamią ósme przykazanie.

Bogna Słomka

Jestem studentką. Mam 20 lat. Studiuję edukację artystyczną na Akademii Pedagogiki Specjalnej. W dzisiejszym świecie trudno mi zachowywać przykazania Dekalogu. Gdy wstąpiłam do wspólnoty, bardzo dużo dają mi Eucharystie, które są co tydzień w sobotę wieczorem. Gdy mi się nie uda pójść do spowiedzi przed Eucharystią, to czuję się gorsza, że nie biorę Ciała Pańskiego w swoje ręce i nie piję krwi Chrystusa, a wszyscy wokół mnie spożywają Ciało Pańskie. Widzę głęboki sens w cotygodniowej Eucharystii i słuchaniu Słowa Bożego, bo dzięki temu nie czuję się taka zagubiona, jak wiele moich koleżanek. Ważna dla mnie jest

też spowiedź przed Eucharystią. Pozwala ona zachować i utrzymać dar łaski uświęcającej. Łatwiej wtedy nie wchodzić w grzech. Jesteśmy krótko z moim chłopakiem, ale jest nam ciężko dochować wierności przykazaniu „nie cudzołóż”. Dzisiejszy świat promuje inny model – taki, że można spokojnie iść do łóżka przed ślubem, że to nic złego. Gdyby nie wsparcie wspólnoty, inaczej wyglądałoby moje życie.



Bogna Słomka (z mikrofonem)

A przykazanie „Dzień święty święcić”? Często zastanawiam się, jak mam je rozumieć. W niedzielę często robię zakupy, sprzątam pokój, robię pranie i nie widzę przeciwwskazań, żeby tego nie robić, nie widzę, żeby to było złe.

Staram się żyć według przykazań, ale czasem nie całkiem je rozumiem i gdyby nie nasi rodzice, którzy mają bardzo duży wpływ na naszą wiarę i postępowanie, to myślę, że byłabym zupełnie innym człowiekiem.

Jeszcze powiem o pewnym moim doświadczeniu. Gdy wcześniej się modliłam, to rzadko klękałam, po prostu mi się nie chciało. Od czasu gdy staram się modlić na klęcząco, to czuję, że jakoś lepiej

spędzam dzień, zaczynając od dziękowania Panu Bogu, że wstałam, że jest piękny dzień, że jestem zdrowa, że mogę zrobić to, co mam w planie, i jeżeli taka jest wola Boża, to żeby to się stało, a wieczorem dziękuję za cały dzień i proszę o spokojną noc. To tyle, co chciałam powiedzieć.

Maciej Srebro

Z wykształcenia jestem prawnikiem i prowadzę działalność gospodarczą. Przez pewien czas byłem również aktywny politycznie. Jestem tutaj ze swoim synem Andrzejem, który jest uczniem pierwszej klasy liceum. Mam czterech synów.



Maciej Srebro

Myszę, że to, co jest twórcze, jeśli chodzi o kwestie wiary, a co dotyczy dzisiejszego tematu, to jest kwestia wolności. Człowiek został stworzony jako istota wolna i musi dokonywać wyborów każdego dnia. Podobnie chrześcijanin musi dokonywać wyborów w wolności i dzięki tym wyborom dawać świadectwo jako chrześcijanin. Trzeba pokazać, że chrześcijaństwo to jest piękny wybór, wybór ku dobru, ku wartościom i człowiek wybierając dobro, staje się bardziej wolny, coraz bardziej szczęśliwy. Dzisiejszy świat jest pod tym względem wymagający. Poprzez natłok informacji, przekazów, postaw, często dość atrakcyjnych, narzuca nam się komformizm i konsumpcjonizm

i dlatego trzeba szukać pomocy. Trzeba korzystać z sakramentu spowiedzi, żeby się po prostu umacniać każdego dnia. Myślę, że dzisiaj, jak za chwilę będzie mówił Andrzej, to jest trudne, ale nie jest niemożliwe. Wielokrotnie gdy rozmawiam ze swoimi znajomymi, kiedy pojawiają się od czasu do czasu trudne życiowe tematy, radzę „słuchaj, może byś poszedł do spowiedzi” albo „spróbuj naprawić swoje relacje w małżeństwie”. Wtedy często słyszę „jesteś pierwszym, który mi to powiedział”, bo są to tematy, od których ludzie uciekają. Wolą udawać, że nie słyszą. Kiedy delikatnie powiesz swoim przyjaciołom o tym, że warto naprawić swoje relacje z Panem Bogiem, nawrócić się, korzystać z sakramentów, to bardzo często się okazuje, że jest się jedyną osobą, która im o tym przypomniała. W efekcie zyskujemy ich wdzięczność i radość, a przyjaźń nasza się pogłębia.

Reasumując – myślę, że Dekalog we współczesnym życiu i świecie oznacza wychowanie ku dobru, nie tylko własnych dzieci, ale też społeczności, w których funkcjonujemy. Pozwala pokazać innym, że wybór, którego dokonujemy, daje nam radość.

Andrzej Srebro

Nazywam się Andrzej Srebro. Przedstawiając się, wspomnę też, że chodziłem do gimnazjum Żagle, prowadzonego przez Stowarzyszenie Sternik w Międzyzlesiu. Jest to szkoła męska, realizująca program wychowawczy oparty na wartościach chrześcijańskich. Obecnie uczę się w liceum Kopernika w Warszawie. Jestem uczniem klasy biologiczno-chemicznej, gdzie na 32 uczniów 27 to dziewczyny. To, co mnie najbardziej zaskoczyło po przejściu z Żagli do Kopernika, to fakt, że kwestie dla mnie oczywiste są tutaj uznawane za dosyć skrajne; na przykład, moja opinia na temat homoseksualizmu czy feminizmu jest uznawana za skrajnie „prawicową” i ja jestem też tak postrzegany. Kiedy jedna z moich koleżanek powiedziała, że mężczyźni są całym złem świata i ja to skrytykowałem, zostałem zakrzyczany i wyzywany od najgorszych. Ten fakt pokazuje, jakie nastroje panują wśród młodzieży w moim liceum i wydaje mi się, że nie tylko w moim. Podsumowując moją krótką wypowiedź, chcę podkreślić, że broniąc swojego stanowiska i wartości, muszę wielokrotnie dyskutować i dawać świadectwo, może niekoniecznie wiary, ale normalności, a dodam, że często jestem w mniejszości.



Andrzej Srebro (z mikrofonem)



Ojciec z synem

Katarzyna Gromelska

Pracuję w Szkole Wyższej Przymierza Rodzin i widzę tu na sali wielu moich studentów. Ale dzisiaj jestem tutaj nie jako wykładowca, tylko jako kurator społeczny.

Kiedy usłyszałam moich przedmówców, to z żalem pomyślałam, że moje dzieciaki, moi podopieczni, nie mają takich rodziców, i niestety nikt im nie mówi nic na temat wiary, religii i dziesięciu przykazań. Moim podopiecznym wiara, religia, Kościół i symbole religijne kojarzą się z czymś staroświeckim, niemodnym, „lamusowatością” i byciem „moherem”. Państwo wybaczą, że będę używała takich kolokwializmów, jakich używają moi podopieczni. Powiedział mi kiedyś jeden z moich wychowanków, że to dobrze, iż „nie wyskakuję do nich z wiarą, religią”. Tak rzeczywiście jest. Co im daję? Przede wszystkim swój czas – naprawdę czas – dwie do czterech godzin podczas spotkania, czasem kilka razy w tygodniu. Siedzę i czekam, aż sprowokuję mojego podopiecznego do słów. I wtedy „dłubiemy” w tym „złym” zachowaniu, w jego przyczynach, szukamy wspólnie choć jednego sposobu radzenia sobie z problemem.

Kiedy zaczęłam pracę jako kurator w 2006 roku, to na pierwszym spotkaniu z podopiecznymi myślałam, że rozmawiam z rówieśnikami. Jakże ogromnym zaskoczeniem było dla mnie, gdy okazało się, że to nieprawda. Miałam wtedy 26 lat, a mój pierwszy podopieczny, bardzo mocno uzależniony od marihuany i różnych innych środków, miał zaledwie 16 lat. Mnie się naprawdę wydawało, że jesteśmy rówieśnikami. Okazało się, że mój świat wartości, mój światopogląd, a jego świat wartości, to co mówił i robił, dzieliła przepaść. Bardzo szybko okazało się, że zupełnie inaczej rozumiemy moralne powinności. Mogłam dać mu tylko swój czas i poświęcenie i tak rozpocząć pracę.

Kiedy przygotowywałam tę swoją wypowiedź, to pomyślałam sobie, co ja w istocie mówię tym swoim podopiecznym, jak do nich docieram i dlaczego oni mnie słuchają. Doszłam do wniosku, że w rzeczywistości mówię im o wierze, o przykazaniach, o tym, jak to dobrze być dobrym dla ludzi, tylko że sobie tego wcześniej nie uświadamiałam.

Na potrzeby tego spotkania zrobiłam z dwoma z moich „chłopaków” mini-wywiad, rozmowę na temat dziesięciu przykazań.



Katarzyna Gromelska

Ponieważ znamy się od trzech lat, to mogę do nich „wyskoczyć z takimi lamusowymi” tematami, jak oni to określają. Rozmawiałam z Kamilem (osiemnastoletnim) i jego młodszym bratem Jędrkiem, który jest w pierwszej klasie gimnazjum.

Odnosnie do pierwszego przykazania „nie będziesz miał bogów cudzych przede mną”, to chłopcy są uzależnieni od marihuany, gier komputerowych, facebooka. Kamil wprawdzie powiedział: „no, bez przesady, ja nad tym panuję”, ale prawda jest inna – nie panuje. Nie panuje nad facebookiem, nad grami, nie panuje nad „levelami” – jest pierwszy na świecie w jakiejś tam grze. Kamil jest w pełni uzależniony od samej czynności grania. Osemnastoletni chłopak podlewa pomidory przez internet, żeby nie stracić „levelu”. Mimo to twierdzi, że nad tym panuje.

Jeżeli chodzi o przykazanie „nie będziesz wzywał imienia Pana Boga twego nadaremno”, to chłopaki zgadzają się, bez najmniejszych oporów, że mówienie „o, Boże”, „o, Matko” i inne tego typu zwroty są nadużyciami. Oni są na szczęście wychowani w wierze katolickiej. Dostają nagrody za to, że chodzą do kościoła. Myślę, że gdyby nie Kościół, to byłoby z nimi dużo trudniej rozmawiać.

Na temat kolejnego przykazania „pamiętaj, abyś dzień święty święcił” mówią tak: „my chodzimy do kościoła, bo mamy nagrody u mamy i babci, ale ludzie wolą iść do galerii albo do Pizza Hut, bo tam

jest darmowe wi-fi” (dostęp do sieci bezprzewodowej i internetu).

„Czcij ojca swego i matkę swoją” – tu mówią o konfliktach w rodzinie, o tym, jak się zwracają do matki czy ojca. A ja im mówię o „uczciwej kłótni” (gotowy schemat do wprowadzenia w życie), o „zdrowej kłótni”, bo można się kłócić, tylko kłótnia ma być konstruktywna, ma być czymś pozytywnym albo przynajmniej jakimś początkiem rozwiązania. Trzeba w odpowiednim momencie umieć zatrzymać tę kłótnię (jeśli uczestnicy się zagalopowują) i tego właśnie ich uczę.

„Nie zabijaj” – gdy mówiliśmy, że można też zabijać siebie przez uzależnienia, przez alkohol, papierosy, to byli bardzo zdziwieni. „Można tak siebie, żeby był grzech? A nie tylko kogoś?” – pytali.

Jak zapytałam ich tuż przed tym mini-wywiadem, czy przestrzegają przykazań, odpowiedzieli twierdząco. Przecież nie zabijają, nie kradną.

Gdy spytałam, co to znaczy „nie cudzołóż”, to nie rozumieli, o co chodzi, nie wiedzieli, że istnieje takie słowo, jak cudzołożenie. Po wyjaśnieniu Kamil wymienił jako grzech „dyskoteki i seks w toalecie”.

„Nie kradnij” – zapytałam ich o ściąganie. „Ściąganie? – bez przesady – ściągać każdy może!”. Jako przykład podali: branie babci na litość, żeby dała więcej pieniędzy, udawanie, jacy oni są biedni, że są ciemieni przez mamę i zgodzili się, że to jednak może być złodziejstwo. Zostały wymienione też programy, za pomocą których można łamać hasła do wi-fi, żeby korzystać z internetu sąsiada.

„Nie mów fałszywego świadectwa przeciw bliźniemu swemu” – na to Jędrzek opowiedział, że dzieci bawią się wrabianiem kogoś w coś lub nie przyznają się do winy, kiedy coś zbroją i wtedy cała klasa dostaje karę, bo ktoś nie miał odwagi się przyznać.

Oczywiście nie z każdym moim podopiecznym mogę tak porozmawiać jak z tymi dwoma. To efekt trzyletniej pracy. Jaki on jest dzisiaj – nie jest tylko moją zasługą, ale też ich mamy i babci.

Mogłabym wiele jeszcze mówić, bo bardzo lubię pracę ze „swoimi chłopakami”. Chciałabym, żeby te moje dzieciaki miały właśnie takich rodziców, jakimi są państwo dający tu dziś swoje świadectwo.

Dyskusja

Elżbieta Mycielska-Dowgiałło

Dziś nie ma księdza, który gdzieś nam się zawieruszył. W związku z tym przypadła mi rola bardzo trudna, żeby przed dyskusją, w którą mam nadzieję, że państwo się włączą, powiedzieć parę słów.

Może zacznę od mojego świadectwa. Kiedyś zostałam zaproszona na spotkanie telewizyjne prowadzone przez pana Jana Pospieszalskiego „Warto rozmawiać”. Tematem programu był plagiat. Ja sobie nie zdawałam sprawy z rozmiaru tego zagadnienia i z wyrzucenia tego działania ze świadomości, że jest to działanie niemoralne. Jedną z osób, która mówiła, była pani, która pisze na zamówienie prace doktorskie z medycyny. Pan Jan Pospieszalski spytał ją, czy ona by poszła do takiego lekarza, któremu napisała pracę doktorską. Nie, oczywiście, że nie – brzmiała odpowiedź. Koło mnie siedział chłopak, który mówił o tym, że pisze za pieniądze prace magisterskie, prace dyplomowe czy prace seminaryjne i nie wstydził się tego. A przecież słuchało go dużo osób na sali, nie mówiąc już o widzach telewizyjnych. Było to dla mnie wstrząsające, gdy zdałam sobie sprawę, że wymieniane formy nieuczciwości mają przyzwolenie społeczne.

Pracowałam przez wiele lat na Uniwersytecie Warszawskim na Wydziale Geografii. Wychodząc z Wydziału, wędrowałam do głównej bramy. Na tej drodze spotykałam często studentów Wydziału Prawa i słyszałam wielokrotnie ich rozmowy przez telefon. Kiedyś usłyszałam i domyśliłam się, że ktoś studenta pyta o pracę magisterską. On odpowiedział, że już napisał. Z dalszej rozmowy wynikało, że rozmówca spytał, czy promotor przejrzał pracę. Oczywiście, że nie przejrzał – usłyszałam odpowiedź – bo ma kilkudziesięciu studentów w grupie, to nie ma czasu. Nie ma o tym mowy. Dobrze będzie, jeżeli przekartkuje pracę.

Jeżeli jest taka sytuacja, to oczywiście aż się prosi o to, żeby ktoś nieuczciwy za pieniądze komuś drugiemu napisał pracę i to w ogóle nie jest do sprawdzenia. My na naszym wydziale nie

mogliśmy mieć więcej niż pięciu magistrantów na raz. Każda z tych prac była wielokrotnie sprawdzana, obserwowaliśmy postęp w ich tworzeniu. Nie mogło być mowy o plagiacie. Porównanie tych dwóch wydziałów pokazuje, że wiele z tych nieprawidłowości wynika ze złych przepisów i złych nawyków danego środowiska.

W czasie dzisiejszego Konwersatorium porównywaliśmy wypowiedzi dwóch pokoleń, rodziców i dzieci. Ja i mój mąż natomiast jesteśmy już dziadkami i obserwujemy jeszcze większą różnicę w podejściu do Dekalogu, wynikającą z różnicy trzech pokoleń. Z każdym pokoleniem wchodzi inne zagrożenia, a Dekalog stwarza tylko pewne ramy. Myśmy nie doświadczali tego, czego doświadczają młodzi i na jakie zagrożenia są narażeni i jak znacznie trudniejszą sytuację mają dziś, aby obierać właściwą drogę, niż to było w naszym pokoleniu.

Jeszcze o jednym chciałam powiedzieć, nawiązując do wypowiedzi Bogny. O świętowaniu niedzieli. Jest bardzo ważne, żeby umieć oddzielić ducha od formy. Kiedy robi się ciepło, wyjeżdżamy na naszą działkę i oczywiście cieszymy się na to, że w czasie tych dwóch dni będziemy mogli poruszać się fizycznie, czyli popracować i zmęczyć się ogromnie. Po Mszy Świętej kopimy, kosimy, piłujemy drzewo itp. Nasza działka jest daleko w lesie, więc nie spotykamy się w ciągu tych dwóch dni z ludźmi, bo podstawową naszą zasadą jest nie gorszyć innych. Praca fizyczna dla nas, pracujących głową przez cały tydzień, jest odpoczynkiem, ale dla człowieka pracującego cały tydzień ciężko w polu mogłoby być zgorszeniem, że my przyjeżdżamy i w niedzielę kopimy i kosimy. Moim zdaniem, świętowanie niedzieli polega między innymi na niewykonywaniu pracy zawodowej czy zarobkowej, czyli tej, którą robiło się cały tydzień. Wiele dyskusji miałam na ten temat z moim zięciem, który będąc ogromnie zapracowany, często mówił mi, że musi pracować w niedzielę. Gdy zmienił priorytety i niedziele poświęcił wyłącznie rodzinie, przyznał, że rzeczywiście praca w ciągu tygodnia zaczęła mu lepiej iść. To tyle chciałam powiedzieć, a teraz chciałabym, żeby parę osób dołączyło do naszej dyskusji. Może ktoś z młodego pokolenia powie, jak to widzi.

Sofija Okolko

Jestem studentką pedagogiki na SWPR. Gdy przysłuchuję się każdemu z państwa, to w moim sercu pojawiają się takie tematy, jak wolność, miłość, chrześcijaństwo i jak to zastosować w moim życiu. Mam 22 lata, jestem chrześcijanką od dzieciństwa i jestem dumna z moich rodziców, że przekazali mi wiarę. Kiedy przyjechałam do Polski z Ukrainy i zaczęłam niezależne życie, sama je budując, dla mnie najważniejsza stała się wiara w Boga i wspólnota Kościoła. Wspólnota, do której dołączyłam, to jakby moja druga rodzina, z którą spotykam się w niedzielę, ale też na innych specjalnych spotkaniach.



Sofija Okolko

Codziennie rano staram się czytać Biblię. Gdy jej nie czytam, to tego dnia nie mam spokoju w sercu i nie mam pewności, że robię słusznie. Powiem więcej, kiedy upadam, zmieniam swoje priorytety i całe moje życie też się zmienia. Uzależnienie może przyjść nawet wtedy, kiedy uważam, że jestem chrześcijanką i mam silną wiarę. Ktoś musi mnie pilnować, mojego zachowania. Może nim być nałożona na siebie dyscyplina. Młodzi mówią, że nie mają czasu na Pismo Święte. Nie mają go, bo nie zaplanowali dyscypliny w postępowaniu.

A teraz parę słów na temat wolności. Pamiętam, jak powiedziałam mojej mamie, kiedy byłam jeszcze mała, że chcę być wolna, tak jak moje koleżanki ze szkoły. Chcę mieć prawo do swojego wyboru i kiedy chcę iść na imprezę, to na nią idę. Mama dała mi przykład – zobacz, są na imprezach osoby, które tam piją, palą i często mówią, że nie są uzależnione. Ale są również lokale, gdzie nie wolno palić i jeżeli ktoś chce zapalić, to musi wyjść. Dlaczego do takich lokali mało osób przychodzi? Rodzi się pytanie, czy ty jesteś uzależniony czy nie? I na czym polega wolność? Czy pójscie do łóżka z chłopakiem na pierwszym spotkaniu to dowód wolności? Wolność to także odpowiedzialność. Dlatego ważne jest, by już na początku życia, na etapie dziecka, który jest najpiękniejszym etapem formowania człowieka, przyszło zrozumienie, czym jest wolność. Kiedy młody człowiek wychodzi z domu, sam bierze odpowiedzialność za swoje postępowanie. Rodzice już do mnie nie dzwonią i nie pytają się, co robię, to jest mój obowiązek i moja odpowiedzialność. Polecam się Duchowi Świętemu, aby moja wolność nie zatraciła się we współczesnym świecie.

Prawdziwa wolność jest według mnie zawarta w dwóch przykazaniach. Kiedy kochasz Pana Boga, to nie będziesz miał cudzych bogów, a jeżeli kochasz bliźniego jak samego siebie, to nie będziesz kraść, nie będziesz zabijać i tak dalej. Ważna jest twoja wolna decyzja.

Bardzo mi się spodobało, jak pani powiedziała, że dzieciom trzeba pokazywać, co jest dobre, a co złe. U mnie w rodzinie nigdy nie było tak, że tego ci nie wolno, bo nie, ja to ci zabieram i nie masz prawa wyboru. Zawsze dawano nam wybór. Pamiętam, że jak miałam czternaście lat, zakochałam się w chłopaku i mama widziała, jak on mnie kiedyś pocałował. Któregoś razu wybrałam się z nim na spacer i przyszłam do domu bardzo późno. Mama stała w drzwiach, patrzyła na mnie i powiedziała, że widziała, z kim byłam. Myślałam, że będzie awantura, że zakaze mi się z nim spotykać, a ona powiedziała, że to jest moje życie i ona może mi tylko poradzić, ale to będzie mój wybór i żebym wiedziała, że ten wybór może mieć ważne skutki dla mojego szczęścia, wolności, albo i uzależnienia.

Wszystkich chcę zachęcić jeszcze raz do wolności i miłości prawdziwej, do której nas stworzył Pan Bóg. Gdy będę rodzicem, to chcę swojemu dziecku dać prawo wyboru. Równocześnie będę je uczyła, co jest dobre, a co złe i będę miała ogromną radość, kiedy dokonując wolnego wyboru, wybierze dobro. Tak rozumiem prawdziwą miłość. Pan Bóg dając nam wolną wolę i cieszy się, gdy wybieramy dobro.

Agnieszka Jackowska

Jeszcze dodam parę słów o miłości, wolności i wierności. Każdy ma sprawy swojego życia w swoich rękach. Jeżeli mamy jakąś trudną relację, mamy z kimś na pieńku, czy w rodzinie, czy z kimś obcym, to musimy wiedzieć, że modlitwa i sakramenty mogą to zmienić, nawet jeśli nam się wydaje, że zbyt słaba jest nasza wiara. Zyskujemy siłę – sprawdźcie to sami. Zyskujemy odwagę, aby zmieniać swoje życie i żyć przykazaniami. Inaczej w ogóle nie ma o tym mowy. Dlatego choć pięć minut w ciągu dnia poświęcam na czytanie Pisma Świętego, mimo tego, że czasami jest mi trudno na relacje z Bogiem. Pan Bóg nie chce nas udręczać, ale chce, żebyśmy byli mu wierni. Z miłością wiąże się wierność, więc tego życzę każdemu, żebyśmy po tym Konwersatorium jeszcze szybciej zaczęli działać w kierunku dobra i wtedy będziemy radośniejsi.

Bogdan Motelski

Dekalog jest normą postępowania tu i teraz, ale jest też drogą, aby być szczęśliwym. Człowiek jest wolny i nie musi wybrać drogi do szczęścia. Po drugie, każdy człowiek po Chrzcie Świętym jest świętym. To nie są tylko jacyś tam wybrani. Tylko nasze grzechy, jak mgła, przysłaniają naszą świętość. Każdy ma szansę się od nich uwolnić, na przykład od różnego rodzaju uzależnień. Moja córka półtora roku temu znalazła pracę. Niedawno dowiedziała się, że ją przyjęli między innymi dlatego, że nie miała konta na facebooku.

Liliana Nesterenko

Jestem studentką pedagogiki na SWPR. Nawiązując do facebooka i internetu, informuję, że jest taka strona chrześcijańska



Bogdan Motelski



Liliana Nesterenko

w języku rosyjskim, na której można przeczytać wiele różnych cytatów i wypowiedzi. Ostatnio przeczytałam taki cytat : „Wierzę w Pana Boga, choć nie chodzę do kościoła, ale w głębi serca to ja wierzę”. I pod tym komentarz: „Jeżeli spodobała Ci się dziewczyna, to w głębi serca powiedz jej to i ożeń się z nią w głębi serca”. Czyli w głębi serca możemy zrobić wszystko. Chodzi o to, że za

naszą wiarą w Boga powinny iść czyny. To, że jesteśmy chrześcijanami, powinny wyrażać nasze czyny.

Elżbieta Mycielska-Dowgiałło

Nawiązując do tego, co mówił pan Bogdan, powiem, że każde osiągnięcie człowieka, takie jak internet czy facebook, które jest dobre, szatan potrafi wykorzystać również w złym kierunku. Powiem o tym dobrym wykorzystaniu internetu. Czytałam świadectwo mistyczki Cataliny Rivas, która w czasie jednej z wizji na Mszy Świętej otrzymała polecenie od Jezusa, żeby przekazała ją całemu światu. Co ona mogła zrobić i co zrobiła – umieściła tekst wizji w internecie, aby wszyscy na świecie mogli ją przeczytać. Papież też korzysta z facebooka i internetu. Wspomnę też, że nasze Konwersatoria już mają swoją stronę na facebooku: <https://www.facebook.com/konwersatoria>

Katarzyna Gromelska

Chciałabym nawiązać do poruszanego tu „dawania wyboru” dzieciom. Na zajęciach ze wspomagania rozwoju dziecka mówimy o tym, jak ważne jest dawanie wyboru dziecku już w początkowym okresie jego życia. Możliwość wyboru daje poczucie sprawstwa (czyli kontroli, własnej skuteczności i wolności), co z kolei daje autonomię tak potrzebną do rozwoju i wykorzystania potencjału tkwiącego w dziecku, niezależnie od tego, czy jest to dziecko niepełnosprawne czy w pełni sprawne. Jest to podstawowy warunek uruchomienia innych procesów ważnych dla rozwoju dziecka. Nie możemy o tym zapominać.

Anna Słomka

Chciałabym jeszcze dodać i wyjaśnić, że to, co mówiłam o filmach i książkach, stosujemy do małych dzieci, a nie do dzieci w wieku nastoletnim. Dam przykład. Kiedy mój syn był w przedszkolu, rodzice postanowili na koniec przedszkola zrobić niespodziankę swoim dzieciom i odegrać sztukę. Wszystko było przygotowywane w tajemnicy, rodzice jako aktorzy, dekoracje, wszystko jak w prawdziwym teatrze. Dzieci miały wcześniej nic nie

wiedzieć. Ja również się zaangażowałam, z tym że przysłałam dopiero na drugie spotkanie, bo coś mi wypadło, i był już tekst, który ktoś znalazł w internecie, który mieliśmy odegrać. Po zapoznaniu się z tekstem stwierdziłam, że się nie nadaje dla tak małych dzieci. Była to historia księcia, który szukał żony: kolejne osoby przychodzą i przekonują go do tej czy do innej kandydatki. Marszałek dworu pokazuje księciu portrety księżniczek państw sąsiednich i mówi „ta jest piękna, chociaż się puszcza”, „a tamta miała już kilku chłopaków”. Takie treści przekazywane dzieciom sześciolatniemu to był dla mnie dzwonek alarmowy, choć rodzice je zaakceptowali ze względu na poczytne nazwisko autora. Zgłosiłam się na ochotnika, że przerobię ten tekst, nie zmieniając istotnie treści, tylko usunę te fragmenty, które moim zdaniem nie nadawały się dla dzieci. Rodzice byli autentycznie zdziwieni, o co mi chodzi. Zrobiłam, co obiecałam, przerobiłam sztukę i była ona trochę bardziej dostosowana do wieku.

Wydaje mi się, że to jest właśnie to, co powinniśmy robić. Nastolatek sam dokonuje wyboru, ale żeby on wiedział, co ma wybrać, to wcześniej musi mieć pokazane, co jest dobre, a co złe. Dostępność informacji jest powszechna, niekoniecznie w internecie czy telewizji. Wystarczy się przejść i zobaczyć czasopisma leżące w kiosku, aby wiedzieć, że nasze dziecko otacza wiele złych wypowiedzi. Chodzi o to, żeby kształtować sumienie dziecka póki można, a później dziecko, mając lat kilkanaście, oczywiście będzie musiało wybierać samo. Te pierwsze lata życia są decydujące. Później ono już idzie swoją drogą. Ważne jest nie tylko to, co dziecku mówię, ale czym sama żyję. Dziecko widzi nasze zachowanie. Może nic nie być powiedziane, a dziecko doskonale wie, co jest dobre, a co złe.

Elżbieta Mycielska-Dowgiało

Nawiąże do tego co, mówiła pani Ania. Na pewno wiele osób z państwa widziało programy z edukacji seksualnej zamieszczone w internecie, które są proponowane w przedszkolach. Zostały one rozesłane do wszystkich przedszkoli w Polsce, żeby dyrekcje napisały, czy się zgadzają czy nie. Oczywiście 99% powiedziało, że nie, ale w Warszawie dużo jest przedszkoli, które przyjęły ten program.



Młodzi słuchacze Konwersatorium



... i słuchacze dojrzałi

Jest to informacja, która powinna być dostępna dla rodziców wybierających przedszkole dla swojego dziecka. Tego typu sytuacji jest coraz więcej, co zmusza nas do dokonywania wyborów i wyraźnego opowiedzenia się, po której jesteśmy stronie. Często wydaje nam się, że ideologia gender jest przesadzona. Państwo nie wyobrażają sobie, jakie historie idą za tym. Jest to ładnie opakowane, ale to, co może z tego wyniknąć, jest przerażające.

Dziękuję za liczne przybycie i za liczne świadectwa, a za miesiąc spotykamy się – mam nadzieję – na kolejnym spotkaniu.

Spisał z nagrania Marcin Borzęcki

C.d. dyskusji uzyskany drogą korespondencyjną

Marianna Łacek (Australia)

Jakie widzę możliwości wykorzystania wartości religijnych jako modelu kształtowania sumień?

Było to blisko 30 lat temu. Do Australii napłynęła ogromna fala Polaków. Ksiądz, w jednej z sal Domu Polskiego, przygotowywał w języku polskim grupę dzieci do Pierwszej Komunii Świętej. Jednego dnia, w piątek po południu, otrzymałam od tego księdza telefon z prośbą, czy mogłabym wziąć za niego dzisiejszą lekcję. Wraca z odwiedzin u chorego w sąsiednim mieście, na drodze był pewnie jakiś wypadek, utworzył się wielki korek i wątpi, czy zdąży na godz. 18.00, a dzieci i rodzice nie mogą czekać. Temat dzisiejszej katechezy to przykazania boże. Wstęp do przykazań. Oczywiście zgodziłam się bez wahania.

W sali zgromadziło się około dwadzieścioro dzieci. Zaprosiłam też i kilkoro rodziców, tych, którzy co czekali na korytarzu (niektórzy poszli na zakupy). Po plastycznym wyjaśnieniu Kamiennych Tablic, które Mojżesz otrzymał na górze Synaj, rozmawialiśmy na temat tego najważniejszego przykazania „Będiesz miłował Pana Boga swego..., a bliźniego swego jak siebie samego”. Jak pierwsza część przykazania była oczywista i niezwykle sugestywnie przemawiała do dziecięcej wyobraźni, tak z miłowaniem bliźniego już nie było tak łatwo. Bo kto to jest ten „bliźni”? Udało mi się wyjaśnić, że ten chłopak, który zawsze zabiera piłkę i pluje na schodach, to też mój bliźni, że ta dziewczynka, która robi plotki i namawia koleżanki, żeby się ze mną nie bawiły – to też mój bliźni. Nie trzeba się z nimi bawić, można powiedzieć rodzicom i starać się tym dzieciom pomóc, bo one pewnie mają jakiś problem. To było do zaakceptowania. Ale kiedy jeden z chłopców powiedział „Proszę pani, ale komuch to nie bliźni” – sytuacja wymagała nieco głębszego wyjaśnienia, tym bardziej że z tyłu siedzieli rodzice, którzy będą na pewno kontynuować tę dyskusję ze swoimi dziećmi.

Przykazanie „kochaj bliźniego swego” jest szczególnie istotne tutaj, gdzie ściera się i poleruje tak zróżnicowane mnóstwo ras, kolorów skóry, wyznań i orientacji politycznych. Katolik musi w tym świecie każdego dnia dawać świadectwo postępowania w zgodzie z własnym sumieniem. Bez narzucania nikomu swoich poglądów, bez noszenia przed sobą sztandaru „katolik”, ale konsewentnie swoim postępowaniem udowadniać słowa Chrystusa, że właśnie po miłości do drugiego człowieka powinniśmy być rozpoznani jako Jego uczniowie.

Obydwoje z mężem byliśmy wychowani w rodzinach, dla których to przykazanie było niezwykle ważne. Nic więc dziwnego, że i nasz dom tutaj w Australii był i jest otwarty dla wielu potrzebujących. Nigdy nie zadajemy sobie pytania – czy nam się to opłaci, a co my z tego będziemy mieli? A sytuacji, w których pomoc drugiemu człowiekowi jest nieodzowna, nadarza się wiele.

U znajomych poznaliśmy młodego człowieka. Dusza towarzysztwa. Grał na gitarze, śpiewał harcerskie piosenki. Do łez był wzruszony, że nasze małe dzieci, tutaj urodzone, znają te piosenki i śpiewają razem z nim. Obiecał, że przyjdzie nas odwiedzić. Później dowiedziałam się, że jest to człowiek żonaty, ma dwoje dzieci, ale coś mu się w małżeństwie nie układa. Kiedy więc, jak obiecał, zjawił się u nas, po prostu mu powiedziałam, że moje dzieci śpiewają, bo mają ojca. Jego miejsce jest w domu, z dziećmi. To swoje dzieci powinien uczyć i z nimi śpiewać. Bardzo chętnie będę ich gościła, ale wszystkich, całą rodzinę. Do tej pory nasze dorosłe już dzieci utrzymują z tamtymi kontakt.

Staraliśmy się właśnie w takim duchu wychować nasze dzieci. Ponieważ wszyscy czworo mieszkają z dala od domu, nie jest możliwe, aby któreś z nich samo wypowiedziało się na ten temat. Jednakże w naszych częstych rozmowach telefonicznych dzielą się z nami wieloma swoimi doświadczeniami.

Pozwolę sobie przytoczyć jeden przykład. Dwudziestoparoletni syn zorganizował w swoim nowym mieszkaniu „parapetówkę”. Jeden z zaproszonych kolegów zauważył różaniec zawieszony na nocnej lampce. „A cóż to za fetysz?” – spytał. Syn wyjaśnił, że to jest różaniec, który dała mu mama, kiedy wybierał

się w pierwszą samodzielną podróż do Polski i po Europie, i że on się na nim modli, a pytany dalej dodał, że chodzi regularnie do kościoła.

Za jakiś czas ten właśnie kolega skomentował, że teraz rozumie, w czym leży sekret sukcesu naszego syna – „mamy takie samo wykształcenie, ja nawet miałem lepszy start niż ty, a ty idziesz z pełnymi sukcesami nie tylko na polu zawodowym, ale też towarzyskim i każdym innym. To pewnie dlatego, że chodzisz do kościoła. Wiesz, ja od nowego roku też złożyłem sobie przyrzeczenie, że raz w miesiącu pójdę do kościoła. Przecież i ja byłem ochrzczony” – zaznaczył. „Co, raz w miesiącu? A po co?” – odpowiedział nasz syn. – „Czy ty myślisz, że Panu Bogu jest potrzebna twoja obecność w kościele? To ty sam musisz sobie wyrobić potrzebę kontaktu z Bogiem, a wówczas twoje sumienie powie ci, jak często będziesz potrzebował spotkania z Nim. Uczestniczenie we Mszy Świętej raz w tygodniu to absolutne minimum, ale to ty sam musisz chcieć i dostrzec sens tego. Wiara jest łaską”.

Wiara jest łaską, powiedziałam bliskiej koleżance, mojej bezpośredniej szefowej w pracy, z którą uczymy razem przez blisko ćwierć wieku. Wtedy ona skomentowała, że odnoszę tyle sukcesów w pracy, w życiu rodzinnym i w działalności społecznej pewnie dlatego, że regularnie chodzimy do kościoła. Jej mąż był ochrzczony w kościele katolickim, ona, o anglosaksońskich korzeniach, była wychowana w kościele anglikańskim. Teraz niestety ani oni, ani ich dorosłe dzieci nie praktykują żadnej religii. „Wiesz, ja na emeryturze też wrócę do Kościoła i to będzie Kościół katolicki” – powiedziała. „Ale najpierw musisz się modlić o łaskę wiary, to jest najważniejsze. Wtedy może nawet nie będziesz musiała czekać aż do emerytury” – skomentowałam jej uwagę.

Pod koniec lat 60. ubiegłego wieku często spędzaliśmy niedzielne popołudnia w krakowskim Klubie Ateistów i Wolnomyślicieli (na piętrze, przy ul. Grodzkiej). Nasz bliski kolega został kierownikiem tego klubu. Chociaż nie członkowie, byliśmy akceptowani, a nawet podobno mile widziani. Graliśmy w brydża, dyskutowali, oglądali ciekawe filmy, pili dobrą kawę, a nawet inne specjały – likiery i koniaki wydobywane dyskretnie spoza tomów „Kapitału” Marksa,

złoconych obwolot „Dzieł Lenina” i innych „pereł literatury” (klub był bezalkoholowy). O godz. 18.00 przerywaliśmy najbardziej interesujące spotkanie, wyjaśniając, że w pobliskim Kościele Mariackim o 18.15 jest Msza Święta, na którą my zawsze chodzimy. Tylko pierwszy raz zapytali ze zdumieniem „To wy chodzicie do kościoła i to z tego Klubu”? Wytłumaczyliśmy zacnym przedstawicielom władz krakowskiego Grodu i nawet województwa: „to wy jesteście ateści, a my wolnomyśliciele. Nasze wolnomyślicielstwo każe nam wierzyć w Boga i przestrzegać Jego przykazań. Od tamtej pory tak organizowano „robra” czy też pokaz filmu, żeby można było zrobić godzinną przerwę między 18.00 i 19.00.

Zapomniałabym o tym zdarzeniu, gdyby nie spotkanie w Klubie Literackim podczas promocji zbioru poezji australijskiego poety, Petera Skrzyneckiego. Było to w 2010 roku. Występowałam tam jako tłumacz antologii tych wierszy. Wśród uczestników znalazło się wielu naszych znajomych sprzed lat. I tam właśnie jeden z zacnych obywateli (nie piszę towarzyszy – bo my nie byliśmy z tego grona) przypomniał mi, skąd się znamy i jakie wówczas na nich wrażenie robiła nasza postawa.

Reasumując – nikt i nic nie może nam stanąć na drodze, aby żyć w zgodzie z własnym sumieniem. Oczywiście, jesteśmy tylko ludźmi i nieuniknione są potknięcia, a nawet upadki. Ale w naszym kościele jest konfesjonał, a w nim kapłan, reprezentujący samego Chrystusa. Zawsze, wypełniając warunki dobrej spowiedzi, możemy powstać, być bogatsi o doświadczenie, zacząć od nowa.



*Czego oczekuję od oświaty
w zakresie kształtowania godności człowieka?*

Cytaty

S. M. Augustiana Rusin

„Ochronki Sióstr Służebniczek dzisiaj, jako odpowiedź na współczesne zadania i zapotrzebowania w dziedzinie wychowania przedszkolnego” (fragmenty) (w: M. Opiela, A. Smagacz, S. Wilk (red.). Służyć i wychowywać do miłości, wyd. KUL, Lublin).

Według Bojanowskiego ochrona (ochronka) to urzeczywistnianie wartości, w tym głównie budowanie chrześcijańskiego systemu wartości poprzez przekazywanie ich w procesie integralnego wychowania dziecka, zachowywaniu tradycji i wsparciu rodziny dla moralnego odradzania i zachowania tożsamości narodu.

Czy określona przez Bojanowskiego istota ochronki i prowadzonego w niej wychowania ma dziś rację bytu? Z własnego doświadczenia w tej dziedzinie wiemy, że ochronka dzisiaj stanowi propozycję, która przy zachowaniu właściwej jej misji, celu i zasad zgodnych z chrześcijańskim systemem wartości, zakłada elastyczność pozostałych elementów, wynikającą ze zmian, uwarunkowań wewnętrznych i zewnętrznych, a dzięki swej dynamice pozostaje wciąż aktualna.

Bł. Edmund Bojanowski zauważył, że: *Im groźniej teraźniejsze stosunki społeczne chwieją się z powodu braku podstawy moralnej, tym żywotniejszym zadaniem ludzkości staje się sprawa wychowania.* Choć słowa te wypowiedział ponad wiek temu, wydają się one bardzo aktualne także w dzisiejszej rzeczywistości. Współczesny świat znalazł się w kryzysie. Jest to nie tylko kryzys ekonomiczny, ale także kryzys wychowania, wartości, moralności i kryzys rodziny.

Obserwujemy obecnie zjawisko ucieczki od odpowiedzialności wychowawczej, które wypływa z różnych źródeł: z jednej strony z lekceważenia wychowania jako takiego, a z drugiej – z przeoko-

niania, że inne sprawy są ważniejsze i im trzeba poświęcić więcej czasu. W sytuacji nierzadko występującego najbardziej skrajnego podejścia do wychowania, jakim jest permisywizm wychowawczy – postawa lub styl życia, w którym wolność utożsamia się z przyzwalaniem na jakikolwiek wybór, a który jest praktyczną, życiową konsekwencją relatywizmu moralnego, Służebniczki chcą pozostać wierne wskazaniom bł. Edmunda Bojanowskiego i chronić dzieci od zagubienia.

Pierwszą misją ochronek Sióstr Służebniczek jest wychowanie. Zgodnie z zamiarem bł. Edmunda *najwyższym celem wychowania jest, aby człowiek stał się obrazem i podobieństwem Boga na ziemi*. Realizacja tak pojętego celu przyczynia się do ochrony wartości i godności osoby wychowanka poprzez odkrywanie i rozwijanie jego darów nadprzyrodzonych i naturalnych w odniesieniu do rzeczywistości, w jakiej żyje i do jakiej zmierza.

Wychowanie w ochronkach realizujemy w oparciu o integralną wizję człowieka. Zapewniamy każdemu dziecku szacunek i respektujemy jego tożsamość. Dzieci traktujemy jako *najdroższy skarb Pana Jezusa*, które są nam „zadane” i dokładamy wszelkich starań, by poprzez proces wychowania w duchu bł. Edmunda kształtować w nich pełnię człowieczeństwa. W ochronkach pomagamy dzieciom od najmłodszych lat poznawać i w miarę ich możliwości rozwojowych odkrywać obiektywną hierarchię wartości, która w przyszłości ma stanowić nie tylko fundament ich osobistego życia, ale także ładu społecznego, czego przykład dajemy im własnym życiem i postępowaniem zarówno w relacjach z poszczególnymi dziećmi, jak i w budowaniu właściwego klimatu w grupie przedszkolnej. Troszczymy się o to, by kształtować w naszych wychowankach poczucie bezpieczeństwa, z miłością ich przyjmując, stawiając im wymagania, towarzysząc w ich wypełnianiu i ucząc ich chrześcijańskiej miłości, dzięki czemu mogą doświadczać szacunku i akceptacji własnej osoby oraz obdarzać miłością i akceptacją innych. Rozwijamy u nich takie cechy charakteru, jak: samodzielność i poczucie odpowiedzialności, życzliwości i uczciwości. Bł. Edmund Bojanowski bardzo mocno kładł nacisk na to, że człowiek z natury swojej jest istotą moralną

i że na straży jego godności, pełni jego rozwoju stoi sumienie. Stąd w ochronkach wykorzystujemy wszelkie sytuacje wychowawcze dla formacji prawego sumienia, by w duchu prawdy o sobie i w duchu odkrytych wartości dzieci, na miarę swych możliwości uczyły się dokonywania wyborów ukierunkowanych na dobro i prawdę oraz starały się przyjmować za nie odpowiedzialność w postaci konsekwencji tych wyborów. Wychowanie dzieci poprzez wprowadzanie w świat wartości (od podstawowych po nad-przyrodzone) dokonuje się poprzez przykład ochroniarki, uczestnictwo, celebracje, obrzędowość itp. wpisane w codzienne życie ochronki, a ubogające formy werbalne według zasady *Nie słowem, lecz życiem uczyć trzeba, jak dzieci żyć mają.*

KONWERSATORIUM LXX

(15 marca 2014)

**Czego oczekuję od oświaty w zakresie kształtowania
godności człowieka?**

Prowadzący: ks. Adam Zelga, proboszcz parafii p.w. bł. Edmunda Bojanowskiego; Maria Łubowicz, współzałożyciel i dyrektor szkoły specjalnej „Krok po kroku” im. bł. Edmunda Bojanowskiego; s. Katarzyna Szulc, Zgromadzenie Sióstr Służebniczek Dębickich; Alicja Siemak-Tylikowska, nauczyciel akademicki, profesor Uniwersytetu Warszawskiego, Wydz. Pedagogiki; Ewa Jurewicz, emerytowany nauczyciel akademicki, profesor Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, biolog; ks. Michał Jabłoński, proboszcz Parafii ewangelicko-reformowanej w Warszawie; Dariusz Wasik, nauczyciel akademicki, profesor Uniwersytetu Warszawskiego, Wydz. Fizyki.

Ks. Adam Zelga

Witam na kolejnym Konwersatorium poświęconym bł. Edmundowi Bojanowskiemu. W tym roku przypada dwusetna rocznica jego urodzin. Jego program życia polega na postrzeganiu człowieka jako osoby. Z ewangelicznego spojrzenia, pochylenia się nad człowiekiem ukształtował się szeroki program działań, skierowanych również na odzyskanie przez Polskę niepodległości. Bojanowski sądził, że Polska będzie niepodległa, jeśli będziemy się troszczyć o polskie dzieci, wychowywać je i jeżeli będziemy troszczyć się o polskie proste kobiety. To był jego pomysł na Polskę. Źródłem tego była Ewangelia i osobiste głębokie,

indywidualne spojrzenie na człowieka, zwłaszcza potrzebującego. Może to dobra definicja oświaty, żeby miała takie właśnie spojrzenie na człowieka, dostrzegała jego osobistą, dojrzałą godność.



Paneliści: od lewej s. Katarzyna Szulc, Maria Łubowicz, Anna Siemak-Tylikowska, Dariusz Wasik, ks. Michał Jabłoński, ks. Adam Zelga, Ewa Jurewicz

Temat dzisiejszego konwersatorium brzmi „Czego oczekuję od oświaty w zakresie kształtowania godności człowieka?” Bardzo serdecznie witam panelistów: profesor Ewę Jurewicz, biologa, emerytowanego profesora Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, siostrę Katarzynę Szulc, profesor Alicję Siemak-Tylikowską, pedagoga, profesora Uniwersytetu Warszawskiego, Marię Łubowicz, dyrektor szkoły dla dzieci z autyzmem im. Edmunda Bojanowskiego, działającej przy naszej parafii. Szczególnie ciepło i serdecznie witam wsparcie duchowe w osobie ks. Michała Jabłońskiego, proboszcza parafii ewangelicko-reformowanej w Warszawie. Witam Dariusza Wasika, fizyka, nauczyciela akademickiego, profesora Uniwersytetu Warszawskiego. O zabranie głosu, jako żem Adam, najpierw proszę panią Ewę...

Ewa Jurewicz

Na wstępie pragnę uporządkować pojęcie godności. Było ono zawsze obecne w historii, ale podlegało też znacznej ewolucji. Pojęcie, że człowiek jest godny, początkowo oznaczało przynależność do pewnej strefy lub do grupy. Ta godność w jednym i drugim przypadku wiązała się z pozycją społeczną danego człowieka lub danej grupy ludzi. Na przykład, szlachta posiadała pełnię praw i przywilejów związanych z godnością. Inne warstwy natomiast już tych praw nie miały. W starożytności greckiej obywatele miast-państw, tak zwanego *polis* miały pełnię praw i godność związaną z tymi prawami, ale z kategorii obywateli wyłączeni byli młodzi, niewolnicy, kupcy, kobiety i dzieci. A więc to nie było tak, że godność człowieka przysługuje każdemu członkowi naszego gatunku.

Potem zaczęto wiązać i jak gdyby rozszerzać godność człowieka na tych ludzi, którzy wyróżniali się, ale zawsze to było wyróżnienie jakąś postawą moralną połączoną z wybitnym intelektem. Czyli też nie przysługiwała ona każdemu. Była tym wyróżnikiem, który spotykał się z wyrazami szacunku w społeczności. Godność jako wartość każdego człowieka wyróżniająca go od innych stworzeń jest to pojęcie, któremu my hołdujemy, ale jeszcze w XVII, XVIII wieku tę godność wiązano z duchowością. Dla nas dziecko niepełnosprawne umysłowo ma taką samą godność jak dziecko zdrowe, ale to jest dopiero zdobycz XX wieku, nie było tak zawsze.

Co to znaczy duchowość? Człowiek w przeciwieństwie do innych ssaków posiada zdolność do samooceny, do refleksji, do tworzenia kultury, do odczuć estetycznych i przestrzegania i tworzenia zasad etycznych. W europejskiej cywilizacji właśnie tak rozumiano godność – jako zjawisko właściwie przyrodzone, niemalże biologiczne, przysługujące każdemu istnieniu ludzkiemu. Do takiego pojęcia godności, właściwie intuicyjnego, odczuwanego przez wszystkich ludzi odwołują się konstytucje oraz poważne instytucje prawa międzynarodowego, na przykład Trybunał Międzynarodowy, Trybunał Sprawiedliwości. Dopiero II wojna światowa i zbrodnie hitlerowskie wstrząsnęły ludzkością na tyle, że zrozumiano, iż istnieje osobista godność człowieka, która

przysługiwała również wszystkim ofiarom ludobójstwa. Jednakże określenie definicji ludobójstwa, jak i zakazu ludobójstwa nie były takie proste. To jest już odrębny temat, więc tylko wspomnę, że mamy dzisiaj konwencję chroniącą te ofiary. Potęgi, które miały tutaj najwięcej do powiedzenia, opierały się jednak w jej podpisaniu. Nawet taka światła w tych sprawach filozoficznych potęga jak Stany Zjednoczone konwencję tę uznała dopiero w 1988 roku. Wynikało to z faktu, że niemal wszystkie potęgi tego świata miały tę zbrodnię na sumieniu i zwlekając z podpisaniem konwencji było jakby zasłoną, że nas to nie dotyczy. Mówię to na marginesie, dlatego, że absolutnie niedopuszczalne jest jakiegokolwiek ludobójstwo, jeśli się uznaje godność człowieka. Jest to gruntowne naruszenie, wręcz niszczenie tej godności, także w świadomości polityków.

Nasze grono powinna interesować też definicja godności sformułowana przez filozofów. Człowiekowi brakuje wiele do świętości, ale człowieczeństwo w jego osobie musi być dla niego święte. Idea godności jest tutaj próbą sakralizacji człowieka jako takiego. Każdy człowiek jest w jakimś stopniu święty. I tutaj jeszcze drugie zalecenie: „postępuj tak, byś człowieczeństwo, tak w swojej osobie jak i w osobie każdego innego, używał zawsze jako celu, nigdy tylko jako środka”. Chodzi o instrumentalizację człowieka – wówczas gdy człowiekiem się manipuluje i używa się go jako instrumentu do zdobycia władzy.

Przedstawię Powszechną Deklarację Praw Człowieka, gdzie sprawa godności jest poruszona. Została ona ogłoszona i przyjęta przez Organizację Narodów Zjednoczonych w 1946 roku. Jest ona prawnym kodeksem w zakresie godności człowieka. Zaczyna się tak: „uznanie przyrodzonej godności oraz równych i niezbywalnych praw wszystkich członków społeczności ludzkiej jest podstawą wolności, sprawiedliwości i pokoju na świecie”. Odwołuje się także do wolności jako waloru godności i rozwoju wszystkich ludzi. Dalej są dopiero poszczególne artykuły, w których te prawa są wymienione. Artykuł pierwszy mówi: „wszyscy ludzie rodzą się wolni i równi pod względem swej godności i swych praw. Są oni obdarzeni rozumem i sumieniem i powinni postępować wobec

innych w duchu braterstwa”. Sprawa jest tutaj bardzo jasno postawiona.

Na tym skończę moje wystąpienie. Wydało mi się ważne, żeby pokazać na wstępie naszego spotkania, że pojęcie godności ludzkiej ma swoją obecność w prawie.

S. Katarzyna Szulc

Jako córka duchowa błogosławionego Edmunda Bojanowskiego mogę powiedzieć o swoim doświadczeniu pracy według programu wychowawczego i według tej wizji, którą Pan Bóg przez błogosławionego Edmunda chciał przekazać światu. Przede wszystkim chciał nam pokazać „dzieci jako największy skarb Chrystusa Pana”. Sądzę, że my, siostry Służebniczki, ale i wszyscy zaangażowani w edukację i wychowanie dzieci powinniśmy strzec tego skarbu.

Nawiązując do „skarbu” Bojanowskiego, przypomnijmy sobie zabawę w skarby z dzieciństwa. Chowało się coś w piasku, to był nasz skarb, coś bardzo dla nas ważnego, co pokazywało się tylko bliskiej koleżance. Z biegiem lat, kiedy wzrastamy, odkrywamy różne inne skarby. Skarbem staje się rodzina, przyjaźnie, różne relacje, które mamy. Edmund Bojanowski, mówiąc o skarbie prostym dziewczętom, które spotykał na swojej drodze, chciał przekazać w bardzo przystępny sposób, jak ważna jest troska o każdego człowieka, a szczególnie o najmniejsze dziecko, aby strzec jego godności. Ową godność rozumiał biblijnie, ewangelicznie. W jego koncepcji wychowania źródłem jest biblijna koncepcja stworzenia człowieka, która jest bardzo istotna w wychowaniu. Najwyższym celem wychowania jest człowiek, który ma stać się obrazem Pana Boga na ziemi. Być obrazem Boga, być do Niego podobnym, to dar, który otrzymujemy w sakramencie Chrztu Świętego. W kolejnych sakramentach świętych możemy rozwijać w sobie tę godność.

Edmund Bojanowski całym swoim życiem wskazywał, jak ważne jest wychowanie dzieci w wieku przedszkolnym, w pierwszych etapach ich życia. Uczył, że dziecko trzeba traktować poważnie, interesować się nim, spojrzeć na nie całościowo, zobaczyć jego



S. Katarzyna Szulc

wyjątkowość, skarb, co doda mu skrzydeł i pozwoli mu się rozwijać. Dziecko rozwija się dobrze w środowisku miłości, dobra, w którym jest troska o to, aby wzrastało nie tylko intelektualnie, ale też osobowościowo. Koncepcja Edmunda Bojanowskiego to personalizizm, w którym stawia się w centrum człowieka jako osobę mającą godność, którą otrzymał od Boga poprzez akt stworzenia.

Dla Edmunda Bojanowskiego i jego wychowawców w centrum jego wychowania, czy to w przedszkolu czy w szkole, była troska o wychowanie całościowe. Takie spojrzenie dla dziecka staje się bardzo ważne. Dla Edmunda Bojanowskiego ważne są słowa, że życiem mamy uczyć dzieci, jak mają żyć. W chronieniu, kształtowaniu godności człowieka bardzo ważna staje się osoba wychowawcy i tutaj Edmund Bojanowski chce nam też wskazać, że w dzisiejszym świecie, w tym, w którym żyjemy, w szkole, w pracy, bardzo ważna w wychowaniu staje się osoba wychowawcy, tego, który ma być naszym mistrzem. Prosty dziewczętom, które Edmund Bojanowski zapraszał do tej służby, żeby opiekowały się dziećmi, wskazał na wartość prostoty kobiety wiejskiej. Uważał, że kobieta w swojej wrażliwości, pięknie, dobroci, otwartym sercu może pomóc wzrastać małemu dziecku.

Będąc w zgromadzeniu, od początku pracuję z dziećmi i im dłużej pracuję w przedszkolu i w świetlicy, to wyraźniej dostrzegam, że dzieci uczą mnie odkrywania tego, jak wielkim są one skarbem od Pana Boga. Uczą mnie tego przez to, że za każdym razem, kiedy z nimi rozmawiam, kiedy o czymś mówię, to wsłuchują się w te słowa, tym samym uczą mnie, że kiedykolwiek zwracają się do mnie z jakąś prośbą, to ja też powinnam być otwarta na ich pytania, czasami bardzo różne, dziwne, zaskakujące. Doświadczam też tego, że ilekroć z nimi jestem, nie tylko przy odrabianiu lekcji, ale kiedy wychodzę po nie, przychodzę do świetlicy, otwieram im drzwi, pytam jak było w domu, w szkole, to widzę, że te nasze relacje stają się coraz bliższe, że dzieci się otwierają. Wtedy dopiero ja, jako wychowawca mogę im zwrócić uwagę na pewne rzeczy i mogę im pomóc, kiedy jest im trudno w nauce i w domu. Czasem mają bardzo trudną sytuację rodzinną. Poprzez cierpliwość, której mnie uczą, poprzez rozmowę i otwarte przyjęcie tego, jakie są, uczą mnie dostrzegania prostoty dziecka. Kiedy się bawią, czasami też kłócą w zabawie, pokazują mi, że można się kłócić, a za chwilę ze sobą rozmawiać. Nie noszą w sobie urazów, tylko potrafią powiedzieć „przepraszam” i kontynuują zabawę.

Edmund Bojanowski zalecał nam, żebyśmy obserwowały, jak dzieci się bawią. My nie narzucamy im zabawy. W trudnych sytuacjach możemy jednak wrócić do tych ich zabaw, rozmów. Trzeba mieć ciągle otwarte oczy. Edmund Bojanowski nazywany był Bożym okularnikiem. Myślę że to bardzo dobre określenie. Cały czas uczę się tego, żeby tak jak on mieć świadomość, że jestem w stanie jeszcze się czegoś nauczyć. Na przykład przez zmianę środowiska możemy wnieść w swoje życie coś zupełnie nowego.

Po pięciu latach pracy na ziemi wielkopolskiej zostałam przeniesiona do stolicy. Pięć lat żyłam w środowisku silnie związanym z Edmundem Bojanowskim, w miejscu gdzie powstała pierwsza ochronka, świetlice. Idąc ulicami Gostynia, nie trzeba było mówić o Edmundzie Bojanowskim, mieszkańcy dobrze go znali (sami mnie zaczepiali). Kiedy mówiliśmy o różnych inicjatywach związanych z Edmundem Bojanowskim, to można

powiedzieć, że dla całego miasta, dla starostwa powiatowego, urzędu miasta, czy całego województwa to było oczywiste. On jest nasz, z tej ziemi. Po tych latach Pan Bóg przysłał mnie tutaj do Warszawy. W roku Edmunda Bojanowskiego doświadczam tego, że mogę dzisiaj, nie mówiąc o nim za dużo, nie mówiąc o jego teoriach, badaniach, o jego praktyce pedagogicznej, mogę w środowisku, w którym jestem na warszawskiej Woli, tak jak on starać się być otwarta na każdego człowieka i na to dziecko, które Bóg mi daje. Wcześniej odkrywałam wartość pracy z małym dzieckiem i od początku, jak mówiłam dzieciom o Edmundzie, wpajanie programów wychowania było czymś naturalnym, to wszystko było takie jasne. A teraz Pan Bóg chce i za to mu dziękuję każdego dnia, żebym tę teorię mogła wcielać poprzez swoją postawę, nie mówiąc często o Edmundzie, ale poprzez konkretne czyny, poprzez rozmowę z dzieckiem, z rodziną, którą się spotyka, doświadczając czasem bardzo trudnych sytuacji, których nie doświadczalam w tamtym środowisku. I czuję z tego radość. Przychodzi mi na myśl takie zdanie Edmunda Bojanowskiego, żeby jednoczyć innych wokół dobra.

Na koniec chciałam powiedzieć, odpowiadając na pytanie postawione na wstępie Konwersatorium: czego oczekuję od oświaty w zakresie kształtowania godności człowieka. Nasuwa mi się myśl Edmunda Bojanowskiego, abyśmy starali się o to przez programy wychowania przedszkolnego, przez programy nauczania, aby każdy wychowanek, każdy człowiek czuł się naprawdę wielkim skarbem i kiedy się z nim spotykamy, czy to w świetlicy, czy w szkole, czy w przedszkolu, żeby miał świadomość, że wychowawca widzi w nim skarb. Jesteśmy po to, żeby ten skarb odkrywać i żeby wykazać jego wielką wartość. Słowa, które Edmund Bojanowski pisał w XIX wieku, są nadal aktualne, a wizja wychowania, którą przekazał wtedy, troski o dziecko, dzisiaj w XXI wieku jest priorytetowa. Ale zawsze musimy zaczynać od siebie, aby będąc tym skarbem, dzieckiem Jego umiłowanym, troszczyć się o to, aby stawać się podobieństwem i obrazem Pana Boga na ziemi.

Maria Łubowicz

Podstawą ludzkiej godności jest Boża miłość do każdego człowieka. Edmund Bojanowski ciężko pracował, skupiając się przede wszystkim na dzieciach, na dzieciach cierpiących, dzieciach, które często nikogo bliskiego nie miały – zostały bowiem sierotami po epidemii cholery. W nich odkrywał Chrystusa. Zajął się dziećmi, ich wychowaniem i kształceniem, ale również kształceniem młodych kobiet, które tymi dziećmi się opiekowały. Przez świadectwo własnego życia pokazywał, jak można kochać drugiego człowieka.

Przyznam szczerze, że chyba wszyscy wiemy, jaki jest stan naszej oświaty, jak bardzo brakuje prawdziwej troski o dobro dziecka, o dobro uczniów, jak brakuje troski o nauczycieli. Nauczyciele mają pracować, mają wypełniać papiery, mają realizować program. To, co jest naprawdę istotą kształcenia i wychowania, zanika.

Możemy założyć ręce i powiedzieć, że żyjemy w takich czasach. Bojanowski nie oglądał się na to, jak władza chce kształcić Polaków. On po prostu robił swoje. I ta postawa jest dla nas wzorem.



Maria Łubowicz (z mikrofonem)

W dzisiejszych czasach też są takie dzieci, którymi w sposób szczególny trzeba się zająć. My takie dzieci odnaleźliśmy w dzieciach autystycznych, dzieciach o głębokim autyzmie połączonym z upośledzeniem intelektualnym. Czyli tak naprawdę, w tych dzieciach, których nie będą chciały żadne szkoły, bo stwarzają zbyt

wiele problemów swoim zachowaniem, swoim sposobem życia. Stworzyliśmy dla nich szkołę działającą przy naszej parafii, szkołę, której patronem jest Edmund Bojanowski, bo jest on dla nas niezwykłym wzorem. Staramy się tak zająć naszymi uczniami, aby zaspokoić ich potrzeby, umożliwić rozwój. Mamy różne dzieci, część z ich w ogóle nie mówi, część nie potrafi zakomunikować swoich nawet najprostszych życiowych czy fizjologicznych potrzeb. Trzeba ich uczyć wszystkiego, takich zwykłych, codziennych czynności. Uczą się ubierania, mycia, korzystania z toalety, uczą się też czytania, pisania, liczenia.

Ale nie wiem, czy bylibyśmy w stanie pracować w taki sposób z naszymi dziećmi, gdybyśmy nie opierali się na Panu Bogu. Lekcje zaczynamy od modlitwy razem z nimi, tak jak one potrafią, bardzo prostej. „Dziękuję Boże, że mnie kochasz” – to jest najprostsza modlitwa na rozpoczęcie dnia szkolnego. Podobnie na zakończenie. Mamy również szkolne Msze Święte. Kapłan – nasz prefekt, przychodzi do szkoły. Nie mamy kaplicy, brak na to miejsca. Mamy małą salę i hol, w którym się mieści sekretariat i szatnia. I właśnie tam stół pełni rolę ołtarza. Raz w tygodniu ustawiamy krzesła, stół odsuwamy i kapłan odprawia Mszę Świętą. Cała Msza trwa około osiemnastu minut, tak żeby dzieci były w stanie wytrzymać. Bez pośpiechu, ze śpiewem, z kazaniem dialogowanym z uczniami.

Myślę, że to jest coś niezwykłego, czego nam wszystkim potrzeba, co daje jakąś moc do tego, żeby o nasze dzieci prawdziwie się troszczyć. Bo nie jest to praca łatwa. Wydaje się, że są to dzieci, które bardzo łatwo można pozbawić godności. Trzeba je czasem kilka razy dziennie umyć, przebrać, żeby czegoś nauczyć, trzeba powtarzać codziennie – raz, drugi, trzeci, przez miesiąc, dwa miesiące, przez chociażby pokazywanie obrazków: to są chmury, a to jest słońce i bywa, że dopiero po kilku miesiącach dziecko jest w stanie wskazać bezbłędnie rysunek, na którym są chmury. To jest praca, która wymaga ogromu cierpliwości i miłości. A przecież nie wszystkie dzieci siedzą spokojnie. Bardzo często występują zachowania trudne. Jest to np. rzucanie różnymi przedmiotami, bicie, rzucanie się na ziemię, autoagresja, plucie,

krzyk, płacz. Sytuacje są różne, nie zawsze proste i nie zawsze przyjemne.

Staramy się troszczyć nie tylko o dzieci, ale również o kadre, nie tylko pod względem rozwoju intelektualnego, co jest oczywiste, bo zależy nam, żeby nasi nauczyciele byli dobrze przygotowani, ale podstawą jest formacja duchowa nauczycieli. Zanim dzieci przyjdą na zajęcia, my zaczynamy pracę od krótkiej modlitwy, w której polecamy Bogu cały nasz dzień, prosząc o cierpliwość dla naszych podopiecznych, dla naszych uczniów. Odmawiamy przepiękną modlitwę siostry Faustyny z prośbą o miłosierne ręce, nogi, serce, tak żeby z miłością podchodzić do naszych uczniów.

Wydaje mi się, że taki sposób pracy, oparcie się na Panu Bogu, uczenie się miłości od Chrystusa, rzeczywiście pozwala coś nam zrobić dobrego z tymi dziećmi, choć to są niewielkie osiągnięcia. Czasem ktoś mnie pyta, jak szkoła wypada w egzaminach czy w olimpiadach. Oczywiście my nie mamy co marzyć o olimpiadach, ale liczą się dla nas inne rzeczy, kiedy na przykład po kilku miesiącach pobytu dziecka w szkole przyjdzie mama tego dziecka i powie, że po raz pierwszy spojrzało jej w oczy. Dziewięć lat mama czekała, żeby dziecko autystyczne spojrzało w oczy, kiedy do niego mówi. Staramy się uczyć nasze dzieciaki rozróżniania dobra i zła, uczyć przepraszania, wybaczenia, dzielenia się z innymi. Przygotowujemy je też do Pierwszej Komunii Świętej. Jeżeli zauważamy, że dziecko w jakiś sposób rozróżnia dobro i zło, staramy się przygotować je do spowiedzi, do sakramentu pokuty. Nawet to niemówiące. Kiedyś rozmawiałam ze znajomą nauczycielką, której opowiadałam o szkole, właśnie o przygotowaniu do Pierwszej Komunii. Mówiłam to z wielką radością, bo to było pierwsze dziecko, które przygotowywaliśmy. Ona słuchała i powiedziała: „słuchaj, ale po co, po co to pisanie programów, po co siedzenie z dzieckiem, po co to wszystko, przecież ono nic nie rozumie?” Wtedy sobie pomyślałam – a co ty wiesz w momencie, kiedy przystępujesz do Komunii Świętej? Co rozumiesz z miłości Pana Boga, czy wiesz, co się dzieje w trakcie Mszy Świętej, czy to rozumiesz? Bo uważam, że ja nie jestem w stanie do końca tego zrozumieć i czasem mi się wydaje, że te nasze dzieci więcej

rozumieją niż my. Kiedyś ksiądz się przebierał do Mszy Świętej i jeden chłopiec usiadł zapatrzony w krzyż. Siedział cicho. To dziecko, które lubi śmiać się i podskakiwać, a tu siedział zapatrzony w krzyż. Kiedy powiedziałam do niego, że tam jest Pan Jezus, on popatrzył na mnie, wskazał ręką na serce i powiedział „kocha”. Chłopiec bardzo słabo mówił, niewiele słów jeszcze umiał wypowiedzieć, ale to było dla niego oczywiste. Myślę, że te dzieci nie byłyby w stanie normalnie funkcjonować bez doświadczenia miłości Pana Boga do nich. Myślę, że tym przykładem skończę to, co mam do powiedzenia, bo nie ma człowieka, nie ma dziecka, o którego godność nie możemy walczyć i które nie byłoby godne miłości z naszej strony.

Anna Siemak-Tylikowska

Pani Rektor poprosiła mnie, żebym powiedziała, jak na Uniwersytecie szanuje się godność słuchacza. I zaczęłam się zastanawiać nad samym wyrazem „godność”. Bo to jest piękny wyraz, tylko on niknie z życia codziennego. Jest używany w procesach sądowych o naruszenie godności, natomiast na co dzień się go nie używa. Ale jestem przedstawicielem wydziału pedagogicznego i uważałam, że u nas ta godność jest przestrzegana. Może o niej nie mówimy, mówimy o traktowaniu podmiotowym, a nie przedmiotowym wychowanka. Postanowiłam, że spytam się naszych studentów, jak oni rozumieją godność człowieka i czy uważają, że są traktowani z godnością na studiach. Byłam przekonana, że odpowiedź będzie pozytywna. Poprosiłam o odpowiedź w dwóch grupach studenckich, stacjonarnych i niestacjonarnych, żeby mi napisali, co rozumieją pod słowem godność i czy godność w trakcie studiów jest przestrzegana, zachowana, czy się do nich odnosimy z godnością. Otrzymałam ponad sto odpowiedzi, które skłoniły mnie do refleksji. W naszym nauczaniu mówimy o podmiotowym traktowaniu wychowanka. Po przeczytaniu wypowiedzi studenckich wspomniałam na słowa profesora Jankowskiego: „drogowskaz nie chodzi drogą, którą wskazuje, ornitolog nie fruwa”. Doszłam do wniosku, że podmiotowości będę szukała w trzech zakresach. Samej organizacji

studiów, w procesie kształcenia i w codziennym życiu na Uniwersytecie.

Jeśli chodzi o organizację procesu kształcenia, to zacznijmy od samego początku: przyjmowanie na studia. Stwierdziłam proszę państwa, co było dla mnie odkryciem, że my od paru lat nie przyjmujemy studentów, my nie przyjmujemy ludzi, my nie przyjmujemy kandydatów, my przyjmujemy zestaw stopni. My nie wiemy, kto do nas przyjdzie od pierwszego października. My nie wiemy nic o osobach, które do nas piszą, że chyba przyjdą. Dla młodzieży jest to dzisiaj oczywiste. Jest komputer, jest internet, klik, klik, klik, zapisałem się na studia. Zupełne odhumanizowanie, proszę państwa. Młodzież zgodziła się, że żyjemy w wirtualnym świecie. My dostajemy jakieś dane, za którymi nic się nie kryje, nie ma człowieka.



Anna Siemak-Tylikowska

Na tyle długo żyję na tym świecie, że dobrze pamiętam egzaminy wstępne, na których szukaliśmy człowieka. Bo wydział pedagogiczny potrzebuje osób, które będą pracować z ludźmi, a nie które mają bardzo dobre wyniki na maturze. W rozmowach kwalifikacyjnych często okazywało się, że kandydatka na studia z czerwonym paskiem na maturze umie tylko powtarzać wyuczone

zdania z podręcznika i nic poza tym. Kiedy pytaliśmy się o ulubioną lekturę, to dowiadywaliśmy się od tych osiemnastoletnich panienek, że to są „Medaliony” Nałkowskiej, bo to mieli w ostatniej klasie przed maturą. Myślę, proszę państwa, że pewnie szeroko sprzedawane Harlequiny czy romansidła – to była główna literatura, którą czytały. Na pewno chętniej niż „Medaliony” Nałkowskiej, które są, powiem szczerze, przynębiającą lekturą. Ale żeby mi któraś o tym powiedziała, żeby się odważyła powiedzieć, na przykład, którą lekturę usunąć ze szkoły i dlaczego. Kiedy pytałam o to, widziałam przerażenie w oczach. Jak można podważać świętość szkoły? Mnie chodziło o to, aby stwierdzić, czy mają swoje zdanie i czy umieją go bronić. Jeżeli kochają Harlequiny, to niech powiedzą, co im się w nich podoba i zachęcą nas do ich czytania. Dzisiaj tego nie mamy. Zniknął człowiek, który przychodzi na uczelnię. Dawniej szukaliśmy myślących. Pamiętam, że w jednym z pytań było wyjaśnianie terminów. Kandydatka na studia wyciągnęła termin „dekadentyzm”. Patrzymy, myśli, myśli... „ktoś, kto ma dziesięć zębów” – brzmiała odpowiedź.

Dla dzisiejszych kandydatów normalne jest: klik, klik i stają się studentami. Kolejny etap wirtualnego świata rozpoczyna się, gdy już nimi są. Trzeba zapisać się na zajęcia. Dostają nazwiska i nazwy przedmiotów. O dwunastej w nocy otwiera się zapisywanie i przypisywanie do grup. Kto szybszy, ten załapie się na te godziny, na które chce. Całe rodziny siadają przy komputerach. Ojciec ma zapisać córkę na filozofię, mama na logikę, a ona sama na inne. Szybciutko. Nie załapiesz się, to pójdziesz tam, gdzie jest miejsce. Znowu nie ma człowieka. Oni wybierają raczej godziny zajęć niż prowadzących. To jest stwierdzone. Godność? Zniknęła. Ale studentom to chyba nie przeszkadza i nie oni o tym pisali, że chyba coś z tą godnością nie tak. Tyle jeśli chodzi o organizację.

Proces dydaktyczny. Ile to razy słyszy się: „ktoś za późno przyszedł, ale za to wcześniej skończył”. Wszyscy zadowoleni. Nieprzychodzenie na dyżury pracownicze – studenci przychodzą, pytają się, nie ma żadnej informacji, że ktoś nie przyjdzie. Lekceważenie godności studenta, który przyszedł, szuka, traci czas, chciał się o coś spytać, czegoś dowiedzieć, coś omówić, nie

ma z kim. Godność? Godne traktowanie studenta? Nie ma. Studenci jeszcze pisali, że na zajęciach nie ma dyskusji. Trzeba powtarzać za prowadzącym to, co chce usłyszeć.

Rozmawiałam ze studentką, która wróciła z Erasmusa z Holandii. Tam od nich wymagali dyskusowania, nie zgadzania się, mówienia i bronięcia własnego stanowiska, a my wymagamy tylko powtarzania. Naszych studentów charakteryzuje brak własnego zdania, a również brak jest przyzwolenia na posiadanie własnego zdania innego niż ma wykładowca. „Od nas wymaga się przygotowania na zajęcia, a prowadzący nie zawsze są przygotowani i to widać. Czasami zdarza się, że wykładowca nie wie, do jakiej grupy przyszedł i na jaki przedmiot. Jak prowadzi kilka, to mu się myli, że to nie ten przedmiot”.

Zachowanie godności studenta. Ja jestem z wykształcenia dydaktykiem i prowadzę zajęcia z dydaktyki ogólnej. Na wykładzie pytam „wymieńcie mi złe cechy wykładów”. Parę lat temu słyszałam powtarzającą się uwagę: „czyta monotonnym głosem ze swoich żółkniętych notatek”. Teraz jest inaczej: „czyta ze ściany, odwrócony do nas plecami, a my przecież umiemy czytać”. Podobną uwagę moglibyśmy postawić wielu prelegentom na konferencjach naukowych. Też czytają ze ściany. Czy to jest godne traktowanie człowieka? Nie oszukujmy się.

Inna sprawa. Zasady zaliczania, kolokwia, egzaminy. W ostatniej chwili studenci dowiadują się, kiedy będą pytani, jaki jest zakres egzaminu i jaka będzie jego forma. Bardziej poszkodowani wydają się być studenci zaoczeni. Traktuje się ich dość „lekce”. Równocześnie im więcej studentów, tym uczelnia ma więcej pieniędzy, a w jakich warunkach się uczą, że nie ma krzeseł, że na kolanach robią notatki, bo nie ma dojsścia do stołów, to już nikogo nie interesuje. Gdzie jest ta godność?

No i wreszcie codzienność życia. Na co studenci zwracali mi uwagę: „Wykładowcy nie wiedzą, jak się nazywamy”. „Nie kojarzą nas”. „My nie mamy imion”. Jest to efekt masowości. Nie jesteśmy w stanie poznać ich wszystkich. Wiedzieć coś o nich. Jeżeli ich nie znamy, to nie możemy ich traktować z godnością. Często jest to dla nas masa studencka. Poszczególne jednostki zauważamy, bo udzielają się organizacyjnie lub czasem coś sensownego mówią. Ale są to

tylko jednostki, inni nikną w masie. A ja myślałam, że my traktujemy ich z godnością, podmiotowo. Okazało się, że bardzo dużo do tego brakuje.

Dariusz Wasik

Reprezentuję też Uniwersytet Warszawski, tylko nauki ścisłe. Kiedy pani rektor zadzwoniła do mnie i zaprosiła mnie na Konwersatorium, to chciałem odmówić, bo jestem bardzo zajęty. Ale argument, że ma być to wyłącznie świadectwo z mojego życia, skłonił mnie do wyrażenia zgody.

Żyjemy w epoce globalizacji i informatyzacji, w której komputer i internet są najważniejszymi narzędziami, a też źródłem informacji. Gdy usłyszałem temat Konwersatorium, natychmiast pojawiła się pokusa wpisania w Googlach hasła „godność człowieka”. Nie uczyniłem tego, natomiast przypomniałem sobie pewną historię. Uczestniczyłem kiedyś w egzaminie magisterskim i w komisji było dwóch profesorów, jeden starszy, bardzo zasłużony i drugi młody, specjalista od pogody. Na pytanie, jaka będzie dzisiaj pogoda, młody poklikał w komputerze i oświadczył „jak wynika z internetu, w ciągu dwóch godzin będzie padało”. Starszy, doświadczony profesor podszedł do okna i powiedział: „za pięć minut będzie lało”. Rzeczywiście za pięć minut zaczęło padać.

Wracam do tematu. Pierwsze myśli, jakie mi przyszły do głowy, to pytanie dotyczące samej godności i jej definicji. Ponieważ jestem doświadczalnikiem, to pozwolę sobie przywołać dwa obrazy z własnego życia i oparte na własnym doświadczeniu.

Obraz pierwszy to czasy mojego dzieciństwa w szkole. Uczono nas różnych wierszyków, czasami bardzo głupich i jest pewien wiersz, którego nie potrafię w całości zacytować, ale głupota tego wiersza mnie tak porażała, że jego fragment pamiętam do dziś: „jednostka bzdurą, jednostka zerem, partia jest naszym celem”. Jest to zaprzeczenie tego, co nazywamy godnością. Rozumienie ludzkiej godności jest to uznanie, że każdy jest indywidualną istotą ludzką i należy się szacunek każdemu człowiekowi. Godność dotyczy każdego.



Dariusz Wasik

I drugi obraz. Mój Wydział mieści się przy ulicy Hożej i jak idę ulicą Hożą w kierunku Marszałkowskiej, to po prawej stronie mijam „okno życia” (u ss. franciszkanek Rodziny Marii, ul. Hoża 53, przyp. red.). Zawsze kiedy przechodzę obok tego domu, to myślę, że jest to miejsce, gdzie jest szacunek dla życia. Poszanowanie każdego, nawet tego najmniejszego.

Teraz powiem parę słów o tym, czego oczekuję od oświaty. Znów pozwolę sobie przywołać dwa przykłady. Pierwszy z lat młodości. Byłem studentem. Dodam, że zawsze, kiedy się wspomina lata wstecz, to pewne rzeczy, dość nawet przykre, zapomina się, natomiast wraca się do tych przyjemniejszych. Biorąc poprawkę na to, muszę powiedzieć, że dobrze wspominam te czasy. Zacząłem studia w roku 80. Gdy przyjechałem do Warszawy na praktyki, akurat zaczęły się strajki w Stoczni Gdańskiej i potem był piękny rok wolności, poprzedzający okres stanu wojennego. Muszę powiedzieć, że lata moich studiów głównie przypadły na okres stanu wojennego. Wydział Fizyki UW jawi mi się we wspomnieniach jako enklawa wolności. Oczywiście byli profesorowie o różnych poglądach, tym niemniej te lata wspominam bardzo dobrze jako okres, kiedy można było dyskutować i rozmawiać na dowolny temat. Mimo stanu wojennego było to miejsce, gdzie godność człowieka była poszanowana.

Ostatnia rzecz, jaką chciałem państwu powiedzieć, która wiąże się z tematem dzisiejszego Konwersatorium, dotyczy zdarzenia z czasów współczesnych. Zanim o nim opowiem, parę słów wstępu. Obecnie żyjemy w zupełnie innym świecie niż trzydzieści lat temu, aczkolwiek są też pewne podobieństwa. W czasie stanu wojennego w środkach masowego przekazu był zalew propagandy i odnoszę wrażenie, że dziś jest podobnie. Są reklamy, które nas zabawiają, że koniecznie to..., koniecznie tamto... i tak dalej. Młodzież współczesna też jest w trudnej sytuacji. Kiedyś było łatwiej oddzielić dobro od zła. Kilka lat temu byłem na konferencji naukowej, która się odbywała we Frankfurcie nad Odrą. Konferencja była poświęcona energii odnawialnej, bateriom słonecznym. Uczestniczyli studenci i doktoranci i, tak jak wiele innych konferencji, ta też kończyła się przyjęciem. Były zastawione stoły i muzyka. Okazało się, że ten bankiet odbywa się w dawnym kościele, który został przerobiony na miejską salę, w której odbywają się różne imprezy. Sprawiało to dziwne wrażenie. W pewnym momencie zaczęła grać muzyka, niemieckie techno i było zaproszenie do tańca. Nasza młodzież z Polski oświadczyła, że nie będzie tańczyć. Na moje pytanie dlaczego, odpowiedziano mi „bo to jest niegodne, żeby tańczyć w kościele”. Utkwiło mi to w pamięci.

I teraz pytanie: czego oczekuję od oświaty w temacie godności ludzkiej? Oczekuję, że cały system edukacji, od przedszkola do szkoły wyższej, oprócz przekazywania wiedzy merytorycznej będzie spełniać pewną najważniejszą moim zdaniem rolę – rolę wychowawczą; że uczniom i studentom uświadomi się, że istnieje coś takiego jak godność ludzka i szacunek. Żeby tak uczeń, jak i student zrozumiał, że każdy jest ważny i że musi mieć najpierw szacunek dla samego siebie, a wtedy będzie miał również szacunek dla kolegi czy profesora.

Ks. Michał Jabłoński

Słucham wszystkich państwa wypowiedzi, które brzmią bardzo ewangelicznie, wręcz ewangelicko, tak że dobrze się tutaj czuję.

Chciałbym przede wszystkim podkreślić, jak ważna jest osobista relacja, osobista odpowiedzialność czy współodpowiedzial-

ność. Bo ewangelicyzm czy protestantyzm jest nazywany religią tej osobistej relacji z Bogiem, bez żadnych pośredników, czy to ludzkich czy innych. To jest bardzo ważne. Pani profesor mówiła, jak cenne jest myślenie, zadawanie pytań, dodałbym jeszcze – wątpliwość. Bo wątpliwość to nie grzech, ale przeciwnie – może być dobrodziejstwem dla całego procesu poznawczego. Zwątpliwość jest również dobrodziejstwem dla procesu życia wiary. To nie jest grzech, to jest naprawdę dobrodziejstwo, to jest dar – zwątpliwość. Słyszę tutaj także, jak bardzo ważne jest pytanie i odpowiedź. Zadawanie pytań i czekanie na odpowiedź. Podejście bardzo ewangeliczne, bo Jezus nie chodził po tym świecie i nie działał w tym świecie przez nadawanie dekretów czy przepisów, tylko przez osobistą rozmowę, osobistą relację z człowiekiem. Mówicie państwo o otwartości na sytuację, otwartości na dyskusję, niezamykaniu się na jakichś tam barierach albo na jakichś układach, można powiedzieć przepisowych czy regulaminowych. Trzeba być otwartym i dopasować się do sytuacji, myśląc o dobru innych, a nie o swojej wygodzie. Odwaga, pokonywanie tych wszelkich oporów, nawet czasem fizycznych, jest bardzo ważne. Bardzo mnie ucieszyło, że gdy mówi się o systemie edukacji, nie ma tu mowy o przepisach. O tym, że trzeba spełniać jakieś normy, jakieś regulaminy, wtedy edukacja będzie uzdrowiona. Tu nie ma mowy o przepisach, to musi być relacja człowieka z człowiekiem. To jest tak bardzo ewangeliczne. Starać się rozmawiać.

Mam lekcje religii z młodzieżą w wieku 12-14 lat. W Kościele Ewangelickim jest to okres przygotowania do pierwszej komunii połączonej z bierzmowaniem. Na lekcjach młodzi ludzie, których uczę, zadają ogromną masę pytań. Zawsze staram się odpowiedzieć, a jak nie wiem, to mówię, że nie wiem i nie tworzę jakiejś własnej teorii, która może skrzywdzić młodego człowieka. Mówię „nie wiem, dowiem się, doczytam, za tydzień porozmawiamy”.

Było mówione, że młodzi nie są nauczeni dyskusji albo boją się dyskutować, w związku z czym mam pytanie, jako członek Kościoła, czy nasze Kościoły pozwalają na dyskusję albo czy nauczyły ludzi dyskutować o wierze, o Kościele, o zaletach i



Ks. Michał Jabłoński

błędach Kościoła. Czy nauczyły człowieka współodpowiedzialności za swój Kościół, która często objawia się w chęci dyskusji o nim? Każdy z nas ma niestety przykłady ze swoimi duchownymi nie zawsze pozwalającymi na dyskusję. Warto nawiązać do wypowiedzi księdza Tischnera, że nie zna ludzi, którzy zraziliby się do Kościoła przez Lenina, Marksa czy Engelsa, ale wielu ludzi zraża się do Kościoła po rozmowie ze swoim proboszczem. Mój parafianin od trzydziestu lat prowadzi krąg dyskusyjny, gdzie o wszystkich tematach w sposób mądry i kulturalny można rozmawiać.

Dyskusja

Jarosław Świdorski

Jest pewna chrześcijańska organizacja pracowników nauki. Ta organizacja kilka lat temu zrobiła zjazd poświęcony pojęciu godności pracownika nauki. Ponad stu profesorów, docentów, bo wtedy taki tytuł jeszcze istniał, doktorów habilitowanych, przez trzy dni usiłowało naprawdę zrozumieć, co to jest godność. Nie bardzo to szło, przyznam się szczerze. Potem znalazła się grupka kilkunastu osób, które siedziały głęboko i długo w nocy i dopracowały się dosyć skrajnych pojęć. Wtedy odczułem, że pojęcie

godności nie jest zdefiniowane do końca. W konferencji, o której mówię, brali udział przedstawiciele bardzo różnych dziedzin nauki. Od filozofów i teologów po inżynierów. To, na co się ostatecznie zgodzono, jest moim zdaniem kontrowersyjne, ale warte poznania. Zgodzono się na definicję, że godność to jest poczucie własnej wartości. Nic innego, tylko poczucie własnej wartości. Jeżeli tak, to jest to poczucie bardzo niebezpieczne, zagraża pragnieniem dominacji nad innymi. W Ewangelii są dwa takie momenty, do których można się odnieść w tej sprawie. Jeden moment, to kiedy do Jezusa przychodzą Jan i Jakub, dwaj ukochani uczniowie i proszą, żeby byli najbliżej Jezusa, jeden po prawej, drugi po lewej stronie. Oni przed wszystkimi. „To nie moja rzecz”, mówi Jezus, „tylko mojego Ojca i to nie wy będziecie o tym decydować”. Drugi moment z Ewangelii, kiedy Pan Jezus na Ostatniej Wieczerzy podchodzi do każdego z uczniów i myje im nogi. Jest to moment, który bardzo mocno przekonuje nas, co trzeba zrobić z poczuciem własnej wartości. Myśmy wtedy tak to sformułowali: „narzędziem ułomnym jesteśmy, ale pragniemy być uczniami”. Miarą godności jest siła pragnienia, abyśmy byli uczniami Chrystusa. Pozostawię to państwu do przemyślenia.



Jarosław Świdorski

Elżbieta Mycielska-Dowgiało

Zacznę od przykładu z czasu mojej pracy uniwersyteckiej. Miałam asystenta, który wtedy kończył doktorat, i zauważyłam, że bardzo różnie traktuje ludzi. Dla stojących od niego wyżej, dla profesorów lub też dla osób, na których pomoc liczył, był niesłychanie uprzejmy. Widać było gołym okiem, że bardzo mu zależało, żeby być dobrze przez nich oceniony. Natomiast jeśli chodzi o studentów, czy w stosunku do osób mu podległych, to sama zaobserwowałam czy też dowiedziałam się, że traktuje ich źle. Ponieważ był asystentem w mojej grupie, wielokrotnie brałam go na rozmowy w cztery oczy. Niewiele to jednak pomagało. Mam nadzieję, że życie go czegoś nauczy.

Niestety, nie jest to takie rzadkie, że inaczej traktujemy tych, którzy stoją nad nami, a inaczej tych niższych, podległych nam. Nawiązując do tego, co pan profesor powiedział, uważam, że naszym obowiązkiem jest służyć, a szczególnie służyć tym najmniejszym. Dla nas, nauczycieli akademickich, powinno być to oczywiste, taka jest nasza rola, ale rola służby powinna być oczywista również dla każdego chrześcijanina.

I drugi przykład. Przez wiele lat szefowałam na Wydziale Geografii UW studiom zaocznym. Po pierwsze, często te studia były traktowane przez pracowników jako „drugi sort”, a mnie zależało, żeby tym ludziom, którzy mają znacznie trudniejszą drogę do wiedzy, ułatwić wiele rzeczy. Znając tych studentów, widziałam, jak wielu z nich poważnie podchodzi do studiów i jak wielu kończy studia z najwyższymi ocenami. A niektórzy wykładowcy zamiast docenić ich wysiłek, traktowali ich gorzej niż studentów dziennych. Dowiadywałam się o wykładach czytanych przez wykładowców lub, co gorsza, czytanych z książki, która jest dostępna dla studentów. Ostatnio dowiedziałam się od jednej z naszych wnuczek, że podobne przypadki zdarzają się również na studiach dziennych. To jest właśnie przykład nieposzanowania godności drugiego człowieka przez lekceważenie go.

Ewa Jurewicz

Chciałam podać sytuację z mojego życia, wówczas trzynastoletniej uczennicy szkoły. Nastał u nas nauczyciel matematyki, który potem, jak dowiedzieliśmy się po latach, zrobił karierę na Uniwersytecie. Już od pierwszej lekcji zwracał się do nas: „Pani Ewa Styczyńska, pozwoli pani do tablicy” i tak do wszystkich uczennic. Mogłyśmy zapomnieć wszystkie wzory, których nas uczył, wszystkie rozwiązania trójkątów, ale tego eleganckiego zachowania nie zapomnialiśmy. Ponieważ to nie tylko my czułyśmy się jakoś godniejsze, ale i nasz szacunek dla niego się zwiększał.

Druga sytuacja z Wrocławia, tuż po wojnie. Dwóch dziesięciolatków. Jeden to mój brat, a drugi to w tym samym wieku Niemiec, który przychodził do nas ze swoją mamą, która pomagała w kuchni mojej cici. Chłopcy bawili się świetnie bez żadnych konfliktów, aż tu pewnego dnia awantura. Co się stało? Mój brat zatkał usta temu Niemcowi liśćmi z akacji. Natychmiast wyjmij mu te liście z buzi – krzyknęłam na brata. Na co on: powiedział na mnie Polnische Schweine.

Ciekawe, że ten dziesięcioletni chłopiec musiał słyszeć gdzieś to określenie. A mój brat też wiedział, że jest to obraźliwe, więc mimo że chciał mu dać w zęby, tylko zatkał mu usta liśćmi.

Chcę powiedzieć, jak ważny jest zwłaszcza ten wiek, kiedy to poczucie godności się rozwija, kiedy chłopiec staje się mężczyzną i możliwość różnych konfliktów narasta. Jak trzeba wtedy pilnować dobrego wychowania. To, co szkoła może zrobić, to nauka poprawnych form zachowania uczniów. Gdy uczymy mówić „proszę, przepraszam, dziękuję”, to jest to prawidłowe wychowywanie godności. Nie tylko mojej, ale też jestem tak wychowywana, by mówić te słowa innym.

Elżbieta Mycielska-Dowgiałło

Nawiązując do tego, co przed chwilą powiedziała Ewa, podam przykład zachowania starszych ludzi w różnych środkach komunikacji. Są dwa, skrajnie różne typy zachowań. Gdy starsza pani wchodzi do autobusu czy tramwaju i ustępuje jej miejsca jakiś młody chłopak czy dziewczyna, to ta pani miło, z uśmiechem

dziękuję. I druga sytuacja analogiczna, lecz starsza pani, zamiast uśmiechnąć się i podziękować, siada bez najmniejszego miłego gestu, jakby się to jej należało. A potem oskarżamy młodych ludzi, że są dla nas nieuprzejmi.

Urszula Kossowska-Cezak

Chciałam powiedzieć krótko o trzech sprawach. Przed chwilą pani rektor wspomniała o studiach zaocznych na Wydziale Geografii. Otóż mam z tymi studiami związane pewne bardzo dobre i zaskakujące wspomnienie. Kiedyś po seminarium, które prowadziłam z ostatnim rokiem studiów, jedna ze studentek powiedziała mi, że jej szkoda, że już kończy te studia. Były to studia dla pracujących nauczycieli. Trochę się zdziwiłam. Studentka ta jeździła przez pięć lat do Warszawy na zajęcia i mimo tego żałuje, że studia się kończą. Spytałam więc, dlaczego żałuje. „Bo nas tutaj tak pięknie traktowano”. W tym momencie zaniemówiłam, bo uważałam, że swoich studentów traktowałam normalnie. Sądzę, że moi koledzy też. Wobec tego powstaje pytanie, jak ta nauczycielka musiała być traktowana w swoim środowisku, skoro tu na uczelni to, co było dla nas normalne, dla niej było piękne.



Urszula Kossowska-Cezak

Druga uwaga kojarzy mi się z definicją poczucia godności podaną przez pana profesora. Otóż wydaje mi się, że ta definicja jest definicją właściwą i nie widzę w niej niczego niebezpiecznego, z jednym zastrzeżeniem. Mianowicie, że tej wartości nie przyznajemy tylko sobie, ale pamiętamy o tym, że tę wartość mają również wszyscy ludzie wokół i my nie przyznajemy sobie tej wartości większej niż im. Jeżeli my patrzymy na innych tak samo jak na siebie, to wtedy tę definicję możemy przyjąć jako właściwą.

I ostatnia uwaga, która mi się pojawiła po wypowiedzi pani Ewy. Przypomniał mi się lektor, który dawno temu uczył niemieckiego na Uniwersytecie. Zwykł on chwalić swoich studentów robiących szczególne postępy słowami „będziesz jadł niemiecki chleb”. Gdy usłyszałam to po raz pierwszy, to mną wstrząsnęło, a jak usłyszałam to po raz drugi, była to moja ostatnia obecność na tym lektoracie.

Bogdan Motelski

Moje świadectwo będzie wspomnieniem mojej mamy. Jej nauczycielka z gimnazjum, kiedy spotkała mamę po latach, poznała ją. Pamiętała swoich uczniów. Po tylu latach, mimo siwizny, poznała mamę po oczach – jak powiedziała.



Od lewej: Tomasz Przeclawski, Joanna Perkowska i Jarosław Świdorski. Z tyłu siedzi Bogdan Motelski

Drugie doświadczenie z moich własnych studiów. Kilka egzaminów wspominam z największą przyjemnością. Wszystkie miały jedną cechę – trzeba było wykazać się umiejętnością posługiwania się wiedzą. Nie powtórzeniem wiedzy, tylko jej wykorzystaniem. Każdy student dostawał sytuację opisaną i miał zaprojektować proces. Ja te egzaminy wspominam najlepiej. Dziś większość egzaminów jest testowych, polegających na odtwarzaniu wiedzy. Studenci są automatami do powtarzania, a na studiach jest to najmniej potrzebne.

Alicja Siemak-Tylikowska

Przez kilka lat nauczalam w seminarium duchownym u księży Pallotynów w Ołtarzewie. Uczyłam, jak prowadzić lekcje religii. Mówiłam im: „lekcja religii jest lekcją najlepszą ze wszystkich do dyskusji. Jeżeli staniesz i będziesz tylko »głosił« Słowo Boże, to polecisz. Zaczynij z nimi dyskutować”. To jest bardzo cenna metoda. To oczywiście może przerodzić się w dysputę, może pójść w zupełnie innym kierunku niż ten zamierzony przez tego, który zainicjował dyskusję, ale nauczymy się dyskutować i bronić własnego zdania. Jest to ogromnie cenne nie tylko dla naszych uczniów, słuchaczy, ale też droga do edukacji dla nas samych.

A druga sprawa – to chciałam pozazdrościć pani rektor, że studenci w swoich ocenach piszą to, co prawdziwie myślą o wykładowcach. Na Uniwersytecie wszystkie zajęcia są ankietowane i jest możliwość wypowiedzenia własnego zdania, mimo to w ankietach wszyscy wykładowcy są bardzo dobrzy, nie ma złych pracowników. Gdy w rozmowie pytam ich dlaczego – mówią, że boją się wyrzucenia ze szkoły. Nie wierzą w anonimowość ankiet. Ankiety na naszym Wydziale nic nie dają, wszyscy są świetni.

Dariusz Wasik

Jeśli można, chciałbym skomentować wspomniane ankiety, które na moim Wydziale Fizyki są takie same. Może przy naukach ścisłych jest inne podejście, ale oceny wykładowców są różne, nie tylko pozytywne.

Alicja Siemak-Tylikowska

U mnie zawsze 50% studentów pisze, że mówię za szybko, 50%, że mówię za wolno.

Elżbieta Mycielska-Dowgiałło

Trudno teraz wyjaśnić, dlaczego na jednych wydziałach uniwersyteckich, tak jak i u nas na SWPR, ankiety wypełniane są rzetelnie, prawdziwie, a na innych studenci się boją. Może za mało się mówi o wadze tych ankiet i o tym, że przez te ankiety studenci biorą współodpowiedzialność za to, co dzieje się na ich wydziale czy na ich uczelni. Może nie mają zaufania, że ich zdanie będzie wzięte pod uwagę. Na SWPR stosujemy taką zasadę, że jeżeli przez dwa lata studencka opinia negatywna powtarza się, to zmieniamy wykładowcę.



Słuchacze Konwersatorium

Będziemy musieli już kończyć nasze spotkanie, ale jeszcze chciałam powiedzieć, nawiązując do tego, o czym mówiła pani profesor, że obecnie na studiach nie widać człowieka, tylko jego oceny, punkty itp. Ta „choroba” doszła już do szczytów, bo nie ma już kolokwium habilitacyjnego z wykładem i egzaminem, a tylko papierowa dokumentacja. Teoretycznie można sobie wyobrazić, że na

profesora uczelni zostanie powołany człowiek, który na to stanowisko się zupełnie nie nadaje. Na przykład, ma ciężką wadę wymowy lub ma wiedzę, ale nie ma umiejętności jej przekazania. Staramy się, żeby tak nie było. Nasza uczelnia jest bardzo aktywna pod tym względem. Występujemy do premiera, do pani minister. Uczestniczymy w przygotowaniu projektów zmian. Nie wiem, jak to się uda. Apeluje gorąco, aby uczestniczyć aktywnie w tego typu działaniach.

Na zakończenie dwie autentyczne historie, które zdarzyły się w czasie egzaminów wstępnych na Wydziale Geografii UW. Jeden z kandydatów na studia zapytany o główne ośrodki przemysłu budowlanego w Polsce, zdecydowanym głosem odpowiedział „Poznań”. Na nasze pytanie dlaczego, padła odpowiedź – no, bo Cegielski. A co Cegielski produkuje – pytaliśmy dalej. „Cegłę”. Gdyby nie było egzaminu ustnego, to strach pomyśleć.

I druga historia, którą mi koledzy opowiadali z wcześniejszego okresu. Egzamin wstępny i pada pytanie, kiedy powstały Góry Świętokrzyskie. To było w czasach silnego u nas stalinizmu. I odpowiedź „wtedy, kiedy wszystkie kraje Demokracji Ludowej ze Związkiem Radzieckim na czele, przykrywało morze”.

Dziękuję ogromnie państwu za udział i zapraszam za miesiąc.

Spisał z nagrania Marcin Borzęcki

Cd. wypowiedzi przesłanych drogą korespondencyjną

Marianna Łacek (Australia)

Nauczyciel – Wychowawca

Kiedy wracam myślami do swoich lat szkolnych, przed oczyma przesuują mi się różne zdarzenia. Uleciały obrazy lekcji i nawet tematy z poszczególnych przedmiotów. Pamiętam jednak bardzo wyraźnie niektórych nauczycieli i wierzę, że to oni wywarli duży wpływ na to, kim jestem obecnie.

Uczęszczanie do szkoły rozpoczęłam od klasy trzeciej, mając właśnie skończone siedem lat. Nie jestem nawet pewna, czy to była klasa trzecia, ale chyba tak, skoro za rok poszłam do klasy czwartej. W małej wiejskiej szkole uczniowie zostali wówczas podzieleni na dwie grupy – do jednej klasy trafili ci, co umieli czytać, a do drugiej ci, co czytać jeszcze nie umieli. W tej pierwszej grupie byłam zdecydowanie najmłodsza.

Niewiele mogę powiedzieć o nauczycielce. Pamiętam, że była wesoła, młoda i bardzo dobra. Dekorowaliśmy na początku roku klasę. Na głównej ścianie Pani kazała zawiesić krzyż, który – jak nam powiedziała – przywiozła z domu. Nauczyła nas modlitwy do Ducha Świętego, którą rozpocząć mieliśmy co rano lekcje.

Uczyła wszystkich przedmiotów. Raz, pamiętam, opowiedziała nam o chłopcu, który był bardzo niedobry. Nie pomagały prośby, upomnienia, a nawet kary rodziców. W końcu ojciec wpadł na pomysł i ilekroć chłopiec zrobił coś niedobrego, wbijał gwoździe w ścianę. Tych gwoździ szybko przybywało. Po jakimś czasie chłopiec zauważył je i zapytał ojca, po co są te gwoździe. Słuchając wyjaśnień ojca, chłopiec najpierw się roześmiał, później jednak strwożony zapytał, czy ojciec mógłby te gwoździe powyrwać, jeśli on przyrzeknie poprawę.

Chłopiec się zmienił. Ojciec gwoździe powyrwał, niestety, w ścianie zostały brzydkie ślady. Czy zawsze już tak będzie? zapytał chłopiec. Można te ślady zlikwidować, ale na to potrzeba dużo wysiłku, czasu no i poświęcenia (pieniędzy), powiedział ojciec... Tak jest z duszą człowieka, który źle czyni, powiedziała nasza Pani.

Nauczycielkę po paru dosłownie tygodniach zabrano. Pamiętam, że płakała, odchodząc. Pan, który przyjechał załatwić formalności z przeniesieniem czy zwolnieniem tej nauczycielki, kazał jej zabrać sobie ten krzyż ze ściany... Nie zapamiętałam jej imienia ani nazwiska. Nie wiem, jak potoczyły się dalsze jej losy. Wiem jedno, że wywarła trwałe wpływy na osobowość dzieci, które były wówczas w jej klasie. Dużo później zrozumiałam, że zabrano ją, bo pewnie była „nie po linii”. Ówczesne władze oczekiwały od nauczyciela innego podejścia do wychowania. A ja i tak co rano, patrząc na puste po krzyżu miejsce na ścianie, szeptałam cichutko:

„Duchu Święty, który oświecasz serca i umysły nasze, dodaj nam ochoty i zdolności, abyśmy tą nauką oświeceni mogli Cię zawsze wielbić i wolę Twoją wypełniać...”

Paręnaście lat później, już na studiach pedagogicznych, miałam wielkie szczęście spotkać nauczycieli akademickich, którzy w praktyce udowodniali istotę realizowania trzech głównych celów, jakie nauczyciel ma realizować: poznawczego, kształcącego i wychowawczego. Odnosiło się to nie tylko do wykładów i ćwiczeń, ale także, a może nawet szczególnie, do wycieczek naukowych i zajęć terenowych – należało zadbać o tych najsłabszych, o tych najmniej zasobnych finansowo, a zajęcia tak planować, aby zawsze znalazło się miejsce i czas na niedzielną Mszę Świętą.

Teraz jako nauczycielka zdaję sobie w pełni sprawę z ogromnej odpowiedzialności, jaka na mnie ciąży. Aspekt wychowawczy lekcji, jaki realizuję, to nie tylko ta godzina w klasie, ale cała moja osobowość, mój stosunek do każdego ucznia, nawet tego najgorszego. Życzliwe spojrzenie i uśmiech na korytarzu, komentarz w rodzaju: ależ ty masz piękne, gęste włosy, do chłopca, który chyba troszkę za dużo waży. Żartobliwa uwaga podczas dyżuru na przerwie, na przykład – czy mógłbyś pozbiierać dla mnie te kwiatki? Proszę Pani, to nie są kwiatki, to są śmieci – odpowiada nastolatek. Naprawdę? Śmieci bym ci nigdy nie kazała zbierać, ale kwiatki możesz, prawda? Wśród ogólnej wesołości kolorowe opakowania wędrują do kosza. Indywidualne zainteresowanie, kiedy widzę, że coś jest nie tak. Nie zważając na to, że w australijskich szkołach nauczycielowi nie wolno dotknąć ucznia, publicznie, przy wszystkich, uściskałam 14-letniego chłopca, który wrócił do szkoły po śmierci matki. Zapewniłam go o pomocy, jeśli tylko czegoś będzie potrzebował. Potrzebował tej pomocy wielokrotnie.

Rodzice często przychodzą prosić o poparcie. – Proszę Pani, on całymi popołudniami zajęty jest graniem na komputerze... Zaczął palić papierosy ... Nie podobają mi się koledzy, z jakimi ostatnio się zadaje. Może Pani coś poradzić? Oczywiście, że mogę, a nawet powinnam. To jest moim obowiązkiem! Zawsze znajdzie się pretekst, aby pokierować dyskusję w klasie na jeden z drażliwych, a tak istotnych tematów.

Podczas kilkudziesięciu lat praktyki pedagogicznej miałam możliwość spotkania wielu różnych nauczycieli. Młodzież jest bardzo krytyczna. Uczniowie bezbłędnie wskażą, kto jest dobrym nauczycielem. Jedno jest pewne, nauczyciel musi być wychowawcą. Nie da się oddzielić procesu nauczania od procesu wychowania. A wychowywać musimy, szczególnie teraz, w czasach, w jakich przyszło nam żyć.

Kilka lat temu w „Biuletynie Informacyjnym” naszej australijskiej parafii, został zacytowany wiersz amerykańskiej uczennicy z „Columbine High School”. Napisała go po tragicznych wydarzeniach, kiedy zostało tam zastrzelonych wielu uczniów i nauczycieli. Podaję mój przekład tego wiersza:

Paradoksem naszych czasów
są większe budynki, lecz mniejsza cierpliwość.
Szersze autostrady, ale węższe horyzonty.
Więcej wydajemy, lecz znacznie mniej mamy.
Więcej kupujemy, ale nas to mniej cieszy.
Większe mamy domy, w nich mniejsze rodziny.
Więcej udogodnień, lecz znacznie mniej czasu.
Więcej mamy wiedzy, ale mniej rozsądku.
Większą rzeszę ekspertów i więcej problemów.
Znacznie lepsze lekarstwa, ale gorsze zdrowie.
Mnożymy bogactwo, redukując wartości.
Zbyt rzadko kochamy, za dużo mówimy i nienawidzimy.
Wiemy, jak pracować na życie, ale nie umiemy żyć.
Dodaliśmy lat życia, ale nie życia do lat.
Drogę przebyliśmy na Księżyc i z powrotem,
lecz nie umiemy przekroczyć ulicy, by poznać nowego sąsiada.
Zawładnęliśmy wszechświatem, lecz nie ludzkim sercem.
Oczyszczamy powietrze, zaśmiecając dusze.
Rozbiliśmy atom, lecz nie uprzedzenia.
Mamy większe zarobki, lecz mniejszą moralność.
Nadmiernie dbamy o ilość, często kosztem jakości.
Żyjemy wśród wysokich ludzi i niskich osobowości,

zawrotnych profitów i płytkich relacji z innymi.
Budujemy pokój na świecie, a wojny toczymy w rodzinach.
Mamy więcej czasu, ale mniej radości;
większy wybór jedzenia, lecz mniej pożywienia.
Żyjemy w czasach dwu pensji, lecz jakże częstych rozwodów,
W czasach domów wytwornych, lecz także domów rozbitych.
Są to czasy, gdy piękna bogata wystawa
przysłania pustkę magazynu.
Czasy technologii, co umożliwia mi wysłanie tego listu
I tylko Ty masz prawo albo posłać go dalej,
lub unicestwić jednym naciśnięciem guzika.

*Czy doceniam wartość męskiej przyjaźni
w wychowaniu chłopców i jak ją realizuję?*

Cytaty

M. Opiela. „Odkrywanie i realizacja charyzmatu założycielskiego w życiu i działaniu bł. Edmunda Bojanowskiego”.
Przyjaźnie z księżmi – zakładanie Zgromadzenia

Mimo przemysłanych założeń nie zabrakło problemów, które wymagały nowych rozwiązań, ale one też doskonały dzieło. Na początku pojawił się problem odchodzenia dziewcząt, przewodniczek ze względu na zamiar zamążpójścia czy z powodu zniechęcenia. Bojanowski wprowadził więc proste 3-letnie przyrzeczenia. Z zaprzyjaźnionymi księżmi rozważał możliwość składania przez ochroniarki ślubów trzyletnich, co wymagało, aby żyły zgodnie z jakąś regułą. Jej koncepcja też rodziła się powoli. Pomysłów było wiele, wspomina o nich Edmund w swym *Dzienniku*: *Wieczorem czytając Jaroszewicza, znalazłem kilka ciekawych szczegółów do historii religijnych zwyczajów w Polsce, które w książeczce notatkowej zapisałem. Przy tym czytaniu przyszła mi myśl, żeby z szczegółów rozproszonych w tym dziele, ułożyć regułę życia dla Ochroniarek, osnutą na wzorach starodawnej pobożności polskiej i uświęconych zwyczajem praktykach religijnych naszych przodków*¹

Ostatecznie pisze: *z Koźmianem ułożyliśmy główne punkta przyszłej ustawy dla Bractwa Ochroniarek, którym nadałem nazwę Służebnic Najświętszej Panny. Projekt ten do ustaw prześle zaraz Koźmian do Rzymu Księżom Zmartwychwstańcom, aby jako obeznańsi w tej rzeczy za zasięgnięciem rady właściwej w tym względzie Kongregacji w Rzymie, uzupełnili projekt do reguły i takową nadesłali nam zaraz po Wielkiejnocy. Ułożyliśmy nadto utworzyć w Domu Miłosierdzia w Gostyniu wydział seminaryjny dla ochotniczek*

¹ *Dziennik*, 6.02.1855, t. I, s. 570.

wiejskich ku temu zawodow?, co doszło do skutku 29 maja 1855 r. Na krótki jednak czas, bo już 24 sierpnia 1856 r. wydział zlikwidowano³, a 26 sierpnia otwarto nowicjat w Jaszkwie.

Był też pomysł, aby projekt reguły dla ochroniarek opracować na podstawie reguły Ubogich Sióstr Szkolnych, do czego zachęcał ks. Hübner i ks. Brzeziński. Rok 1855 był dla Bojanowskiego decydujący i bardzo trudny, bo musiał wśród często sprzecznych rad przyjaciół wybrać najlepszą i utrzymać kierunek wynikający z jego koncepcji. Obrazuje to notatka w *Dzienniku: Mówiliśmy o Ochronach*. Ks. Prusinowski podziela we wszystkim moje zamiary i twierdzi tylko, że *Zakłady Sióstr nie rozumiejące wychowania, nie zdadzą się do prowadzenia oddziału seminaryjnego Ochroniarek wiejskich. Oraz nie zgadza się na jednaki ubiór Ochroniarek. (...) Wieczorem odebrałem z poczty list od ks. Brzezińskiego wraz z jego projektem ustaw dla Ochroniarek. (...) Zamiast Bractwa radzi Zgromadzenie. Rozszerza działalność Ochroniarek do uczenia i starszych dziewcząt po wsiach. Wszystko to chce powiązać z Instytucją Sióstr Miłosierdzia*⁴.

Wśród licznych niepewności, a nawet niezrozumienia i niechęci, Edmund pozostaje cierpliwy i pewny co do efektu. Píše: *Odebrałem list obszerny od ks. Hübnera Marcina, w którym uniewinnia się, iż ślubów od Ochroniarek przyjąć nie może, dopóki ich zgromadzenie nie będzie przez władzę duchowną potwierdzonym. W pierwszej chwili nie miłą mi była ta trudność nowa, ale może odłożenie tej rzeczy z większą dla przedsięwzięcia będzie korzyścią*⁵.

Koźmian wciąż zachęcał Bojanowskiego, aby nie zrażał się niczym w zamiśle utworzenia bractwa ochronkowego⁶. W maju 1855 r. Bojanowski otrzymał z Rzymu *Regułę Zakładu Służebniczek Bogarodzicy* napisaną przez księży zmartwychwstańców – Kajsiewicza i Semenenkę na podstawie przesłanego im projektu. Ks.

² Tamże, 24.02.1855, t. I, s. 582-583.

³ Muchowicz, dz.cyt., s. 56.

⁴ Dziennik, 6.04.1855, t. I, s. 613-614.

⁵ Tamże, 25.03.1855, t. I, s. 605.

⁶ Tamże, 30.04.1855, t. I, s. 630.

Semenenko potem w liście⁷ objaśniał zmiany wprowadzone w stosunku do propozycji Edmunda i zwracał uwagę, żeby nowicjat nie był wyłącznie u Sióstr Miłosierdzia, bo dzieło służebniczek uważają za samorodne, o czym zresztą Edmund sam się później przekonał. Pisze, że nie ma nic w regule o wyborze pierwszego przełożonego głównego, bo uznali, że nim jest Bojanowski (czemu zupełnie był przeciwny np. ks. Hübner⁸) i potrzeba tylko kapłana do pomocy. Natomiast władzę w zgromadzeniu miała sprawować przełożona główna spośród służebniczek, pozostając w zależności od niego. Zachęcał Bojanowskiego do wytrwałości, mimo przeszkód, w zaprowadzeniu praktyki cotygodniowej komunii św., co miało zapewnić duchowy fundament trwałości dzieła i przyczynić się do rozszerzenia tej praktyki wśród ludzi. Były to ważne wskazania, których przestrzegał w praktyce. W sierpniu 1855 r. z pomocą M. Mycielskiego udał się do Arcybiskupa, by przedłożyć mu *Regulę*. Po czym zapisał w *Dzienniku*: *Oby Bóg miłosierny pobłogosławił to nowe przedsięwzięcie, jak pierwszemu przed sześciu laty pobłogosławić raczył*⁹. Po czym opiekę nad Zgromadzeniem przyjął bp Stefanowicz, który jednak później na prośbę Bojanowskiego o przyjęcie ślubów od służebniczek po porozumieniu z Arcybiskupem, dał negatywną odpowiedź, żądając prośby pisemnej oraz tekstu *Reguły*¹⁰. Bojanowski niezwłocznie to uczynił, prosząc o wyrażenie zgody na składanie przez służebniczki trzyletnich ślubów i przyjmowania ich przez duchownych oraz o wyznaczenie opiekuna w osobie ks. bpa Stefanowicza¹¹. W odpowiedzi otrzymał list od

⁷ Por. Muchowicz, dz.cyt., s. 81-82.

⁸ Zob. *Korespondencja*, t. II. s.120-122 – ks. Marcina Hübner do E. Bojanowskiego, 24.03.1855 r.

⁹ Por. *Dziennik*, 21.08.1855, t. I, s. 709, chodziło o 6. rocznicę założenia Domu Miłosierdzia.

¹⁰ Zob. *Korespondencja...*, t. I. s.166 – E. Bojanowski do Jana Koźmiana, 24.11.1855 r.; *Dziennik*, 28.11.1855.

¹¹ *Korespondencja*, t. I. s.169 - E. Bojanowski do abpa L. Przyłuskiego, 8.12.1855 r.

Arcybiskupa wraz z uwagami nad przesłaną mu *Regułą*. Jak zapisał, *uwagi tyczą się po większej części materialnej strony i stąd powzięte wątpliwości utrzymania się tego przedsięwzięcia, spowodowały Arcybiskupa do odłożenia potwierdzenia na czas późniejszy*¹². (w: M. Opiela, „Odkrywanie i realizacja charyzmatu założycielskiego w życiu i działalności bł. Edmunda Bojanowskiego”, „Studia Redempto-rystowskie” 2009, nr 7, s. 206-208)

E. Bojanowski. Dziennik (fragment)

Piątek, 17. października [1856]

Przybywszy do Środy o 9-tej, poszedłem zaraz do ks. Gieburowskiego. Nie zastałem go, bo do chorego pojechał. Tymczasem wypilem kawę na poczcie. Wnet ujrzawszy go wracającego pobiegłem do niego. Nie mogliśmy się sobie nacieszyć. Co zapytań! Co opowiadań! – Mieszkanie ma śliczne, ogródek jeszcze piękniejszy.

(...) Po jego odjeździe wybraliśmy się z ks. Gieburowskim do Hub Mącznickich (zwanych Janowem), aby tam osobiście nawiedzić kandydatkę ochronkową Agnieszkę Owczarzanę, która już w Śremie i także do ks. Gieburowskiego się zgłaszała. Mieliliśmy spory kawał do chodzenia, bo pod samemi Mącznikami mieszka. Zastaliśmy ją przy rozwieszaniu bielizny na płocie. Nie umiała się pojąć z zadziwienia i radości na tak niespodziane i pożądane odwiedziny. Przyszedłszy do siebie, opowiadała nam wiele o swoich najgorętszych chęciach wstąpienia do Służebniczek, które gdy pierwszy raz zobaczyła u Ojców w kaplicy śremskiej, od tego czasu sypiać nie mogła i nigdzie nie znajdowała spokojności, dopóki się z chęcią swoją nie oświadczy mnie, a przynajmniej ks. Gieburowskiemu, o którym słyszała, że zna się ze mną. Gdyśmy z nią poszli do izby, matka przyzwalająca jak najchętniej jej życzeniom, opowiadała nam jeszcze jak córka – leżąc w gorączce po febrze, którą teraz miewa – ciągle nieprzytomna rozmawiała o swem

¹² *Dziennik*, 1.02.1856, t. II, s. 21.

powołaniu. Zdało się jej, że mnie widzi i zrywając się z łóżka wołała, że zaraz w tej chwili idzie za mną, by jak najprędzej wstąpić do tych siostrzyczek wiejskich. Kiedy to matka nam opowiadała, Agnieszka potwierdzając jej słowa, ocierała łzy z oczu fartuchem i ustawicznie padała nam do nóg. Powiadała nam matka, że dziewczyna ta już w 8-mym roku życia, słysząc od kogoś o zakonnicach, oświadczała się matce, że ona musi także zakonnica zostać. Przez wszystkie lata późniejsze ciągle jej to w głosie tkwiło i przygotowywała sobie całą do tego stanu wyprawę. Samych koszul ma teraz 20. Mówiliśmy jej, że ledwo 6-ść koszul byłoby jej wolno posiadać. „O, to nie szkodzi – odpowiedziała – resztę rozdaj albo siostrzyczkom, którym by brakło koszul, albo ubogim”. Dział swój majątkowy chce także zaraz wnieść do Zgromadzenia, ponieważ do śmierci ani myśli opuszczać świętego powołania. Ma ona już nieco nad lat 30, przy tem nie umie nawet dobrze czytać. Ale zważając na jej zapał służenia Bogu w Zgromadzeniu, a niemożność wstąpienia do innego stowarzyszenia pobożnego dla braku wykształcenia – powiedzieliśmy jej, że na przyszłe lato, skoro więcej mieć będziemy miejsca w Nowicjacie, czynimy jej niejaką nadzieję przyjęcia. Tymczasem ma się modlić o uproszenie sobie łaski umocnienia się w świętem przedsięwzięciu. Ma brać książki do czytania od ks. Gieburowskiego i – jeżeli pora dozwoli – ma przyjść na odpust św. Barbary do Jaszkowa, gdzie się z Siostrami pozna i Zakład zobaczy.

KONWERSATORIUM LXXI

(26 kwietnia 2014)

**Czy doceniam wartość męskiej przyjaźni
w wychowaniu chłopców i jak ją realizuję?**

Prowadzący: Elżbieta Mycielska-Dowgiałło, rektor SWPR; Maciej Górski, fizyk jądrowy, pracownik naukowy Narodowego Centrum Badań Jądrowych, ojciec pięciorga dzieci; Ojciec Tomasz Rojek OP; Adrian Anczarski, filozof, Centrum Nauki Kopernik; Szymon Fulara, inżynier w Instytucie Lotnictwa, wieloletni wychowawca Przymierza Rodzin.

Maciej Górski

Na początku się przedstawię. Specjalizuję się w fizyce wysokich energii. Poza tym, jak to było już powiedziane, mamy z moją żoną pięcioro dzieci, dwóch synów i trzy córki. Najstarszy z synów kończy studia i pracuje w firmie consultingowej. Następny studiuje technologię drewna w Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego, niedaleko stąd. Cała piątka na różnych etapach swojej edukacji była związana ze Szkołą Przymierza Rodzin na Ursynowie, jedni dłużej, inni krócej. Moja żona ukończyła anglistykę i przez jakiś czas pracowała jako nauczycielka. Odkąd pojawiły się dzieci, poświęca się głównie prowadzeniu domu i ich wychowaniu.

Jeżeli chodzi o temat, który jest hasłem wywoławczym dzisiejszego konwersatorium – „czy doceniam rolę męskiej przyjaźni w wychowaniu chłopców”, chcę powiedzieć, że przede wszystkim trzeba określić, co nazywamy, a czego nie nazywamy męską przyjaźnią. Dość powszechnie przyjęty jest pewien rodzaj stereotypu, że z ojcem syn wybierze się na wycieczkę rowerową



Paneliści: od lewej Szymon Fulara, Maciej Górski,
Adrian Anczarski i o. Tomasz Rojek



Maciej Górski

albo łowić ryby, a z mamą to nic ciekawego nie zrobi, bo ona go zaraz zapędzi do tego, żeby zmiatał w domu albo do innych prac domowych. To niekoniecznie musi być prawdą. Mój ojciec był inżynierem, miał jednak szerokie zainteresowania, łącznie z historią, której w starszych latach poświęcał się hobbystycznie, sporo

wiedział o fizyce i pewnie dzięki temu trafiłem tu, gdzie teraz jestem. Moja mama skończyła studia na Akademii Sztuk Pięknych i dla niej nie było rzeczy ciekawszej, jak rysować albo oglądać obrazy. Zabierała nas, dzieci, często na wystawy. Ze wspomnień z moich lat młodzieńczych nie było gorszego horroru, jak pójść na wystawę malarstwa. Zmieniło mi się to dopiero, gdy znacznie przekroczyłem lat dwadzieścia. Z ojcem natomiast wielokrotnie rozmawiałem na tematy, które mnie dużo bardziej interesowały, poczynając od tego, dlaczego lata samolot czy jak dodam do siebie dwie duże prędkości, to mi wyjdzie mniej niż ich suma.

To, czy dzieci bardziej preferują kontakt z ojcem czy z matką, wydaje mi się kwestią ich osobistych predyspozycji i zainteresowań. Z matką rozmawiałem na wiele tematów, które mnie interesowały. Moje siostry, które poświęciły swe życie jeździe konnej, bardzo lubiły dopytywać się mamę, jak to było przed wojną, kiedy jeździła konno. Mnie ten temat mniej interesował. Podobnie ojciec, mimo że też był wychowany na wsi, nie włączał się do tych rozmów. Dla mnie jest to zgodność zainteresowań. Obserwując wiele rodzin, które znam, widzę zarówno dobre kontakty między ojcami i synami oraz córkami i matkami, jak i też między ojcami i córkami czy matkami i synami. Główną rzeczą jest, według mnie, otwartość rodziców na zainteresowania dzieci. Jest to czasem trudne. Miałem ciotkę, bardzo znaną pisarkę, która w pierwszych latach dwudziestego wieku koniecznie chciała zrobić maturę, a jej matka nie mogła zrozumieć, po co panience matura. Dopiero dzięki interwencji ojca udało jej się zrealizować swoje marzenie. Mówiła wtedy, że nigdy swoich dzieci nie będzie zadreżać takimi rzeczami. Niestety, stało się dokładnie na odwrót. W momencie, kiedy owdowiawszy, sama musiała wychowywać swojego syna, nie potrafiła dostrzec, że on nie zgadza się z jej koncepcją tego, co powinien robić.

Okazuje się, że rodzice, którzy obiecują sobie, że będą dobrze wychowywać swoje dzieci, często tego nie robią. Nie wynika to z ich złej woli, ale często z braku zrozumienia osoby młodej. Gorąco apeluję do rodziców, aby próbowali zrozumieć swoje dzieci oraz poznać ich zainteresowania. Oczywiście nie znaczy to,

że należy wychowywać dziecko w takim kierunku, jaki wydaje się go interesować w wieku kilku lat. Dziecko należy wychowywać wszechstronnie.

Wracając do głównego tematu, można zadać pytanie, czy łatwiej jest dogadać się synowi z ojcem czy z matką, a córce z matką czy z ojcem. Takie ukierunkowanie jest częste, ale nie musi być regułą. Na przykład, trzeba wymienić kran w łazience, zdarza się, że mama jest inżynierem, a ojciec filologiem, więc ona weźmie śrubokręt czy klucz francuski i naprawi kran, zamiast ojca, który się na tym nie zna. W powszechnym jednak pojęciu w 90% rodzin to zadanie ojca i jeżeli jest mu potrzebna pomoc, to poprosi o nią syna.

W postawionym na wstępie pytaniu zawarte jest wychowawcze znaczenie przyjaźni między ojcem i synem. W domyśle jest, że ma ono większe znaczenie niż przyjaźń między matką i synem. Uważam, że przyjaźń powinna występować w całej rodzinie i nie powinna być ukierunkowana. Często jest tak, że rodzice, mimo dobrego formalnego przygotowania do bycia rodzicami i do wychowywania dzieci, mylą się i popełniają błędy. Jeżeli dziecko popełnia błąd, to rodzice go upomną, natomiast jeżeli rodzic popełnia błąd, źle wychowując dzieci, to rzadko znajdzie się ktoś, kto mu to powie.

Na pewno ważną rzeczą jest nawiązanie silnej więzi między ojcem i synem, ale nie powinno opierać się na zasadzie: chodź, synu, ze mną, bo ze mną będzie ci lepiej, niż byłoby ci z matką. Jeżeli nawet w jakimś sensie ojciec bierze syna pod swoje skrzydła, to musi cały czas pamiętać o tym, że musi go uczulić również na to, że oboje, zarówno ojciec jak i matka, są jego rodzicami, że go kochają, że go wychowują, że mają na względzie jego dobro i że musi jednocześnie być obojgu wdzięcznym i rady jednej, jak i drugiej strony powinny być dla niego równie wartościową wskazówką na resztę życia. Na pewno jest tak, że pewne zagadnienia łatwiej jest przekazać synowi przez ojca, a córce przez matkę. Dotyczy to na przykład przygotowania do życia w rodzinie czy zagadnień z zakresu seksualności. Chodzi o to, żeby tak przygotować dzieci, żeby potrafiły przyjść do rodziców również z takimi kwestiami. Wydaje mi się, że w rodzinie nie powinno być tematów

tabu. Oczywiście trudno jest to przekazać, ale trzeba próbować, aby przekonać dzieci, że w każdej chwili mogą do rodziców przyjść. Również w sytuacji, kiedy któreś z dzieci wydaje się być niedoceniane czy źle traktowane, czy krzywdzone przez jednego z rodziców. Trzeba takie sytuacje dostrzec i myślę, że rodzice powinni takie kwestie między sobą dyskutować. Na pewno w takiej sytuacji ważna jest osoba, która patrzy z innej pozycji i może coś poradzić.

Szymon Fulara

Nie mam jeszcze siwych włosów, ale mam trochę doświadczenia z młodzieżą męską, ponieważ skończyłem studia na Politechnice i mimo różnych programów zachęcających dziewczyny do studiowania na Politechnice, przez pięć lat przebywałem z samymi mężczyznami. Jestem też od wielu lat wychowawcą w Przymierzu Rodzin.

Tak jak mówił mój poprzednik, każdy z nas ma swoją historię, w której jest wiele błędów, wiele niedopatrzeń. Ale idea Przymierza Rodzin w wielu kwestiach może pomagać.

W latach osiemdziesiątych wiele osób było internowanych i dla ich dzieci inni rodzice zaczęli organizować letnie obozy. To jest korzeń Przymierza Rodzin. Ideą była pomoc rodzicom w wychowaniu dzieci.



Szymon Fulara

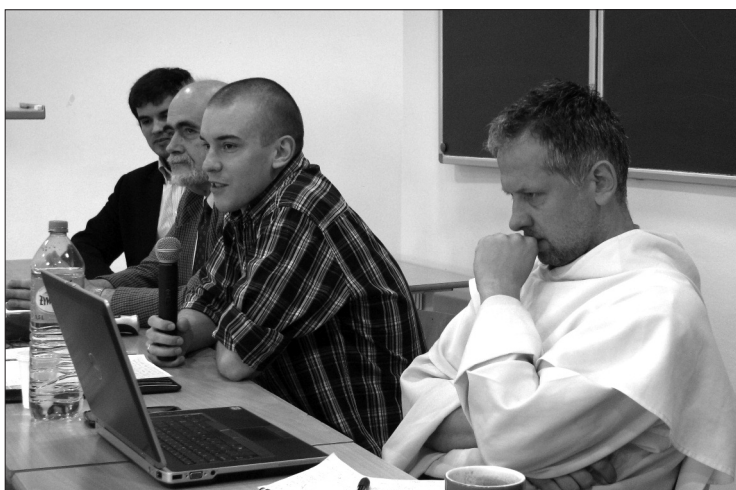
Moje doświadczenie z tego zakresu jest takie, że tworzyłem tutaj na Ursynowie dwie grupy młodzieżowe Przymierza Rodzin. Jedna grupa była głównie dziewczęca, a druga głównie męska.

Odpowiadając na to pytanie, czy doceniam wartość męskiej przyjaźni w wychowaniu chłopców, myślę, że wartość tej przyjaźni jest nie do przecenienia. Trzeba to doceniać, ale jednocześnie nie należy o tym mówić. Przyjaźń to jest temat tabu. Szczególnie wśród młodzieży męskiej nie należy o tym zbyt dużo mówić. Dzisiaj często przyjaźń myli się, szczególnie wśród chłopców, z zachowaniami homoseksualnymi. To jest pierwsza trudność, z którą musi poradzić sobie wychowawca. Z drugiej strony, natura tej przyjaźni jest często trudna do rozpoznania z zewnątrz, gdyż potrafi być szorstka. Jako wychowawca staram się wyciszać młodzież, żeby nie przeklinała, nie dogadywała sobie w zbyt ostry sposób. Równocześnie jest to element ważny dla nawiązania przyjaźni – możliwość usłyszenia krytycznych opinii na swój temat. Jeżeli te krytyczne uwagi są skierowane do nas, wychowawców, naszą rolą jest tak postępować, żeby ich nie urazić, traktować poważnie, wyciągnąć pozytywne wnioski z tego, co mówią, i okazywać im naszą przyjazność. Przyjaźń męską charakteryzują dwa aspekty: szorstkość i przyjazność, czyli umiejętność poświęcenia czasu na wspólne działanie, na rozmowy i wysłuchanie. Staramy się to realizować jako wychowawcy grup Przymierza Rodzin i to chcę przekazać jako moje doświadczenie. Kiedy coś nie wychodzi w relacjach między rodzicami i dziećmi, dobrze jest zapisać dzieci do grup Przymierza Rodzin i pozwolić, żeby się tam trochę wyszumiały, wygadały, porozmawiały z wychowawcami, pojechały na obóz. Może zawiązą się przyjaźnie, które będą dla nich ważne.

Adrian Anczarski

Jestem z wykształcenia filozofem, dlatego muszę się ratować kartkami, bo jak nie będę miał konspektu, to mogę zacząć się oddalać od tematu we wszystkie strony. A druga trudność to taka, że nie jestem ani ojcem, ani też zasadniczo nie zajmuję się wychowaniem dzieci. Współpracuję z młodzieżą, ale są to raczej

jednorazowe spotkania. Pracuję w Centrum Nauki Kopernik, gdzie prowadzę warsztaty, pokazy, gdzie zawsze jest jakaś grupa, ale nie jest to jakaś stała grupa, więc nie mam własnego doświadczenia w budowaniu relacji między chłopcami. Dlatego postaram się opowiedzieć o swoich przemyśleniach czy doświadczeniach jako osoby wychowywanej i wychowującej się, natomiast nie jako osoby, która miałaby w jakiś sposób tym kierować.



Adrian Anczarski, z mikrofonem

Mam 27 lat i moje doświadczenia z tego zakresu pochodzą z okresu podwórka czy szkolnego wychowywania się w dosyć specyficznych warunkach, w pięknej dzielnicy Warszawy, czyli w Ursusie. Jest to dzielnica robotnicza, która, jak myślę, klimatem nie różni się niczym od Pragi, więc wychowanie podwórkowe było tam naprawdę mocne. Kiedy zacząłem zastanawiać się nad wartością męskiej przyjaźni, klimat miejsca zmusił mnie do zweryfikowania przyjaźni, które miałem do tej pory. Musiałem określić te relacje.

Przyjaźń to jest to jeden ze stopni miłości. Jest to relacją między dwojgiem osób i jest to relacja obustronna. Nie da się zbudować przyjaźni, gdy tylko jednej osobie zależy, by mieć przyjaciela, a drugiej nie. To tak nie zadziała. Dla mnie były zawsze trzy najważniejsze rzeczy w budowaniu przyjaźni, bądź w określaniu, czy

ktoś jest moim przyjacielem. Obydwaj kierowaliśmy się, po pierwsze, honorem, po drugie – słownością, a po trzecie – odpowiedzialnością za siebie. Przez długi czas wydawało mi się to najważniejsze, czy to na podwórku czy na wyjazdach, czy robiąc różne dziwne rzeczy. Jeden drugiego nigdy nie zostawił. Zawsze mogliśmy na sobie polegać, bo dawaliśmy sobie słowo, że nie zostawimy siebie w potrzebie. Natomiast teraz, kiedy zacząłem się zastanawiać, to wiem, że mam wielu dobrych kolegów, którzy spełniają te trzy warunki, a których jednak nie określiłbym mianem przyjaciół. Zdałem sobie bowiem sprawę, że w przyjaźni potrzebna jest jeszcze czwarta rzecz – wspólne wartości, bez których pozostaniemy dobrymi kolegami, a nie przyjaciółmi. Gdy myślałem o świadku naszego z moją żoną ślubu, zależało mi, żeby jednym ze świadków był mój przyjaciel. Od razu skojarzył mi się znajomy, z którym znam się względnie krótko, ale z którym łączy mnie bardzo silna więź, natomiast nie poprosiłem kolegi, którego znam od piątego roku życia i można by powiedzieć, że jesteśmy świetnymi przyjaciółmi, choć w rzeczywistości jesteśmy tylko świetnymi kolegami.

Podobnie też przypominam sobie różne relacje czy to z liceum, czy z okresu studiów. Na studiach poznałem Kolumbijczyka, z którym dogadywaliśmy się rewelacyjnie, różnica kulturowa nie stanowiła problemu, rozumieliśmy swoje potrzeby, swoje myśli. Podobnie w liceum miałem kolegę, z którym wszyscy nas brali za bliźniaków, nawet fizycznie byliśmy do siebie podobni, jednak tak z jednym, jak i z drugim mieliśmy odrębne wartości i mimo że wtedy myślałem o nich jako o przyjaciółach, nasze relacje się rozchodziły. Miałem trudność z ich określeniem i w obu przypadkach miałem gorzkie odczucie, że tracę przyjaciela. Dziś wiem, że to byli dobrzy koledzy i tak o nich teraz myślę, a nie jako o przyjaciółach. Wydaje mi się, że prawdziwej przyjaźni nie da się stracić.

Podobnie w okresie dojrzewania mylimy zauroczenie z miłością, gdzie to pierwsze jest bardzo miłym uczuciem i zdarza się wielokrotnie, a miłość wymaga pewnej dojrzałości. Przychodzi z czasem, kiedy się nauczymy, że jest to właśnie relacja, która nie jest wyłącznie zachwytem sobą, lecz relacją, która wymaga od nas

odpowiedzialności i odpowiedniej postawy. Weryfikując swoje własne relacje, doszedłem do sprecyzowania „antydefinicji” przyjaźni, z którą spotykam się coraz częściej. Wartości, które dla mnie są ważne w przyjaźni, trochę nie przystają do współczesnego wyobrażenia, na przykład, że od przyjaciela nie wolno nic wymagać. Powiniennem być przez cały czas przy przyjaciołach, ale nie mogę mu wytykać, że coś robi źle i nie powinien tak postępować. Współczesne wyobrażenie relacji przyjaźni jest takie, że najlepiej, żeby mój przyjaciel pisał o wszystkim na facebooku, a ja kliknę „lubię to” i wtedy jestem jego prawdziwym przyjacielem, bo nie powiem mu nigdy „stary, schrzaniłeś i teraz będziemy musieli się tym zająć, ale ty też musisz od siebie wymagać”. Wspomniałem o honorze i słowności, ważnych w relacjach przyjacielskich. Mam wrażenie, że powszechnym mniemaniem honor, ludzi honoru przedstawiają na przykład obrazy Kossaka lub obrazy polskiego żołnierza strzegącego polskich granic, a nie postępowanie w życiu codziennym. Podobnie do słowności nie przywiązuje się wielkiej wagi.

Przyjaźń jest często mylona z koleżeństwem. Bycie w relacji koleżeńskiej nie wymaga od nas odpowiedzialności. Każdy z nas ma kolegów, czy to na studiach czy w pracy, czy w innych grupach, w których się spotykamy, ale nie bierzemy za nich odpowiedzialności.

Gdy zestawiałem definicje dotyczące przyjaźni i moje przemyślenia na ten temat, moja żona zapytała mnie, czym przyjaźń różni się od braterstwa. Chyba niczym. W moim wyobrażeniu braterstwo jest idealną formą przyjaźni, a bracia są w szczególności sposób uprzywilejowani, aby być przyjaciółmi. Z racji pochodzenia, z racji tego, że są rodziną, są blisko siebie, ale równocześnie są odrębnymi osobami i każdy może się uczyć jeden od drugiego. Teraz doświadczam bardzo ciekawej relacji z moim bratem, który jest o dziesięć lat młodszy i w związku z tym przez większość życia był dla mnie osobą, którą trzeba było się zająć, przypilnować, ale nie był dla mnie pełnowartościowym partnerem. Teraz poszedł do liceum, pojawiają się z nim możliwości całkiem sensownych rozmów, które mi dużo dają, bo pomimo że mamy tych samych rodziców, to jest on zupełnie inną osobą niż ja,

z innymi spostrzeżeniami. Te nowe relacje między nami wymagają ode mnie, żebym był wobec niego konsekwentny i odpowiedzialny za niego. Ważna jest wzajemna odpowiedzialność jednego za drugiego.

Rozwijając temat relacji rodzinnych, uważam, że relacja ojciec – syn na stopie przyjaźni jest ważna i zdecydowanie należy ją rozwijać. Należy od dzieciństwa rozwijać zdolność do wyszukiwania przyjaźni, jako jednego ze stopni miłości. Kiedy będziemy już przyzwyczajeni do tego, czego wymaga od nas przyjaźń, to po latach dużo łatwiej będzie nam wejść w relacje miłości małżeńskiej, która jest już na wyższym poziomie. Jest doskonalsza. Ma swoje prawa, ma swoje obowiązki, ale wydaje mi się, że jeżeli jesteśmy od dzieciństwa przyzwyczajeni do życia w relacji przyjaźni, to zdecydowania łatwiej będzie nam pójść dalej.

Podobnie, jak mówił mój przedmówca, męska przyjaźń ma swoją specyfikę, choćby to, że nie wyobrażam sobie dwóch przyjaciół, którzy sobie nie docinają, którzy nie depczą sobie po piętach, nie kásają. Choćby po to, żeby się ćwiczyć. Trochę szkoda, że ten temat jest zawężony do męskiej przyjaźni, bo ja najwspanialszej przyjaźni doświadczyłem w małżeństwie z moją żoną, ale to już jest odrębny temat.

O. Tomasz Rojek OP

Mój poprzednik powiedział, że jest filozofem i korzysta z notatek, żeby się nie pogubić, a ja jestem dominikaninem i korzystam z komputera. Słyszałem klasyfikacje kazań: krótkie dobre, krótkie złe i długie. Będę się starał, aby moje wystąpienie było w miarę krótkie. Byłem też wychowawcą w Przymierzu Rodzin. Pracowałem, podobnie jak i obecnie pracuję z młodzieżą.

Czy realizuję męską przyjaźń w wychowaniu? Uważam, że mężczyźni w pewnym wieku potrzebują męskich wzorców, męskich autorytetów i potrzebują, żeby ich poprowadzić.

Co to jest wychowanie? Jest to prowadzenie. Jeżeli prowadzimy młodych ludzi, musimy pamiętać, po co i do czego ich wychowujemy. Każdy powinien zadać sobie takie pytanie. Jeżeli każdy z małżonków będzie realizował swoje priorytety wychowaw-



o. Tomasz Rojek

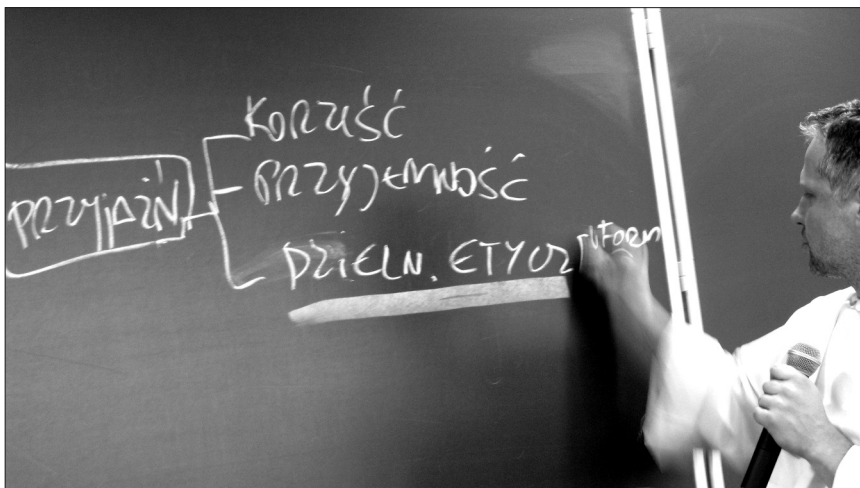
cze, to dzieci będą rozerwane i nie będą wiedziały, w którą stronę iść, i będą to wykorzystywały. Jeżeli wychowujemy do tego, żeby oni byli pięknymi i wartościowymi ludźmi, czyli żeby potrafili kochać innych ludzi, trzeba nauczyć młodego człowieka funkcjonować w wolności, czyli w takiej przestrzeni, gdzie będzie umiał realizować swoje szczęśliwe życie. Prawdziwie kochać można tylko w wolności. To bardzo trudne zadanie, które wymaga towarzyszenia w różny sposób na różnych etapach rozwoju. Inaczej prowadzi się malutkie dziecko, inaczej będzie się to realizowało w sytuacji ucznia podstawówki, a inaczej kiedy dziecko osiąga wiek, w który już powinno samodzielnie wkroczyć, czyli około jedenastego, dwunastego roku życia. Od tego momentu rola wychowawcy się zmienia i rodzic przestaje być wychowawcą, a zaczyna być towarzyszem podróży, gdzie rodzic jest skazany na to, że trafia czasem do lamusa i jest przekreślony, aczkolwiek nie przestaje być autorytetem. Wychowujemy więc do wolności, miłości, piękna – to są te wszystkie cnoty, do których będziemy dążyć.

Co to jest cnota? Cnota, czyli sama dyspozycja do czynienia dobra, jest to pewna zdolność, umiejętność, która przychodzi mi z dużą łatwością, chętnie to robię. Jest to coś, czego mogę się nauczyć, a kiedy już się nauczę, to tego nie stracę. Arystoteles

przyjaźń i wychowanie umiejscawia w miejscu cnoty. Przyjaźń jest cnotą, jest czymś do wypracowania i jest czymś, co trudno utracić, pod warunkiem, że jest to przyjaźń ze względu na drugą osobę. O cnotach Arystoteles pisał w „Etyce Nikomahejskiej”, czyli w książce, którą adresował do swojego syna, a więc jest to pismo nie dla każdego. Mówi o przyjaźni i mówi, jak to działa. Jest to coś, do czego powinniśmy dążyć, ale nie jest to powszechne do zdobycia, do kupienia i do zaspokojenia swoich potrzeb.

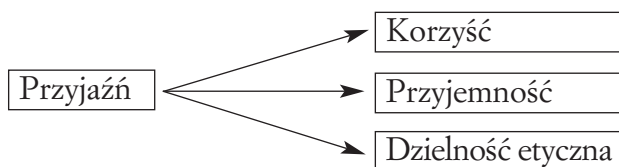
Żeby wychowywać, potrzebujemy przestrzeni. Wychowawca jest tym, który daje przestrzeń, żeby młody człowiek mógł w niej wzrastać. Trzeba pomagać młodemu człowiekowi znajdować dobrych przyjaciół. Świat dziecka się stopniowo rozszerza. Malutkie dziecko ma samego siebie, potem dostrzega rodziców, potem pozostałych najbliższych, potem inne dzieci w przedszkolu, potem w nastoletnim wieku otwiera się na innych ludzi spoza rodziny. Potrzebuje też autorytetów z zewnątrz. Mogą nim być rówieśnicy i jakiś dorosły, który nie jest rodzicem. To jest trudny moment dla rodzica, bo zostaje zepchnięty z piedestału i musi się w tym odnaleźć. Mama takiego nastolatka od tego momentu musi uczyć się, w jaki sposób ma swojego syna pozostawić jemu samemu. Jest to najtrudniejsze zadanie dla mamy: wypuścić spod swoich skrzydeł chłopca, by mógł stać się mężczyzną. Nową rolą ojca jest natomiast nauczyć się przekraczać samego siebie w kierunku tego młodego człowieka, co znowu jest wielkim wyzwaniem. Dla młodego człowieka też jest trudne wyjść spod skrzydeł matki i wejść w relacje z ojcem.

Wychowanie jest zawsze relacją dwukierunkową, czyli jest relacją do młodego człowieka i na człowieka, który spełnia rolę wychowawcy. Potrzeba od niego ogromnej czujności w czasie towarzyszenia młodemu człowiekowi i potrzeba, aby być z nim. Najważniejsze jest to, że ja towarzyszę, wysłuchuję, nawet jeśli jest to trudne i mogę się z czymś nie zgadzać. Jest tu wymagana ogromna cierpliwość w stosunku do młodego człowieka, który chciałby się wypowiedzieć, a nie umie tego robić, bo się tego nigdy nie nauczył. Przyjaciół to ten, który przyjmuje wszystko „na klatę”, ze względu na dobro drugiej osoby.



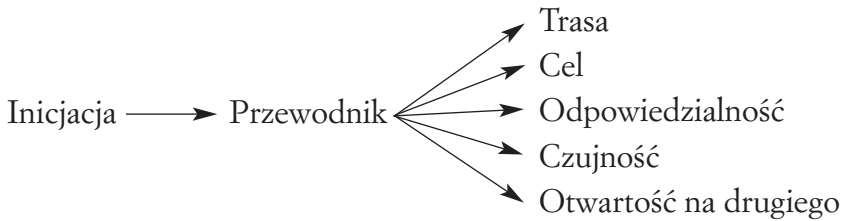
o. Tomasz Rojek przy tablicy

Wróćmy do Arystotelesa, który mówi, że w przyjaźni są trzy powody, dla których możemy się przyjaźnić: korzyść, przyjemność, dzielność etyczna, która jest związana z cnotą i z tym, w jaki sposób mogą dążyć do dobra. Dzielność, czyli umiejętność, którą już mam, będąc dobrym ze względu na piękno, którego poszukuję.



Wychowawca musi być osobą uformowaną, cnotliwą i działać ze względu na dobro drugiej osoby. Przyjaciel według Arystotelesa jest drugim ja. Kocham siebie, znam swoją wartość i kocham tego człowieka, ponieważ wiem, co to znaczy kochać. Żeby kochać drugiego człowieka, trzeba znać swoją wartość, wiedzieć, kim się jest, żeby można było wprowadzić tego młodego człowieka w świat. Kolejnym warunkiem jest inicjacja. Wychowawca jest inicjatorem, jest przewodnikiem, zna trasę, zna cel, bierze odpowiedzialność, jest czujny, jest otwarty na drugiego człowieka,

będzie mógł go wprowadzić w ten świat, do którego go prowadzi. Pomaga obserwować, ale nie może tego zrobić za niego. To ciężka praca towarzyszenia i pomagania bez względu na to, czy prowadzony popełnia błędy czy nie. Na tym polega otwartość.



Korzyścią dla młodego człowieka z wejścia w relację z człowiekiem dojrzałym będzie możliwość bycia lepszym w różnych zakresach cnoty, ale z tej przyjaźni wszyscy będą czerpać korzyści. Jak to mówił Arystoteles, wówczas każda ze stron będzie wyciągać więcej. Ten, który ma wyższość, ma większą część, która wynika ze sprawiedliwości. I do tego należy wychowywać młodego człowieka. Korzyścią jest odpowiedź na potrzeby młodego człowieka. Młody człowiek natomiast potrzebuje wiedzieć, jakie ma potrzeby: bycia kochanym, potrzeba bezpieczeństwa, potrzeba bycia ważnym i wysłuchanym. Gdy młody człowiek będzie wiedział, że jest kochany, będzie wiedział, że jest bezpieczny i jaką dla niego wartością jest poczucie bezpieczeństwa. Antyczny model wychowania, sprzyjający rozwojowi, był taki, że młodzieniec miał się zachwycić mistrzem, a mistrz też musiał zachwycić się młodzieńcem. Był to dwukierunkowy zachwyt, który sprzyjał rozwojowi.

Wychowujemy do męskości. Nie mieścimy się w modelu szkolnym, kiedy dzieci siedzą i robią, co pani każe. Pytanie, jak wychować, jest stale aktualne.

Wanda Zajac

My też nie mieścimy się w tym modelu.

O. Tomasz Rojek OP

Wielu ludzi nie mieści się we współczesnych modelach wychowania i szkolnictwa. Mężczyzna ma być szorstki i trochę rozrabiaka, z drugiej zaś strony powinien być emocjonalny, czyli powinien akceptować swoje emocje i umieć żyć w przyjaźni z drugą osobą. W dzisiejszym świecie, który zabrania chłopakowi łączyć po drzewach i szaleć, a z drugiej strony męską przyjaźń podejrzewa o homoseksualizm, nasuwa się pytanie, kim ma być ten młody człowiek i do czego my go wychowujemy. Chłopców w wieku, gdy zaczynają dojrzewać, potrzeba jest męskiej przyjaźni, żeby stać się mężczyznami. Muszą przejrzeć się we własnej płci, żeby się okazało, kim mają być. Do tego jest potrzeba męskich wychowawców, ojców, potrzeba osoby, która będzie pełniła funkcję ojca. Chłopcy powinni przebywać z chłopakami, bo będą się uczyć, co to znaczy nimi być. Potrzebują przestrzeni, w której będą sami ze sobą. Potrzeba mądrych i doświadczonych wychowawców. Tu ukłon w stronę Korczaka, który mówił, że im bardziej świadomy mężczyzna, który może być przewodnikiem, tym lepsze efekty w wychowaniu. Im starszy mężczyzna, tym bardziej powinien współpracować z dziećmi.

Dyskusja**Elżbieta Mycielska-Dowgiałło**

Chciałabym dodać dwie rzeczy. W panelu miał być pan Maciej Dąbski, który nie mógł przyjść, gdyż jest chory na ciężką gripę. Maciek był też wychowawcą w Przymierzu Rodzin, ale obecnie finalizuje habilitację, a równocześnie jest ojcem wielodzietnej rodziny i nie udziela się już jako wychowawca.

Wspomnę o pewnej rozmowie wiele lat temu na temat Maćka Dąbskiego, którą miałam z archeologiem, szefem polskiej placówki w Egipcie. Tenże archeolog jest ojcem wielodzietnej rodziny i

opowiadał mi właśnie o jednym ze swoich synów, z którym wówczas miał trudny kontakt. Trafił on właśnie do grupy Przymierza Rodzin prowadzonej przez Maćka Dąbskiego. Mój rozmówca uważał, że była to najlepsza sytuacja, która mogła się zdarzyć. Sprawiała ona, że chłopak ten nie tylko znalazł wspólny język ze swoim wychowawcą, ale odnalazł się też lepiej w swoich relacjach rodzinnych.

Druga sprawa, o której chciałam powiedzieć, może jest marginalna w zakresie męskiej przyjaźni, ale w sensie przyjaźni ogóle jest warta zastanowienia się. Chciałam podnieść sprawę możliwości przyjaźni między szefem a podwładnymi. Jest to coś, czego doświadczyłam w życiu i co uważam za łaskę, która otrzymałam. Przez kilkanaście lat szefowałam zespołowi, który wyróżniał się tym, że były między nami relacje przyjaźni. Myślę, że to jest ta łaska, którą otrzymałam, że mogę powiedzieć, że ci moi młodszy koledzy są moimi przyjaciółmi. Naprawdę przyjaciółmi. Często zastanawiam się, co było tym kluczowym wyróżnikiem naszego zespołu. Myślę, że wspólne wartości. O tym naszym zespole mogę powiedzieć wszystko co najlepsze. Był ogromnie dynamiczny pod względem naukowym, ale też pod względem relacji międzyludzkich. Gdy przychodziły do nas osoby o innych wartościach, to mimo że przyjmowaliśmy je z pełną życzliwością i otwartością, po jakimś czasie się wykruszały. O wartościach, które mieliśmy wspólne, nie potrzebowaliśmy mówić, ale wiedzieliśmy, czuliśmy, że na tych samych falach działamy. Komu to nie odpowiadało, odchodził. Z punktu widzenia szefa trzeba mieć świadomość, że „nie jestem tym najważniejszym, że ci młodzi ludzie często mnie przewyższają pod wieloma względami i o ile ich słucham, to mogę się wielu rzeczy od nich nauczyć, a ponadto że główną moją rolą jest pomoc dla nich, opieka i służenie we wszystkich zaistniałych sytuacjach”. Już od wielu lat nie prowadzę tego zespołu, ale stale łączą nas uczucia przyjaźni. Myślę, że warto budować relacje przyjaźni w zespołach ludzi wspólnie pracujących, bo to rzutuje na całe ich życie. Mam nadzieję, że podobne relacje budujemy w Szkole Wyższej Przymierza Rodzin. Ktoś mi kiedyś powiedział, że pierwszy raz w życiu doświadczył, że do

pracy przychodzi z przyjemnością. Od nas zależy, czy jest to taką rzadkością.

Marianna Łacek

Zdarzenie, które do tej pory przyprawia mnie o uśmiech, miało miejsce kilkanaście lat temu w naszej sydneyjskiej parafii. Grupka polskich dzieci przygotowywała się do Pierwszej Komunii Świętej. Końcową fazę przygotowań stanowił „formalny egzamin” i to w obecności rodziców. Rezolutny ośmiolatek na zapytanie, co to jest grzech, bez zająknięcia wyrecytował: „Grzech jest to świadome i dobrowolne przekroczenie przykazania Bożego lub kościelnego. Rozróżniamy grzechy lekkie i grzechy ciężkie”. Podaj mi przykład grzechu lekkiego, padło kolejne pytanie – „Pyszkować mamusi”, odpowiedział chłopiec. A grzechu ciężkiego? – „Pyszkować tatusiowi” – padła natychmiastowa odpowiedź.



Marianna Łacek, z lewej strony jej mąż, a z prawej Wanda Zając

To zdarzenie dało mi jednak sporo do myślenia jako matce, jako nauczycielce, słowem jako kobiecie. Czy czasem my, kobiety, nie stwarzamy sytuacji, które stawiają ojca w procesie wychowania li tylko jako egzekutora przewinień? Wszak nie należą do rzadkość-

ci groźby matki: „Czekaj, czekaj, powiem tatusiowi, jak wróci z pracy, on sobie już z tobą porozmawia”. Albo: „Jakby ojciec się o tym dowiedział, to sprawiłby ci takie cięgi, żebyś popamiętał”. Jeśli chłopiec rośnie i dojrzewa w takich warunkach, to trudno żeby nie przenosił podobnego modelu zachowania do swojej przyszłej rodziny. Chyba że trafi na rozsądną żonę, która potrafi w umiejętny sposób pokierować jego rolą jako ojca rodziny.

A jaka właściwie powinna to być rola? Wszak zmieniają się czasy i warunki, w jakich żyjemy. Jeszcze do niedawna rolą ojca było zabezpieczenie bytu rodzinie. W Australii aż do końca lat 70. ubiegłego wieku panowało przekonanie, że zamężna kobieta nie powinna pracować. Zarobki kobiety nie były w ogóle brane pod uwagę przy staraniu się np. o kredyt w banku. W chwili obecnej tak w Polsce, jak i w Australii najczęściej obydwójce małżonkowie pracują zawodowo. Obydwójce biorą wspólną odpowiedzialność za zapewnienie rodzinie bytu i za wychowanie dzieci. Jedno jest jednak pewne, chociaż pozornie rola się zmienia, to jednak zawsze ojciec pozostaje tą kotwicą domową, pozostaje osobą, która ustanawia status intelektualny rodziny. Matka tworzy serce, wypełnia dom wartościami emocjonalnymi i duchowymi, natomiast ojciec swoim postępowaniem staje się wzorem dla dzieci. Rola ojca jest bardzo ważna w wychowaniu chłopców szczególnie teraz, kiedy żyjemy w niezwykle trudnym czasie.

Od ponad trzydziestu lat pracuję w szkole, do której uczęszczają chłopcy w wieku dwunastu do dwudziestu nawet lat. Niestety obserwuję sytuacje, kiedy ci chłopcy nie mają w swoich rodzinach żadnego męskiego wzorca. Są często wychowywani przez samotne matki w rozbitych rodzinach, gdzie nie ma ojca. Również w szkole nauczycielkami są w większości kobiety. Od przedszkola aż do matury mamy w Australii do czynienia ze zdecydowaną feminizacją zawodu nauczycielskiego. Nie można więc liczyć, że chłopiec spotka na swojej drodze wychowawcę, który będzie dla niego wzorem. Dużą rolę mają tutaj do spełnienia władze oświatowe, które powinny przyciągnąć jak najwięcej młodych mężczyzn do zawodu nauczycielskiego. W Australii podjęto ostatnio na tym polu pewne działania. Przyjęcie na studia

odbywa się tutaj na zasadzie punktacji, na przykład jeżeli ktoś uzyska 99,95 punktów z egzaminu maturalnego, może dostać się na każdą uczelnię. Mniejsza liczba punktów eliminuje niektóre kierunki. Aby być przyjętym na studia nauczycielskie, do niedawna wystarczyło mieć minimalną liczbę punktów. Ambitni chłopcy nie garnęli się do zawodu nauczycielskiego. Obecnie sytuacja się zmieniła i studia pedagogiczne należą do jednych z bardziej prestiżowych kierunków.

Kolejnym niebezpieczeństwem są osoby o wszelkiego rodzaju dewiacjach, które dostrzegając przyjaźnie między dorastającymi chłopcami, starają się wykorzystać ten moment i wmówić chłopcom, że oni właśnie w przyszłości, w dorosłym już życiu, powinni nawiązywać kontakt tylko z mężczyznami. Obserwujemy takie zjawisko na porządku dziennym i to jest tragedia. Jak temu zaradzić? W różny sposób. Przede wszystkim znaczącą rolę mają tutaj do spełnienia organizacje młodzieżowe prowadzone przez sprawdzonych, a nie przypadkowych liderów. Na przykład harcerstwo, no i oczywiście Kościół. Chłopcy garną się do organizacji, które są prowadzone przez księży. U swoich liderów chłopcy szukają mężczyzny, który byłby dla nich wzorem, szczególnie wówczas, kiedy brak jest tego wzoru wśród najbliższych.

Takim wzorem był dla moich sześciu braci nasz ojciec i jest nim dotychczas, pomimo że wiele lat upłynęło od jego śmierci. Do tej pory przy każdym spotkaniu wspomina się jego powiedzenia, przywołuje cenne rady, komentuje się jego opinie. Na ojca można było zawsze liczyć.

Miałam wielkie szczęście spotkać człowieka, który jest podobnym ojcem dla naszych synów. On niczego nie nakazuje, ale tak rozmawia z każdym z nich, że zakazy są zbyteczne. Chłopcy (teraz już dorośli ludzie) doskonale wiedzą, gdzie przebiega granica dobra i zła. Zawsze mieli do ojca bezgraniczne zaufanie. Kiedy jednego z nich trener na basenie bezskutecznie próbował nauczyć pływać, do akcji wkroczył ojciec. Uzbrojony w teoretyczną wiedzę z zakupionej książeczki w ciągu krótkiego czasu osiągnął to, czego nie udało się przez wiele tygodni osiągnąć fachowcom. Na pytanie, jak to się stało, że tak szybko nauczył się

pływać, siedmioletni syn odpowiedział ojcu – tato, bo ja wiedziałem, że ty mnie nie utopisz.

W trakcie sesji egzaminacyjnej jeden z synów wpadł w pewnego rodzaju panikę. Stwierdził, że nic nie umie na jutrzejszy egzamin. Ojciec spokojnie zaczął z nim rozmawiać, pytając, czego właściwie nie umie. Tak kierował pytaniami, że po blisko dwugodzinnej rozmowie syn ze zdumieniem stwierdził, że powtórzyli cały potrzebny do egzaminu materiał. Trzeba zaznaczyć, że dyskusja absolutnie nie była związana z dziedziną wykształcenia ojca.

Wykonywanie wspólnie z ojcem drobnych napraw czy później remontu i malowania domu, dbanie o samochód, robienie zakupów i obowiązkowo prasowanie własnych koszul i spodni, a nawet eksperymentowanie w kuchni, dało chłopcom doskonale przygotowanie do samodzielnego życia. Najlepszym podsumowaniem roli ojca i jednocześnie podziękowaniem dla niego jest wypowiedziane w imieniu braci zdanie: Tato, nie bylibyśmy tym, kim jesteśmy, gdyby nie Ty.

Obserwując naszych synów w roli liderów harcerskich, aktywnych członków zespołów tanecznych i muzycznych, cieszymy się, że mogą być wzorem dla wielu młodszych kolegów. Z dumą patrzymy na najstarszego, już ojca rodziny, który potrafi być dla swoich dwu pięciolatek niekwestionowanym autorytetem, cierpliwym i wyrozumiałym nauczycielem, a także kumplem w zabawie. Widzimy z mężem, że nasze wychowanie miało sens.

Bronisław Łacek

Chcę wyrazić wdzięczność wszystkim, którzy do tej pory zabierali głos, bo mimo że mam już białą głowę, nauczyłem się bardzo dużo. Przede wszystkim zdałem sobie sprawę z wielu rzeczy, których nawet nie zauważyłem w czasie wychowywania naszych dzieci. Wiele mi się potwierdziło z tego, co państwo mówili.

Wychowując dzieci poza Polską, w obcym nam środowisku, zdani byliśmy jedynie na własną intuicję. Powiem o pierwszym błędzie, jaki popełniłem przy wychowywaniu pierwszego z naszych synów. Na szczęście szybko to zauważyłem. Byłem ambitny



Bronisław Łacek

i chciałem, żeby mój syn nie był gorszy, ale nawet lepszy niż inni dookoła. Byłem w stosunku do niego wymagający i wyraziłem dezaprobatę, że na drabinkach w parku nie jest tak sprawny, jak inni. Wkrótce zreflektowałem się, że wymagam czegoś, co nie ma żadnego znaczenia. On jest po prostu młodszy. Na pewno będzie taki sam, a może i lepszy, jak przyjdzie na to czas. To się sprawdziło, ale jednocześnie była to dla mnie nauka. Ze zdobytego doświadczenia korzystałem wielokrotnie w moich późniejszych relacjach i rozmowach z dziećmi, przede wszystkim z chłopcami.

Zdarzały się sytuacje, kiedy musiałem zwrócić któremuś z nich uwagę i rozmowa czasem przybierała „cierpki smak”. Starałem się, aby niezręczna sytuacja się nie przedłużała i aby w możliwie najkrótszym czasie przejść do wcześniejszych przyjaznych, czyli normalnych relacji. Zawsze udało mi się znaleźć jakieś zajęcie, kiedy stawała się „nieodzowna” pomoc tego syna, z którym właśnie mieliśmy wymianę zdań. Tak to aranżowałem, aby okazać, że w dalszym ciągu jesteśmy przyjaciółmi, że sobie wzajemnie pomagamy, wspólnie gramy, śpiewamy, dyskutujemy i rozmawiamy. Rozmawiamy przy stole podczas wspólnego posiłku, rozmawiamy podczas wspólnej pracy, wymieniamy komentarze, oglądając program telewizyjny. Rozmowy są bardzo potrzebne. Nie wykłady ojca dla syna, ale rozmowy. Dzieci to lubią i młodzież to lubi.

W tej chwili synowie są już dorośli. Mają swoje życie, ale w dalszym ciągu potrzebują rozmów. Choć mieszkają poza Australią, co tydzień dzwoniemy do siebie i rozmawiamy, czasem godzinę, a nawet dwie. Nie prawię im żadnych morałów, ale staram się tak prowadzić rozmowę, żeby każdy z nich miał możliwość sam wyciągnąć wnioski i zastosować je w dalszym postępowaniu.

Dziękuję za dzisiejszą dyskusję, bo usłyszałem o kilku istotnych sprawach. Na pewno przekażę to synom w naszych rozmowach, żeby i oni pamiętali o tym, co najważniejsze, wychowując swoje dzieci.

Wanda Zajac

Chciałam zapytać panelistów, jaką rolę w męskiej przyjaźni odgrywa rozmowa. Mam takie odczucie, że mężczyźni należą do tej połowy ludzkości, która niespecjalnie lubi rozmawiać. Usłyszeliśmy, że przyjaźń męska jest szorstka, często wyrażana gestem, ale ile w niej jest przekazu słownego, rozmowy. I drugie pytanie. O miłości mówimy, że to nie tylko uczucie, ale i decyzja. Czy przyjaźń jest, podobnie jak miłość, nie tylko uczuciem, ale decyzją dwóch stron?



Wanda Zajac siedząca obok państwa Łacków

O. Tomasz Rojek, OP

Trochę inaczej przyjaźń rozumieją kobiety, inaczej mężczyźni. W związku z tym robimy różne inne rzeczy. My, mężczyźni, odkrywamy, kim jesteśmy, przez działanie. Jeśli młody człowiek idzie „pochuliganic”, to w ten sposób będzie budował relacje. Jak wychodziliśmy ze szkoły, po krótkiej wymianie zdań każdy szedł do domu. Dziewczyny zatrzymywały się i długo gadały. Mamy inny zasób słów i inny sposób wyrażania siebie. Mężczyźni komunikują się, robiąc różne rzeczy, i w ten sposób się poznają, a kobiety kochają rozmawiać.

Kiedy proszę młodych ludzi, żeby wypisali swoje emocje, to kobiety wypisują ich wiele, a faceci zaledwie kilka. Jeżeli młody człowiek przychodzi i z trudem wydusi opis zdarzenia, to zadaniem wychowawcy jest opisanie, nazwanie emocji, które były w młodym człowieku i wytłumaczenie mu ich. Natomiast dziewczyny same przychodzą i opowiadają. Z chłopaków zawsze trzeba wyciągać.

Szymon Fulara

My też rozmawiamy. Wystarczy pójść wieczorem do jakiegokolwiek kawiarni w Warszawie i zobaczyć, ilu mężczyzn siedzi przy piwie. Kiedyś zorganizowaliśmy sobie taki wyjazd we czwórkę. Tam gdzie nie było zasięgu telefonów, to dużo ze sobą rozmawialiśmy. Wiele się milczy, ale też się dużo rozmawia. To nie jest paplanina, taka żeby tylko paplać. Czasem siedzi się parę godzin, a potem zamienia się parę wartościowych słów. Przyjaźń często wzrasta w czasie wspólnego wędrowania czy wspólnego działania. Wtedy buduje się męską przyjaźń. Męska przyjaźń jest kreatywna. Jak spojrzymy na różne naukowe odkrycia czy funkcjonowanie wielkich firm, to często są one wynikiem współpracy ze sobą mężczyzn.

Maciej Górski

Pani zapytała, czy przyjaźń to jest kwestia decyzji. Mnie się wydaje, że to jest dar Boży. Z punktu widzenia człowieka natomiast, jest to relacja, która się przytrafia. W stosunkach

finansowych można się zastanawiać, czy moja firma powinna nawiązać kontakty z tamtą firmą. Natomiast możliwości przyjaźni pojawiają się nam codziennie. Niektóre jakoś się rozkręcają i coś z nich powstaje, inne giną. Są pewne sytuacje, które są szczególnie do tego uprawnione, mam tutaj na myśli relacje w rodzinie, one powinny być ukierunkowane na przyjaźń. Jeśli zaś chodzi o relacje pozarodzinne, to bardzo trudno jest zadeklarować, spotykając kogoś, czy my się zaprzyjaźnimy czy nie. Z własnych doświadczeniach wiem, że nigdy tak nie było, że w którymś momencie siadałem i zastanawiałem się, czy mam się z kimś zaprzyjaźnić. To po prostu samo przychodzi albo też nie.

O. Tomasz Rojek, OP

Przyjaźń nie jest tylko uczuciem. Nie jest czymś, co się wydarza, przeżywa, a potem wygasa. Może się przerodzić w miłość. Miłość to jest taka postawa, która wymaga wierności, a jeżeli wymaga wierności, to wymaga też decyzji. Uczucie z czasem może przeminąć, ale potrzeba decyzji i odpowiedzialności za tę relację, podobnie jak w małżeństwie, mimo że nie przywiązujemy takiej wagi do przyjaźni jak do małżeństwa.

Szymon Fulara

Mam pytanie, jak to wygląda z rodzicami. Czy rodzice się przyjaźnią?

O. Tomasz Rojek OP

Sytuacja jest analogiczna. To może się wydarzyć. Jest czas na braterstwo. Czasami sobie robimy małe piekło, a czasami nie ma piekła. Jeżeli decydujemy się na rodzinę, w której będą różni ludzie. Wśród tych wszystkich ludzi znajdują się ludzie, z którymi chciałbym się zaprzyjaźnić. I zaczynamy tworzyć jakieś więzi.

A czy jest możliwa relacja przyjaźni między szefem a pracownikami? To zależy od tego, czy ja, jako szef, umiem służyć ludziom, czy jestem otwarty i umiem słuchać. Jeżeli ktoś będzie chciał zostać szefem, aby wyciągać z tego jakieś korzyści dla siebie, to się nie uda. A jeżeli cele będą takie, jakie zaproponuje szef

i wszyscy się na nie zgodzą, wtedy jest szansa, że wszyscy będą chcieli je osiągnąć.

Pan Jezus powiedział „nazwałem was przyjaciółmi”. Relacje zupełnie nieproporcjonalne, a jednak się udały. Po zmartwychwstaniu powiedział „braćmi jesteście”. Jeszcze większy trud. Lider ma władzę. Zna swoją wartość, wie, kim jest, i oddaje tę władzę nam. Czyli pozycja lidera, który wie, kim jest, i który swojego autorytetu używa podwładnym. Dlatego niektórzy odchodzili, a inni przychodzili. Bo nie odnajdywali się. Myślę, że taka przyjaźń między szefem a pracownikami, między wychowawcą, duszpasterzem a wychowankami jest możliwa. Zależy, jakie mamy cele, do czego dążymy, potrzeba jest dojrzałości osobowej szefa, który wie, co chce zbudować. I to jest cały trud. Zadaniem wychowawcy czy duszpasterza jest wychowanie młodych ludzi, ale to nie jest zadaniem szefa. Szef może pomagać i wspólnie z pracownikami dążyć do wyznaczonego celu.

Bronisław Łacek

Dziękuję pani profesor za podniesienie sprawy relacji szef a podwładny. Z czasów studenckich ogromnie miło wspominać i doceniać bliskie relacje naszych przełożonych z nami, studentami. Szczególny wpływ na mnie i na moją żonę miał w tym czasie prof. Jan Flis, wybitny geograf i pedagog.

Warto się zastanowić, jaka jest relacja między etyką, rzetelnością i uczciwością. Jeden z synów kiedyś mi powiedział „wiesz co, my mamy wszyscy taką jedną »łackową« wadę, która wielu przeszkadza – uczciwość”. Był to początek naszej rozmowy, jak się zachowywać w życiu. Życzyłem mu wtedy, żeby był uczciwy do końca życia. Na pewno będzie miał satysfakcję na starość. Ja ją mam, bo starałem się być uczciwy.

Elżbieta Mycielska-Dowgiałło

Bardzo dziękuję. Musimy niestety kończyć. Bardzo dziękujemy panelistom, wszystkim uczestnikom spotkania, a również i tym, którzy nadsyłają do nas swoje świadectwa i dzięki temu czujemy ich obecność wśród nas. Spotykamy się za miesiąc.

*Czy doświadczyliśmy cudów
we własnym życiu?*



Cytaty

Opis uzdrowienia E. Bojanowskiego (tekst napisany przez niego do kroniki w bazylice na Świętej Górze w Gostyniu).

Z najnowszych czasów znajduje się w tutejszym kościele srebrne wotum przedstawiające Oko Opatrzności w promieniach, do ołtarza słynącej tutaj cudami Najśw. Matki Boskiej Bolesnej ofiarowane około r. 1819. Przez jedną matkę z okolicy tutejszej na podziękę za cudowne uzdrowienie synka jej kilkoletniego, którego w ciężkiej chorobie opuścili już byli lekarze, a gdy żadnego znaku życia już nie okazywał, gdy nawet na przyłożonem do jego ust zwierciadłe nie występowała najmniejsza para oddechu – natenczas w żalu nieutulona matka, ufnością jeszcze w Bogu i osobliwszem zawsze nabożeństwem przejęta do Matki Boskiej Bolesnej Gostyńskiej, klęka i gorące modły zanosi o wskrzeszenie gasnącego dziecięcia – aż omdlewająca i zalana łzami widzi naraz przed sobą jakoby wznoszącą się w górze postać Najśw. Matki Bolesnej w tym samym kształcie, jak cudowna figura Gostyńska, i trzymająca obiema rękoma dzieciątko w bieli ubrane, które zdawała się spuszczać ku klęczącej matce. Ta na ten widok uszczęśliwiona wydała głośny okrzyk radości, wyciągnęła ręce do góry jakby z rąk Najśw. Panny swe dziecię odebrać chciała. – Wtem znikło widzenie. – Matka porwawszy się z modlitwy biegnie do drugiego pokoju, gdzie konające dziecię leżało i zastaje je jakby ze snu obudzone i wesoło ku matce spoglądające. – Od tej chwili chore dziecię tak nagle do zdrowia wróciło, że w kilka dni powstało ze śmiertelnego łóża.

Cuda dostrzegał bł. Edmund także w działaniu Bożej Opatrzności.

(...) Wróciwszy potem do pracujących przy fundamencie mularzy, zobaczyłem duży pojazd zajeżdżający przed Instytut. Była to

pani Kajetanowa Morawska z córkami. Wszyscy byliśmy jej przybyciem wielce uradowani. Po chwili zaprowadziła mnie do osobnego pokoju i oświadczyła, że na rozpoczętą budowę naszą przywozi otrzymaną od Rogera Raczyńskiego ofiarę. Widziałem w jej twarzy wyraz wielkiej radości, a nawet głębokie rozrzewnienie, z którym o miłosierdziu Bożym i czuwającej zawsze Opatrzności nad sierotami mówiła. Wreszcie dobyte listową kopertę i z dziecięcym uszczęśliwie[nie]m ściskając mi rękę, podała. – Na kopercie było napisane tylko: „500 talarów” Wzruszenia mego nie umiem opisać i podziękowania również nie byłem zdolny wypowiedzieć! O jakże cudowne są sprawy Opatrzności! Wtenczas, kiedyśmy nie wiedzieli, skąd dalej wydatki przedsięwziętej budowy opłacić, kiedyśmy tylko o tyle spokojnymi byli, o ile nasza ufność w Panu Bogu pokrzepiała nas we wytrwałości – zsyła nam Bóg najmiłosierniejszy pomoc wystarczającą do uskutecznienia tak trudnego w naszym niedostatku przedsięwzięcia. Powiedziawszy o tem Siostrze Przełożonej, prosiłem przede wszystkim, aby sieroty za świeżo otrzymane dobrodziejstwo odbyły modły dziękczynne, a sam pobiegłem do kaplicy i z cisnącemi się do oczu łzami złożyłem Bogu gorące dzięki.

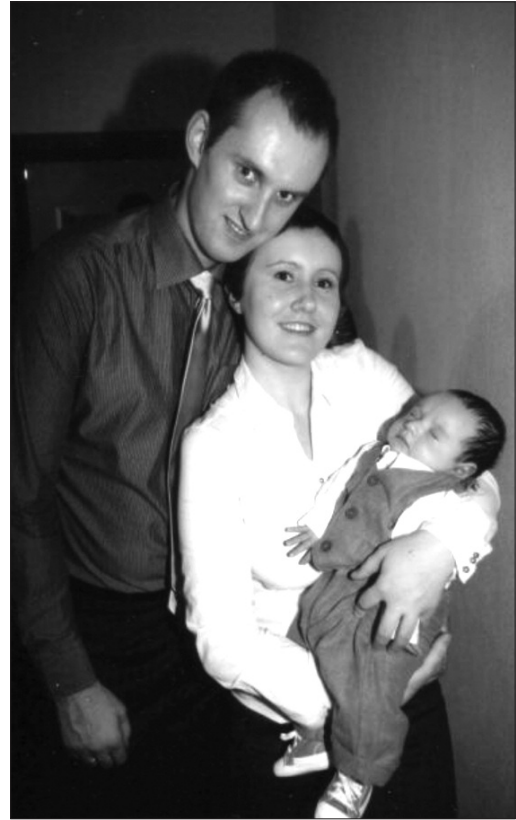
Świadectwo o uzdrowieniu z choroby Józefy Liptak z d. Opiela za wstawiennictwem bł. Edmunda Bojanowskiego

W czerwcu 2009 roku pojechaliliśmy z mężem do rodziców na Boże Ciało. Byłam wtedy w 6 miesiącu ciąży. Zaraz po nim, w piątek wróciliśmy do siebie, do Krakowa, ponieważ w sobotę i niedzielę (13, 14 czerwca) miałam egzaminy na studiach. W sobotę pojechałam na uczelnię. W ciągu dnia trochę bolała mnie głowa, ale, kiedy byłam już w domu, na szczęście przestała i mogłam się do nauki na kolejny egzamin. Po dłuższym czasie nauki poszłam z mężem do sklepu, który znajduje się w naszym bloku, aby kupić coś na kolację. Po powrocie znowu zaczęła mnie bardzo boleć głowa. Było to ok. godz. 20.00. Położyłam się z nadzieją, że przestanie. Niestety, głowa bolała mnie coraz bardziej. Miałam wrażenie, że mi pęknie. Była to kwestia 10 minut. Prosiłam męża, aby posmarował mi ją „alpa”, jednak to nic nie

pomagało, ból coraz bardziej się nasilał. Nigdy takiego nie miałam. Biorąc pod uwagę to, iż jestem w ciąży, nie zażywałam żadnych lekarstw, by nie zaszkodzić naszemu dziecku. Gdy zaczęłam mieć mdłości, powiedziałam do męża: „Kochanie, proszę, pomóż mi, bo nie wytrzymam z bólu, zaraz się wykończę...” W tym momencie straciłam świadomość, nie pamiętam, co się ze mną dalej działo.

Z relacji wiem, że mąż zadzwonił po pogotowie i ze strachem o nas (o mnie i nasze dziecko) czekał. Lekarz z pogotowia stwierdził, że zabierają mnie do kliniki w Krakowie na ul. Botaniczną. W

szpitalu lekarze bali się robić szczegółowe badania, takie jak tomograf, aby nie zaszkodzić dziecku. Jednak po konsultacji zdecydowali, że badanie zostanie przeprowadzone. Wyniki badań potwierdziły przewidywania lekarzy. Okazało się, że miałam wylew wewnątrz-komorowy. Lekarze mieli duży dylemat w podjęciu decyzji. Nie mogli mi podawać żadnych lekarstw powstrzymujących pogłębienie się wylewu, gdyż mogły one zaszkodzić dziecku. Mój stan jednak szybko się pogarszał i lekarze zdecydowali, że konieczne jest przeprowadzenie operacji. Poinformowali o tym mojego męża, orzekając, że jest duże prawdopodobieństwo, że operacji nie przeżyję, a jeżeli przeżyję, to na pewno wystąpią powikłania, jakieś uszkodzenia neurologiczne. Mąż wyraził zgodę na operację i ok. godz. 2.00 w nocy zostałam przewieziona na salę operacyjną.



Mąż powiadomił o tym fakcie moją rodzinę. Wszyscy zaczęli się modlić w intencji mojej i dziecka. Od razu zostały powiadomione o mojej chorobie moje siostry zakonne (s. Elia i s. Loyola) i Siostry ze Zgromadzenia Sióstr Służebniczek Dębickich i wszystkich pozostałych, które przez wstawiennictwo bł. Edmunda Bojanowskiego rozpoczęły modlitwę za mnie, o powrót do zdrowia.

Rano ok. godz. 9.00 mąż uzyskał informację, że przeżyłam operację i znajduję się na oddziale intensywnej opieki medycznej, a ok. godz. 14.00 lekarze stwierdzili, że brak innych informacji jest w tym przypadku dobrą wiadomością.

Po dwóch dniach Siostry Służebniczki Dębickie z Krakowa (s. Symeona Liro i s. Akwilla Lipiak) przyniosły mi do szpitala relikwie błogosławionego Edmunda Bojanowskiego, którymi pielęgniarka mnie potarła i pozostawiła je na szafce obok łóżka.

Moja siostra Zosia przywiozła mi także olejek z groty narodzenia Pana Jezusa z Ziemi Świętej i nakreśliła mi nim na czole znak krzyża.

Przeżyłam operację. Pierwsze, co zapamiętałam, to pochylające się nade mną zniekształcone twarze. Było to tydzień po operacji. Jak się później dowiedziałam, rozmawiałam z mężem i rodziną, ale żadnej rozmowy nie pamiętam, a to co mówiłam, to bardzo często mijało się z rzeczywistością. Opowiadałam o czymś, co nigdy nie miało miejsca. Dopiero po pierwszym tygodniu po operacji zaczęłam kojarzyć niektóre fakty. W mojej pamięci zostały historie, które miały miejsce w szpitalu oraz takie, które nigdy się nie wydarzyły.

Dnia 01.07.2009 r. zostałam przewieziona na oddział ginekologii, na obserwację. W szpitalu przebywałam do 06.07.2009 r. i zostałam wypisana do domu.

Dnia 17.09.2009 r. urodziłam, poprzez cesarskie cięcie, zdrowego chłopczyka (waga 3 kg, wzrost 54 cm), który otrzymał 10 punktów według skali Apgar. Jesteśmy teraz szczęśliwymi rodzicami.

Przez cały czas wszystkie Siostry Służebniczki, nie tylko Dębickie, ale cała Federacja Sióstr Służebniczek oraz rodzina

modlili się za nas do bł. Edmunda Bojanowskiego i przez jego wstawiennictwo wypraszali nam łaskę zdrowia. Były także odprawiane Msze św. w naszej intencji.

Jesteśmy wdzięczni Panu Bogu za zdrowie i wszelkie łaski, jakich nam udzielił przez wstawiennictwo bł. Edmunda Bojanowskiego oraz siły, jakimi obdarzył mojego męża i całą rodzinę w czasie mojej choroby i podczas oczekiwania na narodzenie naszego synka Piotrusia. Wielkiej pomocy i duchowego wsparcia udzielały nam Siostry Służebniczki z ul. Biskupiej 16 w Krakowie – a szczególnie s. Symeona i s. Akwilla.

Dziękujemy także ludziom za bliskość, wytrwałą modlitwę i miłość, która pomagała nam nie tylko przetrwać najtrudniejsze momenty i wracać do zdrowia, ale także umacniać się w wierze i doświadczać prawdy, jak Wielki i Dobry jest Bóg, który działa w swoich świętych.

Józefa Liptak

PS. od redakcji: Pani Józefa zachorowała 13 czerwca w 10. rocznicę beatyfikacji Edmunda Bojanowskiego. Bardzo prosimy czcicieli bł. Edmunda o modlitwę, by łaska uzdrowienia, której doznała Pani Józefa, jeżeli taka jest Wola Boża, była poświadczaniem świętości bł. Edmunda Bojanowskiego.

KONWERSATORIUM LXXII

(17 maja 2014)

Czy doświadczyliśmy cudów we własnym życiu?

Prowadzący: Elżbieta Mycielska-Dowgiałło, rektor SWPR; Maria Preisner z Orzechówki, której uzdrowienie było decydujące w procesie beatyfikacyjnym Edmunda Bojanowskiego, wraz z siostrą Stanisławą Augustyn; Krzysztof Żurowski, autor filmu o Świętym Andrzeju Boboli; s. M. Loyola Opiela, nauczyciel akademicki, Zgromadzenie Sióstr Służebniczek Dębickich; s. Jolanta Głapka, Zgromadzenie Najświętszego Serca Jezusa (Sacré-Coeur), założycielka Fundacji „Pasja Życia” oraz Młodzieżowego Centrum Rozwoju Artystycznego i Duchowego w Legionowie.

Maria Preisner

Nazywam się Maria Preisner. Przyjechałam z małej miejscowości Orzechówka na Podkarpaciu. Zostałam uzdrowiona za wstawiennictwem błogosławionego Edmunda Bojanowskiego z nieuleczalnej choroby – raka kości. Moja historia przyczyniła się do beatyfikacji Edmunda Bojanowskiego, która odbyła się 13 czerwca 1999 roku w Warszawie.

Chciałabym państwu o tym opowiedzieć, ale żeby nie pomylić faktów i nie przedłużać wypowiedzi, posłużę się zeznaniem mojej mamy z dnia 2 marca 1984 roku, jakie złożyła przed zwołanym Trybunałem do procesu beatyfikacyjnego.

„Choroba Marysi rozpoczęła się bólem w prawym kolanie, późną jesienią 1973 roku. Lekarz z Ośrodka Zdrowia w Jasienicy Rosielnej, Stanisław Buczek, do którego zgłosiła się Marysia 6 grudnia 1973 roku, orzekł, że jest to reumatyczne zapalenie stawu kolanowego. Przepisał nacieranie i inne odpowiednie do schorze-



Paneliści: od lewej s. Loyola Opiela, Maria Preisner (z mikrofonem), Stanisława Augustyn, s. Jolanta Głapka

nia leki. Dał też skierowanie na rentgen, ale Marysia się z tym nie spieszyła. Do zdjęcia poszła dopiero pod koniec grudnia, gdy noga bardziej ją bolała. Zdjęcie nie wykazało żadnych zmian, ponieważ jednak bóle się utrzymywały, lekarz z Ośrodka Zdrowia przepisał zastrzyki. One również okazały się bezskuteczne, noga w kolanie zaczęła puchnąć i Marysia raz jeszcze została skierowana na zdjęcie rentgenowskie. Z tym drugim zdjęciem udałam się sama do Ośrodka z początkiem lutego 1974 roku i usłyszałam tam od lekarza Stanisława Buczka przerażającą wiadomość. Powiedział mi, że podejrzewa raka i nie podejmuje się dalszego leczenia nogi. Dał skierowanie do lekarza specjalisty w Przemyślu, Leona Birna, by tam dokładnie całą sprawę zbadali i rozpoznali. Marysi nie powiedziałam, co wykazało zdjęcie, ale tylko tyle, że otrzymała skierowanie do specjalisty ortopedy w Przemyślu.

Udałam się tam prywatnie z Marysią 9 lutego 1974 roku. Lekarz Leon Birn po obejrzeniu zdjęć i zbadaniu nogi wyprosił córkę z gabinetu, a mnie powiedział straszną prawdę, że niestety zdjęcie rentgenowskie wykazuje raka i chyba trzeba będzie dokonać amputacji nogi. Zareagowałam na to gwałtownie, że się nie zgodzę, że jeszcze jest inny lekarz, jest Bóg na niebie, który może

wszystko. Lekarz widział mój ból i strapienie, ale nie cofał wypowiedzianego słowa. Mówił dalej, że nie poprzestaną na zdjęciu, że trzeba będzie sprawdzić, jaki to jest rodzaj raka i co z nim robić. Z bolesnego miejsca musi być pobrany wycinek i wysłany do badania do Lublina. Sprawa jest pilna, dlatego Marysia musi jak najprędzej zgłosić się do szpitala na ortopedię. Dał skierowanie z uwagą, by Marysia zgłosiła się 11 lutego. Po wyjściu od lekarza ukryłam prawdę przed córką. Powiedziałam jej tylko, że musi być w szpitalu na obserwacji.

Przez całą powrotną drogę z Przemyśla do domu i przez następne dni myślą i słowami błagałam Matkę Bożą, by mi wskazała, do kogo mam się zwrócić o pomoc w swoim strasznym doświadczeniu, do kogo mam się modlić i przez czyją przyczynę mam prosić Boga o zdrowie dla dziecka. Moje modlitwy są za ubogie i niegodne wysłuchania, prosiłam więc, aby mi wskazała kogoś godniejszego, kto by mi mógł uprosić łaskę zdrowia. I Matka Boża przysłała mi z pomocą. Wskazała mi osobę miłą Bogu, ale zanim powiem parę słów na ten temat, przytoczę dziwny sen, jaki miałam na początku choroby Marysi.

Śniło mi się, że razem z synem Antonim na rozległych łąkach



Maria Preisner, obok siedzi s. Loyola Opiela

kopaliśmy ziemię, która miała być wysłana do badania. Syn odwrócił ziemię łopatą i zobaczyliśmy na tle czarnej ziemi żółtą, w kształcie guza. Właśnie z tej żółtej ziemi miała być pobrana próbka do badania i wysłana w tym celu do Lublina lub Krakowa. W tym momencie cichutko nadleciał helikopter, a z jego okna wychylił się uśmiechnięty mężczyzna w okularach i z brodą, który powiedział do nas: „Nic z tego badania nie wyjdzie, ani w Lublinie, ani w Krakowie! Ja pomogę...”. Coś jeszcze dodał, ale dziś nie pamiętam co. Po przebudzeniu pozostał mi wyraźnie w pamięci wygląd człowieka z helikoptera, ale samej treści snu nie komentowałam specjalnie i nie myślałam o nim. Może byłby całkowicie poszedł w niepamięć, gdyby nie nowe, drobne wydarzenie.

W niedzielę 10 lutego 1974 roku, w przeddzień wyjazdu Marysi do szpitala w Przemyślu, przyszła do nas do domu siostra Józefa Mleczek z ochronki w Orzechówce i dała mi obrazek Edmunda Bojanowskiego, z zachętą, by się modlić za jego przyczyną o zdrowie dla Marysi i o jego beatyfikację. Patrząc przez chwilę na przyniesioną ulotkę i na Ojca Bojanowskiego na niej, kojarzyłam sobie podobieństwo tej postaci z inną, skądś już mi znaną, ale nie mogłam sobie przypomnieć skąd. Strapiona chorobą i jutrzejszym wyjazdem Marysi, odłożyłam obrazek-ulotkę i na razie nie myślałam o niej.

W poniedziałek 11 lutego rano Marysia w towarzystwie mego męża i najstarszej córki Stasi pojechała do Przemyśla, do szpitala. Jechała z nimi do Przemyśla siostra Kornela Dziedzic, przełożona ochronki w Orzechówce. W Przemyślu zaraz następnego dnia pobrano Marysi wycinek z chorej nogi, który następnie szpital wysłał do Lublina, do badania histopatologicznego.

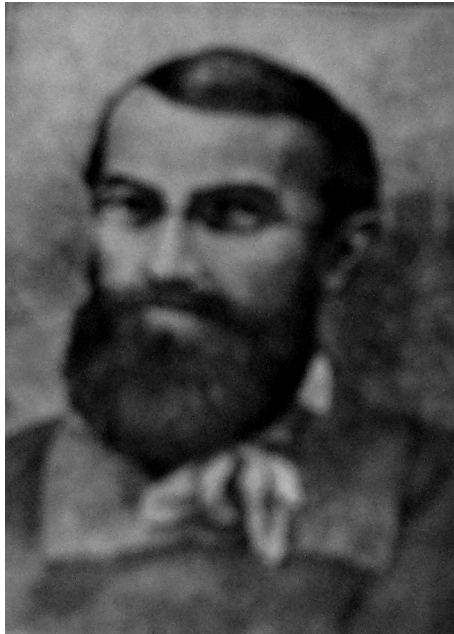
Oni wyjechali, a ja zostałam w domu sama ze swoim strapieniem i różnymi myślami. Wtedy wpadł mi znowu w oczy leżący na stole obrazek Bojanowskiego, przyniesiony w dniu poprzednim przez siostrę Józefę z ochronki. Wzięłam go do ręki i powoli zaczęłam sobie uświadamiać, gdzie ja już tę twarz widziałam, aż wreszcie przypomniał mi się sen i człowiek z helikoptera, który wtedy wlał w moje serce słowa otuchy. Zaczęłam czytać zamiesz-

czony na ulotce życiorys oraz modlitwę o beatyfikację i w trakcie tego zrozumiałam, że to Matka Boża w ten sposób wskazuje mi Edmunda Bojanowskiego jako pośrednika między mną a Bogiem w modlitwie o uzdrowienie Marysi. Po prostu było to wołanie przepełnionego bólem serca matki o litość i miłosierdzie nad moim dzieckiem. Powtarzałam po wiele razy: „Ojczy Bojanowski, daję Ci moje modlitwy, daję Ci cały przeżyty dzień, radości i strapienia, obawy i przykrości, a nawet zdenerwowanie moje, byś to wszystko złożył w ręce Matki Najświętszej, byś prosił, bo ja niegodna, o zdrowie dla Marysi”. Miałam gorącą i silną wiarę w to, że On pomoże, że uprosi u Matki Bożej i Pana Jezusa tę łaskę.

Odmawiałam w tej intencji różaniec, powtarzałam „Zdrowaś Maryjo...” czy inne modlitwy. Modliłam się też z ulotki, modliłam się sama i wspólnie z rodziną. Wspólna modlitwa nie zawsze się nam udawała, bo kiedy zaczęłam ją odmawiać, to zaraz wszyscy płakali. Jak Marysi nie było w domu, gdy była w szpitalu, to modliliśmy się wieczorami wspólnie na różańcu. Najgorętsze modlitwy płynęły od nas do Boga przez pośrednictwo Bojanowskiego w okresie oczekiwania na wyniki z Lublina. Wtedy też, oprócz nas, modliły się o zdrowie Marysi Siostry Służebniczki w Orzechówce, w Starej Wsi, w Przemyślu i w Krakowie. W tym ostatnim domu na własne uszy słyszałam odprawianą przez siostry nowennę za przyczyną Edmunda Bojanowskiego.

W szpitalu w Przemyślu odwiedziłam Marysię w trzecim lub czwartym dniu po zabiegu. Jadąc tam, zabrałam ze sobą ulotkę Edmunda Bojanowskiego. Po przywitaniu, nic nie mówiąc córce, położyłam ulotkę na zabandażowaną ranę i przez chwilę przytrzymałam ją ręką. Uczyniłam to z głęboką wiarą, że Edmund Bojanowski przyjdzie mi z pomocą, bo Matka Boska mi go wskazała. Marysia zainteresowała się tym moim gestem i zapytała, co ja robię, ale odpowiedziałam krótko, że nic i zdjęłam rękę z chorej nogi.

Bóg rzeczywiście przychodzi z pomocą, bo już kilka dni po operacji Marysia mówiła, że noga ją nie boli, a rana pooperacyjna zagoiła się ładnie i szybko.



Obrazek Edmunda Bojanowskiego

Pod koniec lutego 1974 roku nadeszły z Lublina do szpitala w Przemyślu wyniki badania wycinka pobranego z nogi. Były dla nas straszne, ale potwierdzały wcześniejsze rozpoznania – rak kości, amputacja nogi po staw biodrowy konieczna... Bez niej rokowano Marysi tylko kilka miesięcy życia. Mimo wszystko nie zgodziliśmy się na amputację. Wewnętrznie wierzyłam w potęgę modlitwy.

Ponieważ nie wyraziliśmy zgody na amputację nogi, szpital wypisał Marysię do domu i skierował na lampy do Rzeszowa. Pojechała tam 5 marca o kulach, bo lekarze nie pozwolili zginać nogi w kolanie. Marysia nie знаła prawdy i dziwiła się, po co jedzie do Rzeszowa, przecież noga ją nie boli.

Szpital onkologiczny w Rzeszowie od początku stał na tym samym stanowisku co i w Przemyślu, że konieczna jest amputacja. Lekarze powtarzali to za każdym razem odwiedzającym Marysię. Trochę ich zastanawiał fakt, że chora dobrze się czuje, przybywa na wadze i że nie stwierdza się przerzutów.

Po zakończeniu naświetlań Marysia wróciła do domu 4 kwietnia i miała się co pewien czas zgłaszać do kontroli. W domu, zgodnie z zaleceniem lekarzy, jeszcze przez dwa miesiące używała kul, bo nie wolno jej było nadwyręzać chorej nogi, mówiono, że po naświetlaniach kość jest osłabiona i mogłaby się złamać. Kule odłożyła pod koniec czerwca, a gdy stanęła na swoich nogach, miała oczy pełne radości.

Stan nogi coraz bardziej się polepszał i we wrześniu 1974 roku Marysia poszła do szkoły, rozpoczęła od nowa naukę w I klasie liceum ogólnokształcącego w Brzozowie, którą w ubiegłym roku musiała przerwać z powodu choroby. Zamieszkała w internacie w Brzozowie.

Po wyjściu ze szpitala onkologicznego w Rzeszowie Marysia jeszcze przez kilka lat dojeżdżała tam do kontroli, przeważnie na wezwanie szpitala. Początkowo przy każdym spotkaniu lekarze nakłaniali osobę towarzyszącą Marysi, jedną z jej siostr Stasię lub Hanię czy brata Antka, do wyrażenia zgody na amputację nogi. Później zaprzestali, widząc pod tym względem niepokonane opory z naszej strony.

Myśmy już wcześniej wszystko postawili na jedną kartę – szczerze i pełne zaufanie w Bożą pomoc za wstawiennictwem Ojca Edmunda Bojanowskiego. Ja osobiście ciągle żyłam tą nadzieją, że sen, jaki miałam, to było natchnienie przez Bojanowskiego, żeby nie ulec naciskom ze strony lekarzy na amputację nogi, bo on pomoże błagać Boga i Jego Matkę o miłosierdzie, ale trzeba gorącej modlitwy i ofiary. Ofiarowałam więc swoje obie nogi, żeby Marysia została uzdrowiona. To zaufanie i wiara były dla mnie mocą. Lekarze nie dali rady mnie przekonać, że mają rację. Już po zabraniu Marysi ze szpitala w Przemyślu wierzyłam, że jest zdrowa, że nie potrzebuje żadnego leczenia, ale nie chciałam się we wszystkim sprzeciwiać lekarzom i wyraziłam zgodę na szpital i lampy w Rzeszowie, tym bardziej, że mówili mi, iż naświetlanie Marysi nie zaszkodzi.

Cztery lata później lekarze zaczęli się zastanawiać na całą tą sprawą, że to rzecz niespotykana, a ja głębiej jeszcze zrozumiałam, że to, że Marysia żyje i chodzi na swojej nodze, jest prawdziwym



Słuchacze Konwersatorium

cudem Bożym, wyproszonym za przyczyną Sługi Bożego Edmunda Bojanowskiego. Do dziś kontynuuję modlitwę o jego beatyfikację, przypominam ją swoim dzieciom, które, z wyjątkiem Marysi, pozakładały już własne rodziny. Oby dał Bóg, aby jak najprędzej został wyniesiony na ołtarze Pańskie”.

Mama nie doczekała beatyfikacji. Zmarła rok wcześniej.

Jeśli chodzi o przebieg choroby, to tyle. Chcę jednak przytoczyć jeszcze pewne fakty. Ponieważ byłam osobą niepełnoletnią, o wszystkim musieli decydować rodzice lub siostra. Cała prawda była przede mną wtedy ukrywana. To, że żyję, to nie jest moja zasługa. To zostało wymodlone, wyproszone za wstawieniem Edmunda Bojanowskiego. Modliły się siostry, modliła się rodzina, modlił się każdy, kto chciał się modlić. Tylko nie ja. Więc żadnej zasługi ja osobiście w tym nie mam. Taka była wola Boża.

Całej bolesnej prawdy dowiedziałam się 1 sierpnia 1974 roku. Wyczytałam ją z napotkanego przypadkowo pamiętnika najstarszej siostry Stasi, która najczęściej konsultowała się z lekarzami. Odpisałam sobie to wszystko, co zanotowała. Oto dosłowny odpis: „90%, że to rak kości; 90%, że to jest rak złośliwy i 50%, że może przeżyć amputację. Pani doktor w Rzeszowie powiedziała, że bez amputacji się nie obejdzie”. A więc miałam „czarne na białym”.

Odkrycie tragicznej prawdy wywołało u mnie ogromny żal do rodziców i do wszystkich, którzy mnie oszukiwali. Płakałam i chciałam żyć, a poznaną prawdę przeżywałam samotnie.

W 1978 roku zdałam maturę w liceum ogólnokształcącym i rozpoczęłam dwuletnie Studium Laborantów Medycznych w Przemyślu. Ukończyłam je w 1980 roku i w tym samym roku podjęłam pracę laborantki medycznej w szpitalu w Brzozowie, którą wykonuję do dzisiaj.

Życie płynęło naprzód, a mnie ciągle nurtowała myśl, jak właściwie przedstawia się sprawa z moją chorobą. Ciągle spotykałam się z zatajaniem przykrej prawdy, chciałam więc osobiście wszystko sprawdzić. Pewne światło na powagę choroby rzucił mi pamiętnik siostry Stasi. Według tamtego zapisu życie było pod znakiem zapytania. Dalszą część prawdy odsłoniła mi mama kilka lat później, może to był rok 1978, nie pamiętam. W przykrej dla mnie rozmowie powiedziała mi wtedy, że lekarze ciągle mówili o konieczności amputacji prawej nogi i zakończyła to stwierdzeniem, że życie swoje zawdzięczam Edmundowi Bojanowskiemu. Pierwszy raz z ust mamy usłyszałam nazwisko osoby, dzięki której żyję. Później, być może dla uspokojenia mnie i z obawy, że w zdenerwowaniu za wiele powiedziała, mama zaczęła mi tłumaczyć, że lekarze mogli się nie poznać na chorobie. Na zakończenie rozmowy mama poleciła mi modlitwę o beatyfikację Edmunda Bojanowskiego.

W początku lutego 1981 roku znalazłam się w brzozowskim szpitalu jako pacjentka onkologiczna. Chodziło głównie o konsultację z prof. Tadeuszem Kołodziejskim z Instytutu Onkologii w Warszawie. Profesor badał dokładnie całą moją prawą kończynę i jej sprawność. Stwierdził, że pod względem onkologicznym wszystko jest w porządku, natomiast zalecił noszenie pończochy elastycznej w celu zmniejszenia obrzęku, który wystąpił na skutek uszkodzenia naczyń limfatycznych podczas naświetlania nogi w Rzeszowie.

Obserwując zachowanie się profesora doszłam do wniosku, że również i on nie bardzo wierzy w postawioną przed 10 laty diagnozę, ponieważ prosił o odszukanie preparatów i przesłanie ich do Instytutu Onkologii w Warszawie.

3 lutego 1981 roku nadarzyła się nowa okazja, by się upewnić co do rodzaju mojej choroby. Wpadła mi w ręce, jako laborantce, kartoteka z Poradni Onkologicznej w Brzozowie. Wyczytałam sobie wszystko... A więc chorowałam na złośliwego raka kości... czyli powinnam już nie żyć! Zwierzyłam się z tego w szczerzej rozmowie jednej lekarce brzozowskiej, robiącej specjalizację z onkologii. Wspomniałam jej, że brałam naświetlania, ale na to usłyszałam, że ten rodzaj raka nie poddaje się naświetlaniu, a wobec tego – „cudem żyjesz!”. Wtedy powiedziałam jej, że ten cud stał się za przyczyną Edmunda Bojanowskiego.

Decydującą dla mnie w tej sprawie była wypowiedź dr Elżbiety Slizowej, radioterapeuty i onkologa z Krakowa. Zgłosiłam się do niej 10 listopada 1983 roku ze zdjęciami rentgenowskimi. Po ich obejrzeniu i zapoznaniu się z historią choroby potwierdziła pierwotne rozpoznanie. Pierwsza powiedziała mi wprost, że była to osteosarcoma. Swoje oświadczenie dała mi na piśmie i zaznaczyła, że obecnie nie ma mowy o żadnej amputacji.

W wyniku tych moich poszukiwań doszłam do przekonania, że żyję tylko cudem i jeszcze w gabinecie dr Slizowej podjęłam stanowczą decyzję udania się, zaraz po powrocie z Krakowa, do Sióstr Służebniczek w Starej Wsi, by zgłosić im łaskę cudownego uzdrowienia mnie z nieuleczalnej choroby – raka, za przyczyną Sługi Bożego Edmunda Bojanowskiego.

Kiedy zadzwoniłam do furty klasztornej i powiedziałam, w jakiej sprawie przyjechałam, zdziwienie było ogromne i myślę, że jeszcze większe niedowierzanie. Usłyszałam pytanie: „Czy ty wiesz, Marysiu, jaki mamy dzisiaj dzień?”. Nie pamiętam, jaki to był dzień tygodnia, ale po chwili milczenia usłyszałam od siostry: „Dzisiaj jest 4 listopada – dzień urodzin Edmunda Bojanowskiego. Dzisiaj jest ostatni dzień nowenny, w której siostry prosily Boga o cud mogący zainicjować proces beatyfikacyjny Edmunda Bojanowskiego”. Nastąpiła chwila milczenia.

Myślę, że w życiu są takie chwile, kiedy człowiek nie ma na nie wpływu. Od tego czasu minęło już 40 lat. Mam swoją rodzinę: męża, troje dzieci i ukochaną wnuczkę Zuzię. Na jesieni urodzi się kolejny wnuk.

Stanisława Augustyn

Jestem najstarszą siostrą Marysi, wspominaną wcześniej Stasią. Chodziłam z nią do lekarza. Tematem dzisiejszego spotkania jest pytanie, czy wydarzył się cud. Mogę powiedzieć, że za sprawą Edmunda Bojanowskiego w moim życiu wydarzyły się dwa cuda. Jeden wtedy, kiedy siostra została uzdrowiona, a lekarze stale nas pytali, dlaczego nie zgadzamy się na amputację nogi. Ciągłe byli przekonani, że to jest niemożliwe, aby żyła.

A drugi to mój własny osobisty cud. Kiedy kilkanaście lat temu zobaczyłam w Grabonogu, w muzeum Edmunda Bojanowskiego niewielki portret namalowany przez jego przyjaciela, skojarzyłam wtedy tę postać z osobą, która stała obok mnie w tym najgorszym dniu, kiedy czekaliśmy na wyniki. Dzwoniłam wtedy do doktora i on mi powiedział, że jest to najgorsze, co przypuszczali. Mamie nie powiedziałam wtedy całej prawdy, ale ze świadomością, że okłamałam mamę, źle się czułam. Biłam się z myślami, czy mam prawo ją okłamywać i czy muszę powiedzieć jej całą prawdę. Wtedy zobaczyłam twarz Edmunda Bojanowskiego. Nie potrafię powiedzieć, czy coś do mnie mówił. Jednak tę twarz, tę jego obecność odebrałam jako coś, co mi pomogło przestać się bać. Bo ten strach był dla mnie najgorszy. Lekarz operujący powiedział mi, że bez amputacji Marysia ma sześć tygodni, najwyżej trzy miesiące życia, a po amputacji jest szansa na dwa lata – przy dobrych układach.

Marysia nie mówiła tego, ale dla mnie taką dodatkową tragedią było to, że ona miała iść ponownie na stół operacyjny, miała mieć operację i obudzić się bez nogi. Lekarz mówił, że z szokiem pooperacyjnym sobie poradzą, ale ze strachem przed amputacją, gdyby o tym wiedziała, nie poradzą sobie. Zgodnie z postanowieniem mamy, nic nie mówiliśmy Marysi.

Co jeszcze chciałam podkreślić? Ogromną wiarę mojej mamy. To ona wyprosiła uzdrowienie Marysi. Sama też się modliłam, wielu ludzi prosiłam o modlitwę, ale tak jak teraz sobie uświadamiam, to moja modlitwa wynikała bardziej ze strachu, że ludzkie siły nie wystarczają, niż z silnej wiary, że Pan Bóg pomoże za wstawiennictwem Bojanowskiego.

Czy zdarzają się cuda? Tak. Wiara i modlitwa góry przenosi. Tego jestem pewna.

Krzysztof Żurowski

Byłem proszony, aby przez fragmenty filmów pokazać, co myślą o cudach ludzie współcześni i racjonalni. No i popełniłem przestępstwo, bo przygotowałem tylko o cudach super dewocyjnych. Ponieważ wczoraj była rocznica śmierci Andrzeja Boboli, wybrałem mój film o świętym Andrzeju Boboli zatytułowany „Terrorysta od Pana Boga”, a z niego cztery fragmenty, tak żeby zmieścić się w dziesięciu minutach. Jest to film o terroryzmie świętego. Żartowałem, ale nie do końca. W filmie opowiadam o cudach udokumentowanych w historii Polski.

Na przykład, święty Andrzej Bobola po raz pierwszy „przypominał się” 45 lat po swej śmierci, w 1702 roku; ukazał się księdzu Marcinowi Godebskiemu, rektorowi Kolegium Jezuitów w Pińsku, kazał odnaleźć swą trumnę ze zwłokami i umieścić ją w oddzielnym miejscu w kościele. Ksiądz rektor nie znał Andrzeja Boboli. Po trzech dniach poszukiwań w podziemiach znaleziono trumnę z ciałem i wystawiono osobno w kościele. Zaczęły się pielgrzymki. Do jego ciała zachowanego w nadzwyczajnie dobrym stanie przychodzili modlić się, oprócz katolików, unicy i prawosławni. Przychodzili chłopcy, szlachta, a nawet król Polski. Drugi raz tak zdecydowanie przypomniał o sobie święty Andrzej w 1819 roku, sto lat przed końcem I wojny światowej, gdy w klasztorze dominikanów w Wilnie ukazał się ojcu Alojzemu Korzeniowskiemu, zapowiadając koniec wielkiej wojny, niepodległość Polski i to, że zostanie jej głównym patronem.

Albo inny cud świętego: władze carskie, zaniepokojone zbyt dużym kultem oddawanym świętemu Andrzejowi Boboli przez prawosławnych, przysłały z Petersburga do Połocka w 1886 roku komisję, która przy trumnie, z wciąż bardzo dobrze zachowanym ciałem Andrzeja Boboli, szydziłaby „z robienia świętych przez katolików”. Kiedy spadła cegła z sufitu na głowę jednego z urzędników, komisja przestraszyła się, uznając to za cudowną interwencję obronną świętego i pośpiesznie wyjechała.



Krzysztof Żurowski w czasie prezentacji filmu

Sowietci wywieźli trumnę do Moskwy i wystawili świetnie zachowane ciało Świętego na wystawie w Muzeum Antropologicznym jako *curiosum*. Po paru miesiącach musiano jednak schować trumnę do magazynu, ponieważ świetnie zachowane ciało świętego „ewangelizowało” licznych zwiedzających.

Kiedy robiłem ten film, nie wiedziałem o tym, że święty Andrzej Bobola ma zostać patronem Polski. Nic się wtedy o tym nie mówiło. Kiedy skończyłem film, chyba po roku usłyszałem, że w Sejmie podjęto temat świętego Andrzeja Boboli.

Początkowo film miał kłopoty. Była nawet komisja, która chciała go skasować.

W filmie jest opowiedziane, że w 1983 roku w Strachocinie, miejscu urodzenia świętego Andrzeja Boboli, nowemu księdzu proboszczowi ukazała się postać w ciemnym habicie, z czarną brodą. Poprzednim kilku proboszczom również ukazywały się zjawy, dlatego księża wycofywali się z tej parafii, jeden był nawet w szpitalu psychiatrycznym. Do czasu sprowadzenia relikwii świętego Andrzeja i rozpoczęcia jego kultu w Strachocinie, tajemnicza postać z czarną brodą zjawiała się regularnie przez 4 lata.

Uważano w niektórych środowiskach kościelnych, że „to skandal, by patron Polski straszyl”. W każdym razie święty Andrzej Bobola jest skuteczny, choć ma różne metody, które nazwałem „terrorystycznymi”.

Jeszcze skorzystam, aby zareklamować inne filmy o cudach. Zrobiłem ze trzydzieści filmów na temat różnych cudów i nadal robię, od dziesięciu lat, z koleżankami i kolegami, telewizyjny program rodzinny pt. „My – wy – oni” w TVP 1. Jest on co tydzień we czwartek w pierwszym programie Telewizji Polskiej. W co drugim jest o jakimś cudzie, na przykład świadectwa uzdrowienia... O istocie cudu jest w wielu odcinkach tego programu. Prawie każdy odcinek trafia do internetu. Wystarczy wpisać w google: „My wy oni – TVP” i wyskoczy, albo od razu adres: www.mywyoni.tvp.pl

Film o świętym Andrzeju Boboli jest w internecie pt. „Duszo-chwat” pod www.milosierdzie.info.pl/Andrzej...

S. Loyola Opiela

Witam państwa bardzo serdecznie w imieniu wszystkich Sióstr Służebniczek. Już na początku pragnę zaznaczyć, że my głęboko wierzymy we wstawiennictwo błogosławionego Edmunda Bojanowskiego. Wiemy, że modlitwa przez jego wstawiennictwo wiąże się też z kultywowaniem i praktykowaniem w naszym życiu duchowości, jaką on żył. Dlatego modlitwa o łaski za jego wstawiennictwem zawsze powinna być powiązana z głębokim zawierzeniem Bożej Opatrzności i Miłosierdziu Bożemu. Wiara jest tutaj podstawą do uzyskania łaski. Jeżeli tylko prosimy, a nie wierzymy, to Bóg łaski dać nie może przez wstawiennictwo żadnego świętego, ani nawet terrorysty, jak pan Krzysztof określił świętego Andrzeja Bobolę. Ja uważam, że on nie był terrorystą. On po prostu stosował mocne metody. Problem straszenia to nie jest problem świętego Andrzeja, ale tego, kto się go bał.

Błogosławiony Edmund wybrał inną drogę. Pan Bóg go prowadził. Sam został uzdrowiony wskutek modlitwy swojej matki przez wstawiennictwo Matki Bożej Bolesnej na Świętej Górze w

Gostyniu. Jako okołoczteroletni chłopiec zapadł na ciężką chorobę. Lekarze stwierdzili, że umiera. Kiedy nie dawał znaku życia, a lekarze stwierdzili, że nawet para oddechu nie pojawia się na lusterku przyłożonym do ust, wtedy matka najgoręcej błagała Matkę Bożą Bolesną o wstawiennictwo i o wyproszenie u Boga łaski uzdrowienia. O uzyskaniu tej łaski sam pisał do kroniki w bazylice na Świętej Górze w Gostyniu:

Z najnowszych czasów znajduje się w tutejszym kościele srebrne wotum przedstawiające Oko Opatrzności w promieniach, do ołtarza stynącej tutaj cudami Najśw. Matki Boskiej Bolesnej ofiarowane około r. 1819 przez jedną matkę z okolicy tutejszej na podziękę za cudowne uzdrowienie synka jej kilkoletniego, którego w ciężkiej chorobie opuścili już byli lekarze, a gdy żadnego znaku życia już nie okazywał, gdy nawet na przyłożonym do jego ust zwierciadło nie występowała najmniejsza para oddechu – natenczas w żalu nieutulona matka, ufnością jeszcze w Bogu i osobliwszem zawsze nabożeństwem przejęta do Matki Boskiej Bolesnej Gostyńskiej, klęka i gorące modły zanosi o wskrzeszenie gasnącego dziecięcia – aż omdlewająca i zalana łzami widzi naraz przed sobą jakoby wznoszącą się w górze postać Najśw. Matki Bolesnej w tym samym kształcie, jak cudowna figura Gostyńska, i trzymającą obiema rękoma dzieciątko w bieli ubrane, które zdawała się spuszczać ku klęczącej matce. Ta na ten widok uszczęśliwiona wydała głośny okrzyk radości, wyciągnęła ręce do góry jakby z rąk Najśw. Panny swe dziecię odebrać chciała. – Wtem znikło widzenie. – Matka porwawszy się z modlitwy biegnie do drugiego pokoju, gdzie konające dziecię leżało i zastaje je jakby ze snu obudzone i wesóło ku matce spoglądające. Od tej chwili chore dziecię tak nagle do zdrowia wróciło, że w kilka dni powstało ze śmiertelnego łóża. (AGSD, B-k-2, k.12r-v)

W błogosławionym Edmundzie rozwijała się nie tylko wdzięczność za łaskę uzdrowienia, ale również pozostał wierny tej łasce, prowadząc pierwsze Służebniczki właśnie tą drogą, żeby one same doświadczały cudów i potrafiły je odczytywać w swoim życiu, aby modliły się do Bożej Opatrzności, do Bożego Miłosierdzia. Proste wiejskie dziewczyny, które nawet czytać i pisać nie umiały,

a prowadziły ochronki wiejskie, wychowywały dzieci i wywierały wpływ na umoralnienie ludu. My wiemy doskonale, jaką rolę te ochronki spełniały w XIX wieku. Miały na celu chronić i wzmocnić rodzinę, zachować naród, który był niszczone, a naród bez rodziny nie ma przyszłości. Różne działające wtedy wspólnoty, m. in. Służebniczek, odegrały ogromną rolę. Były to cuda, które działy się na co dzień. Takie duchowe umocnienie było podstawą powodzenia dzieła, które błogosławiony Edmund z głęboką wiarą i zawierzeniem powierzył Bożej Opatrzności.

Chcę też powiedzieć o trzech cudach w moim własnym życiu. Głęboko w to wierzę, że błogosławiony Edmund prowadzi mnie, razem z moimi siostrami, od początku życia zakonnego. W tym roku będę przeżywać w lipcu trzydziestolecie ślubów. Zajmuję się od strony naukowej badaniem pism błogosławionego Edmunda, które jeszcze do dzisiaj nie zostały w pełni zgłębione.



S. Loyola Opiela, obok siedzi Stanisława Augustyn

W życiu mojej rodziny i moim dokonał się wielki cud uzdrowienia mojej siostry, która w wieku 24-25 lat, będąc w szóstym miesiącu ciąży, doznała bardzo poważnego wylewu wewnątrzkomorowego. Po wyjściu za mąż rozpoczęła w Krakowie uzupełniające studia magisterskie na kierunku finanse i bankowość. Była

już na drugim roku. Wylew nastąpił w dniu, gdy świętowałyśmy dziesiątą rocznicę beatyfikacji błogosławionego Edmunda, a w naszych zgromadzeniach przeżywałyśmy wielką radość. Przygotowałyśmy się do tej rocznicy od marca przez wielkie sympozjum „Błogosławiony Edmund Bojanowski – wychowawca i apostoł laikatu” organizowane w KUL, gdzie spotkały się wszystkie Zgromadzenia Służebniczek i wspólnoty Rodziny błogosławionego Edmunda, które pragną naśladować go w swoim życiu i posłudze. Jest to obecnie grono kilku tysięcy osób, które angażują się na wzór błogosławionego Edmunda w pomoc dzieciom, ubogim i chorym w swoich własnych środowiskach. Kiedy spotkałyśmy się w marcu 2009 roku na wspomnianym sympozjum, doświadczaliśmy ogromnej radości, że wszyscy się zobaczyliśmy, że mimo iż na świecie jest tyle problemów, jest nas tak wielu, którzy pragniemy dobra i to takiego dobra prostego, jak to pokazywał błogosławiony Edmund.

W sam dzień dziesiątej rocznicy beatyfikacji (13 czerwca), już po uroczystościach w ośrodku integracyjnym, który prowadziłam w Dębicy, w nocy, o drugiej, nagle zadzwonił telefon. Telefonowała jedna z moich sióstr z wiadomością, że nasza najmłodsza siostra jest w stanie tragicznym, jest w tej chwili na stole operacyjnym i będzie miała poważny zabieg. Okazało się, że już od dwudziestej szwagier dzwonił po pogotowie, bo coś się z nią działo, zaczęła tracić przytomność. Długo czekał na przyjazd karetki i w tym oczekiwaniu już widzieliśmy działanie Bożej łaski, bo gdyby pogotowie przyjechało wcześniej, to pewnie zawieźliby ją do jakiegoś innego szpitala lub woziliby ją jeszcze po Krakowie. A gdy przyjechali, był już taki stan, że zawieźli ją prosto do kliniki neurochirurgicznej na ulicy Botanicznej. Tam okazało się, że szwagier musi podjąć natychmiastową decyzję zgody na zabieg. Został poinformowany, że jeżeli nie wyrazi zgody, to żona na pewno nie przeżyje i dziecko również, a jeżeli zrobią zabieg, to może uda się uratować dziecko. Nie można było zrobić cesarskiego cięcia, bo dziecko nie miało jeszcze rozwiniętych płuc. Matka, jeżeli przeżyje, to będzie jak roślinka. To rodiło dla szwagra następne pytanie, czy podejmuje decyzję, że będzie ją

później pielęgnował? Nie miał wyjścia, to była jedyna nadzieja. Zrobiono zabieg, dzięki któremu siostra i dziecko żyją. Leków, które mogły wspomagać organizm matki, nie podawano, żeby nie zaszkodzić dziecku. Chodziło o uratowanie dziecka, żeby, jeżeli przeżyje, mogło przyjść na świat w miarę zdrowe.

Do tygodnia siostra nie dawała znaku poprawy stanu zdrowia, tylko reagowała na ukłucie. Po tygodniu wujek mojego szwagra, który jest ginekologiem w klinice na Kopernika, był w konsylium. Wtedy ona pierwszy raz otworzyła oczy, zobaczyła wujka i patrząc na niego, zapytała, gdzie jest Tomek, czyli jej mąż. Wywarło to na nim wielkie wrażenie, bo do tej pory nic nie mówiła, a jej pierwsze słowa to było pytanie o męża, bo to jego imię wymieniła. Obserwując szwagra i siostrę, doświadczyliśmy w tej chorobie, jak wielką tajemnicą jest sakrament małżeństwa. Byłam u niej, z moją siostrą i bratem po dwóch tygodniach, ona jakby nie widziała nas, tylko rozmawiała ze szwagrem. Nie była świadoma, co się z nią działo, nie pamięta naszych odwiedzin. Dla mojego szwagra żona i dziecko to były dwie najbliższe mu osoby, obydwie tak bardzo zagrożone. Chodził jak zagubiony, ale obydwoje jakby doskonale się rozumieli. Pozwolił się prowadzić naszym siostrom, które do szpitala przyniosły relikwie błogosławionego Edmunda i już od drugiego dnia pobytu mojej siostry w szpitalu były przy niej. Poczuliśmy się wszyscy rodziną.

Siostry ze wszystkich naszych Zgromadzeń Służebniczek modliły się przez wstawiennictwo błogosławionego Edmunda o uzdrowienie. Jaki był efekt? Już pierwszego lipca została przewieziona na ginekologię na obserwację. Powoli normalnie wracała do pełnej kondycji, a 6 lipca wróciła do domu. Szwagier pytał lekarzy, czy to jest cud. Lekarze jednak zwracali uwagę na postęp medycyny i słuszność podjętych przez nich działań. Poza tym mózg to jest wielka tajemnica. Wszyscy cenimy sobie też tę troskę lekarzy i całego personelu.

Po tym wszystkim siostra wracała do zdrowia i podejmowała stopniowo na nowo swe obowiązki. Piotruś urodził się 17 września 2009 roku i otrzymał 10 punktów w skali Apgar. Dzisiaj chodzi do naszej ochronki w Krakowie. Najważniejsza dla niego jest siostra

Beatka, która prowadzi tę grupę. Ostatnio zdobył złoty medal w tańcu w konkursach przedszkolnych w Krakowie. I co tydzień przypomina babci, że ma złoty medal. Ale ten medal należy się błogosławionemu Edmundowi. Siostra skończyła też pisać swoją pracę magisterską, a w grudniu 2010 roku uzyskała stopień magistra, zdając w tym czasie zaległe egzaminy. Świadczy to o tym, że nie tylko ustąpiły skutki wylewu, ale potrafi ona kontynuować to, co poznawała i realizowała przed chorobą.

Nie było nagłej zmiany stanu zdrowia. Nie ma zatem oczywistego powodu uznania za cud, ale jest to cudowna łaska, za którą Bogu dziękujemy. Nie chcieliśmy jednak tego tak zostawiać. Dokumenty choroby siostry przedstawiliśmy profesorowi Szwagrzykowi, który oświadczył, że z uwagi na rodzaj wylewu, stan choroby, w jakim siostra była, i stan zdrowia, do jakiego wróciła, to był cud. Wylew wewnątrzkomorowy to jest najcięższy z wylewów. Siostra nie miała prawa żyć lub była skazana na vegetację. Oficjalnie medycyna uważa jednak, że był to sukces nauki, choć trudny do wyjaśnienia i sprawa została odłożona. Zobaczymy, jak będzie dalej. Dla nas jest to cud Bożej łaski, który nie tylko sprawił, że siostra żyje i jest zdrowa, ale także umocnił naszą wiarę, więzi wzajemne i odnowił spojrzenie na wartość i sens życia, wartość relacji rodzinnych, małżeńskich, wspólnotowych oraz cierpienia.

W dniu beatyfikacji Edmunda Bojanowskiego papież Jan Paweł II ukazał go jako patrona ludzi świeckich, który potrafił gromadzić różne środowiska wokół dobra. Był to człowiek, który, patrząc po ludzku, nie miał prawa zrobić tego, co zrobił. Przecież był ustawicznie chory. Zmarł na gruźlicę. Nie miał majątku. Nie miał zdrowia. Nawet studiów nie skończył, bo był za bardzo chory. Ale Bóg go prowadził. W czasie pogrzebu Edmunda ksiądz Antoni Brzeziński powiedział, że Bóg wybrał sobie to słabe narzędzie, ażeby przez to tym jaśniej się pokazało, że nie to słabe narzędzie, ale On sam, Bóg Wszechmogący sprawia to wszystko. Bóg potrafi się posłużyć nawet takim słabym narzędziem. Edmund Bojanowski pozwolił się Panu prowadzić, miał głęboką wiarę i poczucie zależności od Boga i Jego Opatrzności.

Drugi cud zdarzył mi się w tym roku. Otóż obroniłam pracę habilitacyjną, która jest opracowaniem integralnej pedagogiki przedszkolnej w systemie błogosławionego Edmunda Bojanowskiego. Wiele osób mówiło, że jak sprawa zakończy się powodzeniem, to będzie to cud do kanonizacji błogosławionego Edmunda, bo dzisiaj są nowoczesne metody, koncepcje pedagogiczne, a współczesne osiągnięcia i wyzwania potrzebują nowoczesnych rozwiązań. My jednak wiemy, że wskazania pedagogiczne błogosławionego Edmunda oraz nasze metody nie przeżyły się i są dalej aktualne. Kiedy jednak przygotowywałam tę pracę, mnożyły się przeszkody, a największe przed kolokwium habilitacyjnym. Uważa się bowiem, że pedagogika, a szczególnie ta przedszkolna, powinna umrzeć, bo dzisiaj dzieci nie powinno się wychowywać, tylko kochać. Druga sprawa: w wielu środowiskach uważa się, że pedagogika katolicka jako taka nie istnieje. Trzecia sprawa: zbyt tradycyjny jest Bojanowski, który drogę dla realizacji tego, co robił, wiązał z Kościołem Katolickim i jego tradycją wychowawczą. No i czwarta, ostatnia sprawa, dla wielu dość niezręczna, bo stara się o to zakonnica i to jeszcze w habitacie. Mimo to razem ze Wspólnotą zdecydowałyśmy się podjąć starania o sfinalizowanie tego dążenia.

Uzyskałam zgodę na przeprowadzenie przewodu habilitacyjnego w Toruniu na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika. W dzień, kiedy miałam mieć kolokwium habilitacyjne, zatrzymałam się w naszej ochronce w Solcu Kujawskim. Kiedy wychodziłam, dzieci powiedziały mi, żebym się nie martwiła, bo wszystko będzie dobrze. Obiecały, że się pomodlą, a że wierzę w skuteczność szczerzej, ufnej modlitwy dzieci, było to dla mnie bardzo ważne. Zresztą w ten sposób wspierały mnie wytrwale i wielkodusznie od początku moich starań w Toruniu. Ostatecznie kolokwium jednomyślnie zostało zaakceptowane. Po pozytywnym zakończeniu sprawy zadzwoniłam do ochronki w Solcu, aby dzieciom podziękować za modlitwę. Uważam, że było to zwycięstwo Łaski Bożej. Były i przeszkody, ale nie będę o nich opowiadać, bo to już ofiaruję Panu Bogu. Wierzę głęboko, że żaden święty nie da zginąć temu, co polecił mu Pan Bóg zrobić na

ziemi. Podobnie błogosławiony Edmund, jeżeli potrafił tyle czynić swoimi słabymi ludzkimi siłami, to z nieba tym bardziej będzie dbał o swoje dzieło.

Jeszcze dopowiem o jednym cudownym działaniu Bożej Opatrzności. Prowadzimy w Dębicy ośrodek integracyjny. Mamy tam przedszkole integracyjne, placówkę opiekuńczo-wychowawczą i dom dziennego pobytu dla seniorów. Podopieczni nasi są w wieku od drugiego roku życia do 94 lat. W jednym obiekcie, w klasztorze, z którego w 1954 roku zostałyśmy wyrzucone, a w latach 90. został nam zwrócony, na co dzień przebywa około 200 osób. W tym domu miałyśmy w świetlicy 120 miejsc, korzystają z niej wychowankowie w wieku od 2 do 18 lat, w tym też dzieci niepełnosprawne. Niestety, nie mamy żadnej dotacji na tę placówkę, nie byliśmy w stanie jej zdobyć. Prowadzimy ją dzięki realizowanym zadaniom w ramach konkursów ofert i dobroczynności ludzi o wielkim sercu. Postanowiłyśmy więc, że co roku będziemy robić na nowo zapisy. Kiedy będziemy już miały informację, ile na dany rok uda nam się zgromadzić środków, to tyle dzieci przyjmiemy. Nasze wszystkie dzieci są z rodzin bardzo ubogich, żyjących w trudnych warunkach, i wielodzietnych, których jednak nie uważam za patologiczne. Sama bowiem mam pięciu braci i pięć siostr i zawsze powtarzam, że to nie jest rodzina patologiczna. U nas, w okolicach Limanowej, takie rodziny były normalnym zjawiskiem. Przeciwnie – tam, gdzie było mało dzieci, to był jakiś problem związany ze zdrowiem bądź innymi warunkami.

W drugim roku funkcjonowania ośrodka zbliżały się zapisy, a my mówiłyśmy rodzicom, że przyjmiemy najwyżej trzydzieścioro dzieci. Nie jesteśmy w stanie więcej, a w ciągu roku też nie będziemy dopisywać. I zdarzyła się wtedy sytuacja trudna do przewidzenia. W jednym z krakowskich szpitali umierała kobieta z wyczerpania, bo przez dwa tygodnie bez przerwy krzyczała, nikt nie chciał przy niej być. Jedynie nasze siostry pielęgniarki, pracujące w tym szpitalu, były przy niej obecne. Po śmierci okazało się, że należała do bogatej rodziny, która gromadziła na koncie pieniądze dla tej swojej chorej krewnej, żeby jej zapewnić jak najlepszą opiekę, kiedy nie będą w stanie sobie sami poradzić.

Ponieważ ta pani zmarła pod opieką naszych sióstr, rodzina, w dowód wdzięczności za to, że siostry zechciały jej towarzyszyć do śmierci, postanowiła przeznaczyć zaoszczędzone środki na jakieś dobre dzieło. W naszym zgromadzeniu siostry, jak potrafiły, wspierały nowo powstały ośrodek, np. robiąc różne przetwory czy przekazując własne oszczędności, żeby nam pomóc. Wskazały więc zainteresowanym naszą placówkę. To był cud. Przyjęłyśmy wtedy wszystkie dzieci, które miałyśmy wcześniej pod opieką, na ten i przez kolejne lata. Niestety, obecne przepisy ograniczają liczbę wychowanków, którzy mogą korzystać z zajęć w świetlicy.

To są cuda codzienności. Jesteśmy pewne, że jak mamy takiego pośrednika jak błogosławiony Edmund, to Bóg nie da zginąć temu wszystkiemu, co służy dzieciom. Nie pozwoli na to, żeby im się krzywda stała, jeżeli są możliwości, aby im pomóc. Cuda mnożą kolejne cuda w życiu codziennym. Łączą nas. Integrują nas. Budują nasze wspólnoty te rodzinne, ale też i zakonne. I dzięki temu stajemy się sobie bliżsi. Ileż intencji polecamy Bogu przez wstawiennictwo błogosławionego Edmunda! Nasze Zgromadzenia Służebniczek zachowują niezliczone świadectwa o uzyskanych łaskach w wysłuchanych modlitwach o potomstwo, o zdrowie dla chorych, o nawrócenie, o jedność i potrzebne łaski w małżeństwie i rodzinie, o wyzwolenie z nałogów, grzechów i działania złego ducha i w wielu innych intencjach.

S. Jolanta Głapka

Goszczę już drugi raz na Konwersatorium. Czuję się tutaj bardzo dobrze, jak u siebie. Moja historia, o której chcę opowiedzieć, jest związana z pierwszym moim udziałem w Konwersatorium. 16 listopada ubiegłego roku miałam tutaj przyjemność być i opowiadałam wtedy o swojej fundacji. Pracuję z uzależnionymi od dwudziestu lat i założyliśmy fundację, która ma na celu wybudowanie Młodzieżowego Centrum Rozwoju Artystycznego i Duchowego. Moja historia będzie dotyczyła budowy tego Centrum. Zgromadzenie Najświętszego Serca Jezusa posłało mnie do pracy wśród ubogich, jakimi są ludzie uzależnieni. Z zawodu jestem terapeutą uzależnień, a misją Fundacji Pasja Życia im. Siostry Józefy Menendez

jest służyć młodym ludziom, którzy ukończyli już terapię i pozostają ludźmi trzeźwymi, ale potrzebują wsparcia terapeutycznego i duchowego, by żyć w trzeźwości. Chcemy stworzyć im takie warunki w naszym domu, by mogli odnaleźć sens życia, swoje pasje – żeby poczuli się szczęśliwi.

Ujęło mnie to, co powiedziała pani Maria, że gdy przyszła ze swoim świadectwem do sióstr, to one jej powiedziały, że to jest właśnie ten dzień, ostatni dla otrzymania tego świadectwa, o które modliły się od dłuższego czasu.

Podobnie czuję się prowadzona przez Boga. Czasami mam tę świadomość, że to się dzieje. Myśląc o błogosławionym Edmundo Bojanowskim i własnych z nim związkach, odkryłam, że moja rodzina pochodzi z Gostynia i byłam na Świętej Górze. Pierwszy raz „zapoznałam się” z błogosławionym Edmundo Bojanowskim, odwiedzając jego kaplicę dwa lata temu, w czasie pobytu w sanatorium w Krynicy. Właśnie wtedy powierzono mi budowę Centrum i modliłam się do błogosławionego Edmunda o pomoc. Kiedy tu przyjechałam na Konwersatorium, powiedziałam, że ten dom buduję. Boża Opatrzność sprawiła, że byli też na nim obecni państwo Iwona i Jacek Waksmundzcy, ludzie ogromnego serca. Kiedy zwróciłam się do prowadzonej przez nich fundacji o wsparcie, otrzymałam je. Jestem im za to całym sercem wdzięczna.

W paru słowach opowiem, jaka jest historia budowy Centrum. Po rozpoczęciu budowy i wybudowaniu parteru otrzymałam pieniądze na budowę drugiego piętra i dach z Renovabis, organizacji Kościoła Katolickiego w Niemczech. Niestety, nie mogłam budować drugiego piętra, nie mając pierwszego. Byłam w tej sprawie u pana ministra Pracy i Polityki Społecznej Władysława Kosiniaka-Kamysza. Mimo że moje papiery doszły aż do pana premiera, nie otrzymałam potrzebnych mi środków. Te bezskuteczne starania zajęły mi cały rok.

I wtedy trafiłam po raz pierwszy na Konwersatorium. Było to 16 listopada 2013 roku. Wspomniałam wtedy o budowie Centrum.

W styczniu bieżącego roku były rekolekcje zorganizowane przez naszą fundację poświęcone wspomnieniu siostry Józefy Menendez, hiszpańskiej mistyczki przełomu XIX i XX wieku,

Patronki naszej fundacji. Modliliśmy się tam wspólnie o pieniądze na budowę Centrum. Na zakończenie tych rekolekcji otworzyłam komputer i przeczytałam maila od państwa Waksmundzkich z informacją o pieniądzach na budowę pierwszego piętra. Moja radość i wdzięczność nie miała granic.



S. Jolanta Głapka

Dzięki Bożej opiece i wielkiemu sercu państwa Waksmundzkich w lutym otrzymałam od nich pierwszą część pieniędzy i budowa pierwszego piętra zaczęła się 5 marca. Teraz, zaledwie po dwóch miesiącach, pierwsze piętro jest zbudowane. To jest błyskawiczne. Z budową parteru walczyłam rok. A teraz już jesteśmy na początku drugiego piętra.

To wszystko dzieje się dzięki Bożej Miłości, która rozlana jest w sercach ludzkich. Do końca życia będę wdzięczna Państwu Iwonie i Jackowi Waksmundzkim, za co teraz z całego serca Państwu dziękuję i cieszę się, że mogę to zrobić osobiście. Jak również dziękuję naszej Patronce Siostrze Józefie Menendez, przez którą Pan Bóg okazuje nam swoją czułą dobroć i opiekę nad Swoim dziełem.

Dyskusja

Jacek Waksmundzki¹

Chciałem bardzo podziękować. Bardzo miło mnie i mojej żonie słyszeć tyle dobrych słów. Zanim powiem o swoim kontakcie z błogosławionym Edmundem Bojanowskim, chciałbym nawiązać do poczucia Bożego prowadzenia, o którym mówiły moje poprzedniczki. To uczucie prowadzenia jest mi bardzo bliskie. Czuje je w wielu momentach mojego życia.

Moje spotkanie z Edmundem Bojanowskim i okoliczności, w jakim ono nastąpiło, odbieram jako elementy tego prowadzenia. W lipcu 2002 roku zamieszkaliśmy na Ursynowie i okazało się, że patronem naszej parafii, która powstała dwa lata wcześniej, jest błogosławiony Edmund Bojanowski. Do tego czasu nie znałem tej postaci i niewiele o niej wiedziałem.

W momencie, kiedy poznaliśmy naszą parafię i naszego patrona, uświadomiłem sobie, że ja już spotkałem Edmunda Bojanowskiego w innych okolicznościach. 13 czerwca 1999 roku uczestniczyłem we Mszy Świętej i spotkaniu z papieżem Janem Pawłem II, który wtedy beatyfikował i kanonizował 108 osób, w tym Edmunda Bojanowskiego. Byłem z trójką moich dzieci i po prostu nie zauważyłem Edmunda, gdzieś mi wtedy uciekł. Pojawił mi się dopiero w 2002 roku, kiedy mając na uwadze patrona naszej parafii, nawiązaliśmy kontakt z Siostrami Służebniczkami NMP ze zgromadzenia założonego przez Edmunda Bojanowskiego.

¹**Jacek Waksmundzki** – mieszka w Warszawie, w parafii pw. bł. E. Bojanowskiego. Jest zaangażowany w projekty budowy kościoła parafialnego i Centrum poświęconego dziełom społecznym patrona parafii oraz w inne, liczne projekty społeczne. Prowadzi biznesową Grupę JW PROJAN. Jest fundatorem i założycielem Fundacji Rodziny Waksmundzkich PROJAN, Członkiem Honorowym Stowarzyszenia Przymierze Rodzin oraz konfratrem Zakonu Paulinów.



Jacek Waksmundzki wraz z żoną Iwoną

W efekcie w naszej parafii powstało przedszkole, które do dzisiaj prowadzi Siostry Służebniczki Śląskie.

Wkrótce też zrodził się projekt budowy kościoła parafialnego i Centrum Duchowości Błogosławionego Edmunda Bojanowskiego. Wybudowaliśmy kościół, obecnie budynek w stanie surowym, ale działa już kościół dolny. W najbliższych miesiącach zostanie dokończona budowa stanu surowego całego Centrum, przy którym rozwijają się różne projekty parafialne. Wszystko to dzieje się w okolicznościach po ludzku trudnych do wyobrażenia. Widać wyraźnie, że nad tym wszystkim Ktoś czuwa i prowadzi to dzieło.

W roku 2009 była 10. rocznica beatyfikacji błogosławionego Edmunda Bojanowskiego. Dla mnie osobiście był to jeden z najcięższych zawodowo okresów. Na jesieni 2008 roku podjąłem decyzję biznesową, która była obarczona ogromnym ryzykiem i spowodowała sytuacje, które były bardzo silnie stresujące. Równocześnie okazało się, że dzięki tej decyzji i w jej następstwie zrodziły się rzeczy, które pozwoliły tworzyć dobro. 13 stycznia 2009 roku powstała nasza fundacja².

² Fundacja Rodziny Waksmundzkich PROJAN, pomagająca rodzinom, chorym dzieciom, seniorom i uczącej się młodzieży (przyp. red.).

W 2009 roku rozpoczęła się też budowa naszego kościoła. Dużo spraw – dobrych, ale i trudnych wydarzyło się też w naszym życiu rodzinnym. W tym samym roku urodziły się nasze pierwsze wnuki. Jaś urodził się 22 maja. Po badaniu USG okazało się, że ma oznaki wylewu wewnątrzczaszkowego i trudne do przewidzenia jego konsekwencje. Modliliśmy się wszyscy w intencji wnuka. Dziś Janek jest zdrowym, radosnym chłopcem. Uczestniczyliśmy także z żoną i Siostrami Służebniczkami NMP w rocznicowym sympozjum na KUL, poświęconym dziedzictwu błogosławionego Edmunda Bojanowskiego. Było to dla nas szczególne spotkanie i czas odkrywania i poznawania naszego parafialnego Patrona. Rok 2009 był bardzo gęsty od zdarzeń, w czasie których czułem się prowadzony.

Chciałbym zakończyć informacjami o dwóch sytuacjach, które pokazują wymiar prowadzenia. Pierwsze zdarzyło się w maju, a drugie 24 grudnia, w wigilię Bożego Narodzenia 2009 roku. W maju dostałem informację, że mam dziesięć dni na załatwienie określonej transakcji biznesowej. Informacja była szokująca i moim zdaniem nie do spełnienia w tym terminie. To było tak, jakby ktoś powiedział, bym zbudował świątynię w ciągu trzech dni, będąc człowiekiem. Absolutnie niespodziewanie dla mnie ujawniły się okoliczności, które doprowadziły do tego, że to, co wydawało mi się niemożliwe do zrobienia, zaistniało. Fakt ten uratował proces, który, mam nadzieję, pozwoli stworzyć jeszcze mnóstwo dobrych rzeczy.

Drugie zdarzenie dotyczy 24 grudnia 2009 roku. O szóstej rano dostałem informację, że muszę przeprowadzić określone posunięcia biznesowe do piątej po południu czasu nowojorskiego – sprawa dotyczyła moich interesów w Stanach Zjednoczonych. Oznaczało to, że mam czas do godziny 23 czasu polskiego, czyli tuż przed Pasterką. Byłem przekonany, że nie uda mi się tego zrobić, bo 24 grudnia w Polsce przeważnie nikt nie pracuje. Nie czas i miejsce, aby relacjonować przebieg tego dnia, tak się jednak ułożyło, że otrzymałem informację, że sprawa, o którą szła batalia, została załatwiona przed godziną 17 czasu nowojorskiego, a ja otrzymałem wiadomość, że wszystko jest w porządku dziesięć

minut po 23.00 czasu polskiego i poszedłem na Pasterkę, żeby pomodlić się i podziękować za otrzymaną łaskę. Dla mnie jest to absolutne świadectwo tego, że mam łaskę prowadzenia w moim życiu.

Małgorzata Pakulska

Był rok 2003, kiedy moja córka Ewa, studentka II roku w Instytucie Studiów nad Rodziną w Łomiankach, zdała sobie sprawę, że po ukończeniu uczelni będzie miała problemy ze znalezieniem pracy. Studenci ISnR rozmawiali z absolwentami, którzy już otrzymywali dyplom „mgr teologii” i nie mogli znaleźć zatrudnienia.



Małgorzata Pakulska

Ewa, będąc osobą praktyczną, postanowiła po drugim roku równoległe studiować filologię niemiecką na Uniwersytecie Warszawskim. Egzaminy na UW miały być we wrześniu i córka planowała naukę przez całe wakacje. Bóg miał jednak inne plany.

Od ponad dwudziestu lat jestem w grupie modlitewnej Adonai przy klasztorze świętego Jacka ojców Dominikanów w Warszawie. Na jednym ze spotkań rozmawiałam z koleżanką Agnieszką Dzieduszycką, która zaproponowała wyjazd Ewy do jej kuzynów

do Niemiec, aby mogła lepiej przygotować się do egzaminów. Córka z radością przyjęła tę propozycję i wyjechała na dwa miesiące. Już po miesiącu zadzwoniła do mnie kuzynka Agnieszki z propozycją, aby córka została jeszcze przez rok jako *au pair* (osoba pomagająca w rodzinie) i w ramach tego uczęszczała na kurs języka niemieckiego w Instytucie Goethego. I tak się stało. Kiedy Ewa miała wracać do Polski, pojawiła się następna propozycja – studia w International Theological Institute Catholic School of Theology w Gaming w Austrii. Trzeba było przesłać do Gaming zakres przedmiotów z polskiej uczelni oraz stopnie, jakie córka otrzymała z egzaminów. Wstępna kwalifikacja wypadła pomyślnie (córka była wzorową studentką – miała stypendium naukowe), następnie wymagana była zgoda ks. proboszcza, zgoda biskupa miejsca i opinie wykładowców Instytutu w Łomiankach. Najtrudniejszą sprawą okazało się uzyskanie zgody biskupa, ponieważ w Warszawie taką zgodę mógł wydać tylko Kardynał Józef Glemp, a czas odpowiedzi z kancelarii kurii wynosił ponad miesiąc. Wydawało się, że dla Ewy będzie to bariera nie do przekroczenia, gdyż Instytut w Gaming wyznaczył krótki termin na skompletowanie pełnej dokumentacji z Polski.

Nadzieja pojawiła się niespodziewanie – kuzynka Agnieszki Dzieduszyckiej, Madeline Gräfin von Degenfeld-Schonburg, u której przebywała moja córka, organizowała w Polsce, w Łagiewnikach, Międzynarodowy Kongres poświęcony Bożemu Miłosierdziu. Wśród zaproszonych gości był Kardynał Christoph Schönborn, zwierzchnik archidiecezji wiedeńskiej. Madeline Gräfin von Degenfeld postanowiła spróbować zapytać Kardynała Schönborna o sprawę Ewy, czy byłaby możliwość przedłużenia terminu dostarczenia kompletu dokumentów do Instytutu w Gaming. Nie było to łatwe zadanie, gdyż Kardynał Schönborn wsiadł do samochodu wraz z kardynałem z Chin (co prawda Gräfin von Degenfeld udało się wsiąść do tego samego samochodu), rozmowa toczyła się na tematy Kościoła. Gdy na chwilę zapadła cisza, kuzynka Agnieszki zapytała szybko o sprawę Ewy. Kardynał Schönborn wyjął telefon komórkowy i zadzwonił do dyrektora International Theological Institute, który wyraził zgodę na dłuższy

termin złożenia dokumentów z Polski. Ta decyzja zapadła w drodze do Łagiewnik.

Kiedy Ewa otrzymała potwierdzenie z Gaming, że została studentką Instytutu, zadzwoniła do mnie, dzieląc się radością. Następnie przeczytała mi treść odpowiedzi: „Gratulujemy Tobie, jesteś naszą studentką, jednocześnie informujemy, że nasza uczelnia jest uczelnią prywatną i opłata za jeden semestr wynosi 21 000 euro (dwadzieścia jeden tysięcy euro). Ze względu na to, że nasza uczelnia jest uczelnią katolicką, pieniądze nie mogą być jedyną przeszkodą w podjęciu studiów, dlatego studenci w trudnej sytuacji materialnej mają sponsorów.” Zaniemówiłam z wrażenia – to był największy dowcip Pana Jezusa w moim życiu. W 2003 roku moja miesięczna renta inwalidzka wynosiła 520 zł, a moje dziecko miało studiować na tak drogiej uczelni.

Wykładali tam Amerykanie, którzy godzili się przyjechać do Europy pod warunkiem takich samych wynagrodzeń jak w USA, w dodatku przyjeżdżali ze swoimi rodzinami, a często mieli wielodzietne rodziny. Wszyscy studenci mieli zakwaterowanie, wyżywienie i pomoce naukowe zapewnione przez uczelnię.

Instytut w Gaming mieścił się w odrestaurowanym klasztorze po ojcach Kartuzach, za który trzeba było właścicielowi opłacać wynajem sal, pokoi dla wykładowców i pokoi dla studentów.

Master of Theological Studies on Marriage and the Family



Ewa Pakulska
Poland

Ewa is attending Vienna University in order to pursue linguistic and translation

studies. With this training, she hopes to work for international contacts within the Church. She plans to join the World Youth Alliance and would like to focus on pro-life projects.

Ewa Pakulska

To wszystko stanowiło o tak wysokich kosztach nauki w Instytucie.

To był jeden z największych cudów w moim życiu. Ja samotna, niepełnosprawna matka nie mogłam nawet marzyć o takich studiach dla córki. Moja wdzięczność dla Boga nie ma granic!



Absolwenci International Theological Institute Catholic School of Theology w Gaming w Austrii. Ewa Pakulska czwarta od prawej w pierwszym rzędzie za wykładowcami

Uzupełnione podczas autoryzacji

Podaję stronę Instytutu, który jest przeniesiony z Gaming <http://www.iti.ac.at>. Na koniec krótkie wyjaśnienie – moja córka Ewa podjęła decyzję o studiach w Instytucie Studiów nad Rodziną w Łomiankach dlatego, że wychowywała się w niepełnej rodzinie. Mój mąż odszedł do innej kobiety wówczas, gdy oczekiwałam narodzin Ewy, w szybkim tempie traciłam wzrok, a starszy synek miał 3,5 roku. Nasze życie było trudne, a Ewa marzyła o założeniu szczęśliwej rodziny. Chciała mieć teoretyczne podstawy, jak powinna funkcjonować szczęśliwa rodzina. Wyrażam wielką wdzięczność za stworzenie Instytutu Studiów nad Rodziną niezyczącemu już arcybiskupowi Kazimierzowi Majdańskiemu (1916-2007). W latach studiów seminaryjnych we Włocławku (1934-1939) był uczniem księdza profesora Stefana Wyszyńskiego. Aresztowany

jako kleryk, był w czasie całej II wojny światowej więziony w hitlerowskich więzieniach i obozach koncentracyjnych: Sachsenhausen (nr 29655) i Dachau (nr 22829), poddawany tam zbrodniczym doświadczeniom pseudomedycznym. Arcybiskup Majdański ślubował Bogu, że jeśli przeżyje, to założy uczelnię, która odrodzi rodzinę. Uważał, że nie ma rodziny, która by nie ucierpiała w czasie działań wojennych. Założył pierwszy w Kościele akademicki Instytut Studiów nad Rodziną (29 IV 1975); była to pierwsza tego typu uczelnia na świecie. Na wzór polskiej uczelni powstała m.in. uczelnia w Rzymie i w Austrii w Gaming, gdzie studiowała moja córka.

Elżbieta Mycielska Dowgiałło

Niestety, czas goni i nasze Konwersatorium musimy kończyć. Każdy z nas ma świadectwa tych mniejszych i większych cudów w swoim życiu i bardzo zachęcam, żebyśmy się podzielili nimi z nami wszystkimi i przesłali je na adres szkoły bądź na mój adres mailowy, a ja postaram się je umieścić w naszym dziewiątym tomie „Odpowiedzi na trudne pytania dzisiejszego świata”.

Chciałam też przypomnieć, że na Konwersatoriach spotykamy się nieprzerwanie od 2006 roku – przez dziewięć lat co miesiąc. I co roku wydawane są kolejne tomy „Odpowiedzi...”. Przyjeżdżają ludzie z różnych stron świata i kupują wiele egzemplarzy. Tych większych i mniejszych cudów jest sporo, tylko trzeba umieć je dojrzeć.

Spotykamy się teraz w październiku, to będzie jubileuszowy dziesiąty rok.

Kończymy obecnie publikację „Odpowiedzi...” w języku angielskim, a przed miesiącem uczestniczyło w Konwersatorium małżeństwo z Australii, które podjęło się pomóc w rozprowadzaniu naszej książki „Odpowiedzi na trudne pytania dzisiejszego świata” na rynku australijskim, za pośrednictwem księgarń katolickich. Mamy nadzieję, że podobnie uda nam się zainteresować naszą książką czytelników w Stanach Zjednoczonych.

Kończąc ostatnie w tym roku Konwersatorium, wszystkim wiernym słuchaczom, jak i czytelnikom tekstów Konwersatorium serdecznie dziękuję i życzę dobrych wakacji. Już się cieszę na spotkanie z Państwem w trzecią sobotę października.

Spisał z nagrania Marcin Borzęcki

C.d. dyskusji uzyskany drogą korespondencyjną

Monika Ciepiela (Warszawa)

W naszej firmie często współpracujemy z firmami włoskimi, w związku z czym wielokrotnie w ciągu roku jeździmy samochodem lub latamy samolotem do Włoch. Tym razem była to podróż samochodowa. Jechaliśmy autostradą przez północną część Włoch. Zatrzymaliśmy się niedaleko zjazdu do Padwy, by zatankować samochód. Często, jeśli wystarczało nam czasu, zjeżdżaliśmy do miasta, by wpaść choć na moment do Bazyliki i pomodlić się przy grobie świętego Antoniego. Tym razem czas nas gonił, byliśmy umówieni na ważne spotkanie, a potem mieliśmy w planach małe węgry i spędzenie kilku dni u naszego przyjaciela w górach.

Zatankowaliśmy przy najbardziej oddalonym dystrybutorze i mąż poszedł zapłacić, a ja poszłam się odświeżyć. Po kilku minutach wyszłam na zewnątrz i zobaczyłam jakieś straszne zamieszanie. Mój mąż siedział na ziemi, oparty o dystrybutor, za samochodem, który wcześniej tankował, i głośno krzyczał. Okazało się, że przechodził, by dostać się do miejsca, gdzie stał nasz samochód. Wówczas, zupełnie znieacka, samochód, który skończył tankowanie, zamiast ruszyć do przodu, pojechał do tyłu, najeżdżając i wywracając mojego męża. Następnie przejechał mężowi po nodze. Gdy mąż zaczął krzyzczeć, kierowca zorientował się, że coś jest nie tak i ruszył do przodu, przejeżdżając po nodze powtórnie. Stopa wyglądała koszmarnie. Sandał był rozerwany, podbicie było podrapane do krwi, a palce były czarne z powodu krwiaka. Nadjechała karetka, mąż został położony na nosze i zabrany do szpitala. Sanitariusze podali mi adres szpitala i kazali dojechać.

Byłam w kompletnym szoku. Zdałam sobie sprawę, że jesteśmy tuż przy zjeździe na Padwę i zaczęłam w myślach wygrażać świętemu Antoniemu i pytać Go, dlaczego dopuścił do czegoś takiego w swojej okolicy. Zaczęłam Go prosić, a właściwie dowodzić Mu, że w takiej sytuacji musi natychmiast nam pomóc i wyciągnąć nas z tej opresji. W ciągu 20 minut dojechałam do szpitala. Mój mąż siedział na wózku inwalidzkim i czekał na wynik

prześwietlenia. Wszyscy sądzili, że stopa będzie zgruchotana. Obawialiśmy się, że nie wystarczy sam gips i będzie potrzebna operacja. Przyjrzałam się jeszcze raz stopie mojego męża i jakie było moje zdumienie, gdy zobaczyłam, że krwiak blednie. Pani doktor rentgenolog była nie mniej zdumiona, powiadamiając nas, że na zdjęciu nie widać żadnych, nawet lekkich uszkodzeń stopy. Panie pielęgniarki nakleiły mężowi mały plasterek na śródstopie i już o własnych siłach i z kompletnie różową stopą mój mąż wsiadł za kierownicę samochodu i pojechaliśmy. Odbyliśmy ważne spotkanie, a następnie wyruszyliśmy w góry. Cały następny dzień spędziliśmy, wędrując, a noga nie bolała ani trochę. Mąż tylko trochę narzekał, że bołą go plecy. Zajrzałam pod koszulę. Siniak we wszystkich kolorach tęczy obejmował połowę pleców. O plecy po prostu się nie pomodliłam.

Po powrocie do Polski spytałam znajomego lekarza, ile potrzeba czasu, by wchłonął się i zniknął krwiak lub mocny siniak. Powiedział, że potrzeba na to minimum trzech tygodni. Świętemu Antoniemu usunięcie krwiaka i uzdrowienie nogi zajęło 15 minut.

Bogdan Puławski (Dania)

Oczywiście, że doświadczyłem cudu w moim życiu. Nieco filozoficznie mówiąc, to zdarza się on każdemu człowiekowi, każdemu z nas. Tym Wielkim Cudem jest to, że istniejemy, to żeśmy się urodzili, że żyjemy, myślimy, czujemy i przeżywamy. Ale w moim 70+ życiu zdarzyło mi się doświadczyć wielu sytuacji, które nazwałbym działaniami Opatrzności czy ingerencji Boskiej. Nie czuje się godzien cudu; wystarczy mi ten jeden Wielki Cud wspomniany wyżej. Poniżej podam dwa przypadki działania Bożej Opatrzności w moim życiu.

Świadectwo 1. Mam 12-13 lat. Późnym, ciemnym wieczorem przyjeżdżam pociągiem na stacyjkę miejscowości, gdzie wtedy mieszkaliśmy (koło Bydgoszczy). Nie chce mi się wysiadać normalnie na peron na prawo. Trzeba potem iść kawałek dalej do przejścia przez tory. Wyskakuję więc z wagonu na lewo, na torowisko przeciwnego ruchu, który na ogół był mały i wiedzia-

łem, że żadne pociągi „z naprzeciwka” o tej porze już nie kursują. Przekraczam szyny i wskakuję na przeciwległy peron. W chwili gdy ląduję na peronie, tuż za moimi plecami z ogromnym łomotem przewala się ogromny parowóz. Jeszcze dziś słyszę ten ogromny łomot lokomotywy, czuję uderzenie powietrza, a w nozdrzach siedzi zapach gorącej oliwy. Sekunda... pół sekundy później i... nie pisałbym tego wspomnienia. Nie znam lepszego opisu sprawniejszego działania Anioła Stróża niż opisana sytuacja. Anioł Stróż działa, z inicjatywy Najwyższego, któremu wielka za to chwała.

Jak się potem dowiedziałem, lokomotywa robiła nie harmonogramowy kurs poremontowy.

Świadectwo 2. Mam 78 lat. Stoję na trzymetrowej wysokości drabinie i czyszczę dachową rynnę. Mży lekki kapuśniaczek i wszystko, razem z deską, o którą opiera się drabina, jest mokre. Ja też. Z domu dochodzą dźwięki pianina; żona gra Chopina lub jednego ze szwedzkich kompozytorów. Wychylam się, żeby sięgnąć nieco dalej do rynny i... przytomnieję we własnym łóżku, w roboczym ubraniu, a żona obmywa zakrwawione moje włosy.

– Jak się tu znalazłem? – pytam. – Zadzwońeś przy drzwiach i wymamrotaeś, że spadłeś z drabiny. Masz rozciętą skórę na głowie i krwawisz. Zaraz zadzwonię po pogotowie.

– Nie dzwoń, sami pojedziemy samochodem... i spróbowałem się podnieść. Ręką i nogą mogłem ruszać, ale tułowiem ani rusz, ogromny ból.

Pogotowie zakazało żonie w jakikolwiek sposób mnie ruszać, podnosić czy przewracać. Sanitariusze unieruchomili mnie na specjalnych noszach i... do szpitala. Poprosiłem żonę, żeby dała mi okulary... poszła i znalazła je na betonowych schodach, na które upadłem.

– Jak długo leżałem na tych schodach – pytam.

– Nie wiem, byłam zajęta w domu.

Diagnoza po rentgenie i tomografia wykazała złamane dwa żebra, naruszone cztery kręgi kręgosłupa, w tym jeden poważnie, uderzenie nerki, głębokie rozcięcia skóry głowy.

– Nie rozumiem – mówił lekarz – że tak z tego wyszedłeś; rąbnąc z 3-metrej wysokości na betonowe schody i nie skruszyć głowy czy nie złamać kręgosłupa, to Ktoś musiał cię chronić.

– Masz rację; a ja nawet wiem Kto i jak Mu dziękować.

Leczenie: trzy miesiące w gorsecie i ściśle przestrzeganie ograniczenia ruchów tułowia i nienoszenie ciężkich rzeczy. Naprawdę mi się... udało (???)

Jacek Mycielski (Włochy)

Nie należę do tych, którzy ogłaszają przy każdej okazji, że „cudów nie ma”. Wręcz przeciwnie. Myślę, że są na porządku dziennym, często dyskretne lub nigdy nieopowiadane. Spotkałem wiele osób przekonanych, że byli ich świadkami. Warto przeczytać ostatnio wydaną (Rosikoń Press, 2013) książkę G. Górny, J. Rosikoń „Dowody tajemnicy”. Myślę, że trudno będzie „zawodowym niedowiarkom” opisanie tam (i sfotografowane) dowody podważyć. Chociaż prawdą jest ewangeliczne stwierdzenie: można „mieć oczy i nie widzieć”.

Jeśli chodzi o własne – zaskakujące doświadczenie z tej dziedziny, miałem jak na razie w życiu jedno, ale dość mocne, wyraźne. Przeżyłem je głęboko. Cud nie cud, osądźcie sami.

Otóż pewnego dnia (około 15 lat temu, mieszkaliśmy wtedy w Holandii), „cudem” uniknąłem zderzenia czołowego i pewnej śmierci. W skrócie: na trzypasmowej trasie ktoś z naprzeciwka raptem przekroczył linię ciągłą i pełną prędkości jechał prosto na mnie. Nie miałem czasu sprawdzić, co jest po mojej prawej stronie (wyprzedzałem sznur samochodów), tylko odbiłem kierownicą w prawo. Na szczęście było „okienko” między autami, zmieściłem się i do wypadku nie doszło. Jak to się mówi, zajrzałem śmierci w oczy. Ale sedno przesłania dopiero przed nami.

Następnego dnia, w przerwie obiadowej, wyjechałem z biura, żeby chwilę odetchnąć świeżym powietrzem, na słońcu. Myśli jeszcze wciąż mi wracały do niedawnego przeżycia. Zaparkowałem na placu spacerowym wśród trawników. Wysiadłem z auta. Cisza, wokół nie ma żywej duszy. Modliłem się w duchu „Panie Boże, nie chciałeś, żebym wczoraj zginął. Rozumiem, że jestem Ci jeszcze

potrzebny? Pomóż mi wypełniać Twoją wolę...” Nagle, na pustej jeszcze przed chwilą ławce, jakieś cztery metry ode mnie, zauważyłem siedzącą postać kobiecą. Skąd się raptem tam wzięła? Przecież nikogo tu nie było? Jeśli by przyszła czy raczej przybiegła – nawet nie patrząc w tę stronę – łatwo bym to usłyszał! Ubrana normalnie, jak przeciętna młoda kobieta w tym kraju, w spodniach, kurtce, raczej szczupła, włosy ciemne, fryzura bez nadzwyczajności, całość skromna, ale ogólnie robi miłe wrażenie. Spotykam jej wzrok. I tu szok!!! Wpatruje się we mnie uporczywie, oczami pełnymi miłości, oczami matki, kochanki. Przecież jej nie znam! Tego spojrzenia nie zapomnę do grobowej deski. Na moment spuszczam oczy, potem znowu je podnoszę... już jej nie ma!! – Och! Tak nie może być! – krzyknąłem głośno i jednym skokiem byłem przy ławce. Zaglądam za nią, obok krzaczek wielkości stolika – nigdzie nikogo! Widzę nadjeżdżającego z daleka mężczyznę na rowerze. Jest o jakieś 70 metrów, ale dobrze go słyszę. Czyli mój wzrok i słuch działają normalnie. Co to było przed chwilą? Halucynacja?! Nigdy czegoś takiego w życiu nie doświadczyłem, nikt mi też takowej nienormalności nigdy nie zarzucił.

Opowiedziałem potem moje zdarzenie kilku bliskim osobom, między innymi mojemu ówczesnemu spowiednikowi (benedyktyn, klasztor Mamelis, Limburgia holenderska). Od większości miałem reakcje – bez większej emocji czy sensacji: ach, tak, to był twój Anioł Stróż...

No cóż. Osądźcie sami.

Marianna Łacek (Australia)

Czy zdarzają się cuda?

Doświadczyłam w swoim życiu wielu cudów i to od najmłodszych lat. Bo czymże, na przykład, wytłumaczyć fakt, że jako małe dziecko nie zaraziłam się ani szkarlatyną, ani później czerwonką, śpiąc w jednym łóżku z chorym, jak się okazało, na te choroby rodzeństwem.

Tutaj jednak pragnę wspomnieć trzy cudowne zdarzenia, które zapamiętałam – jedno z dzieciństwa, jedno z młodości i jedno z dorosłego już życia.

Mógł to być rok 1947 albo 48, kilka dni przed Świętami Bożego Narodzenia. Najstarsza siostra i bracia przyjechali już do domu na świąteczne ferie. Dom lśnił cały wybielony, wysprzątany i wyszorowany. Tylko łóżka miały być ustawione dopiero na drugi dzień, kiedy wszystko wyschnie, powiedział ojciec. Dla nas, dzieci oznaczało to prawdziwą frajdę. W dużym pokoju, na wyszorowanej do białości podłodze leżały sienniki, na nich świeżutka pościel i olbrzymie pierzyny. Można było nie tylko baraszkować do woli, ale słuchać opowieści starszego rodzeństwa o szkole w mieście, o bibliotece i o książkach, które czytali. Było ciepłutko i przytulnie. W piecu wesoło buzował ogień. Nie trzeba było świecić lampy, żeby czasem nie zaprószyć ognia, ostrzegała mama.

Nie pamiętam, kiedy zmorzył mnie sen, ale dokładnie pamiętam moment przebudzenia. W oczach gryzący dym, krzyki, bieganina i Mama wylewająca wiadro wody na podłogę. Potem uklękliśmy wszyscy i dygocąc, nie wiadomo, czy ze strachu czy z zimna, odmówiliśmy pod kierunkiem Mamy modlitwę w intencji zmarłych dziadków.

Na siennikach spało nas siedmioro. Ósmy, paromiesięczny braciszek spał z mamą na kozetce w odległym pokoju. Tatuś poszedł na noc do pracy. Kiedy już leżeliśmy z powrotem pod pierzynami, Mama opowiedziała nam, co się wydarzyło. Zasnęła jak kamień, bardzo zmęczona całodziennym sprzątaniem. Nagle ze snu wyrwał ją jej własny ojciec, zmarły blisko dwadzieścia lat wcześniej, wołając – Zośka, wstawaj! Wstawaj szybko – nalegał. Zanim podniosła się z łóżka, zobaczyła łunę w szybach drzwi do dużego pokoju. Biegając przez kuchnię, złapała wiadro wody, na szczęście wcześniej przyniesione ze studni. Ogień w pokoju sięgał już naszych posłań. Tam wylała pierwsze wiadro. Szybko pobiegła po drugie. Zalała nim okolice pieca. Byliśmy uratowani.

Rano, po powrocie ojca z pracy, usłyszeliśmy jego wersję. O tym, że nie zamknął pieca, przypomniał sobie tuż przed wejściem do

zakładu. Przyjechał na nocną zmianę ostatnim autobusem. Powrót pieszo (8 km) nie wchodził w rachubę – i tak byłoby za późno. Już widział w wyobraźni ogień przyskający na podłogę i rozłożone sieni-
niki. Ratunek był tylko jeden – modlitwa. Najgoręcej jak tylko mógł, błagał Boga o pomoc. I wówczas przyszedł mu na myśl teść, którego nie znał, ale wiedział, że był wspaniałym człowiekiem. Zaczął go prosić o ratunek dla jego córki i ośmiorga wnucząt. Dalej już wiemy, co się wydarzyło.

Kolejny cud przeżyłam na studiach. Była ostatnia sobota czerwca i ostatni z egzaminów zaliczających pierwszy rok. Klimatologię z meteorologią miałam zdawać ostatnia, ustalono bowiem, że będzie według alfabetu, ale tym razem od końca. Ja byłam pierwsza na liście, czyli tym razem byłam ostatnia.

Dochodziła siódma wieczorem, kiedy ściskając indeks z kolejną bardzo dobrą oceną, uszczęśliwiona wybiegłam z Instytutu. Na drugi dzień rozpoczynaliśmy dwutygodniową praktykę terenową. Mina zrzędała mi nieco, kiedy okazało się, że już zamknięty jest depozyt na wakacyjne przechowanie osobistych rzeczy. Gdzie je zostawię? Akademik należało opuścić w niedzielę przed 10 rano, ponieważ przyjeżdżają studenci zaoczeni, których trzeba zakwaterować. Trzeba je będzie wysłać do domu. Pobiełam na pocztę – zamknięta; w soboty czynna do 18.00. Telefonów wtedy nie było.

Wstąpiłam do Kościoła Mariackiego – najpierw, żeby podziękować Panu Bogu za tak pomyślnie zdane egzaminy, a potem prosić o ratunek. Wołanie: Ojczy! przeplatało się z wołaniem – Tato! Tatusiu! Potrzebuję pomocy! Wyszłam z kościoła uspokojona. Krótką, czerwcową noc spędziłam na korytarzu akademika, gdzie stała maszyna do szycia. Musiałam przygotować się do wyjazdu na praktykę. Przerabiałam bluzki, skracałam spodnie, szylałam spódnice.

O piątej rano spojrzałam na zegarek – teraz wyjeżdża z Olkusza do Krakowa pierwszy autobus. Na naszym przystanku będzie za 10 minut, przemknęło mi przez myśl. Powróciłam do szycia i prasowania rzeczy na praktykę. Nawet się nie zdziwiłam, kiedy około godziny siódmej dostrzegłam na końcu korytarza znajomą sylwetkę Ojca, a obok także jednego z braci. Wiesz, tłumaczył

ojciec, tak się jakoś nieswojo poczułem. Przecież masz teraz egzaminy, nie pisałaś dawno, może ci coś potrzeba. Boguś powiedział, że i on ze mną pojedzie. No i jesteśmy.

– Tatusiu! To są moje półki, te wszystkie rzeczy muszą być rano zabrane, a jeszcze jest poduszka i koc, to też moje. Zebrali, zapakowali i zabrali wszystko na 3 miesiące do domu. To był dla mnie cud.

Kolejne zdarzenie miało miejsce już w Australii. Aby pogodzić wychowanie dzieci z moim nauczaniem w szkole, mąż podejmował różne, przynoszące dochód prace. Jedną z nich było rozwożenie mleka. Wychodził z domu około drugiej nad ranem i wracał tuż przed moim wyjściem do szkoły. Miał do dyspozycji niewielki samochód ciężarowy, który parkował na przylegającej ulicy. Jednego ranka, pomimo kilkunastu prób, nie udało mu się zapalić silnika. Z konieczności pojechał naszym samochodem osobowym. Było to dodatkowe utrudnienie, oznaczało bowiem wielki pośpiech, albo wydłużony czas pracy, gdyż trzeba było kilkakrotnie zajeżdżać do magazynu.

Zaraz po powrocie skontaktował się ze znajomym mechanikiem. Znajomy przyjechał na umówioną godzinę, wsiadł do kabiny ciężarówki i przekręcił kluczyk w stacyjce. Motor natychmiast zapalił. Wyłączył i zapalił powtórnie – znowu to samo, motor zapalił od razu. Co ty chcesz, przecież wszystko jest w porządku – skomentował pod adresem męża. Przejechał jednak kawałek samochodem. Oj, coś mi tu nie gra – powiedział jakby do siebie. Zaparkował auto z powrotem i zajrzał pod spód. Zobacz – powiedział do męża. Z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu śruba łącząca podwozie z kabiną trzymała się ledwo, ledwo, na jednym, ostatnim gwincie. – Dojechałbyś tylko do pierwszego zakrętu albo nawet do pierwszych świateł ... lepiej nie myśleć, co by było. Dziękuj Bogu, że ci ten silnik rano nie zapalił.

Urszula Kossowska-Cezak (Warszawa)

W maju 1990 roku ojcowie jezuici z ulicy Rakowieckiej w Warszawie, gdzie obecnie mieści się sanktuarium świętego Andrzeja Boboli, zorganizowali po raz pierwszy pielgrzymkę do

Janowa Poleskiego (Białoruś), miejsca męczeństwa Świętego, w 333. rocznicę tego męczeństwa (17 maja 1657). Grupa zatrzymała się w Pińsku, gdzie serdecznie nas przyjął, a potem towarzyszył pielgrzymce, proboszcz katedry w Pińsku, ksiądz prałat Kazimierz Świątek. Opowiadał nam nie tylko o świętym Andrzeju, jego życiu i działalności, zakończonej wyjątkowo okrutnym męczeństwem, oraz o losach jego relikwii, ale też i o sobie. Szczególnie wstrząsające były wspomnienia z łagru, potem powrotu do Pińska i trudnej działalności w radzieckiej rzeczywistości. Opowiedział nam wówczas o następującym wydarzeniu.

Był remontowany dach katedry. Kiedy przyszedł termin zapłaty za wykonaną część prac, ksiądz Kazimierz stwierdził, że nie ma na to pieniędzy. Wiedział, że jeśli nie zapłaci w terminie ekipie remontowej, to ta po prostu zostawi niedokończoną pracę i pójdzie pracować u kogoś innego. W tej trudnej sytuacji ksiądz zwrócił się o pomoc do świętego Andrzeja. Gdy modlił się przy jego relikwiach, zawezwała go kobieta, która wykonywała różne prace pomocnicze w zakrystii i kościele. Powiedziała, że jakiś człowiek koniecznie chce rozmawiać z księdzem. Rzeczywiście jakiś nieznajomy poprosił księdza o modlitwę w jakiejś ważnej dla siebie sprawie i w tej intencji złożył ofiarę. I wyszedł. Gdy ksiądz zajrzał do wręzonej mu koperty, znalazł tam kwotę dokładnie taką, jakiej potrzebował na wypłatę. Natychmiast wybiegł, aby podziękować ofiarodawcy, ale nie było po nim ani śladu...

Ksiądz Kazimierz Świątek zmarł w lipcu 2011 roku, osiągnąwszy godność kardynała. Położył wielkie zasługi dla spraw Kościoła na Białorusi i w Rosji. Mimo swojej godności i zasług, pozostał człowiekiem skromnym, bezpośrednim i serdecznym.

„Odpowiedzi na trudne pytania dzisiejszego świata”

Spis treści

Tom pierwszy, 2005/2006 r.

- I. „Czy angażować się w politykę” – ks. Adam Zelga, Jacek Cichoński
- II. „Jak pogodzić rolę ojca, matki z karierą zawodową?” – ks. Adam Zelga, Anna i Łucjan Sokołowscy
- III. „Czym dla współczesnego człowieka jest modlitwa?” – ks. Adam Zelga, Magda i Wojtek Wicher, Jacek Grabowski, Maks Pudłowski, Ania Poglód
- IV. „Wolontariat – służba potrzebującemu” – ks. Adam Zelga, Janina Fabisiak, Iwona Iwińska, Małgorzata Wielopolska
- V. „Czym we współczesnym świecie jest jałmużna?” – ks. Adam Zelga, s. Małgorzata Chmielewska, Janina Ochojska, ks. Mieczysław Jaworski
- VI. „Czym jest dla mnie post i wyrzeczenie?” – ks. Adam Zelga, ks. Krzysztof Sielski
- VII. „Sport w przesłaniu Ojca świętego” – ks. Adam Zelga, Robert Korzeniowski
- VIII. „Odpowiedzialność – jak ją rozumiem?” – ks. Adam Zelga, Sławomir Ratajski, Ryszard Szaniawski, Jacek Waksmundzki

Tom drugi, 2006/2007 r.

- IX. „Prosta droga w chaosie dzisiejszego świata” – Adam Pietrzak, ks. Józef Maj, Robert Tekieli, Marcin Jędrzejczak

- X. **„Czy małżeństwo katolickie jest przeżytkiem?”** – ks. Adam Zelga, Anna i Krzysztof Łoskotowie, Agnieszka i Sławomir Jaworscy
- XI. **„Czy rodzina może obronić ład społeczny?”** – ks. Adam Zelga, Jolanta i Tadeusz Epszteiniowie, Maria i Jerzy Berlińscy, Krystyna i Grzegorz Styczkowie
- XII. **„Jakie wartości wynieśliśmy z domu rodzinnego?”** – ks. Adam Zelga, Paweł P. Piotrowicz, Aleksander Ciepela, Jerzy Górski, Zofia Epsztejn, Filip Osmański, Łukasz Pilch
- XIII. **„Prawda i kłamstwo w naszym życiu”** – ks. Adam Zelga, Ewa i Maciej Bednarkiewiczowie, Tomasz Terlikowski, Marian Wiśniewski
- XIV. **„Co dziś dla nas znaczy „dzień święty święcić?”** – ks. Adam Zelga, Irena i Maxymilian Byliccy, Agnieszka i Jan, Maria Jackowscy, Andrzej Ciepela
- XV. **„W czym wyraża się współczesny patriotyzm?”** – ks. Adam Zelga, Anna Radziwiłł, Izabela Dzieduszycka, Tomasz Borecki, Maciej Dąbski
- XVI. **„Nasz stosunek do innych ludzi: życzliwy, obojętny, czy wrogi?”** – ks. Adam Zelga, Krzysztof Dowgiałło, Grzegorz Nurkiewicz, Jacek Waks-mundzki

Tom trzeci, 2007/2008 r.

- XVII. **„Czy byliśmy kochani w dzieciństwie i jak to wpływa na nasze dorosłe życie?”** – ks. Piotr Hartkiewicz, Krystyna Dylík, Sabina Zalewska
- XVIII. **„Nagroda czy kara są ważniejsze w wychowaniu?”** – ks. Adam Zelga, Róża Piwoni-Cieślińska
- XIX. **„Czy puste nakrycie przy wigilijnym stole jest dla nas wyłącznie symbolem?”** ks. Zdzisław Wojciechowski, Anna Grocholska, Maria Górską-Zabielska

- XX. **„Jaki według ciebie powinien być proboszcz w twojej parafii?”** – ks. Adam Zelga, ks. Tadeusz Aleksandrowicz, Teresa Kapela, Anna i Łucjan Sokołowscy, Krzysztof Olęcki
- XXI. **„Co dla nas znaczy przykazanie „nie kradnij?”** – ks. Adam Zelga, ks. Piotr Hartkiewicz, Maria Rotkiel
- XXII. **„Czy potrafimy przyjmować dary z wdzięcznością?”** – ks. Piotr Hartkiewicz, Grzegorz Gruca
- XXIII. **„Jakie znaczenie ma dla mnie cisza?”** – ks. Adam Zelga, s. Stella Drużdżel, Wojciech Brański, Krystyna Dolebska, Jerzy Rakowicz, Andrzej Lipski
- XXIV. **„Jaką wartość ma dla mnie dane słowo?”** – ks. Zdzisław Wojciechowski, Piotr Bejnarowicz, Jacek Krawczyk, Franciszek Podlacha, Jacek Waksmundzki

Tom czwarty, 2008/2009 r.

- XXV. **„Czy jestem świadomym członkiem społeczeństwa obywatelskiego?”** – ks. Adam Zelga, Dorota i Jacek Cichoccy, Rafał Miastowski, Krzysztof Zanussi
- XXVI. **„Czy starość Panu Bogu się udała?”** – ks. Adam Zelga, Wiesław Chrzanowski, Krystyna Długosz-Kuczabowa, Izabela Dzieduszycka
- XXVII. **„Czy oferta handlowa zabija w nas ducha świętowania (mieć czy być)?** – ks. Adam Zelga, Aleksandra Siewko, Krzysztof Tyszowiecki, Mikołaj Wróblewski, Marek Łuszczyna
- XXVIII. **„Czy potrafię w pełni zaufać Bogu i ludziom?”** ks. Adam Zelga, ks. Tomasz Bieliński, Maria Berlińska
- XXIX. **„Czy to co robię uważam za swoją misję?”** – ks. Adam Zelga, Robert Kościuszko, Grzegorz Polak, ks. Tomasz Szyszka

- XXX. **„Jak wpływa na mnie posiadanie władzy i/lub sławy?”** – ks. Adam Zelga, Marek Kamiński, Rafał Muchacki, Przemysław Babiarczy, Dariusz Kowalski
- XXXI. **„Czym mnie wzbogaca sport i turystyka?”** – ks. Adam Zelga, Jerzy Engel, Ewa Twarowska, Jarosław Prugar, Tomasz Leżajski, Krzysztof Wojtkowski
- XXXII. **„Moja droga do Pana Boga”**- ks. Adam Zelga, Monika i Krzysztof Oczkowscy, Zenon Kosicki, Małgorzata Balicka, Jarosław Babiński

Tom piąty, 2009/2010 r.

- XXXIII. **„Czy potrafię dostrzec ludzi słabszych od siebie (starych, chorych, dzieci...)?”** – ks. Adam Zelga, Paweł Wdówik, Krystyna Mrugalska, Rafał Strent, JarosławKalinowski.
- XXXIV. **„Co dla mnie znaczy Boży nakaz: Czyńcie sobie Ziemię poddaną?”** – ks. Adam Zelga, Andrzej Zalewski, Tomasz Borecki, Joanna Angiel, Iwona Waksmundzka.
- XXXV. **„Kto jest dla mnie autorytetem i dlaczego?”** – ks. Zdzisław Wojciechowski, Franciszek Kampka, Małgrzata i Jacek Grabowscy, Maciej Dąbki, Anna Ciepela.
- XXXVI. **„Co dla nas znaczy fragment Modlitwy Pańskiej: Opuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom?”** – ks. Adam Zelga, Rafał Wieczyński, Sebastian Domagała, ks. Włodzimierz Kweciński, Tadeusz Pieńkowski.
- XXXVII. **„Czy wiara w Boga ma wpływ na moje codzienne życie?”** – ks. Adam Zelga, Jakub Papierski, Monika Nagórko, Leszek Marks.
- XXXVIII. **„Czym jest dla mnie i jaka powinna być praca zawodowa, społeczna, domowa itp.?”** ks. Adam Zelga, Maria i Witold Płotczykowie, Tomasz Berent, Andrzej Ciepela.

- XXXIX. **„Czy jestem szczęśliwa/y i czy potrafię dzielić się moim szczęściem z innymi?”** – ks. Adam Zelga, Zofia Zielińska, Ewa Błaszczak, Paweł Szczęsny.
- XL. **„Czy liczę się z drugim człowiekiem, czyli miłość bliźniego w praktyce?”** – ks. Adam Zelga, Zdzisław Bielecki, Alojzy Witeska, o. Benedykt Malewski, s. Kazimiera Fleran.

Tom szósty, 2010/2011 r.

- XLI. **„Nie będziesz miał bogów cudzych przede mną – co to znaczy w moim życiu?”** – ks. Adam Zelga, ks. Eugeniusz Guździół, Radosław Pazura, Dorota Kaczmarowska.
- XLII. **„Jakie są dla mnie granice kompromisu?”** – ks. Adam Zelga, Andrzej Mastalerz, Andrzej Filipiak, Jerzy Kijowski, Krzysztof Haman.
- XLIII. **„Co dla mnie znaczy przykazanie >Nie cudzołóż?< ?”** – ks. Adam Zelga, Sylwester Laskowski, Magda Korzekwa.
- XLIV. **„Czy potrafię śmiać się... również z siebie?”** ks. Piotr Hartkiewicz, ks. Bogusław Kowalski, Katarzyna Łaniewska.
- XLV. **„Jakim powinien być człowiek, którego nazywam swoim przyjacielem i jakim ja sam jako jego przyjaciel?”** – ks. Adam Zelga, ks. Marek Dziewiecki, Maria i Mateusz Środoń, Paweł Zając.
- XLVI. **„Czy przeżyte cierpienie ubogaciło mnie wewnętrznie?”** – ks. Adam Zelga, Magdalena i Piotr Konczewscy, Krzysztof Ziemięc.
- XLVII. **„Czy doceniam otrzymane błogosławieństwo i czy nie skąpię go innym?”** – ks. Adam Zelga, o. Wojciech Jędrzejewski OP, Jan i Dorota Szubscy, Zenon Kosicki.

- XLVIII. **„Czy Dekalog stosuję w życiu w całości, czy wybiórczo?”** – ks. Adam Zelga, Adam Pietrzak, Irena i Jerzy Grzybowski.

Tom siódmy, 2011/2012 r.

- XLIX. **„Czy Jan Paweł II miał wpływ na moją twórczość?”** – ks. Adam Zelga, Małgorzata Ajnenkel, Andrzej Horubała, Jerzy Derkacz, Krzysztof Osman
- L. **„Wyznawane wartości i ich realizacja w moim codziennym życiu”** – ks. Adam Zelga, Justyna Cyran-Waksmundzka, Maria Łubowicz, Jarosław Świdorski, Paweł Wilski, Michał Grodzki
- LI. **„Jakie są moje możliwości zwyciężania zła dobrem?”** – ks. Adam Zelga, s. Małgorzata Chmielewska, Elżbieta Strzałkowska, Elżbieta Wydra
- LII. **„Czy potrafię kształtować w sobie charakter, silną wolę i świadczyć o tym innym?”** – Andrzej Dowgiałło, Jan Wilczak, Aleksander Ciepela
- LIII. **„Czy i jak strapionych pocieszam?”** – ks. Adam Zelga, ks. dr Jan Sikorski, Adam Pietrzak, Maciej Syka
- LIV. **„Wierność w małżeństwie – jak ją rozumiem?”** – ks. Piotr Hartkiewicz; Karol i Katarzyna Wyszynscy, Dominika Figurska i Michał Chorośniński, Anna i Krzysztof Łoskotowie
- LV. **„Czy słucham głosu sumienia?”** – ks. Włodzimierz Kweciński, Zofia i Sławomir Ratajscy, Alicja i Peter Węgorzewscy-Whiskerd
- LVI. **„Czego szukam i do czego dążę w życiu?”** – Teresa i Marek Stankiewicz, Anna i Maciej Srebro, Konrad Falkowski

Tom ósmy, 2012/2013 r.

- LVII. **„Błogosławieni ubodzy w duchu, albowiem do nich należy królestwo niebieskie”** – ks. Adam Zelga, Maria Płotczyk, Wojciech Puzyna, Andrzej Skoczek
- LVIII. **„Błogosławieni, którzy się smucą, albowiem oni będą pocieszeni”** – ks. dr Henryk Małecki, Adam Pietrzak, Joanna Krupska, Kazimierz Szałata,
- LIX. **„Błogosławieni cisi, albowiem oni na własność posiadą ziemię”** – ks. Adam Zelga, Karolina Pietruk, brat Kazimierz Dmitrzak, Alojzy Witeska, Małgorzata Jabłońska, ojciec diakon Wojciech Mojecki
- LX. **„Błogosławieni, którzy łakną i pragną sprawiedliwości, albowiem oni będą nasyceni”** – ks. Adam Zelga, Izabela Szwarocka, Jerzy Wratny, Zdzisław Bielecki
- LXI. **„Błogosławieni miłosierni, albowiem oni miłosierdzia dostąpią”** – ks. Adam Zelga, brat Mirosław Kruk, Joanna Trzcionka, siostra Małgorzata Ochęduszek, Anna Niepiekło
- LXII. **„Błogosławieni czystego serca, albowiem oni Boga oglądać będą”** – ks. Adam Zelga, Jadwiga Puzynina, s. Kazimiera Fleran, Paweł Zuchniewicz
- LXIII. **„Błogosławieni, którzy wprowadzają pokój, albowiem oni będą nazywani synami Bożymi”** – ks. Adam Zelga, Andrzej Szpor, Ks. dr Paweł Wojtas, Maja Komorowska, Anna Słomka
- LXIV. **„Błogosławieni, którzy cierpią prześladowania dla sprawiedliwości, albowiem do nich należy królestwo niebieskie”** – ks. Adam Zelga, Emmanuel Hakizimana, Halina Bortnowska, Krzysztof Dowgiałło, siostra Rafaela (Urszula Nałęcz)

Wydawnictwo
Szkoly Wyzszej Przymierza Rodzin
w Warszawie
www.swpr.edu.pl
swpr@swpr.edu.pl
(22) 644-07-97

Wydawnictwo SWPR wydaje zarówno książki, jak i wydawnictwa ciągłe i seryjne. Pełen spis wydanych pozycji znajduje się na stronie internetowej. Książki można zamawiać drogą internetową. Poniżej znajdują się tylko wybrane pozycje:

Z zakresu pamiętników i wspomnień:

- *Kucem na Ursynów* – Izabela Dzieduszycka (2011)
- *Spotkani na drodze* – Leszek Starkel (2011)
- *Chwile czasu minionego* – Andrzej Mycielski (2012 – wydanie trzecie, rozszerzone)
- *Ci, o których powinniśmy pamiętać. Fascynujące życiorysy Polaków rozsianych po świecie*, tom I, II i III – pod red. Elżbiety Mycielskiej-Dowgiałło (2010, 2011, 2012)
- *50 lat Wspólnoty Parafialnej Opatrzności Bożej na Rakowcu w Warszawie, 1962-2012* – pod red. Elżbiety Mycielskiej-Dowgiałło (2012)
- *Chleb stał się granicą* – Leon Kowalski (2013)
- *Ballada marcowa* – Jan Białek, Jan Cichy, Klaudia Dawidko, Michał Dudek (2013)
- *Polscy pianiści* – Jan Sierpiński (2014)
- *Od Uralu po Brazylię i nie tylko...* – Alina M. Lenczewska (2014)
- *Kocham twą urodę złą, najdroższe miasto na świecie. Wspomnienia z getta łódzkiego* – Salomea Kape (2014)
- *Wojenne dzieciństwo – losy mojej rodziny* – Elżbieta Wichrzycka-Lancaster (2014)

Z zakresu podręczników i monografii:

- *Podstawy meteorologii i klimatologii* – Urszula Kossowska-Cezak (2007)
- *Badania cech tekstualnych osadów czwartorzędowych i wybrane metody*

- oznaczania ich wieku – pod red. Elżbiety Mycielskiej-Dowgiałło (2007)*
- *Chemia dla przyrodników (wyd. II) – Hanna Rembertowicz (2010)*
- *Człowiek i paideia. Realistyczne podstawy filozofii wychowania (wyd. II) – Mikołaj Krasnodębski (2009)*
- *Nowy Nauczyciel – Nowa Edukacja – pod redakcją Magdy Lejzerowicz, Teresy Stankiewicz, Mikołaja Krasnodębskiego (2014)*

Z zakresu wiedzy historycznej:

- *Opactwo Czerwińskie w średniowieczu – Marek Stawski (2007)*
- *Kościół i Państwo w dziejach, źródłach i studiach nad przeszłością – pod red. Marka Stawskiego (2008)*
- *Duchowieństwo i laicy – pod red. Andrzeja Wałkowskiego (2010)*
- *Kościół i społeczeństwo – pod red. Janusza Grabowskiego (2013)*

Z zakresu publicystyki społecznej i pedagogicznej:

- *Odpowiedzi na trudne pytania dzisiejszego świata – pod red. Elżbiety Mycielskiej-Dowgiałło, tom I – IX (2006 – 2014)*

Z zakresu poezji:

- *Kiedy będę do Ciebie szedł – Marek Antoni Wasilewski (2010)*
- *Na geograficznych ścieżkach życia (eseje geograficzne) – Joanna Angiel (2012)*
- *Rozmowy z Panem – Bona (2012)*
- *Odrobina Pana Boga – Bona (2013)*
- *Stabat Mater. W cieniu Krzyża – Bona (2014)*
- *Tchnienie Ewangelii – Bona (2014)*

Z zakresu wydawnictw ciągłych recenzowanych:

- *Zeszyty Naukowe SWPR trzech serii: geograficzno-turystycznej, pedagogicznej i humanistycznej.*